

# Chore dusze





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

*Chore dusze*

*Chore dusze*

# TOM I

Wieczór był jesienny, ostatnich dni sierpnia w Rzymie, z którego w tym miesiącu ucieka kto może, do którego w tej porze nie przebywa nikt, oprócz tych co ich konieczność jakaś zagna do wiekuiściej stolicy.

Na drugim piętrze domu na Via Sistina okna stały otworem; gorąco, pomimo nadchodzącej nocy, było jeszcze nieznośne. Wdali na niebiosach jasnych malowała się ciemno majestatyczna kopuła bazyliki Ś. Piotra i w gmachach Watykanu widać było zapalające się światełka.

Cisza smętna, grobowa leżała nad olbrzymią, w ruinach tysiącoletnich stolicą, ledwie niekiedy szmerem jakimś powietrznym lub dźwiękiem wieczornych dzwonek klasztor-nych przerywana.

Smutek wiekuisty ludzi tęskniących duszami ku czemuś nieokręślonemu, upragnio-nemu i niedoścignionemu, ciężył nad temi wspaniałemi gruzami, ponad któremi nowe gmachy i wskrzeszone życie chórem z ruinami mówiło: Człowiecze, nic niema wiecznego na ziemi!

Lecz ponad ziemią przyciśniętą dusznemi opary jaśniały wiekuiście niebiosa wypogo-dzone, na których gdzieniegdzie migotały już z ciemności główki gwiazdek promieniste.

Na ziemi smutno było jak w grobie, na niebiosach pogodnie, jasno, spokojnie...

Tu w tém mrowisku, na rumowiskach poruszało się życie zbolale; tam błyszczwały śmiejące się wiekuiście światełka, wśród majestatycznie rozpostartych przestrzeni eteru.

I chciało się w tej chwili patrzeć w górę, aby nie widzieć co się dzieje pod stopami. Tu życie miało fizyognomią śmierci, tam śmierć gasnących aerolitów jaśniała życiem.

Są wszędy smutne wieczory takie, nawet tam, gdzie je myśl i ręka płocha chce we-sołemi uczynić; lecz nigdzie smutek ludzki, nieokręślony ów, przyniesiony z życiem, nie ściska tak duszy, jak na tém pobojowisku wieków, które się Rzymem zowie.

Jest-to wyschłe serce świata, który żyć przestał, a na którego mogile wyrosło zdrob-niałe życie nowe, napół z piersi trupiiej wysane.

Potężne te ruiny, skorupa potworu, którego ramiona obejmowały cały naówczas znany świat, do dziś dnia mówią o olbrzymie, zjedzonym przez drobne mrowie barbarzyństwa.

Termity z północy, pełzające po ziemi, podgryzły i podkopały tę przerosłą potęgę i w proch ją obrócily. Gotowały podściół pod nowy posiew Boży, dla mającego z ruin i mrowia urosnąć świata.

Pomiędzy tém, co się tu w grób położyło, a tém, co się zrodziło na grobie, legła przepaść wieków, półmroku i cienia.

Na małym balkonie domu niegdyś Sobieskiego, dziś zowiącego się Casa Bartholdi, stało osób kilka zadumanych, wpatrzonych w krajobraz wieczora, milczących, nieśmia-nych wydać głosu, aby nie sprofanować tej ciszy uroczystej, modlitewnej całego stworze-nia. Wolno tylko było dzwonom wśród niej jęzcć tęsknicą klasztorną, modlitwą pokorną i wiatrowi od gór i stepów szemrzcć ziemi „dobranoc.”

Nikt nie nakazywał tego milczenia, a wszyscy nakaz zgóry płynący czuli w duszach zarówno i byli mu posłuszni. W jednej chwili zerwały się różnobarwne nici ponawiają-nych myśli, usta zadrgały, odrętwiały i musiały zaniemić.

W taką ciszę, mówi lud nasz, że anioł przeleciał, anioł niewidzialny, niosący myśl nieziemską i odrywający dusze, aby nie przyrosły do gnojnój powłoki cmentarza.

Anioł przeleciał i skrzydły białemi dotknął wszystkich głów, w których było mętno, wszystkich serc, w których było ponuro i ciemno, rzucając z rosą wieczora, jak perłę, słowo pociechy i miłosierdzia, pocałunek nieba dany ziemi:

— *Pax! Pax!*

I stała się chwila pokoju tam, gdzie go nigdy nie bywa, bo życie jest bojem i wrzawą, a była chwila ta krótką, jak oka mgnienie.

Wstrzymały się głosy i oddechy w tym spokoju błogim; lecz natychmiast życie się praw swych upomniało, oczy z niebios zwróciły się ku ludziom i mrokom, zastygłe głosy z ust się napięrać zaczęły.

Sparty o poręcz małego balkonu, stał z siwymi włosy okrytą, podniesioną głową mężczyzna, którego twarz odbłask łuny wieczornej łagodnym światłem obléwał.

Wiek jego trudno było odgadnąć; włos mu się srebrozył na skroni, a oblicze zdało się, o tój zwłaszcza wieczornej godzinie, młode jeszcze i życia pełne. Ciemne oczy, przysłonięte powiekami nawpół zapuszczonemi, patrzyły w świat, lejąc z siebie strumienie światła, w głębi jeszcze gorejącego. Czoło miał wypogodzone, jak owo niebo wieczorne, na policzkach bladych nie widniały zmarszczki, tylko około kształtnych ust, zaciśniętych nieco, zarysowywały się drogi, któremi uśmiech dobroci lub łagodnego szyderstwa przechodząc, wydeptał je powoli.

Patrząc w tę twarz, ktoś nieznamy, pociągnięty jój wyrazem, musiałby był sobie zadać pytanie, co ona mówiła, co znaczyła, z czego wzrosła i w co jeszcze mogła się obrócić? Mimo siwych włosów, twarz to bowiem była nieskończona, niezastygła. Nie był to gips stężyły, ale glina, którą dotknięcie wielkiego mistrza, losu, mogło uczynić arcydziełem, albo obrócić w nieforemną bryłę ziemi.

Człowiek ten nęcił czémś niełatwém do wyczytania.

Po za nim można się było domyślać całego szeregu postaci wielkich, których on krwi i myśli był spadkobiercą. Wpatrując się w niego, odgadywałeś krew bohaterów miecza i bohaterów ducha, po których on wziął organizm już zwątlony, ale wyszlachetniony. Można go było jeszcze odziać w żelazną zbroję starą i serce by mu do niej i w niej uderzyło prajcowskimi wspomnieniami; ale długoby dźwigać jój nie podolał. Hełm nazbytby mu cisnął to czoło, pod którym teraz odegrywał się cały dramat jego życia.

Gdyby nie ten siwy włos, co mu bujnie spadał na ramiona, z postawy wyniosłej, niezłamanej życiem, z silnej i zręcznej budowy ciała, hrabiego Augusta wzięłoby było można za młodzieńca, chociaż ani strojem, ani wymuszonemi ruchy nie starał się lat ująć sobie, a swą siwizną zdawał się chlubić.

Wyraz oblicza tego, przysłoniętego tajemnicą, zagadkowego, był smutny, ale spokojny i łagodny, jakby kogoś co z wielkiego boju powrócił ranny i bliznom się dał zasklepić, choć o nich nie zapomniał.

W drugim rogu małego balkonu, gdyby artysta chciał być umyślnie kontrast postawić, nie mógłby szczęśliwiej dobrać przekornej postaci. Pochylony, dziwnie jakoś zwinięty i skręcony, stał człowieczek niestary jeszcze, z krótko postrzyżoną, rzadkim blond włosom okrytą głową. Wzrostu był znacznie mniejszego od swojego towarzysza, krzepki także, lecz nawet gdy chciał być spokojnym, wszystko w nim drgać się zdawało niecierpliwie. Te niesforne ruchy zdradzały naturę, w której równowagi nie było jeszcze, lub nigdy już ona przyjść nie miała.

Ogolona twarz, ni młoda ni stara, nie miała oklepanego typu Mefistofila, choć może nadałoby go sobie pragnęła; wyraz jój był ziemsko-szatański, jednego ze służek pana ciemności. Rysów wybitnych nie miała; nos, oczy, czoło były jak u wszystkich tych ludu, na których spojrzawszy raz, już się więcej nie ma patrzeć ochoty i po chwili o nich się zapomina.

Masce tój jednak pospolitej wewnętrzny ogień nadawał wyrazy niespodziane, tak coraz nieskończenie odmienne, że w jednej chwili stawała się na przemiany miłą i wstrętliwą. Charakter jój stanowiła ta ruchawość niezmierna, niezmordowana, te błyskawiczne przemiany, które się dokonywały na rozkaz niespokojnego ducha — może nato, aby stan jego przysłoniły i zakryły.

Twarz pierwszego z nich swą powagą ufność budziła, drugiego niepokój i obawę.

Wziasie tego milczenia — przelotu anioła — siwowłosy stał jakby się modlił, mały jakby chciał sztydzić, a czuł się jakąś potęgą silniejszą niż on skrępowany.

Cała jego postać wyrażała walkę z tą potęgą której oprzeć się nie mógł, a przeciw której bezsilnie się buntował. Ciekaw tego co jego towarzysz doznawał, wpatrywał się weń bacznie, uroczystym spokojem jego upokorzony.

Siwowłosy patrzył wpół zmrużonemi oczyma na niebo i kopułę św. Piotra; towarzysz spuścił wzrok w małą uliczkę pustą, nad którą balkonik jak gniazdo jaskółcze był zawieszony.

W ogródku, którego bujna roślinność z za murów odrapanych rwała się dogóry ku powietrzu i słońcu, woniały rozkwitłe krzaki jaśminu i gardenii. Schylony ku ziemi, upajał się ich zapachem.

Ale tuż zblizka zalatywała z ulicznej, niewidzialnej kuchenki frittura i strutto wieczery i mieszając się z temi wydechy niebieskimi kwiatów przypominały, że na ziemi raj u nié ma.

Siwowłoso, który się nie schylał tak nisko, czuł może tylko gardenii wonie; drugiego dusiła frittura.

Nie byli sami na balkonie.

We drzwiach, z saloniku na balkon wiodących, stała kobiéta w prostéj, białéj sukience, cień niby jakiejś kreacyi Ary-Schefera, którą przypominała wdziękiem naiwnym i układem archaicznym draperyi, jakby ze starego zapożyczonym posągu.

I ją przelatujący anioł milczenia potracił skrzydły białemi. Stała w niebo wpatrzona, ze słowem na ustach zamarlém, a pięknie jéj z tém było, jakby zrodziła się do żywota wiecznego w posągu i była widmem uroczém, co mówi bez słowa, co żyje bez krwi i łez.

Nie można było odgadnąć jak wyglądała we dnie, ale wśród tego mroku, słabém blasku wieczornego odbiciem oblana łagodnie, idealną się wydawała. Można się było obawiać, aby z zorzą wieczora nie rozplynęła się w powietrzu.

Twarz jéj prześliczną bujne, czarnośći kruczéj otaczały włosy, dosyć niedbale zawiązane, nie bez mimowolnego może naśladowania posągowych warkoczy niewiast greckich. Piękności jéj, jaką była w téj chwili, ani opisać, ani odmalować niepodobna. Twarz miała cesarzowej rzymskiéj, bogini Hellenów, Psychy, gdy ją Amor odleciał. Czarne oczy nie patrzyły wesoło i usta były smutne, choć młodość jeszcze ją opromieniała, choć stała we wrotach życia.

Ale już niepokalaną świeżość policzków lzy zetrzeć musiały, oczy splakane zapadły głębiéj, z warg odleciał uśmiech dziecięcy, a siadły na nich ironia i zwątpienie. Wsparta o ramy drzwi otwartych, z rękami na piersiach założonemi, nieruchomą była jak posąg; oczy jéj tylko to podnosiły się ku łunie wieczora, to spadały pod nogi.

Tuż obok niéj, we drzwiach o drugą ich stronę oparty, stał młody, w kwiecie wieku, życia i zdrowia mężczyzna, którego piękne rysy, pokrewne twarzy kobiety, kazały się w nim domyślać brata. Podobieństwo obojga było zarazem dowodem, iż jedne rysy i piękność jedna idealną lub pospolitą być może, gdy dusza je opromieni lub osięroci.

Młodzieniec stał milczący, ale milczenie jego nie pochodziło z dusznej potrzeby, było raczej grzecznością i ustępstwem dla towarzystwa, wśród którego się znajdował. Oczy jego przelatowały ciekawie to na siwowłosego mężczyznę, to na drgającego jego towarzysza, wreszcie ukradkiem padały na zamyśloną siostrę. W nim grała jeszcze młodość krwi, nie ducha, chciwa pochwylenia wszystkich życia tajemnic i wszystkich rozkoszy, a wszelkim spokojem niecierpliwiąca się, jak skarbem zmarnowanym.

Z téj czwórki on jeden jeszcze był nieprzesycony, niezniechęcony; pragnął i rwał się na bojowisko życia. Ręce jego niecierpliwie rwały łańcuszek od zegarka, chwytaly suknie, szukały jakby oręża do walki.

Milczenie, choć krótkie, ale tak zgodne i znaczące, było dlań niepojętém. Anioł ciszy i pokoju skrzydłem go ominął.

Nareszcie!

Z głębi téj ciszy wyrwało się westchnienie, szept prawie niedosłyszany, który wyszedł z ust siwowłosego:

— Roma!

W jednym tym wyrazie zamknął on wszystko.

— Roma! — echem powtórzyła za nim, długim wejrzeniem ciekawém mierząc go kobiéta. — Roma! a ja, istota maluczka, słaba, w téj chwili, gdym jak wy, panie hrabio, powinna była zatopić się cała w tęsknocie rzymskiéj — ja poleciałam myślą — więcie dokąd?... tam, tam, gdzie szumią puszcze nawpół wypalone, gdzie wiatr szerokie piaszczyste pola przelata, gdzie brzęczą komarów roje i chóry żab naszych śpiwają, gdzie czuć dym chłopskich chat, a od łąk wilgotne płyną wonie wierzb i lotoci... Popęniłam może świętokradztwo, wielką tęsknotę Rzymu, żeniąc i krewniąc z tą, która tam wiekiuście leży życiem nierozpoczętém, tak jak tu życiem przerwaném.

Siwowłoso słuchał i ostatnim słowem pięknej pani, których dźwięk brzmiał jakby muzyką, dał się rozwiać i rozplynąć, nim sam przemówić się ośmielił.

— Wszystkie ziemskie tęsknoty są krewne — rzekł. — Ale czy w Rzymie, czy w puszczech poleskich, niezdrowo karmić się niemi. Są to mogilne kwiaty; prawdziwe życie ubierać się w nie niepowinno. Tęsknota pęta i osłabia.

— Jakże się jój oprzeć? — zapytała kobieta.

— Nie wiem, ale opierać się trzeba. Tęsknoty są-to śmierci zwiastuny. Starym ludziom strzedz się trzeba drżemania we dnie, młodym tęsknot i smutków.

Mały, ruchawy człeczek, oparty o drugą stronę balkonu, podniósł się, usłyszawszy głosy, odwrócił, rękami wtył odwróconemi sparł na poręczy i ciekawie nadstawił ucha. Oko jego badało siwowłosego towarzysza. Spokój z jakim mówił drażnił go i burzył.

Młodzieniec przy siostrze stojący rozpoczęcie rozmowy powitał jak wybawienie. Twarz mu się rozjaśniła; zdawał się mówić:

— A! przecież!

— W Rzymie przynajmniej tęsknoty nikomu za grzech poczytać się nie godzi — odezwała się kobieta. — Dla mnie tu najmniej jest zrozumiałym karnawał, szal, wesele, pusty śmiech na tym grobowcu, który uszanować trzeba.

— Ale ten grobowiec stał się kolébką — rzekł siwy spokojnie.

— A! — przerwał mały z uśmiechem — koléбка z kawałków trumny, rzecz wcale niewesoła!

— Trzeba się z tém jednak pogodzić — odpowiedział towarzysz na balkonie stojący — bo wszystko na świecie co jest życiem, wyrasta ze śmierci.

Kobieta westchnęła cicho; wszyscy zamilkli znowu.

— Ja ledwie się śmiem odezwać — zadźwięczał młody, wesoły głos stojącego we drzwiach, na<sup>1</sup>scy z Rzymu uciekają, gdy mówią że powietrze jest tu najniezdrowsze, gdy taka wokoło pustka?

Kobieta, której twarz przy lampie niemniej była piękną, ale smutniejszą i jakby przed czasem zwiedniałą i zmęczoną, popatrzyła długo na mówiącego, tak długo, iż miał czas, ubodnięty tém wejrzaniem chłodném, zmieszać się i rozważyć, że pytanie zrobił niedyskretne.

— Właśnie dlatego, że Rzym jest teraz tak pusty, że wszyscy z niego uciekają, że można się w nim obracać swobodniej, ja zostałam tu, aby go oglądać. Ludzi w nim nie szukałam.

— A pomimo tych ostrożności, znaleźli się natręci, niedający się odegnąć — przerwał z rodzajem szyderstwa mały, który się zwał hrabią Filipem.

— Wyciągasz mnie pan na komplement — rozśmiała się gospodyni. — Ja się boję obcych tylko, a my, panie hrabio, jesteśmy sobie przecie dawno i dobrze znajomi.

W ostatnim frazesie musiało być coś dotkliwego, bo hrabia drgnął, ale się skłonił, dziękując. Twarz jego, gdy ją podniósł, cała była zarumieniona, oczy biegały niespokojne.

— Dla mnie to prawdziwe szczęście — kończyła pani Liza, zbliżając się ku stolikowi, na którym zastawiono herbatę — prawdziwe szczęście, że panów tu znalazła. Ja, choć lubię samotność, jednak nie osamotnienie. Pomiędzy zgiełkiem i tłumem, a kółkiem dobrych znajomych i przyjaciół, wielka jest różnica.

Gdy tak rozmawiano, Ferdynand zręcznie bardzo pomagał siostrze w gospodarstwie przy herbacie, co zdawało się potrzebném, gdyż piękna pani, jakby roztargniona, dość niewprawnymi rączkami około filiżanek się krzątała, co bolesne ich dźwięki zdradzały. Myślą była zapewne gdzieindziej.

Od stolika, przy którym stała, spoglądała niekiedy ukradkiem ku siwowłosemu, siedzącemu z twarzą wypogodzoną i napawającemu się widokiem téj pięknej postaci, której każdy ruch tak był wdzięcznym, jakby był obrachowanym, choć o to nikt jój nie mógł posądzić. Oczy hrabiego Filipa biegały także za panią Lizą, ale z innym zupełnie wyrazem. Cóż w nich był tego Satyra mytologicznego, który bez zléj myśli na kobietę spojrzeć nie może.

Wejrzeń téż jego natarczywych starała się unikać piękna gospodyni, czując że bez wstrętu spotkałby się z niemi nie mogła. Palily ją, jak wyuzdana mowa uliczników.

<sup>1</sup>na (...)scy z Rzymu uciekają — w wydaniu źródłowym brak dwóch stron tekstu pomiędzy fragmentami „stojącego we drzwiach, na” a „scy z Rzymu uciekają”. [przypis edytorski]

Wtém stłumiony głos jakiś dał się słyszeć z przedpokoju; gospodyni wstrzymała się z naléwaniem herbaty, szepnęła coś bratu, który ku drzwiom pośpieszył, ale nie miał czasu ich otworzyć, gdy ukazała się wchodząca kobiéta. Była to pani jeszcze piękna bardzo, niegdyś zapewne zachwycająca, lat średnich, postawy majestatycznej, słuszna, kształtów których wiek nie zniszczył, twarzy może zanadto pełnej, ale kwitnącej, której żywe, błyszczące oczy dodawały wdzięk. Czarny jój strój skromny był, lecz bardzo wytworny, mimo pozorowego zaniedbania.

— Przysięgam — poczęła od progu głosem wesołym i sympatycznym, oczyma obliczając obecnych — że droga Liza już się mnie dziś nie spodziéwała i dla mnie nié ma filizanki. Ja zaś tak byłam jakoś stęsknioną moją samotnością, a tak pewną że tu wszystkich zastanę, iż wstrzymać się nie mogłam.

Wszyscy witali księżnę, jak dobrzy, poufali znajomi.

Są ludzie, co noszą z sobą jakąś woń właściwą, co pachną piżmem, perfumami, fiołkiem lub różą, albo ich czuć pleśnią lub stęchlizną; ale są także i tacy, co w fałdach sukni nosią wesele lub smutek.

Księżna Teresa, wchodząca do salonu, miała tę właściwość, że choćby nawet była trochę smutna, przynosiła z sobą życie i wesele. Czy je miała sama dla siebie, czy posłannictwem jój było tylko drugich niemi obdzielać, to dla wszystkich pozostawało tajemnicą. Mówiono iż w samotności często bywała posępną, chmurną, jakby znudzoną; ale dla ludzi uśmiech miała zawsze i czoło pogodne.

Piękna jój twarz jaśniała wyrazem dobroci rozumu. Złośliwi utrzymywali, że i ten rozum niezaprzeczony więcej dla drugich służył, niż dla niéj saméj, chociaż nic jój nierozważnego do zarzucenia nie miano. Rozbrajała najniechętniejszych łagodnością i dobrocią niewyczerpaną.

— Proszę państwa — odezwała się, siadając i wachlarzem starając się ochłodzić po zmęczeniu schodami — co mi za szczególna przyszła uwaga, obliczając to nasze gronko wieczorne. Jakiśmy się to dziwnie zesłi i dobrali! Dwie wdowy i trzej kawalerowie.

— Przepraszam — przerwał hrabia Filip — ja nie mam prawa liczyć się do kawalerów. Jestem wprawdzie dziś wolnym, lecz miałem to nieszczęście być trochę żonatym. Smutno mi tę omyłkę moję przypominać, ale prawda przedewszystkiém.

— Jesteś pan rozwiedziony — odezwała się księżna z uśmiechem, w którym politowanie mieszało się z trochę szyderstwem, — a ponieważ rozwód u nas nie daje się inaczej, tylko gdy małżeństwo za nieważne jest uznane, więc wychodzi na to, jakbyś hrabia był kawalerem.

— Prawnie... może — odparł kwaśno hrabia Filip. — Księżna masz słusność; faktycznie jednak... smutny zawód nie daje się wymazać z rejestru życia.

— No! no! nie mówmy o starych grzechach, bo któż ich nie ma — zamknęła mu usta księżna. — Dla nas jesteś pan starym kawalerem i po wszystkiém.

Młody brat gospodyni, pan Ferdynand, podawał herbatę i wszyscy się około okrągłego stolika mieścić zaczęli. Bystry wzrok przybyłej pani, przelatując z kolei po otaczających, najczęściej zatrzymywał się na siwowłosym, jak gdyby z niego chciała coś wyczytać i odgadnąć.

Hrabia August oczy trzymał spuszczone, czoło miał wypogodzone i czytać w sobie nie dawał. Można się tylko było domyślać z ruchów, z wielkiej pilności jaką miał około siebie, że obawiał się, aby w nim czytać nie chciano, odgadując iż ktoś być może ciekawy. Czy miał co do utajenia? o to zdawała się go mocno posądzać księżna, bo przyglądała mu się pilnie, a nie zdobywszy nic, wkońcu wprost go zagadnęła, aby zmusić do podniesienia oczu i przerwania milczenia.

— Hrabio Augustie, jakże idą studia rzymskie?

— Niech księżna nie pyta — odparł głosem powolnym i cichym, nie podnosząc oczów z talerzyka. — To nie studia, przepraszam, ale studnia do wypicia.

— A my do zgłębienia jój przeszkadzamy — wtrąciła gospodyni — my, to jest ja.

Księżna się uśmiechnęła nieznacznie.

— Całkiem przeciwnie — zawołał żywo hrabia August — pani do nich mi dopomaga skutecznie. Każde jój zapytanie uczy mnie mojej niewiadomości, odkrywa drogi nowe. Pani masz dar wskazywania tych stron, tych wątpliwości, na które tylko umysł tak obdarzony szczęśliwie, tak przenikliwy jak jój wpaść może...

— A! nie przewidziałam wcale, że wywołam tak niezasłużony komplement — rozśmiała się gospodyni z wesołością trochę wymuszoną i mocno zarumieniona.

Tak rozpoczęta rozmowa, z pomocą księżny Teresy, która miała dar ożywiania jej i prowadzenia, byłaby gładko i przyjemnie potoczyła się dalej, po równej powierzchni rzeczy powszednich, gdyby (był-to dzień niespodzianek) z przedpokoju nie dała się słyszeć stłumiona jakaś rozmowa, zwiastująca gościa nowego.

Wszyscy umilkli, zdziwieni trochę, bo się nikogo więcej nie spodziewano. Na twarzy gospodyni odmalował się niepokój i ciekawość. Zdała rozmowa ta ze służącym w przedpokoju brzmiała jakby spór z nim dość żywy.

Nieznany głos brzmiał męzko. Pani Liza spojrzała na brata, a ten domyślił się, że obowiązkiem jego było pójść się dowiedzieć, co mogło o tej godzinie zamieszać spokój tak niespodzianie.

Wybiegłszy z pośpiechem, Ferdynand postrzegł przy świetle włoskiej lampki, którą służący trzymał w ręku, gwałtem prawie przez półotwarte drzwi chcącego się wcisnąć mężczyznę.

Powierzchność jego tak mało przemawiała za nim, iż służący wahał się, czy ma go przepuścić do wykwintnego towarzystwa swej pani.

Był-to mężczyzna lat średnich, ubrany bardzo niestarannie, tak jak się tylko u wód i w podróży prezentować godzi, w odzieży letniej, jasnej, opylonej i pomiętej, w krótkim surduciku, w kapeluszu fantastycznym, nabakier na bujnych włosach rzuconym, z brodą czarną, z oczyma ognistymi i jakby błędnymi, z dużym w dodatku kijem w ręku. Na nogach jasne trzewiki ze skóry nieczernionej i kamasze wytarte dopełniały stroju. Z kieszeni wypchanych niedbale powtykane sterczały książeczki notatkowe, tomiki jakichś pomiętych publikacji ulicznych i różne sprzęty podróżne, z pośrodku których ołówki górowały.

Oryginalne to indywidualum pan Ferdynand niedawno właśnie był spotkał coś szkicu-jącego w Colosseum, wziął je więc za artystę. Niepotrzebnie może zaglądając w rysunek, wdał się z nim w rozmowę, i okazało się z niej, że trafił na ziomka, nie na malarza, jak sądził, ale na jakiegoś ekscentryka, dziwaka, cynika, który jednak był człowiekiem wielce pociągającym i niepospolicie wykształconym.

Zawiązana rozmowa przywiodła pana Ferdynanda nieznacznie do tego, że mu powiedział nazwisko swoje i mieszkanie. Nie zapraszał go jednak do siebie. Nawzajem owo indywidualum dało panu Ferdynandowi kartę z nazwiskiem zagadkowym, nieznanem Wiktora Gorajskiego, *tout court*.

Spostrzegłszy przybywającego o tej godzinie człowieka, który wcale do towarzystwa zebranego w salonie nie zdawał się przypadać, zakłopotany wice-gospodarz pośpieszył go przyjmując i nie śmiać wprowadzać do siostry, zaprosił obok do swojego pokoju.

Ów pan Wiktor Gorajski wszedł z dumną postawą, kwaśno popatrzawszy na służbę, który mu z drogi ustąpił; zdjął zwolna kapelusz swój kalabryjski i z zupełną swobodą niedbającego o to, jak się komu wyda, człowieka, posunął się zwolna ku zmieszaniu Ferdynandowi. Gdy się to odbywało w przedpokoju, gospodyni niespokojna, wyglądając drzwiami ku bratu, dostrzegła osobliwszą postać, z którą rozmawiać począł, i na służącego skinęła.

W chwilę potem sługa panu Ferdynandowi, który już gościa swego wprowadził do pokoju przyszedł coś szepnąć do ucha.

Przybyły pan Wiktor śledził wszystko bacznie, a rozsiadał się bez ceremonii, lokując kij swój i kapelusz przy sobie.

— Nie wporę, widzę, przyszedłem — odezwał się gość, bynajmniej nie okazując zmieszania — ale proszę mi powiedzieć otwarcie. Pan tu nie sam mieszkasz, a ja o tém nie wiedziałem. Prosić będę tylko o szklankę limonady i ruszam dalej.

— Mieszkam z siostrą moją, która ma u siebie kilka osób znajomych — rzekł grzecznie pan Ferdynand. — Nie chciałem panu czynić subiekcyi.

— Mnie? — rozśmiał się, ramionami ruszając, przybyły. — Ale ja nigdy najmniejszej subiekcyi nie doznaję, czy mi się zdarzy w szynku na Transtewerze znaleźć między obdartusami, czy w królewskim salonie wśród ekscelencyj. Ludziom i panu zrobiłbym subiekcyą sobą, to rzecz inna. Nie jestem podobno tak ubrany, abym godzien był zaprezentować się w salonowym towarzystwie. Jestem włóczęgą, turystą i nie spodziewałem



się wcale znaleźć u pana kobiety — przepraszam, poprawił się — powinienem był powiedzieć damy!

Wyraz „damy” wymówił z przyciskiem i ironią, popatrzył na siebie i strój swój, wistocie bardzo niesalonowy i rozśmiał się pocichu.

Tymczasem służący po drugi już raz przyszedł, znowu coś do ucha szepnął panu Ferdynandowi. Młodzieniec wahał się z odpowiedzią. Można się było domyślać łatwo, że pani Liza zapraszała gościa brata swego do salonu, nie wiedząc jak wygląda, a on nie śmiał go tam wprowadzać.

Pan Wiktor, którego to wcale nie obchodziło, ociierając z czoła pot i pył wielką chustką, niezbyt już świeżą, przypominał się tymczasem służącemu o szklankę limonady.

— Pozwolisz mi pan na jedną minutę wybiedz do siostry? — zapytał gospodarz.

Gość skłonił się przyzwalająco.

Pan Ferdynand szybkim krokiem wpadł do saloniku, w którym panowało milczenie. Wszyscy byli zaintrygowani.

— Chcesz abym gościa mego tu wprowadził — zawołał żywo do siostry — ale znalazłem ci już powiedzieć, jak jest ubrany. Wraca pewnie z przechadzki, a nie wiedział że nie sam tu mieszkam. Rozповідаłem ci o moim spotkaniu z tym oryginałem w Colosseum, jak dziwacznie wygląda i mówi ten turysta-Diogenes... Jakże chcesz...

— Cóż to szkodzi, że nieubrany? — przerwała księżna bardzo nagląco — wszyscy jesteśmy turyści i jak na popasie. Raz przecie spotkamy się z czéms ekscentrycznym. Może nas rozśmieszyć, podrażnić, ale przynajmniej nie znudzić. Dawaj nam go tu pan na pastwę...

— Ale... — spróbował jeszcze zaprotestować, ruszając ramionami, pan Ferdynand.

— Żadnego ale! Wszyscy go tu chcemy mieć, a im dziwaczniej wygląda, tém pożądniejszy — odparła księżna.

Pani Liza skinęła na brata, potwierdzając, a ten posłuszny wymknął się z salonu i trafił na to, gdy służący podawał gościowi limonadę, którą on pił z widoczną rozkoszą zmęczonego i spragnionego człowieka.

— Jeżeli pan łaskaw i pozwolisz się zaprezentować mojej siostrze i księżnie Teresie, która jest u nas, zaprosiłbym go do salonu.

Dostojne imię księżny, zapowiedziana znajomość drugiej pani, na podróznym nie zdały się wcale wielkiego robić wrażenia. Spojrzał na swój kij, który po namyśle zdecydował się porzucić w przedpokoju, wziął za ogromny kapelusz opylony i, jak stał, niewiele się o strój swój troszcząc, ruszył z panem Ferdynandem. Z nich dwóch, z pewnością drugi był daleko mocniej zakłopotany.

W salonie z ciekawością oczekiwano na zapowiedzianą figurę ekscentryczną, o której gospodyni rozповідаła pocichu, co posłyszała od brata. Najmniej może zajęcia okazywał siwowłosy, który nie lubił się bawić tém, co wistocie robiło wrażenie smutne. Kobięty zato oczy miały zawczasu na drzwi zwrócone.

Pan Wiktor wchodził z wolna, poważnie, pewien siebie. Nie można się było dziwić panu Ferdynandowi, że go wziął znowu za artystę, miał bowiem w całej swój postaci coś, co przypominała żywo konwencyonalny typ artysty-Cygana, do któregośmy z francuzkich ilustracji nawykli.

Z pod téj powłoki jednak, jak gdyby sztucznie i umyślnie przywdzianej, zdawało się przeglądać coś, co się w nim domyślać kazało człowieka wyższego towarzystwa, który dobrowolnie zdziczał.

Twarz jego, której włosy rozrzucone, broda i wąsy długie, zaniedbane nadawały fantastyczne znamię, była jeszcze piękną, choć mocno już życiem zniszczoną. Szlachetne, delikatne rysy ję okrywała skóra żółkła, jakby wyschła, gdziegdzie poprzecinana zawczesnymi zmarszczkami. Malarz mógłby być z niego zrobić łatwo jakiegoś Byronowskiego bohatera, lub romantycznego bandytę. Lecz namiętności, co jak rozpalona lawa przebiegały i porały twarz tę piękną niegdys, dziś zdawały się już ostygłe, gorycz tylko jakąś i sadze zostawując po sobie.

Widok zebranego przy okrągłym stole towarzystwa nie zaimponował bynajmniej przybywającemu. Jak gdyby był najwytworniej ubrany, ze swobodą i zręcznością człowieka nawykłego do świata, zbliżył się do gospodyni, tłumacząc iż zmuszony tylko, śmie się ję przedstawić w tak podróznym ubraniu.

Skłonił się potem z wielkiem uszanowaniem księżnie, która go nadzwyczaj ciekawemi i jakby zdumionemi badała wejrzeniami, dał się zaprezentować dwom hrabiom i zajął miejsce wskazane ze swobodą człowieka, który nic nie ma do stracenia i nic też zdobywać nie myśli.

Gospodyni, nie wiedząc od czego rozpocząć ma rozmowę, zapytała go, od jak dawna przebywa we Włoszech.

— O, ja się tu po tych Włoszech i po całym świecie włóczę już od lat wielu — podróży rzekł bez przymusu, z otwartością i poufałością niespodzianą. — Należę do téj kategorii ludzi u nas licznych, zwichniętych, którzy nie wiedzą co mają zrobić z sobą; włóczę się więc, słucham, patrzę i... zabijam czas, nie mając co z nim robić.

— Brat mój mi mówił, że pan się zajmujesz sztuką — dodała gospodyni nieśmiało.

— Jest-to jedyna rzecz jeszcze na świecie, która mnie nie znudziła — odparł podróży — chociaż i z nią często się kłóczę.

Księżna, zdająca się z żywem zajęciem śledzić tę zagadkę, wtrąciła, mieszając się do rozmowy:

— Zdaje mi się, że i ja kilka razy widziałam pana zdaleka, szkicującego coś na ruinach.

— Bardzo to być może — rzekł zapytany. — W Rzymie widzi mnie każdy niemal codzień w jakimś zakątku, bo się snuję nieustannie.

— Rzym tak jest ponętny dla artysty! — zauważyła gospodyni.

— Ale ja artystą nie jestem i być nie chcę — przerwał żywo gość. — Jest to i zawiele dla mnie honoru i zamała. Artyści są-to najczęściej istoty, które widzą tylko skorupę rzeczy i ograniczają się wrażeniami, nie sięgając głębiej. Trzeba być trochę i artystą, ale być tylko artystą — biedna to rzecz, smutna dola!

Wszyscy słuchali go z uwagą wielką. Piękne rączki przysunęły mu filiżankę herbaty, którą po pewnem wahaniu się przyjął gość i rzuciwszy kapelusz swój pod nogi, oparłszy się wygodnie o krzesło, począł rozglądać się baczniej po towarzystwie.

Księżna, która miała swą własną teorią poznawania ludzi i klasyfikowania ich, poczęła się przypatrywać ręką przybyłego. Brakło ich jęj jeszcze do uzupełnienia charakterystyki téj postaci. Ręce dla nięj były cechą niezbędną, znamieniem stanowczém, bez którego obejść się nie mogła, chcąc sądzić o człowieku.

Pomimo nadzwyczajnego zaniedbania stroju, obuwia, włosów, ręce pana Wiktora, które się ukazały z rękawów nankinowej żakietki, mogły zastanowić wistocie pięknemi kształty i utrzymaniem staranném. Księżna odetchnęła swobodniej, przekonawszy się z nich, że gość nie mógł być awanturnikiem, że musiał należeć do tego, co się nazywa dobrém towarzystwem, choć bywa wcale nieosobliwém. Ale dlaczegoż tak zdziaczał?

Twarz, choć wynędzniała, nie dozwalała przypuszczać, aby doszedł nawet lat czterdziestu, nie miał więc potrzeby tak wczesnie zropaczyć o sobie.

Nastąpiła chwila milczenia, wczasie której wszyscy ukradkiem spoglądali po sobie, jakby wrażeniami swemi dzielić się chcieli, lub ich potwierdzenia szukali.

Ruchawy hrabia Filip krzywił usta złośliwie, szydersko. Hrabia August przypatrywał się przybyłemu z zajęciem wielkiem, zdając się chcieć sobie przypomnieć, gdzie i kiedy spotkał już tę twarz w życiu. Gospodyni miała minkę trochę wystraszoną. Księżna bawiła się tém zjawiskiem, nie tając się, że mu była rada, lecz razem zdając się czémś zaniepokojoną. Naostatek przyczyna wszystkiego, pan Ferdynand, stał w kącie zmieszany, poczytując się za winowajcę i obawiając... sam dobrze nie wiedział czego. Poznać się z jakimś obdartusem w Colosseum było rzeczą naturalną; ale być za karę zmuszonym wprowadzić go do domu?... Bardzo być może, iż ów podróży śmiał się w duszy z wielkiego wrażenia, jakie tu zjawieniem się swém wywołał.

— A z kraju dawno pan już? — zapytała nieśmiało księżna, wlepiając w niego oczy.

Panu Wiktorowi brwi się trochę ściągnęły; pomyślał chwilkę i rzekł:

— Niezmiernie dawno, tak dawno, że mi się te lata w wieki przemieniły. Noszę się z tęsknotą po nim i nigdzie jęj zgubić nie mogę. Czasem zdaje mi się na moment jakiś, że się już pozbył téj nieznośnej towarzyski; ale, gdy się najmniej spodziewam, we śnie lub na jawie, powraca. Jaka to szkoda, że człowiek nie może się pozbyć siebie i przetrworzyć, gdy zechce, na inną istotę.

Uśmiechnął się gorzko.

— Co do mnie — wtrącił gwałtownie hr. Filip, ostrym swym głosem i intonacją fałszywą — co do mnie, ja nie pojmuję zupełnie, jak można za granicą tęsknić za krajem naszym i wzdychać do niego. Może to być bardzo ładnym, bo wygląda na patriotyzm; ale ja sobie z tego sprawy zdać nie umiem. Przyznaję się, żem kosmopolita.

Gość zmierzył mówiącego błyskiem swych oczów ognistych. Zdawało się że coś odpowiedzieć zamysła; ale otworzył tylko usta i... zapił herbatą. Odpowiedź zostawił innym, poczuwszy może, iż z ust jego wyszłaby ona zaostrą.

Tymczasem nikt nie odpowiedział hrabiemu; milczenie ciężkie, ołowiane niemile przycisnęło całą gromadkę, a hrabia Filip, zmieszany niemi, sam czuł się w obowiązku niepodniesioną rękawicę wziąć do ręki.

— Co do mnie — powtórzył z naciskiem — otwarcie się przyznaję do mego kosmopolityzmu i do tej pory przynajmniej tego nie żałowałem.

Gość popatrzył nań bacznie i dorzucił:

— Tak, za nic ręczyć nie można. Są choroby, które powracają po latach dwudziestu i więcej, a gdy powrócą, zabijają.

Dwuznacznym to było.

Nikt z większą uwagą nie słuchał oryginalnego gościa, nad księżną. Pochwyciwszy ostatnie jego wyrazy, uśmiechnęła się, zakrywając wachlarzem.

Hrabia August wstał pocichu i począł się przechadzać po salonie, zatopiony w sobie.

Księżna przerwane badanie ciągnęła dalej.

— Nie dowiedzieliśmy się od pana, jak dawno bawisz we Włoszech. A w Rzymie, myślisz pan przebywać długo?

Trochę natarczywe pytanie zmusiło gościa do zwrócenia się ku księżnie.

— I na to odpowiedź moja wyda się pani dziwną — rzekł. — Ale nie mogę, dla uniknięcia posądzeń o zmyśloną ekscentryczność, powiedzieć nieprawdy. Otóż ja nie wiem nigdy, gdzie jak długo bawić będę. Przychodzi mi nagle ochota, pokusa jakaś, zachcenie, nuda — biorę kij i jestem fantazyi posłuszny. W Rzymie zaś nigdy nikt pewnym być nie może, czy zabawi do jutra, lub całe życie.

— Tak, Rzym ma urok wielki — odezwała się księżna poważnie.

Gość spuścił głowę; nie zaprzeczył, ani potwierdził. Nagle dopił herbaty, chwycił z pod nóg leżący na ziemi kapelusz, wstał, pożegnał gospodynię, księżną, zdala też innych gości i przeprowadzony przez Ferdynanda, zniknął z salonu.

W tém zbyt pośpiesznym wyjściu było coś uderzającego, dziwnego, jakaś fantazyja nagła, i gdy drzwi się za odchodzącym zamknęły, księżna wybuchnęła:

— Oryginalny! nie zawiedliśmy się.

Hrabia August, który stał trochę na uboczu, przybliżył się do stolika.

— Dziwna rzecz — odezwał się — nie mogę sobie przypomnieć jak, gdzie, kiedy, ale pewien że tego człowieka znałem, spotykałem już w życiu. Siłłem się na rozbudzenie mojej pamięci... zawiodła mnie.

— Ach! — rozśmiał się hr. Filip — podobnego doń musiałeś widzieć w jakiejś ilustracji francuzkiej: pół-bandyty, pół-artysty, figura dosyć osobliwa, a mało sympatyczna.

— Bardzo przepraszam — żywo zaprotestowała księżna — staję w obronie. Jest-to typ pospolity napozór, lecz bardzo różny od tych, za których powierzchownością się ukrywa. Na pierwsze wejście prawda że robi wrażenie pół-karykatury, ale dosyć mu się baczniej przypatrzeć, aby się przekonać, że nie gra roli przybranéj, że jest, nie myśląc o tém, takim, jakim go Bóg stworzył, albo nieszczęśliwe losy uczyniły. Wrażenie, jakie wywarł na hr. Auguste, i mnie się czuć dało; kogoś mi przypomina. Wydaje mi się jakby dawno znajomym, choć jestem pewna, żem go nigdy nie widziała.

Uśmiech przebiegł po ustach hr. Augusta, który, milcząc, usunął się w głąb pokoju.

Księżna obróciła się ku gospodyni, która siedziała, nie biorąc udziału w rozmowie.

— No a ty, mój aniele, co o nim mówisz? — zapytała.

— Ja? — zająknęła się, rumieniąc trochę, gospodyni — ja? Ależ prawdziwie nie wiem, co odpowiedzieć... Wydał mi się trochę straszonym, zagadkowym, a ja nie lubię tajemnic. Sama-bo nie wiem...

Ostatnie wyrazy zagłuszyło pożegnanie hrabiego Augusta, który pochwyił za kapelusz; hrabia Filip poszedł za jego przykładem. Obaj wyszli razem.

---

Noc letnia we Włoszech, zwłaszcza po dniach upalnych, do naszych nocy, poświęconych spoczynkowi, wcale nie jest podobną.

Gdy minie owa niebezpieczna chwila zachodu słońca, spadania rosy, podnoszenia się zatrutych wyziewów, wszystko, co się dusiło we dnie od skwaru, oddycha, wysuwa się na powietrze i dopiero żyć poczyna.

Ale nie jest—to już życie uliczne dnia, gwarne, ruchawe, głośnie. Mało kto się przechadza; rodziny zasiadają w progach, a ci, co rodzin nie mają, szukają towarzystwa u drzwi trattoryj i kawiarni. Gdzieniedzie odzywa się brzęcząca komarowym głosikiem gitara, śpiew nucony cicho, szanujący milczenie nocy. Rzadki tylko krzyk urwany przerwie czasem tę harmonią życia mroków, w którym czuć pragnienie spokoju, napawania się ciszą.

W ogródkach otwartych, osłonięte cieniem, stoją gdzieniedzie pary tajemnicze, kryjąc się i szukając mroku, nie żeby się wstydziły tego co je ku sobie zbliżyło, ale instynktem czując, iż miłość jest jedną ze świętych tajemnic natury, którą się profanuje, wyciągając ją na świat, na oczy, na słońce.

Jój tak potrzeba cienia, jak fijołkom, które więdną, gdy dotknie ich promień gorętszy. Warzy je cyniczne spojrzenie słońca.

Pół przezroczystą noc włoską, nawet gdy jest bezksiężycową i wydaje się czarną, oświecają tajemnicze odbłaski ziemi, łagodnie oblewające wszystko. Naówczas stokroć piękniejsze niż we dnie, do niepoznania zmienione, dziwne, fantastyczne wyrastają z murów odrapanych poemata, piętury się, olbrzymieje, rozrasta najlichsza chałupa. Linie ostre zlewają się, tony miłośnie dostrajają do siebie w ogólnej harmonii, choć we dnie kłóciły się z sobą. Świat jest niedopoznania, do rozkochania się w nim. Macierzyńska ręka nocy starła z niego wszystkie brudy, wróciła mu młodość; niby znowu śpi w pieluchach, a nad kolébką śpiewa mu ta cisza tajemnicza, w której słyhać to, co komu własna mówi dusza, zawsze w zgodzie z tym wielkim chórem milczenia.

Muzyka to nie dla uszu; chwytą ją serce i takt jój wybija.

Tego co mówi noc, we dnie nigdy posłyszć, pomyśleć nie można. Jak inne istoty zaludniają ciemności, tak inne myśli po nich wirują. Mężni tracą czasem odwagę przez nie, bojaźliwi stają się zuchwałymi. Każdy człowiek czuć musi na sobie ten wpływ tajemniczy.

Oko błąka się tu, nie znajdując tego co znało we dnie; drogi zaważyły mroki, ściany ciemne wychodzą jasno i świecić się zdają; na niebiosa występują wieżyce, jak olbrzymy w szyszakach do boju; mosty, jak pająki czarne, siedzą rozpostarte na rzékach... W mieście pogasły ogniskaienne, a zapaliły się nocne, których blade promyki sączą się przez szpary. Cisza... szmery, mrużenia, szelesty. Zda się że reszty życia głośniejszego o słońca zachodzie wiatr wymiótł, jak gospoia izbę na niedzielę.

Rzym ma o tych godzinach sobie właściwą, jedyną na świecie muzykę. Gdy wszystko umilknie, daje się słyszć chór wodotrysków, nieustannie lejących zdala przyniesione życie, choć go teraz nikt czerpać nie przychodzi.

O, dziwnyż to ten szept wód, bijących lat tysiące! Potrzeba się weń wsłuchać, jak niezmiernie jest różny. Głosy niby ludzkie mają te fontanny: jedna szemrze męzkim tonem, druga ma szczebiotliwą mowę niewieścią; ta gwarzy coś jak matka, co usypia dziecię, druga jak dziewczę drażniące się z kochankiem, inna się śmieje i szydzi, niektóre modlą, a wielkie wodospady dumnie hałasują, że je w niewolę wprzężono. Nieinaczej grzmiałyby, gdyby głos miały, te posągi zwyciężonych królów, z obciętemi rękami, spętane, co leżą podruzgotane na Kapitolu.

Urok téj nocy letniej w Rzymie musiał czuć hrabia August, gdy wyszedłszy z Via Sistina, puścił się wolnym krokiem ku mieszkaniu swojemu. Hr. Filipa, natrętnie mu towarzyszącego, zdawał się nie widziéć.

Podszedłszy kroków kilka, stanął i zamyślił się.

— Co prawda, to prawda — odezwał się hrabia Filip — w tym Rzymie nawet spać się położyć niepodobna w przyzwóitej porze. Pomijam to, że noce wściekle są gorące, że komarów pozbyć się niepodobna; ale co to za noc!

Zagadnięty hr. August nic nie odpowiedział. Drażniło to jego towarzysza; przysunął mu się do samego boku.

— Hrabia pewnie myślisz jeszcze małą odbyć przechadzkę. Jest to rzecz miła, ale zawsze bezpieczniej być we dwóch, niż samemu. Ja chętnie towarzyszyć mu będę.

Milcząc, hrabia August dał na to przyzwolenie.

Szli dalej bardzo powoli. Siwowłoso nie zdawał się usposobionym do zamiany nie tylko myśli, ale nawet słów obojętnych.

Filip znowu milczeć nie umiał. Niektórzy znajomi jego utrzymywali, że myśli by nie mógł inaczej, jak głośno.

— Pani Liza! — zawołał po chwili — jak bóstwo nieśmiertelna; zawsze jest młoda, zawsze urocza!

Wiedział zapewne, że na tę uwagę nie otrzyma żadnej odpowiedzi, bo za ledwie mały zrobiwszy przestanek przez grzeczność, natychmiast ciągnął dalej:

— Ma pewnie lat trzydzieści; pomimo to momentami zdaje się za ledwie rozkwitającym młodem dziewczęciem. Co to za kobieta! co za urok w niej!

Zamilkł trochę znowu i jakby się obawiał, aby mu słowa nie odebrano, wnet ciągnął dalej z pośpiechem:

— Dla mnie w niej co jest najbardziej niepojętym, to że ma w sobie dwie różne istoty, obie równo zachwycające, najcudniej łączące się w jedną, choć wcale do siebie niepodobne. Czasem bywa złamaną życiem i cierpieniem, prawdziwą wdową po wszystkich złudzeniach; niekiedy dziewczętką i klaszcze w dłonie... nic nie zna, a wszystkiego pragnie.

— Bardzo to trafne — rzekł lakonicznie hr. August.

Pochwała z ust otwierających się tak skąpo pochlebila hr. Filipowi; rozśmiał się, rad sam z siebie, jakby mówiąc wejrzeniem zwróconym do towarzysza: „a widzisz! i ja mam bystre a głęboko sięgające wejrzenie!”

Szli dalej, coraz wolniej.

— Mów co chcesz, hrabio Auguste — dodał Filip, jakby chciał nowym postrzeżeniem utwierdzić dobre wrażenie jakie uczynił — mów co chcesz, ty się w niej kochałeś dawniej. O tym wie świat cały; ale i dziś... o! i dziś kochasz się w niej jeszcze!

Hrabia August stanął, spojrzął zgóry i uśmiechnął się z politowaniem.

— Nacóżby się to dzisiaj zdało? — westchnął.

— Ba! nacóż się miłość kiedykolwiek przydała? — żywo odparł hrabia Filip. — Wedle wyrażenia francuzkich poetów XVII wieku, które odziedziczyli madrygaliści XVIII wieku, miłość jest „słodką męczarnią” zawsze.

Uśmiechnął się hrabia August.

— Na mnie — ciągnął niemogący powstrzymać się od paplania Filip — Liza czyni wrażenie niewypowiedziane smutne. Widzę w niej poczciwego, pełnego ufności wierzy ciela, który w ręce niegodziwego człowieka oddał całą swą fortunę i nigdy jej już nie odzyszcze. Co ona zawiniła, że życie jej zostało zwichnięte, złamane, zepsute bezpowrotnie? Dlaczego, zaco taka anielska istota, ucierpiawszy tyle, nigdy już nie ma być szczęśliwą? Życie z pierwszym mężem musiało jej zatruć resztę życia aż do zgonu... Biędna!

Zwykle niemiły, suchy, ironiczny głos hrabiego Filipa, czy się istotnie rozgrzał uczuciem jakimś, czy umiał je naśladować, zadrgał sympatyczniejszym tonem.

Towarzysz spojrzął ku niemu. Każda najlżejsza oznaka uwagi dodawała Filipowi coraz większej ochoty do przedłużania swych postrzeżeń i zwierzeń.

— Przeznaczenie! fatalność! — mówił. — Piękna, młoda, bogata, dostała się, dziwnym zbiegiem okoliczności, intryg, człowiekowi najpotworniej zepsutemu, satyrowi bez sumienia i wstydu, może być los okropniejszy? Żyć z nim tyle lat, ociierać się takim aniołowi o takie brudy!

— Do aniołów brudy ziemskie nie przystają! — zawołał jakby mimowolnie hrabia August.

Niez mordowany mówca zdawał się chcieć jeszcze przedłużyć swe ubolewanie nad losem pięknej wdowy, gdy uczuł że hrabia August pochwycił go ręką silną i nakazująco podniesionym głosem zawołał:

— Proszę cię, zlituj się, dosyć już o tym!

Stosunek tych dwóch na jednym szczeblu społecznym stojących ludzi cały się uwydatnił w tej rozmowie. August miał uznaną wyższość nad swym towarzyszem, który mu był powolnym i chętnie posłusznym.

Nie szemrał, nie obrażał się, nie protestował, natychmiast zastosowywał się do rozkazów i dosyć było żądania hrabiego Augusta, aby Filip zamilkł. Szukał już tylko nowego do rozmowy przedmiotu.

Szli teraz jedną z tych starych uliczek miasta, które na Corso ujście mają; ale była to jedna z najszerszych i najczystszych, do której najwięcej wpadało powietrza, którą zamieszkiwało nie pospólstwo samo, ale i zamożniejsi ludzie. Tu i owdzie bruk ciemny przerzywał pasy świetlane z otwartych drzwi domostw i kilku kawiarni.

Pół we mroku, napół w świetle widać było u stoliczków, na chodniki powystawianych, spóźnionych gości z cygarami, na cichej rozmowie. Czerwone końce cygar świeciły niby gwiazdki w cieniu.

Mijali właśnie, drugą stroną ulicy idąc, jedną z niepokąźnych kawiarni i garkuchni razem, szczyjącą się przydomkiem *antica*, gdy mimowolnie wzrok ich padł ku wnętrzu wielkiej izby, w której gości już było mało. Hrabia Filip silnie potrącił w bok łokciem swojego towarzysza, zwracając uwagę jego na widok, jaki mieli przed sobą.

U małego stoliczka, z krótką fajeczką w zębach, w kapeluszu nabakier fantazyjnie rzuconym, siedział niedawno zbiegły z salonu ów pan Wiktor, którego Filip pół-artystą, pół-bandytą mienił. Siedział wygodnie, rozparty szeroko, pochylony nad szklanką limonady.

Przed nim stała, poufale jedną ręką o stół oparta, drugą podtrzymująca głowę pochyloną, młodziuchna dziewczeczka, nędznie, ubogo odziana, w sukni bez barwy, w trzewiczkach podartych na małych, ale pobrukanych bosych nóżkach. Prawdziwa Włoszka, była zarazem zaniedbaną i strojną. Gałganek jedwabny, niegdyś jaskrawy, zastępował chusteczkę na ramionach i szyi, a we włosach czarnych, bujnych wpięte miała błyszcząca szpilki i grzebyki. Ręka sparta na stoliku świeciła pierścionkami, sznurek paciorek widać było z pod chustynki.

Najwięcej jednak zdobiła ją ledwie z pączka dobywająca się krasa młodości. Z téj sylwetki ciemnej, malującej się na tle izby jasnym, zdawało się można prześliznąć kształty ubogiej Psychy, pół-dziecięcia, pół-dziewicy.

Nędzne ubranie, przystające do ciała, nie osłaniało, ale uwydatniało kształty postaci, jak z marmuru wykutęj, instynktowo przybiierającej wdzięczne ruchy i postawy.

Hrabiowie mogli się przypatrzeć, zbliżywszy nieco, profilowi jęj greckiemu, utoczniejszej szyi, popiersiu i archaicznie szczupłej figurze, jak rysunek Flaxmana, kilką prostemi liniami określonej na dnie jasnym.

Wiktor rozmawiał z tą dziewczeczką, która się zdawała z nim spoufaloną i szczebiotaniem wesołym mocno zajęta. Nie słyhać było nic, lecz odgadnąć mogli łatwo, że swobodnie, wesoło gwarzyli z sobą, pewnie nie poraz pierwszy.

Artysta, nie spuszczać z niej oczu, patrzył w pochyloną ku sobie; ona bez obawy uśmiechała mu się, niekiedy żywiej potrząsała głową, groziła palcami, pomagając sobie, zwyczajem Włochów, rozmaitemi ruchy. Wszystkie one były wdzięczne, bo młodość ma ten dar, że piękną być musi, choć o tém nie myśli, choć tego nie pragnie.

Wiktor z tą dziewczeczką, w oświetlonych drzwiach malując się *en vigueur*, tworzyli jakby w ramy ujęty obrazek, wcale ładny, któremu nic nie brakło, nawet dobrze ugrupowanych akcesoryów. Dwaj panowie, napatrzwszy się na nich, długo oczów oderwać nie mogli.

— Mamy tedy czarno na białym — odezwał się, dowcipkując, hrabia Filip — dowód, jakie tu ten jegomość ma stosunki w wiecznym grodzie. Birbanta kawał, z oczów mu to patrzy!

Zamiast odpowiedzi, hrabia August mruknął sam do siebie:

— Gdzie ja tego człowieka widziałem? bo twarz ta mi niezmiernie znajoma! Co u licha!

— Zbliźmy-no się, zrobimy mu nieprzyjemną niespodziankę — podszeptał złośliwie Filip.

Z innych zapewne powodów milcząco przystawszy na to, hrabia August poczał wolnym krokiem zbliżyć się ku drzwiom kawiarni.

Usłyszawszy chód, dziewczę, bez trwogi i wcale niezakłopotane, zwróciło główkę ku przychodzącym, ale się z miejsca nie ruszyło. Po chwili zwolna obejrzał się na nich także pan Wiktor, z równym spokojem.

Poznawszy hr. Augusta, pozdrowił go uśmiechem i lekkim głowy skinieniem. Dziewczę, widząc że nadchodzący byli znajomi, uśmiechnęło się do siedzącego i założywszy ręce na piersi, odeszło parę kroków w głąb izby.

— Zastaliśmy pana w bardzo miłym towarzystwie! — oderwał się szydersko hrabia Filip.

— Wistocie — odparł swobodnie, nie wstając z miejsca i nie zmieniając postawy, Wiktor. — Nie może być nic przyjemniejszego, nad świegotanie ptaszka na wiosnę, nad szczebiot takiego naiwnego dziewczęcia, zwłaszcza gdy tak jest piękne, jak ta Pepita.

Usłyszawszy wymienione imię swoje, dziewczę się trochę zarumieniło; ściągnęło brwi czarne, ustąpiło krok jeszcze, ale nie uciekało.

Obaj przybyli przyglądali się jęj zdaleka. Po pierwszym rumieńcu, już dalsza rozmowa i wejrzenia niewiele zdawały się obchodzić pannę Pepitę. Poprawiła tylko trochę chustynki i bose nóżki wycofała tak, aby je suknią wązka zasłonić mogła.

— Robisz pan studia artystyczne, czy etnograficzne? — zapytał hrabia Filip.

— Etnograficzne, psychologiczne, artystyczne, najrozmaitsze studia, to powołanie moje — odparł, nową nakładając fajeczkę, pan Wiktor. — Jest-to zadanie tych, co w życiu innego nie mają.

Hrabia August usiadł tymczasem milczący przy tym samym stoliku i zażądał limonady. Hrabia Filip poszedł za jego przykładem.

„Gdzie ja widziałem tego człowieka?” zdawał się ciągle powtarzać sobie pocichu, wzrokiem badawczym wpatrując się w niego, hr. August.

Postawszy trochę, Pepita, której wejrzenie padło raz jeszcze na siedzącego artystę, usunęła się powoli i znikła w drugiej izdebce.

— Darujesz mi pan — odezwał się po chwili hrabia August — ale jestem zmuszony zadać mu niedyskretne pytanie. Mylę się może, pamięć zamglona, podobieństwa jakieś ludzić mnie mogą, lecz widząc pana, coraz mocniejszego nabieram przekonania, żeśmy się chyba już gdzieś, kiedyś w życiu spotykać musieli. Nie możesz mi pan tego wyjaśnić? Nazwisko jego jest mi nieznajome, ale twarz, twarz...

Wiktor, który oczy miał spuszczone, podniósł je na hrabiego. Długo patrzył nań, jakby namyślając się, spojrzal na towarzysza i począł głosem urywanym:

— Żeśmy się gdzieś na świecie spotkali, ta bardzo być może. Nie potrafię jednak panu hrabiemu wyjaśnić gdzie i kiedy. Zmuszony byłem, niestety, zerwać z moją przeszłością: dziś zowie się Wiktoorem Gorajskim. O wielu rzeczach chciałbym i muszę zapomnieć, a radbym, żeby ich i drudzy nie pamiętali. Gdyby nie ta okoliczność, miłoby mi było przypomnieć się zaszczytnęj dla mnie znajomości pana hrabiego. Są położenia wyjątkowe, które godzi się jeśli nie poszanować, to mieć dla nich względy pewne.

Hrabia August skłonił głowę i zamilkli. Odpowiedź ta hrabiego Filipa mocno zaintrygowała. Więcej jeszcze zdumiewało go to, że człowiek tak niepozorny, wyglądający na ubogiego jakiegoś artystę, wcale się nie żenując w towarzystwie dwóch hrabiów państwa rzymskiego, siedział rozparty na stole, nie zważając na nich, nie okazując im najmniejszego respektu.

W tęg chwili właśnie zapalał fajkę tytoniu, który ani z tureckim, ani z hawańskim, ani z Latabią najmniejszego nie miał pokrewieństwa, a cuchnął francuzkim kapralem.

Limonadę żadaną przyniesiono im w prostych, dużych szklenicach, tak jak ją tam podawano wszystkim, od wyrobników począwszy.

Hrabia Filip spoglądał na zielonawą szklankę z podejrzliwością przywykłego do kryształów człowieka.

— Lokal pan sobie wybrałeś wcale niewykwintny — odezwał się po chwili. — Jedno co pana niewinnia, to owa prześliczna Pepita. Nietrudno odgadnąć, że chyba ona mogła tu pana sprowadzić o tęg godzinie.

— Wcale się tego nie zapięram — odpowiedział Wiktor. — Z wielką przyjemnością słucham szczebiotania tego ślicznego dziecięcia, medytując nad tęg, jakim cudem z tak wdzięcznej istoty, za lat dziesiątek może wyrosnąć tak straszliwa baba, jaką jest jęj *cara mamma*. Są bowiem do siebie charakterem, twarzami, krwią i duchem najzupelniej podobne, a Pepita jest w swym rodzaju arcydziełem, gdy mammita stała się okropną potworą.

— Ha! czas płaci, czas traci! — szepnął ironicznie hrabia Filip.

— Ciągłe się mówi o zagadkach życia — dodał Wiktor. — Ale ja prawdziwie nie wiem, co nie jest zagadką. My, świat, żywot nasz, jego błyski i cienie — to zagadki same... wszystkie ich tłumaczenia są śmiesznymi farsami!

Zapatrzył się w stół. Hrabia August, nie spuszczać z niego oczów, słuchał go z uwagą wielką; Filip w głowie szukał tematu do opozycji i znaleźć go nie mógł. Po pauzie dodał z wysiłkiem:

— Najmędrsza pono rzecz głowy sobie nie łamać nad zagadkami, życie brać, jak Francuzi powiadają, *au jour le jour*, i iść spokojnie drogą, którą nas fatalizmy praw nam nieznaną prowadzą.

— Tak, byłoby to doskonałym — począł Wiktor — gdyby każdy wykształcony, a sądząc że nawet każdy człowiek wogóle, nie miał w sobie dwóch ludzi. Jest-to osobliwy fenomen, nad którym się mało zastanawiano. Jeden z nas idzie z tym prądem, któremu się oprzeć nie może; drugi patrzy, zżyma się, krytykuje, radby sobie wytłumaczyć dokąd on sam chce iść, a dokąd prądy go pędzą. Jeden jest ciąglą afirmacją życia, drugi negacją jego. W każdym człowieku odbywa się, mniej lub więcej wyraźnie, walka tych dwóch prawie nieprzyjaznych potęg nieznaną.

Dla hrabiego Filipa nieco dziwaczne, ale niezwykłe postrzeżenie Wiktora już było zagłębkiem i zaniespodziewanym, aby na nie mógł dorywczo odpowiedzieć. Zaciął usta, na wszelki wypadek nadając im wyraz ironiczny. Hrabia August, dotąd milczący, spojrział z niejakim zdziwieniem na mówiącego i przysunął się do stolika.

— Jeżeli nie ciągle objawiają się te dwie siły — odezwał się — fenomen ten przynajmniej zdarza się bardzo często w ludziach myślących. Psychologowie tłumaczą go dwiema władzami jednego ducha, płynącymi ze wspólnego źródła. Wszakże w jednej machinie elektrycznej dwa przeciwne też powstają prądy. Dlaczegożby z duszy jednej nie mogły płynąć dwa strumienie, których przeznaczeniem stworzyć ruch i życie, a potem się złączyć znowu?

— Tylko że w nas one nie zlewają się nigdy — odparł Wiktor.

— Dopókiśmy żywi — rzekł hrabia August. — Charakterem życia wszelkiego jest nieustanne rodzenie sprzeczności, jednanie ich i tworzenie nowych.

— Więc słowo zagadki i synteza wszystkich sprzeczności byłyby po za życiem naszym? — wtrącił Wiktor.

— I tak jest niewątpliwie — odparł żywo hrabia August. — Nietylko jeden człowiek jest ułamkiem, ale narody są także ułamkami i cała dopiero ludzkość skończona, gdy z niej nic nie zostanie, oprócz dziejów jej ducha, wypisze na ostatniej mogile wielkie słowo swej zagadki.

— Strasznie to smutne i upokarzające dla ułamków! — westchnął hrabia Filip.

— Smutne dla tych, co koniecznie chcą być czémś więcej niż są: jednostkami odrębnymi i niezawisłymi, któremi my nie jesteśmy — ciągnął hrabia August. — Niestety! trzeba się wyrzec dumnej samoistości!

— Puściliśmy się na bezdroża — przerwał Filip. — Ostrożnie... jama! Wpadniemy w nią!

— Wolno ci nie iść za nami, jeśli się lękasz — natrącił z trochę niecierpliwością hr. August, który tak się ożywił, iż nagle stał się jakby innym człowiekiem, znalazłszy sympatycznego sobie do rozmowy. Zwrócił się cały ku niemu, wyzywając go i przysłuchując mu się z uwagą. Wiktor także wolał słuchać i hrabia August ciągnął sam dalej:

— Każdy z nas ma w sobie jakąś cząstkę ogólnego ducha ludzkości, pożyczoną na czas pewien. Wraca on potem do ogólnej skarbnicy. Jesteśmy ułamkami wielkiej całości, od której się nam oderwać niepodobna, czémś nakształ kropel wody, które się odrywają w postaci kulek na chwilę, lecz muszą się rozpląnąć później, albo w parę przemienić. Wszystko w nas pożyczone od matki, z której łona wychodzimy. Dziecię nowonarodzone na miękkiej tkance mózgu przynosi już wyciśnięte macierzyńskich myśli zarody, które się w niem rozwijają. Zowią się one instynktami. Później w życiu, ucząc się, czerpiemy ze skarbnicy ogólnej doświadczeń, które uzbierały pokolenia... Szczęśliwy, kto temi na dzień jego pracy danymi mu narzędziami i materiałem coś mającego wartość stworzy. Najgenialniejszy twórca pół swego geniuszu bierze z mniejwięcej wyposażonej kolébki.

— Uczysz nas, hrabio, pokory! — odparł hrabia Filip kwaśno.



Wiktor patrzył na stół, nie śpiesząc z odpowiedzią; parę razy rzucił okiem na hrabiego Augusta, który wcale do siebie nie był podobny. Zdawał się przetworzony, ożywiony, zelektryzowany. Nie zważając na hr. Filipa, mówił dalej:

— Tylko taką cząstką się pojmując, człowiek samego siebie, a nawet historią, dzieje narodów pojedynczych zrozumieć może nieco lepiej. Odcięty od ogółu człowiek, od ludzkości naród, wzięty sam w sobie, niezrozumiałym się staje. Inaczej Opatrzność względem obojga wydałaby się niesprawiedliwą.

Mówiąc to, hrabia August zwracał się ciągle do siedzącego z coraz smutniejszą twarzą artysty, jakby pragnął z ust jego wywołać odpowiedź. Wiktor palcem rysował coś po stoliku.

— Tak jest — odezwał się wkońcu — masz hrabia słuszność. Słowo zagadki leży po za tym światem, jest w ręku śmierci. Nam pozostaje w naszych pragnieniach absolutnej wiedzy rezygnacja dzieci, które się napięrały gwiazdki z nieba.

— Smutne to, smutne, smutne! — zamruczał z przybraną powagą hr. Filip.

— Ja — wtrącił hr. August — znajduję to więcej podniecającem, drażniącym, niż smutnem. Gdybyśmy mieli słowo zagadki, życie stałoby się niemożliwem. Kucharki tylko idą do wróżbiarek, aby się koniecznie swęj przyszłości dowiedzieć, aby im prędzej obrzydła. Nam dano do przebiegnięcia drogę tajemniczą, która nęci tém, że cel jęj ciągle się nam z przed oczu usuwa. U celu znajdziemy spoczynek.

— Hrabia więc jesteś optymistą — odezwał się artysta — czego mu wiesz najsilniej, gdyż właśnie myśl ludzka pochyla się na przeciwną stronę i nauka robi co może, aby nam zatruć życie.

Hrabia August ruszył ramionami.

— Optymizm mój nie osłania mnie od cierpienia — westchnął. — Mieszka ono w tym drugim człowieku, który jest pierwszego sędzią. Jednakże lżej mi z tém, co pan zowiesz optymizmem, niżby z pesymizmem było. Pesymizm ma tę nielogiczność w sobie, że sam, rodząc się z inteligencyi, opierając na rozumowaniu, istocie, z której wytrysnęła ta inteligencya, przypisuje bezrozum. Jak ateizm pozbawia stworzenie stwórcy, tak pesymizm neguje źródło rozumu.

Zegary były północ włoskim sposobem, nie tak jak nasze półzegarza (piątą czy czwartą godzinę po zachodzie). Hrabia August, który tak był ożywiony, jakby się długo jeszcze zabięrał bronić przekonania swoich, postrzegł że drzemięca gospodyni, aby gości zmusić do ustąpienia, poczynala powoli gasić światła.

W oprawie drzwiczek do drugiej izby wiodących ukazała się razem postać Pepity, w koszulce tylko i spódniczce, rękami ogorzalemi, wpół obnażonemi, wiążącej bujne warkoczki rozpuszczonych czarnych włosów. Wśród tego zajęcia, zwiastującego do snu przygotowanie, ziewanie zmuszalo ją jedną z rąk ciągle krzyżykiem przed ustami zakręślanym zagradzać drogę złemu duchowi, który, jak wiadomo, czyha na wargi otwarte i nieopatrzone dziewczęta.

Ruszyli się wszyscy z miejsc.

Wiktor zdala życzył dobrej nocy dziewczęciu, które wnet znikło, nałożył kapelusza na głowę bezpiecznieję, wziął kij i zabięrał się do wyjścia.

Hrabia August zbliżył się ku niemu z wyrazem życzliwości i uprzejmości, którą rzadko komu zwykł był okazywać.

— Bądźcobądź — odezwał się — ja stoję przy tém, że musimy być dawno znajomi. Dopóki obaj jesteśmy w Rzymie, dla czegożbyśmy spotkać się i pogawędzić czasem nie mieli?

Wiktor uśmiechnął się, zawahawszy z odpowiedzią.

— Bardzo wdzięczny jestem hrabiemu za to uprzejme wezwanie — rzekł wreszcie. — Zachodzi tylko ta przeszkoda, że, jak hrabia widzisz, ja zdzięcałem. W towarzystwie, w którym się panowie nawykliście obracać, postać moja jest fatalnym dysonansem. Nieszczęśliwa powierzchowność, którą mi nadało lenistwo, każe mnie posądzać, domyślać się we mnie jeśli nie zbiegłego opryszka z Abruzzów, to przynajmniej czerwonego republikanina, spiskowca, Garibaldczyka, w najszczęśliwszym razie Cygana-artysty, nawykłego żyć w szynkowniach. Ja sam znam to do siebie i boleję nad własną fizyognomią; ale tak mi wygodnie w tęj odzieży powszedniej, w tym stroju zaniedbanym, pośród świata jak ja zabrukanego...

Hrabia August uśmiechnął się.

— Tak, to trochę lenistwa tylko...

— Nie trochę — przerwał Wiktor — ale najstraszniejsze rozleniwienie, tak, niestety! Pozbawia mnie ono wielu życia przyjemności, ale się stało nałogiem. Któż wie, może się czasem potrafię zwyciężyć, a bardzo mi miło będzie zawsze spotkać hrabiego.

— Mieszkam sam jeden, w hotelu pod Minerwą — odezwał się hr. August.

— Numer jedenasty, o parę drzwi dalej — sługa pański — dodał, nie chcąc być mniżej grzecznym, hrabia Filip.

— Ja zaś gnieźdźę się w domu prywatnym na Babuinie — odpowiedział Wiktor — niestety, pod obłokami na trzecim piętrze, bo miéwam fantazyą psucia płócien, więc tam jest niby *studio* moje. — Rozśmiał się smutnie. — Ale, na Boga! — dodał gorąco — proszę mnie nie brać za artystę z powołania! Nie jestem nim, lecz tylko przez miłośnictwo sztuki przekomarzam się méj ukochanej. Ani na pokaz, ani na sprzedaż nie maluję nic. Choruję na sztukę... Włochy, jak się zdaje, wyléczą mnie z téj słabości, ale to pewna, że gdy ozdrowię... o! będę bardzo nieszczęśliwy.

I znowu sam rozśmiał się z siebie. Hrabia August podał mu rękę, poszedł za jego przykładem i Filip, pan Wiktor zaś, zamachnąwszy kijem, wybiegł i znikł im w ciemnościach.

Dwaj towarzysze powolniejszym krokiem wyszli z kawiarni, którą stara i roztyła, brzydka, łysa matka pięknej Pepity zamykała coprędzej za nimi.

— Człowiek wcale niepospolity i dla mnie sympatyczny — odezwał się hr. August.

— Choćbym rad zawsze zgodzić się na twoje zdanie — odparł Filip — na ten raz nie mogę. Sam on powiada że zdziaczał, a mnie się zdaje, że chyba nigdy wielce oswojonym być nie mógł. Kawał awanturnika! Już to samo, że nazwisko nosi przybrane, a prawdziwego powiedzieć nie chce, dużo daje do myślenia. Ja takich ludzi wykolejonych nie lubię.

— Ani ja — odparł August — ale są wszędzie wyjątki, a ten właśnie zdaje mi się do nich należeć.

— Komediant! — rzekł pogardliwie Filip. — Zresztą zobaczymy! Życzę tylko, abyśmy na kieszeniach swoich nie doznali skutków sympatyj dla tego pana.

August zaprotestował. Zamilkli.

Księżna Teresa oddawna mieszkała w Rzymie, chociaż często z niego robiła wycieczki, czasem trwające miesiącami. Jedynemu synowi swemu, zaledwie pełnoletniemu, oddawszy majątek cały, pozostawiwszy sobie tylko (znaczące, jak głoszą) kapitały, które sama rozporządzała — była zupełnie swobodną. Pensji, którą syn, równie do niej przywiązany jak ona do niego, upierał się jéj wypłacać, nie chciała przyjmować, odkładając to, jak mówiła sama, do czasu gdy wszystko co ma utraci. W pełni sił i zdrowia, księżna przy swym charakterze miłym, temperamentem na oko łagodnym, nie doznawszy w życiu nic, coby albo zbyt po sobie żale, lub nieprzyjemne zostawiło wspomnienia — powszechnie była uważaną za bardzo szczęśliwą istotę.

Wiele osób jéj zazdrościło, a gdy która z pań przyznawała się do tego, ona oczy spuszczała, uśmiechała się i potwierdzała przypuszczenie.

— Ale bo ja wistocie bardzo jestem, jak na mój stan wdowi, szczęśliwą — powiadała.

— Pan Bóg mi dał dobrego syna, mam więcej niż potrzebuję do życia, jestem swobodną i niezwiązaną niczém.

I tuż za uśmiechem przychodziło, jakby mimowolne, westchnienie.

Rzeczywiście księżna należała do tych istot, których życie zaprędko się skończyło. Owdowiała młodą, syn jéj dorósł, gdy ona nie miała jeszcze czasu postarzyć. Wcale jeszcze świeża i piękna, życia pełna, z sercem kochać potrzebującym, znalazła się osamotnioną, jakby już w oczekiwaniu końca, który tak prędko przyjsć się nie obiecywał.

Zapełniała tę próżnię życia jak mogła: czytaniem, miłośnictwem sztuki, podróżami, wszystkimi przyzwoitemi rozrywkami, które dają mocniej jeszcze może uczuć czczość i brak celu resztek pozostałych żywota.

Próbowano ją zagrać do wielkiej pobożności; lecz księżna, choć religijnego ducha i w spełnianiu obowiązków gorliwa, nie dała się opanować i oparła nawracaniu, znajdując że nigdy odwróconą nie była.

Powierzchność miała ujmującą wielce, była świeżą i blasku dawnej piękności nie straciwszy, spoważniała tylko. Słyszała jako bardzo bogata, choć nikt nie wiedział dokładnie czém rozporządzała; celowała inteligencją, wykształceniem, niejednym więc ze starszych i młodszych panów, spotykających się z nią w towarzystwach, lub bywających w gościnnym jej domu, skusił się o zdobycie serca, którego pustki się domyślał.

Kilka podobnych prób nieszczęśliwych, żartobliwie, grzecznie, wesoło w samych ich pierwocinach księżna odtrącała tak stanowczo, iż wkońcu ludzie sobie powiedzieć musieli, że wistocie za mąż iść wcale nie myśli, a innych stosunków zawierać nie życzy. Przyjęto to z niedowierzaniem, ale nikt już nie śmiało płocho narazić się na próżne zabiegi.

W humorze księżny Teresy nie widać też było zwykle, aby za czém tęskniła. Swobodna, wesoła, zawsze umiejacą sobie wyszukać jakiegoś zajęcia, życie wypełniając cudownie, tworząc sobie coraz nowe zabawki niewinne, do których się namiętnie przywiązywała — księżna nosiła z sobą dobry humor, ożywiała towarzystwo, do którego weszła.

Nowa książka, gdy o niej mówiono wiele, pochłaniała ją na czas jakiś; nowy obraz, wystawiony posąg, wiadomość o wypadku mającym znaczenie i zwiastującym następstwa ważne w otaczającym świecie, prawie ją rozgorączkowały. Tak samo bywało z ludźmi nowymi, których starała się poznać, zbliżyć do nich, zbadać, spoufalić z nimi. Pociągały ją zarówno wielkie głowy, imiona rozgłośne, jak postacie ekscentryczne, zagadkowe, niepowседневne.

Dlatego też, gdy po odejściu dwóch hrabiów i wysunięciu się z pokoju pana Ferdynanda, została na chwilę sama z gospodynią, nie mogła się księżna wstrzymać od wykrzyknika:

— Niezmiernie jestem ciekawą tego człowieka!

Pani Liza, wystygłszy pod tym względem, lub przynajmniej niechcąc zdradzić swęj ciekawości, odpowiedziała lekkim ramion ruszeniem.

— Na mnie on zrobił wrażenie takie, że się ulęknęła — rzekła. — Nie jestem nawet ciekawą, bo czytam historią biedaka z jego twarzy i stroju. Jest-to jakaś ruina, ofiara losu, temperamentu, charakteru, a może... któż wie?... nałogu... Cynizm powierzchowności przeraził mnie.

— A! wierz mi — odparła księżna Teresa, — po za tém, czém on dziś jest, czuć jednak przeszłość jakąś, niechybnie lepszą, świetniejszą. Masz słuszność co do upadku; ale bądźmy miłosierne, nie obwiniajmy naślepo człowieka. Kto wie jaki w tym udział miały losy.

— Losy! — odparła Liza. — Powinien był walczyć z niemi. Mężczyzna!

Powiedziała to sucho jakoś i zimno.

— Może też walczył i został zwyciężony — dodała księżna. — Ja lituję się zawsze, nawet nad winnymi. Czyż i występki nie godzien politowania?

Gospodyni, spuściwszy oczy, milczała.

— Nazwisko Gorajski — ciągnęła dalej księżna — nie mówi nic. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, czym je kiedy słyszała. Jestem ciekawą, tak nieprzyzwoicie ciekawą, przyznając się, że, Boże odpuść! gdybym go znowu gdzie spotkała rysującego, gotowam się przyczepić i zaprosić...

— Ty-bo, moja droga księżno — przerwała Liza — nadto doprawdy jesteś pobłażającą, a bardzo nieostrożną, pomimo wielu smutnych doświadczeń. Niech sobie księżna przypomni tego, który tak zawiódł jej miłosierdzie nad sobą, i tego...

— Proszę cię — śmiejąc się, przerwała księżna — dajże pokój tym wspomnieniom! Któż się w życiu nie zawodził? Wprawdzie smutno mi było trochę potem, ale wprzód mnie to bawiło.

— A! kochana księżno — dodała p. Liza — ja się często myślę w sądach; ale ten... ten dzisiejszy nasz pan, jako człowiek straszy mnie, a jako artysta należy pewnie do tych, co ślicznie mówią o sztuce, a okropne bazgrzą rzeczy... Będziesz potem musiała swą ciekawość opłacać nabywaniem krut...

— Chociażby — odparła księżna Teresa. — Jeżeli pięknie mówi o sztuce, nie żał już krut jego nabywać.

To mówiąc, księżna do wyjścia i pożegnania się zabrała.

Rozstały się dwie przyjaciółki, wzajemnie śmiejąc z siebie: Liza z łatwowierności, księżna z jej strachu. Księżna odeszła nienawrócona, zajęta tajemniczym zjawiskiem, z mocnym postanowieniem zaproszenia do siebie p. Wiktora przy pierwszej sposobności.

Ponieważ razy kilka widziała go około Colosseum, na Campo Vaccino, na Via Appia, postanowiła sobie zwiędzać te miejsca pokolei, w godzinach w których rysować można, dopókiby szczęśliwy traf nie nastroił jej spotkania.

Nazajutrz, zszedłszy się przypadkiem z hr. Augustem w Museo Pio Clementino, nie wytrzymała księżna, by go nie zagadnęła o nieznanego. Hrabia, który był także pod dziwnym urokiem ekscentrycznej tej figury, opowiadaniem o nocnej rozmowie z nim ciekawość księżny rozbudził i spotęgował do najwyższego stopnia.

— Nie wiem — rzekł hrabia wkońcu — być może iż człowiek to upadły, jak sam powiada, zwichnięty, ale zdolny, wykształcony i wcale nie powszedni. Gdy się jemu podobnych spotyka, obowiązkiem jest raczej rękę im wyciągać, niż ich odpychać.

Niezmiernie uradowana księżna, posłyszawszy to zdanie, gorąco uścisnęła dłoń mówiącego.

— A tak! — zawołała — tak! Szczęśliwa jestem, że choć wy trzymacie ze mną. Wczoraj klóciłam się o to z Lizą, która mi chciała wmówić, że moja chęć bliższego poznania tego człowieka jest jakąś fantazją niebezpieczną.

Hrabia August się uśmiechnął.

— Niebezpieczną? — podchwycił ironicznie.

— A! źle to rozumiesz — odparła księżna, rumieniąc się nieco. — Liza widzi tylko niebezpieczeństwo dla kieszeni, ale... bodajby!

— Znam nieco ludzi — odezwał się hrabia — i przekonany jestem, że tego niebezpieczeństwa wcale się obawiać nie można.

— Nieprawdaż? — powtórzyła radośnie księżna Teresa. — Więc chociaż wy trzymacie ze mną?

Hrabia się skłonił.

— Osobliwa rzecz — dodał — mogę się pochłubić pamięcią ludzi, a jestem przekonany, że tego pana kiedyś w mém życiu spotkałem, tylko przypomnieć sobie nie umiem miejsca i stosunku. Sam on, gdym mu o tém napomknął, potwierdził to, ale zarazem dodał, iż objaśnić mnie nie potrafi, gdzie i jak to być mogło.

— Kiedy tak, to i ja się mogę przyznać — pocichu dodała księżna — że on na mnie także robi wrażenie dawniej jakiejś znajomości. Myślałam że to przywidzenie...

— Bądźcobądź — dokończył hr. August — ma dar przyciągania ku sobie.

Rozmowę przerwało nadejście Angielek znajomych księżnie, które raz doświadczywszy jak dobrym była Ciceronem, przybiegły ją prosić, aby im pomogła do oglądania muzeum.

Uprzejma zawsze księżna wesoło zabrała się im towarzyszyć.

Od tego dnia jedno miała na myśli: pochwyć gdzieś koniecznie nieznanego tego jegomości i wciągnąć go do swego salonu.

W tym celu długo napróżno jeździła księżna rankami i wieczorami po Rzymie i okolicach. Zrobiła wycieczkę do Starych drzew w Olevano, do Tivoli, do ruin willi Adryana; chodziła około pałacu Cezarów i Colosseum, lecz nie mogła nigdzie spotkać owego pana Wiktora.

Zdawał się jakby naumyślnie uchodzić i ukrywać, unikając nowych stosunków. Nawet p. Ferdynand, którego księżna sobie zjednała na sprzymierzeńca, nie widywał go teraz nigdzie, a na Babuinie, gdzie mieszkał, trudno się było nawet o jego trzecie piętro i studio dowiedzieć.

Księżna, przypuszczając iż mógł z Rzymu dalszą jakąś przedsięwziąć wycieczkę, co w tej porze roku było bardzo naturalnym, nie zaniechała jednak poszukiwań swoich.

Jednego dnia namówiła panią Lizę na wieczorną przejażdżkę do Villa d'Este. Ferdynand im sam jeden towarzyszył. Tu, chodząc po tym ogrodzie, niegdyś tak pięknym, dziś tak zaniedbanym, wcale niespodzianie, na mchem okrytej marmurowej ławce, księżna postrzegła swą zgubę. Wiktor siedział z książką do szkicowania na kolanach, zapatrzony w stare, prześliczne cyprysy, które zdawał się chcieć studiować.

Pani Liza, udając że go nie poznaje, chciała coperędzej pominąć, gdy księżna gwałtownie się napała zaczepić artystę. Oprzec się jej nie było podobna. Pan Ferdynand ofiarował

się za pośrednika; lecz księżna, przypuszczając że jest pod wpływem siostry i obawiając się aby nie popsuł sprawy, podziękowawszy mu, sama poszła odważnie przywitać p. Wiktora.

Od pierwszego owego widzenia ani strój, ani twarz, ani wyraz zagadkowej postaci nie zmienił się wcale. Miał na sobie to samo lekkie ubranie, ten sam kapelusz i gruby kij, tylko obok niego leżał zwinięty pled podróżny. Zobaczywszy księżnę podchodzącą, Wiktor przestraszony zamknął coprędzej książkę i z ławy się ruszył.

— Poznałam pana zdaleka — odezwała się, podchodząc, księżna. — Schwycony na uczynku, nie możesz się pan zaprzéć, że jesteś pejzazystą. Śliczne tu studia robić można. Ale w Rzymie wcale już pana nie widać.

Grzeczne to przywitanie, którego nie zdawał się spodziewać artysta, trochę go zdumiało.

— Uciekłem z Rzymu, dla gorąca — rzekł — a co się tyczy moich studyów, niema w nich nic, coby zasługiwało na tak poważne nazwanie. Rozrywam się, jak mogę. Gdy nie mam co czytać, próbuję psuć papier.

Księżna stanęła trochę, badając go uważnie.

— Gdy książek brak — odezwała się — gdy i te studia zmęczą, powinienbyś pan trochę się więcej ludziom udzielać. Mając tu ziomków, nie godzi się o nich zapominać.

Był to prawie rodzaj grzecznego zaproszenia, które wywołało uśmiech smutny na usta Wiktora. Zdawał się uszom własnym nie wierzyć.

— Ziomków? — powtórzył z cicha — ziomków?... Ależ to prawdziwy cud dzisiaj posłyszeć, aby się kto o znajomość i stosunki z ziomkami upominał. Gdzież dziś ziomkowie? Rozdziela nas tyle różnic przekonań, położeń, losów, że tytuł ziomka najczęściej bywa postrachem. Znam ludzi, co posłyszawszy swą macierzystą mowę, uciekają przerażeni, szczególnie jeśli ona z ust pieszego włóczęgi wychodzi. Niestety! — dodał — ci bojaźliwi mają bardzo często słuszność, bo między ziomkami za granicą spotykają się i gwiazdy pierwszorzędne i... smutne odpadki społeczeństwa. Jesteśmy dziś jak owe rozbité planety szczątki, jak aerolity i bolidy... gwiazdami lub kawałkami żelazistej rudy...

Księżna zdawała się słuchać z przykrością i przerwała mu szybko.

— Nas tu teraz w Rzymie jest garstka mała bardzo, a ja mam tę wadę, że mnie nietylko gwiazdy, nietylko odpadki, ale nawet najzwyczajniejsze postacie, spokrewnione mową i wspomnieniami, mocno zajmują. Otóż — dodała weselęj, siłąc się na pewną rubasność kobiety dobrego towarzystwa, która czuje prawa swoje — otóż, krótko a węzłowato: zobaczywszy tu pana, przyszłam umyślnie, aby mu powiedzieć że prawie codzién wieczorem jestem w domu i że mi pan uczynisz wielką przyjemność, przychodząc na herbatę i rozmowę.

Wiktor skłonił się, tak zdumiony, że nie odpowiedział zrazu i cóś tylko niezrozumiałego przebąknął.

Księżna stała, uparcie nań patrząc.

— No, proszę bardzo, nie bądź pan dzikim; zrobisz mi przyjemność. Salon mój nie jest zbyt ceremonialnym. Towarzystwo znajdziesz pan toż samo, z małą odmianą, które spotkałeś u mojej przyjaciółki Lizy.

— Niech księżna raczy wierzyć, że jestem jéj nad wyraz wdzięcznym — odezwał się Wiktor — bo to jest dowodem z jéj strony tak dobrego serca, a takiej... nieopatrzności, której tylko szlachetniejsze serca i wyższe charaktery mogą się dopuścić. Stokroć księżnie dziękuję!

Księżna poruszyła ramionami.

— Pochwały — szepnęła — na które nie zasłużyłam.

— Owszem — podchwycił ośmielony Wiktor. — Ja łaskę jéj umiem ocenić. Mówiono mi to wielekroć, że wyglądam na bandytę, lub niedobrego gatunku artystę-awanturnika. W dodatku jestem ziomkiem, więc może biédnym wygnańcem, który rad czepiać się i wyzyskiwać. Nikt mnie nie zna! Trzeba heroicznój odwagi i takiego serca...

— A! — przerwała, rumieniąc się, księżna — proszę, daj-że mi pan z tém pokój! Nic podobnego nie przypuszczam, a moje zaproszenie, moje natręctwo pochodzi poprostu z tych pustek w Rzymie i ciekawości córek Ewy. Zapraszam koniecznie! Przyjdiesz pan?

Mówiła tak nakazująco, że się jéj oprzéc nie było podobna.

Wiktor się skłonił.

— Więc jutro czekam z herbatą, a dla ubezpieczenia pana dodam — rzekła, uśmiechając się — że nie będziemy pana badali, męczyli; zostawimy mu swobodę jaknajwiększą.

Dokończywszy i nie przypuszczając już odmownej odpowiedzi, księżna prędko poszła za Lizą i jej bratem, który przy niej pozostał. Widać ich było zdala, w uliczce oczekujących.

Wiktor, po odejściu jej, siadł znowu na ławce, ale już do studyowania starych cyprysów nie powrócił.

Księżna zajmowała oddawna stary pałacyk jednej z tych rodzin patrycuszowskich, które, choć zubożałe, trzymają się jeszcze pozostałych im starych murów, bo do nich przywiązane są wspomnienia dawnej wielkości. Żyją może nadzieją, że kiedyś odzyszczą świetność straconą.

Tymczasem w tych gmachach, których tyle się spotyka w ulicach Florencji, Bolonii, Rzymu i pomniejszych miast włoskich, rodziny zubożałe wiodą życie bardzo skromne, tulą się gdzieś w kątkach, znacznieszą część pałaców zajmując cudzoziemcom.

Księżna miała całe pierwsze piętro wspaniałego niegdyś gmachu, z salami olbrzymimi, z sufitami malowanymi al fresco, z obrazami w pośrodku, z posągami pootłukanymi u wnijścia. Dwór jej cały składali: stara panna Kunegunda (Kunusią zwana), podobno daleka kuzynka nieboszczyka męża, do której księżna przywykła bardzo i lubiła ją, stary kamerdyner z domu wzięty i dwoje sług przynajętych za granicą.

Wielki salon, w którym przyjmowała, umeblowany był po włosku, to jest opatrzonej w sprzęt niezbędny, niegdyś wytworny i wspaniały, teraz już zszarzony i zestarzały. Na ścianach wisiały wizerunki margrabiowskiej rodziny, do której pałac należał, i para olbrzymich krajobrazów, w fantastycznym stylu Salvatora Rosy, broniących się rozmiarami swymi od sprzedaży i losu współbraci, dawniej Anglikom odstąpionych. W innych dwóch przyległych salonach mniejszych, księżna już się więcej sama urządziła i rozgospodarowała. Tu wszystkie jej upodobania, rozrywki, kaprysy łatwo można było poznać, widząc na ścianach nowe najrozmaitszej wartości obrazki, posążki na kominach, książki porozrzucane po stolikach i kanapkach, obok kobiecych robótek i fraszek.

W salonie wielkim jeden tylko fortepian nowy starożytnie umeblowanie odświeżał, odbijając swą formą i blaskiem od dawnych margrabiowskich sprzętów.

Szukająca zajęcia i rozrywek dla wypełnienia życia, księżna Teresa w mieszkaniu tylko jednym była nałogową i przywiązaną do znajomych kątów, choćby ją znudzić już były powinny. Stary pałac miał wiele niedogodności, najem jego podnoszono coraz; trzymała się jednak tych ciemnych sal, do których przywykła. Za nic ich zmieniać nie chciała.

Nazajutrz po powrocie z Villa d'Este, księżna pośpieszyła zawiadomić hr. Augusta, iż się zaproszonego spodziewała artysty (bo tak uparcie go zwano). Pominęłaby była może hr. Filipa, który, pomimo narzucania się towarzystwu, niebardzo był w niem lubiony; lecz... byłby się czuł obrażonym. I jemu więc musiano oznajmić, że księżna dnia tego wieczorem będzie w domu.

O zwykłej godzinie pani Eliza z bratem, hrabia August, a nawet czasem umyślnie opóźniający się hr. Filip, znajdowali się już u księżnej, gdy kamerdyner drzwi otworzył i wpuścił gościa nowego. (Dodajmy dla charakterystyki, iż zrana, wedle ścisłej obyczajności obserwacji, księżna znalazła na stole u siebie kartę wizytową Wiktora Gorajskiego. Znaczyło to, że formy świata znał i umiał je poszanować).

Wielki salon słabo był oświetlony, tak iż w pierwszej chwili księżna wchodzącego nie poznała.

Był-to zaproszony Wiktor, ale w postaci tak nowiej, w tak zupełnej metamorfozie, iż wszyscy obecni stanęli na chwilę niemal przestraszeni.

Śladu na nim nie pozostało owego dziczającego człowieka. Ubrany wedle najściślejszych wymagań salonowych, w czarnym fraku, w rękawiczkach jasnych, z kapeluszem w rękę, w lakierowanych bucikach, z brodą i włosami w porządku, był jakby nowym, nieznanym człowiekiem. Fizyognomia tylko jego nie postradała wyrazu tego artystyczno-cygańskiego, który ją dawniej odznaczał, ale wśród innych akcesoryów, wydawała się więcej oryginalną, niż dziką.

Ubranie nie zdawało mu się ciężyc i ścisnąć go, jak zwykle pęta ludzi, którzy je rzadko wkładają i noszą niechętnie. Ruchy miał swobodne, w salonie zdawał się jak u siebie.

Hrabia Filip był jednym z tych, których ta przemiana może najmocniej zdumiała. Pani Eliza, którą za pierwszym zjawieniem się w jej salonie Wiktor nastraszył, niemniej może się teraz ułękła tak zupełnej metamorfozy. To kameleonstwo zagadkowe, dziwaczne niby-artysty, niby-człowieka do towarzystwa należącego, podwoiło przestrach i ciekawość. Z większym niż wprzód, niespokojnym zajęciem zaczęła mu się przypatrywać zdaleka.

Nie ulegało już wątpliwości, że człowiek ten jakimś prawem jeżeli nie należał do wyższych sfer społecznych, to się w nich musiał obracać często, i że się z nich dobrowolnie wyłamał, gdy stały się dlań uciążliwymi lub wstrętnymi. Pani Liza widziała w nim niebezpiecznego może wroga tych, od których uciekał, ale nęcił ją tajemniczością swoją.

Po przelotnej chwili zdumienia, księżna przywitała przybywającego, starając się nie dać mu poznać, iż ją ta przemiana zdziwiła.

Hrabia August, dla którego, od pierwszego wejrzenia, miał jakiś urok ten człowiek zagadkowy, zbliżył się zaraz ku niemu, a za nim, jak zawsze, pośpieszył hr. Filip.

Księżna rzuciła słówko o willi d'Este, a hr. Filip ze złośliwością, z którą się lubił popisywać, gdy mowa zesłała na studia, wtrącił umyślnie słówko o pięknej Pepicie, jako przedmiocie studyów także bardzo dojmującym.

Wiktor, nie dając się tém zmieszać, uśmiechnął się dobrodusznie.

— A! — odezwał się — to właśnie dla artystów wogóle stanowi wielki urok tej włoskiej ziemi, że tu, może tylko tu, znajdują oni najcudniejsze, niespodziane modele, które zdają się żywem potomstwem greckiej sztuki. Tu jeszcze owi bogowie i boginie chodzą po ziemi, tu spotykać można młodych Satyrów, Heby, Psychy i Junony. Na wyspie Capri potomkowie dawnych kolonistów Hellady osłupiają czasem pięknnością swoją. Każdy myślący artysta staje tam wobec nierozwikłanej zagadki. Te cuda piękności noszą w sobie dusze tak uśpione, tak pospolite, tak prozaiczne; te Psychy bywają często tak ograniczone, dziecinne, nawet zepsute, iż chce się spytać natury, co ta jej piękność znaczy? Czemu powłoka nie odpowiada duchowi? dlaczego ci bogowie i boginie kłamią, gdy są poprostu ledwie rozbudzonemi ze snu ostatnich istot... zwierzętami?

Wiktor wypowiedział to postrzeżenie swoje tak jakoś naturalnie, iż nikogo nie uderzyło wprowadzenie rozmowy na przedmiot wcale niezwykajny.

— Ta Pepita — dodał — którą hrabia widziałeś wczora, jest ślicznym wzorem, jakby zrodzonym szczególnie dla rzeźbiarza, dla malarza nawet, a wkońcu i dla poety... Zaklęta w kamień, przeniesiona na płótno, wyśpięwana w naiwnych strofach, mogłaby się wydawać ideałem. Spróbuj-że jednak hrabia pomówić z tą jaśniejącą blaskiem młodości i wdzięku istotą, a znajdziesz w niej rozpaczliwie pospolite stworzenie, roztrzepane, chciwe najdziecinniejszych uciech, zabobonne, złośliwe czasem. Czy jej mówią często, prawie zawsze, zupełnie co innego niż usta... Zdaje się jakby duch jakiś szyderca zakradł się w formy zapożyczone.

— Cóż tu natura winna? — odparł hrabia August powoli. — Ona stworzyła doskonałe narzędzie, na którym śpiąca dusza grać nie umie. Tej doskonałej harmonii ciała i ducha, której pan wymagasz od ludzi, nie spotykamy nigdy prawie w życiu. Kilkaset lat czeka świat na Beatrycę Dantego, na Laureę, na Vittorię...

— Człowiek wogóle — dodała księżna — jest istotą ułomną i rzadko może w sobie wszystkie siły i władze wyrobić do równej doskonałości. Ideałów lub istot zbliżających się do nich niema na świecie.

— Teraźniejsza nauka i teoria sztuki rzeka się nawet gonienia za niemi i marzenia o nich — rzekł hrabia Filip.

— Jest-to chwilowa protestacja tylko przeciwko fałszywemu ideałów pojmowaniu, nic więcej — odezwał się August. — Niemniej wyzucie się zupełne z ideału uważam za szkodliwe. Człowiek, który nie ma go przed sobą i nie stara się nim stać, z konieczności upada nisko.

— Ja zaś znajduję — wtrącił hrabia Filip — że lepiej wcale nie marzyć o tém co niedoścignione, a ograniczyć się na...

— Na *fruges consumere nati* — podszepnął hrabia August.

Rozmowa się nieco przerwała, bo milczenie p. Elizy zdało się gospodyni oznaką, iż zбочono odrazu w strefy, w które niewszyscy puszczać się byli gotowi.

Właśnie też wejście gościa nowego wywiodło wszystkich z trochę kłopotliwego szukanania treści do ogólnej rozmowy.

Przybyły był jednym z tych biédaków, których księżna umiała wszędzie wyszukiwać i gromadzić około siebie. Był to malarz-poeta, człowiek już niebardzo młody, od lat wielu bląkający się po Włoszech i po Francyi, który sztuki dopiero, za granicą się w nięj rozmiłowawszy, uczyć się począł — jeden z tych, o których wspominała pani Eliza, co mówią pięknie o sztuce, a stworzyć nic nie umieją. W wielu rzeczach miał pojęcia bardzo trafne, czuł piękno, umiał je ocenić, teoretycznie tworzył obrazy zachwycające; ale gdy się wziął do wykonania, był najstraszliwszym bazgraczem.

Szkic bywał czasem genialny, lecz dzieło prawie zawsze poczarne. Nieszczęściem sam do siebie nie czuł tego, miał się za niepoznanego wieszczka i malarza... przyszłości.

Wpływ jakiś nieszczęśliwy ludzi otaczających, epoki, temperamentu może, uczynił go olbrzymio zarozumiałym.

Miał się za geniusz, a warunkiem genialności dla niego była ciemność, równoważna w przekonaniu jego z głębokością.

Dla ludzi chłodnych był poprostu śmiesznym, karykaturą geniuszu; dla współczujących godnym niezmiernęj litości, zbłąkanym biédakiem. Ołówkiem i penzlem nie mogąc nastarczyć wielkiemu duchowi, jaki w sobie nosił, pan Emil Maria Otoski (tak się zwał) stał się zarazem poetą, równie dziwnym, niezrozumiałym, wymuszonym, jak był malarzem. Poezya nawet przeważała w nim teraz.

Emil Maria nigdy nie chciał być naturalnym, sobą samym; pamiętał o tém, że nosił w sobie wieszczka; szanował wielkość swą, występował tak zawsze, jakby go na chwilę nie opuszczało natchnienie. Kapłanem był od rana do nocy.

Powierzchność człowieka nie dałaby się łatwo domyślać geniuszu, gdyby Emil Maria nie pomniał ciągle o tém kim jest, co na téj ziemi, wśród pospolitych tłumów, przedstawiać powinien.

Człowiek był już lat może czterdziestu kilku, trochę łysy, dość słusznego wzrostu, przygarbiony nieco, zaniedbany w ubraniu, jak przystało poecie i artyście. Powierzchność zdradzała źle pokrywane ubóstwo; na twarzy, rysów dość pospolitych, wybitne było i poczucie swęj wielkości i coś, co znamionuje istotną wyższość inteligencji. Oblicze miał zmęczone widocznie tém nieustanném czuwaniem nad sobą, obmyśliwaniem każdego ruchu, szukaniem słowa i miny, strojeniem się naprzemiany w zapaly na zimno i ironią dla kontrastu. Wkońcu jednak nawyknięcie stało się naturą: wyglądał na starego komedyanta, który już i w salonie przestać nim być nie może.

Był-to poeta i geniusz z tych czasów Byrona i Shelleya, gdy wielcy ludzie musieli dziwaczyć, wybuchać, by się u tłumy dorobić uznania ducha co w nich mieszkał i nigdy im nie dawał spokoju. Niewolno im było ani na chwilę prostymi śmiertelnikami pozostać. Emil Maria był też nieznośnie, zawsze i wszędzie geniuszem.

Czy otaczający uznawali go, czy nie, nie spuszczał z tonu; niekiedy tylko, spotykając się z niedowiarstwem i ironią, wybuchał gniewem wielkim, zrywając z ateuszami. Na tych już pocziwéj nie zostawiał nitki.

Księżna, zobaczywszy go wchodzącego, na jedno oka mgnienie okazała pewną niecierpliwość i zakłopotanie. Gość ten przychodził jęj nie w porę; ale nadzwyczajna dobroć i uprzejmość dla wszystkich, a litość nad biédnym monomanem, wnet jęj twarz rozjaśniły.

Emil podszedł ku gospodyni, jak człowiek przekonany, iż uszczęśliwia każdy dom, w którym ukazać się raczy. Z pewnym rodzajem poufałości, uszanowania pełnej, pocałował ją w rękę, skłonił się wszystkim zdala i zabrał miejsce, dając czuć, że on tu teraz musi się stać figurą główną, ogniskiem, mistrzem, z prawa swojego geniuszu.

Dosyć obojętnym wzrokiem przebiegając salon i starając się wobec tytułów, jakie tu spotykał, swojego się nie wyrzekać i nie dać o nim zapomnieć — poeta spostrzegł nagle Wiktora, który przypatrywał mu się z uśmiechem jakimś dwuznacznym. Okazał na widok téj postaci nowęj niezmiernie zdumienie. Niepokoila go.

Jak gdyby sądził że się omylił może przy piérwszém rekognoskowaniu, wlepił oczy w nieznanomego, zapominając nawet odpowiedzieć na zapytanie gospodyni. Księżna, z cechującą ją łagodnością, powtórzyła je, a poeta wtedy dopiero, jak rozbudzony, zwrócił się ku nięj, wyrzekając się na chwilę rozpaczonego badania.



— Cóżes pan porabiał przez tych dni kilka, gdy nigdzie go widać nie było? — mówiła księżna.

— Sam nie wiem, trudno się z tego wypowiadać — odparł powolnie, patetycznie Emil. — Są w życiu dnie, gdy się traci czasu rozmiary, poczucie rzeczywistości; są chwile ekstazy, niby godziny chaosu poprzedzającego kreację. Same te znowu momenta poprzedza często pokuta ducha na pustyni, w pół-śnie, pół-jawie, post myśli, maceracja uczuć, senność samopoznania, zdrętwienie naszego ja... nie wiem!

Podniósł oczy kugórze i westchnął, nie dopowiedziawszy reszty, aby ją sobie dośpiéwali w duszy słuchacze. Milczeli wszyscy, bo nie było co odpowiadać na ten wykrzyk mistyczny.

Litościwa księżna po chwili spytała, aby przykrą przerwać ciszę:

— Malowałeś pan co?

— Ja, malować? — zawołał ironicznie. — Ja połamałem penzle, podarłem płótna... Napróžno! nie mam tego daru prawienia rzeczy oklepanych językiem zużyтым, a jedynie zrozumiałym tłumom; aby być ocenionym i pojętym, trzeba być płaskim, trywialnym, pospolitym. Tego nie umiem, to nie moja rzecz! Być zaś głosem wołającego do głązów, wkońcu zabija. Godzina moja wybiła!... Niezrozumiany, zrezygnowany zstąpię do grobu.

Mówił to, deklamując niedobrze, pomagając sobie ruchami rąk, głosem to krzykliwym do zbytku, to do szeptu niżonym; ale z oczów iskry się sypały.

Hrabia Filip, któremu najtrudniej było wytrzymać, poszedł się ukryć w cieniu, aby nie postrzeżono że się uśmiechał. Reszta towarzystwa zachowała się przyzwoicie.

Księżna patrzyła na stół; Wiktor, znalazłszy album jakies pod ręką, poczył je z wolna przeziierać. Na twarzy jego widać było boleść i smutek... wrażenie jakiegoby doznał litościwy człowiek, widząc chorego, obnażającego ranę zaognioną, a zastarzałą.

Zaledwie dokończywszy tę znaną już księżnie z rozmaitemi jój wariantami elegią, Emil Maria pochylił się ku niéj i spytał cicho:

— Mościa księżno (tu wskazał na zatopionego w albumie), co to za człowiek?

Odpowiedź była nader trudna, gdyż wistocie nikt nie wiedział jeszcze, czém był ten *homo novus* w salonie. Księżna więc ograniczyła się szepnięciem nazwiska.

Poeta ruszył ramionami.

— Twarz tę, jój cień, podobiznę, coś z nią krewnego spotykałem — rzekł — nie wiem, na tym, czy na innym świecie. Jest mi znaną.

Hrabia August, który nad dawniej sobie już znanym Emilem czuł rodzaj politowania, a chciał razem przyjąć w pomoc księżnie, przysiadł się do niego.

Widocznie dręczony tą nową postacią, w której może obawiał się rywala, poeta pochylił się do hrabiego i szepnął, wskazując na Wiktora:

— Poeta? artysta? obywatel? wygnaniec? Kto to jest?

— Nie wiem — odparł hrabia. — Jest-to znajomość nowa, może dyletant.

Z obrzydzeniem razem i politowaniem Emil, usłyszawszy tę kwalifikacją, ruszył ramionami. Nic dlań wstrętlivszém być nie mogło, od dyletanta, może dlatego, iż w duszy sam poczuwał się, że niczém inném nie był. W sztuce zaledwie się nawet dyletantem mógł nazywać; jako poeta, miał tylko nigdy niemogące się ziścić marzenia, tworzył obłamki, co się z sobą nie zrasały. Czasem było w nich parę wiérszy, błysk talentu rzeczywistego, jaskrawy, przesadnością zepsuty, przybrany dziwacznie; ale natychmiast po nim następowała powódź bredni, w których język brany był na tortury, aby, stając się niezrozumiałym, wydawał genialnym.

— Tego człowieka ja gdzieś widziałem — szepnął poeta hrabiemu.

— Pewnie na ulicy, jak my wszyscy — rzekł hrabia.

— Być może. Ale tu w salonie wydaje mi się jakby był przebrany. Niech hrabia przy sposobności raczy nas poznać z sobą.

Prześć miano do mniejszego salonu, na małą *collazione* i herbatę, nadarzyła się więc rychło żądana sposobność. Hrabia zapoznał z sobą dwóch panów.

Bardzo chłodno przyjął poetę Wiktor; na chwilę jednak pozostali z sobą.

— Ja pana gdzieś widywałem — rzekł niespokojnie Emil Maria.

— Bardzo prawdopodobnie — odezwał się Wiktor. — Włóczę się wiele, a oddawna jestem w Rzymie i wszędzie mnie pełno.

— Artysta?

— *Quod Deus avertat!*

— Więc cóż?

— Nic, człowiek zwichnięty, jak my wszyscy potrosze — rzekł Wiktor.

— Wszyscy, wszyscy zwichnięci?!

— Wygnańcy stają się takimi, prędzej lub później.

— Pan tak sądzi? — począł poeta, trochę zmieszany, i po małym przestanku dodał:

— Pan sądzi że wygnanie zwicha? Ja owszem myślę, że gnanie i wygnanie potęguje siły, egzaltuje... Mickiewicz nigdyby się nie podniósł do takiej wyżyny, gdyby nie ten chleb gorzki i nie te schody, o których mówi Dante....

— Dante? — podchwycił Wiktor. — Nie zapominaj pan, że znaczniejsza część wygnania Dantego była wypędzeniem z Florencji do Wenecji, do Pizy, do Rzymu, to jest jakby z Warszawy do Siedlec, do Kalisza lub Poznania. To wcale co innego. Nie brzmiała mu w uszach piękna, melodyjna mowa toskańska, ale włoskiego słuchał języka. Inaczej jest z nami, wśród innych narodów, jak szczygły między wróblami, lub wróble wśród śmieciuch. Tu tracimy swą indywidualność, innej przyoblec nie mogąc. Dość słuchania i posługiwania się obcą mową, aby umysł przez nią zwichnął się i wypaczył.

Poeta popatrzył trwożliwie, nie odpowiedział nic i siadł milczący.

Przybycie jego, dla wszystkich dosyć niewygodne, najprzykrzejszém może było dla p. Lizy. Geniusz od niejakiego czasu zaszczycał ją jawną swą adoracją. Nietajno było nikomu, iż się w niej zakochał, a że nic dla siebie za zbyt wysokie i niedostępne nie miał, ludził się nadzieją, iż pozyszcze serce tego anioła męczennicy. Być może iż po za tém marzeniem stała i perspektywa małżeństwa, a nawet wszystkie szczęśliwe następstwa zmiany towarzyskiego położenia.

Wistocie biédaczysko potrzebował bardzo, aby się w nim zakochała jaka bogata dziewczyczka, nie miał bowiem nic a nic, oprócz geniuszu, a żył z téj manny, którą mu zsyłała Opatrzność. Płacono mu za szkice, za obrazki, za różne robótki przez miłość raczej bliźniego, niż sztuki, i chowano potem starannie te twory, aby ich ludzkie nie oglądało oko. Były między niemi i udatne, i poczarwane i tak zagadkowe, że nikt nie wiedział, jaką myśl niemi oplątał.

Miał Emil Maria szczęście raczej niż talent pozbywania się płodów swego ołówka, penzla i pióra duszom litościwym, umysłem ciekawym, choć nie napraszał się z niemi. Zbyt na to był dumny. Nadzwyczaj wielką przywiązując do nich wartość, ceniąc olbrzymio to co się w nim zrodziło, zdawał się czynić łaskę, gdy przyjaciołom te arcydzieła odstępował.

Umiał jakoś, gdy już blizkim był niedostatku, który znosił mężnie i stoicko, trafić zawsze na kogoś, co go z delikatnością wielką prosił o jedno z tych niejasnych, komentarza potrzebujących, ale genialnych płodów ducha.

I tak żył Emil Maria jak polne lilie, na łasce Tego, co żywi ptaszęta polne, a ostrzyżone owieczki od wiatru ochrania. Zdawało mu się, przez tę wiarę jaką w posłannictwo geniuszu swego pokładał, iż Opatrzność winna mu była nietylko chleb, ale wkońcu jakąś świetną niespodziankę, premium, które gdzieś zaczajone na drodze żywota nań czekało.

Wyobrażał sobie, że tą niespodzianką powinna być miłość kobiety pięknej, wyegzaltowanej, a przytém należącej do śmietanki społecznej, wyposażonej tak, aby poeta mógł u jój boku bez troski, swobodnie oddać się cały wyśpiwaniu poematu swego ducha... wielkiej pieśni nieśmiertelnej.

Przyjścia tego Mesjasza niewieściego, który mu miał przynieść wyzwolenie, szczęście, oczekiwał Emil Maria oddawna. Szukał go we wszystkich paniach, do których się zbliżał, i znaleźć nie mógł. Żadna mu się oczarować nie dała, ani płótnem, ani papierem, obrazem czy poematem. Zkolei poznawszy panią Lizę, grzeczną, bojaźliwą, chwilami egzaltowaną, choć niełatwo rozwiązującą usta i otwierającą serce, poeta powiedział sobie: „To ona być musi!”

Miała wszystkie warunki marzonej niewiasty-ideału, licząc w to i złocone ramy, w których każdy obraz lepiej się wydaje. Brakło tylko, ażeby raczyła spojrzeć na niego łaskawie. W początkach nawet widywała go z zajęciem, okazywała mu współczucie; lecz gdy się domyślać zaczęła, posądzać go oto co roił, przestraszona cofnęła się, otoczyła lodem i starała unikać spotkania z poetą. Zawsze dla niego grzeczna bardzo, wyraziście dawała mu poznać, że znajomość ich pewnych granic nie przejdzie.

Emilowi zdawało się, że to ostygnięcie było naturalnym skutkiem obawy, jaką budził w niej potęgą swoją, urokiem geniuszu; tłumaczył to sobie oznaką walki w jej duszy. Któż się bez walki poddaje? Nie przestawał więc, ilekroć spotkał panią Lizę, grać dla niej na wszystkich złotych strunach swojej lutni.

Nie spodziewał się, że ten wieczór miał go pochwycić, unieść w stronę inną i uwolnić ideał od obłąkania.

Przechodząc do małego salonu, w którym miano zasiąść do herbaty, ostrożna p. Liza upatrywała już zawczasu takie miejsce, aby poety nie mieć ani obok, ani naprzeciw siebie.

Do charakterystyki pięknej wdowy należała słabość jedna: miała do przesady posunięte upodobanie nie w elegancji, ale w czystości, a geniusz bywał często zaniedbany, tak iż na ręce jego spojrzeć było niebezpiecznie. Należało to do cech jego powołania. Pani Liza, zmuszona patrzeć na zabrukanego, często nic w usta wziąć nie mogła.

Księżna, dla której ona tajemnic nie miała, postarała się o to, aby odgadniętym życzeniom zadość się stało. Poeta, który się do stołu opóźnił, przytrzymany trochę rozmową z Wiktorem, znalazł dla siebie wskazane krzesło przy gospodyni domu. Pani Liza siedziała w jednym z nią rzędzie, została więc ukryta i bezpieczna.

W pierwszej chwili ogólniejsza rozmowa zawiązać się nie mogła; szeptało tylko z sobą zblizka. Emil Maria zamyślił się głęboko, naprzód nad tym jak ma odżywić to uczucie, o którego kielkowaniu w sercu pani Lizy jeszcze nie zwątpił, powtóre jak się miał przedstawić nieznanemu, aby go podbić i uczynić czcicielem; szło mu o Wiktora, aby został olśniony, aby uwierzył weń i upokorzył się przed majestatem geniuszu.

Dwa te wymagania chwili dawały się z sobą pogodzić; szło tylko o to, ażeby zagrać preludium stosowne, któreby wielkiej symfonii mistrza ton dało.

Zasejpony, milczący, z głową spuszczoną nad filiżanką, siedział długo wglębiony w siebie poeta.

Tymczasem hrabia Filip, zamiast żądanego preludium, zaczynał pryskać ironicznymi frazesami, wedle swego zwyczaju.

Swobodna dosyć wymiana myśli, która przed przyjściem Emila zapowiadała wieczór ożywiony, sparaliżowaną się zdawała zjawieniem się poety.

Z nim, jak z chorym, potrzeba się było mieć na ostrożności i wielu przedmiotów, nieszkodliwych dla zdrowych, nie tykać. Nie cierpiał najmniejszego sprzeciwiania się sobie; głośił wyroki i słuchać go musiano. Rozprawiać z nim nie było podobna.

Księżna widziała już swój wieczór zepsutym bez ratunku, a pamiętała że Emil Marya zwykle siadywał długo i wychodził ostatni.

---

Z westchnieniem pochyliła się księżna do sąsiadki swój i szepnęła jej:

— Zawiedzione nadzieje!

Skąpa w słowa, piękna Liza podniosła oczy i wyrazem twarzy odpowiedziała: „Niestety!”

Hrabia Filip, korzystając z bardzo szczęśliwego dla siebie składu okoliczności, miał właśnie wystąpić na arenę z dowcipem, w który grał doskonale, jak młode panienki w wolańta — gdy z sąsiedniej sali dał się słyszeć szelest sukni kobiecój. Księżna podniosła głowę, trochę zdziwiona. Kamerdyner prowadził gościa nowego, wchodzącego bez ceremonii, żywo, napastliwie, jak ci, co wiedzą że pożądanymi i wdzięcznie przyjętymi być muszą wszędzie.

Z ruchów tej pani, nim światło na twarz jej padło, wnieśćby było można, iż była chyba wcale młodą, bo skakała, nie szła, poruszała rękami, a cała jej niewielka figurka drżała konwulsyjnie. Strój też zapowiadał młodość zdaleka, barw był jasnych i sprzeczących się z sobą, zbyt poobwieszany ozdóbkami i gałgankami.

Gdy cała postać wyszła z mroków, pokazała się jeśli nie starą, to przynajmniej rozbrataną nawet z resztkami drugiej młodości jesiennój. Twarz, która nigdy pono piękną nie była, ale przed laty dwudziestą mogła być powabna świeżością i żywością wyrazu, składała się z regularnego koła, na którym, pod niskim czołem, małe ciemne oczki przymrużone siedziały. Wśrodku był nosek kartofelkowaty, dawniej przyjemnie zadarty, a pod nim dosyć szerokie, z grubymi wargami usta. Razem było to niezmiernie ruchawe, zmieniające się, bo i brwi tańczyły, i policzki się cochwila to wydymały, to wpały i usta zaciskały

się lub rozszerzały do zbytku — wszystko zaś stanowiło maseczkę komiczną, której nie zbywało na ogniu i sprycie.

Znać było, że ta pani wiele żyła i próżnować nie lubiła.

Była to dziś dukessa di Valle Nero, z domu Zosińska, primo voto baronowa von Haven, secundo hrabina de Pierrefide, naostatek małżonka duka, Włocha, który rzadko bardzo ukazywał się na jej horyzoncie. Istniał jednak niewątpliwie.

Z poprzednich małżeństw pozostała jej córka, oddawna za mąż wydana za Niemca, i... bardzo zręcznie ocalony z katastrof wielu dosyć znaczny majątek.

Dowcip, żywość, wesołość, napastliwość i posąg przywabiły do niej ubogiego, średnich lat duka, który nie miał nic, oprócz zameczku w Valle-Nero w Lombardyi i dwóch gospodarstw chłopom oddanych na *metę*.

Rok podobno małżeństwo żyło z sobą razem i zgodnie; potem księżę, lubiący polowanie i swój kąt, został w zameczku, dostawszy jakieś subsydyum, a pani rozpoczęła nanowo wieczną swą włóczęgę po świecie, bo nigdy długo na jednym miejscu usiedzieć nie mogła. Sama ona zwała się żartobliwie Ahaswerą, a inni jej także to imię dawali.

Czasem wciągu jednego roku widzieć ją było można w Paryżu, Ostendzie, Nizy, Monte Carlo, Florencyi, Rzymie, Lwowie i Odessie. Znane jej były Konstantynopol i Jerozolima, raz znajdowała się na balu u khedywa.

Napół, albo raczej najzupełniej kosmopolitka, rozmaitemi stosunkami związana ze wszystkimi narodowościami całej Europy, księżna miała jednak słabość do swoich współziomków dawnych i szukała najchętniej ich towarzystwa. Wzdychała, mówiąc, że bez swoich długoby wyżyć nie potrafiła.

Ahaswera — gdy tém imieniem oryginalnem pozwałała się zwać i pod niem najlepiej była znana — żyła, jak motyle, niewiedzieć czém. Nie miała napozór żadnej panującej namiętności, ale zkolei poślubiła wszystkie, aby nie pozostać beczynną. W wyborze wcale nie była trudną.

Zbliżała ją to do księżnej Teresy, która również szukała zajęcia, potrzebowała nowości; lecz ta była między nimi wielka różnica, że księżna znajdowała przyjemność w szlachetnych tylko rozrywkach, w czémś mówiącém do duszy, podnoszącém, gdy Ahaswera zabawiała się równie dobrze w Monte Carlo, wśród najgorszego towarzystwa, jak w najlepszym. Mówiono sobie bardzo pocichu, że dawniej miewała fantazyje nader kompromitujące, niewiele dbając o to, co o niej ludzie powiedzą.

Postępowanie jej jednak, bardzo swobodne, nie przeszło pewnych granic i nie było tak cynicznym, aby jej wstęp do lepszego towarzystwa zamykało. Choć wiele jej zarzucano, o wielu awanturkach opowiadano, ona przynajmniej swych wybryków i kaprysów nie głośiła jawnie, nie chlubiła się nimi. Była przytém dobroczynną bardzo i litościwą dla drugich.

Księżna Teresa przyznawała, że Ahaswera bawiła ją; pani Liza unikała jej trochę i chłodem grzecznym dawała poznać, iż spoufalać się zbytnio nie była rada.

Oprócz Wiktora, znali ją tu wszyscy i spotykali się z nią często. Lubiała zapraszać na obiady, których dysponować nie umiała, choć jeść dobrze potrzebowała.

Emil Maria, którego naprzemiany drażniła żartami, a potem karmiła przesadnemi uwielbieniami, którego chętnie nabywała obrazy, słuchała improwizacyi, miał ją za ekscentryczną, ale niepospolitą kobietę. Gdyby była młodszą, lub gdyby choć okazała mu, iż chce w nim mieć czciela! Właśnie ten wieczór miał go wydobyć z niepewności i wahania, w którym oddawna więdniał.

Poznawszy Ahaswerę, księżna coprędzej wstała i wyszła naprzeciw niej.

— Przepaaaa-szam! *Pardon!* Wpadam tu nieproszona, natrętna — zawołała, kręcąc się, szeleszcząc suknią, mała księżna. — Ale przez litość, proszę mnie nie wypędząć! Stęskniona jestem za polską mową, za twarzami polskimi, za ludźmi naszymi — po parafiańsku wyrażając się: za ziomkami i rodakami. Nie wierzycie państwo?... cały tydzień spędziłam pomiędzy Anglikami, Szwedami, Włochami i Francuzami — a! w całej menażeryi kosmopolitycznej, bo był tam Bułgar i Turek nawet... Uwierzycie państwo, czy nie? pełno było ludzi rozumnych, rozumniejszych niż my zwykle bywamy, miłych, uczonych, dowcipnych, przyzwoitych — a mimo to czegoś, czegoś mi swojego brakło!... Niepojęta rzecz! Chciałabym znaleźć chemika, któryby mi powiedział, jaki to jest pierwiastek nam

właściwy, a którego wszystkim innym narodom braknie? Ja nie wiem, ale coś my mamy w sobie, czego nie mają drudzy. Czyśmy więcej dziećmi? czy...

Rozśmiała się. Zrobiono jój miejsce. Obejrzała się dokoła, jeszcze bardziej oczki przy-mrużając, a witając po włosku rękami i głową.

— Widzę tu areopag cały — dodała. — Niechże panowie i panie wyrokują. Zadanie godne najwytrawniejszych umysłów.

Wszyscy milczeli, spoglądając po sobie.

Najśmielszy, hrabia Filip, wyrwał się pierwszy.

— Ale księżna, zadając pytanie, samaś je najlepiej rozwiązała. Tak mi się zdaje. Ja się piszę na hypotezę. Wistocie, my jesteśmy wiekuiście potrosze dziećmi, to stanowi urok nasz i słabość naszą.

Na poecie, który twarz miał zwróconą ku wdzięczącej się, a tém mniej teraz pięknej Ahaswerze, widać było, iż mocno pragnął wystąpić z czémś olśniewającym szczytnością, oryginalnością, potęgą. Czoło mu się sfaldowało, jak fale morskie gdy skarb wyrzucić mają na brzegi, usta ścięły.

— Dziećmi? — zawołał. — Hrabia nam z tego czynisz wyrzut, co w moich oczach jest największą chwałą naszą! Tak, księżna wyrzekłaś żartem prawdę wielką: jesteśmy dziećmi w rozumieniu tém, jakie maluczkim nadały słowa Chrystusa, który je kazał przypuszczać do siebie. Dziećmi... o tak! bo nawet w grzechach naiwni jesteśmy — dziećmi, bo nami rządzi uczucie, a to uczucie, siebie niewiadome, płynie nie z maleńkiego źródła w piersi naszej, ale z wielkiego źródła, co żywi wiekuiściego ducha ludzkości. Dziećmi jesteśmy... ach! i pozostanmy niemi!

— Trochę przytém rozumu i dojrzałości dzieciom tym jednakby nie zawadziło! — przebąknął Wiktor.

Ahaswera spojrzała na niego z ciekawością niezmierną i zwróciła się z szeptem do sąsiadki. Łatwo się w nim było domyślić pytania: — Któż to jest?

Hrabia August siedział, słuchając pilnie.

— A hrabia co na to? — zapytała go księżna Teresa.

— Nie mówię nic, bo właśnie nad problematem rzuconym rozmyślałem — odparł hrabia powolnie. — Myślę nad tém, czy to znamię rodzime, co nas od innych odróżnia narodów, jest tak wybitne, aby je można pochwycić i określić? Myślę czy to cecha wspólna wszystkim narodom słowiańskim, czy własna nasza, i czy następstwem tego czegós, co nas wyszczególnia, nie było, że nas wyparto z Rugii, z Pomorza, z Łużyc, ze znacznej części Czech, z połowy Europy może; wszędzie, gdzie my walczyliśmy z Germanami, oni nas złamali, wypchnęli, podkopali, wydziedziczyli.... Wstępny bojem zwyciężyliśmy ich niejednokrotnie; lecz ile razy walka się przeciągnęła, padaliśmy. My wyciągniętej ręki nie odepchnęliśmy nigdy, we wszelkiego sojuszu wierzyliśmy świętość, a wreszcie łącniej nam było zawsze w nieprzyjacielu domyślać się cnoty, niż podejrzycwać go o zdradę.

— Mój hrabio — krzykliwym głosiem przerwała Ahaswera — alboż to nie są cechy naiwnego dzieciństwa?

— Nazwanie jest niezupełnie ściśle — rzekł hrabia. — Tak samo moglibyśmy się nazwać aniołami. Nie jesteśmy ani jednymi, ani drugimi, jesteśmy... — Tu chwilę pomilczał. — Któż wie? jesteśmy może ludźmi przyszłości — dodał. — Tak! gdy siła pięści, która dziś króluje światu, zostanie ostatecznie siłą ducha złamaną, gdy zwierzęca walka o byt, tocząca się lat tysiące, tryumfem ducha będzie rozstrzygniętą — naówczas my też zwycięzko wystąpimy na scenę świata, jako naród posłany dla stworzenia społeczeństwa nowego, wedle słowa Chrystusowego.

Hrabia Filip, któremu oczy coraz bardziej lśniły się, błyskały, zarzyły, ledwie już mogąc się powstrzymać, wybuchnął:

— Jeżeli z nas naówczas choć jeden pozostanie! Siła pięści nie jest przemijającą, jest wiekuiścią, a że my negujemy jój prawa, więc wydusi nas do ostatniego. Reprezentanci tój siły, maskujący się jako cywilizatorowie, w imię tój bogini cywilizacyi wygniotą aniołów czy dzieci, którym wyrzucają zacofanie i barbarzyństwo.

— Gdyby przy stole herbacianym można formalną rozpocząć dysputę — odezwał się hrabia August — zacząłbym ją od zaprzeczenia temu, coś powiedział, że siła pięści jest wiekuiста. Jest odwieczna, ale nie będzie nieśmiertelną. Cała historia ludzkości świadczy, że znaczenie siły tój nie rośnie, lecz się zmniejsza. Czuje to siła pięści i rozpaczliwie się

broni; ale porównajcie czém ona była w pierwszych epokach bytu ludzkiego, a czém jest dzisiaj. Człowiek rozpoczynał zawód swój ludzki, potrzebując zwalczać potęgę fizyczne otaczającą go natury pierwotnej. Naówczas pięść była jego zbawieniem; dziś coraz bardziej potrzebuje ona głowy, a w końcu stanie się jej sługą. Z tej epoki walk fizycznych pozostały nam w obyczajach, w pojęciach, w teorych społecznych i państwowych mnogie skorupy i skorze, ale wszystko to powoli opadnie i zostanie zgruchotane.

Hrabia August mówił powolnie, nie deklamując, nie patrząc na słuchaczy, bawiąc się odniechcenia deserowym nożem, który trzymał w ręku.

Zakończył ciszej. Głos mu zamarł.

Poeta zdawał się nietylko go słuchać, ile zazdrościć mu uczynionego wrażenia, gdyż oczy wszystkich w mówcę były wlepione i nikt nie zdawał się mu śmieć zaprzeczyć.

— Co do mnie — rzekł hr. Filip — ja jestem tak nieszczęśliwy, że zapewne skutkiem niedołęztwa mego i ślepoty, nie widzę w dziejach ludzkich tego postępu, o którym mowa. Historia jest dosyć ładną plecionką, w której naprzemiany występują ciągle też same kolory: czarny, biały, siny, czerwony. Gdy jeden się wyczerpie, drugi powraca. Rzeczywistego postępu dopatrzeć mi się niepodobna. Mieniają się prądy, ale się nie różnią. Stare baśni po ostatnim akcie rozpoczynają się nanowo z tą samą muzyką. Asystujemy może setnej którejś reprezentacji jednego wiekuistego dramatu. Ludzkość idzie do muru, uderza weń głową i, odskoczywszy, pędzi w drugą stronę, aby o przeciwną ścianę nabić sobie nowego guza.

Ahaswera uderzyła w małe, ale brzydkie rączki, z krótkimi nabrzękłymi palcami, i kolei zdawała się radować nowemu zdaniu, jak się cieszyła z pierwszego.

— *Ah! que c'est cela!* Co za prawda! — zawołała.

— Może być — przerwał Wiktor, dotąd milczący — że się to tak wydaje komuś zdaleka patrzącemu na historię, widzącemu tylko płaszcz jej i cień; ale w głębinie dziejów jest więcej coś nad mechaniczny ruch wahadłowy. Ta formuła pochodzenia, jako formuła, niezupełnie jest fałszywą, ale ona nic nie tłumaczy. Jest to prawda namacana pociemku. Zamiast dwóch ścian, o których hrabia mówisz, trzeba by sobie wystawić wieżę wybiegłą wysoko, a w niej biédnego ptaka, który, lecąc kugórze, bije się wprawdzie o ściany, lecz ciągle ku światłu podnosi!

Hrabia Filip, ironicznie uśmiechając się, ruszył ramionami.

— To coś straszliwie skomplikowanego! — dodał z pewnym lekceważeniem. — Prawo pochodzenia, jeżeli istnieje, musi być daleko prostsze.

Poeta, słuchając, marszczył się coraz bardziej. Zbierało mu się na improwizację. Nareszcie wybuchnął. Przybrał postawę natchnionego, podniósł głowę, włosy na tył jej odrzucił, zadrgały mu ręce, oczy zabłysły.

— Ateizm postępu... zbrodnia! — zawołał. — Więc człowiek byłby wibryonem, kręcącym się w brudnej wieków cieczy bez celu? a ludzkość jakąś rdzą, porosłą na stariej ziemskiej skorupie? Puść wzrok swój w głąb minionych wieków, których kości masz pod stopami. Czy od kamienniej siekiery do sprężyny twojego zegarka nie widzisz postępu? Toś ślepy... zasłaniaś oczy! Od Kafirów i Indian do Anglika niema różnicy i wzrostu? Od prawa żelaza do Wielkiej karty niema zdobyczy? Idziemy, choćby cotysiąc lat pół kroku, a pochodzenia minuty liczą się pokoleniami. Idziemy, a kto nie czuje tego, ten duszy nie ma i jest ludzkości odpadkiem!

Hrabia Filip usta wyduł i zarumienił się.

— Dziękuję! — rzekł, kłaniając się.

Ahaswera i inni uśmiechali się znowu.

— Przepraszam! — przebaknęła poeta. — Bronię najdroższego skarbu, wiary w to, że człowiek zdał się na coś i coś znaczy.

Urażony hr. Filip rozparł się w krzesło, ręce powkładał w kieszenie i milczeniem swém znać dawał, że dalszego sporu prowadzić nie myśli.

Poeta był własnym wystąpieniem poruszony mocno.

— Mnie się zdaje — szepnęła księżna Teresa, chcąc wystąpić pojednawczo — żeśmy bardzo odbiegli od pierwszego założenia. Księżna przyniosła nam wcale inne zagadnienie do rozwiązania.

— Moglibyśmy — odezwał się hrabia August — wpaść z niego łatwo na niemniej drażliwą kwestyę narodowości. Miłość własna czyni ją niebezpieczną.

— Dajmy lepiej pokój tej kwestyi — odezwał się Wiktor. — Mówią powszechnie, iż wiek nasz cechuje się uznaniem równouprawnienia narodowości, zrozumieniem ich posłannictwa. Tymczasem i fakta, i głosy z trybuny parlamentu nad Sprewą i cała literatura niemiecka, nie mówiąc już o innych, świadczy iż niektóre uprzywilejowane narodowości, sobie samym przyznając misyą społeczną i cywilizacyjną, resztę mają za barbarzyńców, skazanych na wytępienie.

— Mógłbym ja, na poparcie mojej teoryi repetycyi jednego dramatu *ad infinitum* — dodał kwaśno Filip — przypomnieć, że zupełnie tak samo Rzym, w imię cywilizacyi, chciał występować sam jeden. Nic się nie zmieniło, tylko Celsius rzymski zowie się dziś nie wiem jakim tam National-liberałem niemieckim.

— Jest wielka różnica — odparł Wiktor — bo dziś przeciwko takiemu Celsiusowi germańskiemu nie jeden Origenes wystąpi, ale głów tysiące.

— Które zagłuszą działa Kruppa.

— A potem? — zapytał Wiktor.

Wśród wszczynającego się nanowo sporu, który mógł się nazbyt długo dla milczących pań przeciągnąć, zmęczona już nim Ahaswera uderzyła nożem w filiżankę.

— *Grace! grace!* panowie — zawołała. — Prawda że ja jestem najwinniejszą, bom przyniosła niezgody nasienie. Lecz... *basta!* Przynoszę też z sobą cały worek wyśmienitych plotek. Miałam listy z różnych stron świata.

— Wolnoż spytać — wtrącił Filip — w którą z tych stron księżna się wybiera? bo nie wątpię iż wybierać się musi.

— Hrabia mnie chcesz wypędzić? Bardzom ci się naprzykrzyła? — wesoło spytała Ahaswera.

— A! uchowaj Boże! Księżna życie nam przynosisz — zawołał Filip. — Jesteś tym proszkiem musującym, który wsypany do naszej wody....

Wszyscy, nie wyjmując i tej do której dziwny ten komplement się stosował, mocno się śmiać zaczęli, a hr. Filip dodał:

— Wiem że księżna długo w jednej atmosferze wytrwać nie może; chcę przeto wiedzieć w którą stronę mam posyłać westchnienia.

Nie urażając się, Ahaswera pogroziła mu tylko, pokręciła główką i wesoło odrzekła:

— Szczęście to twoje, hrabio, żeś tego nie powiedział przed.... kilką laty. Dziś trochę mi trudno byłoby cię zbałamucić, nie mam już ochoty ani energii. Inaczej odpokutowałbyś u mych kolan, prosząc o przebaczenie! Gonilbyś za mną, gdziebym chciała.

— Nie przeczę. Jeszcze dziś groźba przejmuję mnie strachem — odparł Filip. — Jestem najmocniej przekonany o wszechmocności córek Ewy.

— Otóż, bez żartów — ciągnęła księżna dalej — wistocie myślę o ucieczce z Rzymu, bo skwar jest nie do zniesienia i powietrze nie do oddychania. Przybyłam tu dla jakiegoś interesu mego pana męża. Nie mogę się doczekać ani męża, ani interesu, więc posiedzę jeszcze trochę, a potem ruszę w świat.

— Dokądże? jeśli wolno — spytała gospodyni.

— A! nie wiem, nie wiem! Ostenda mnie już nudzi: elegancya bez oryginalności. Ludzie nadzwyczaj pospolici i zawsze ciż sami. Mam ochotę zobaczyć Biarritz. Może ztamtąd zrobię małą wycieczkę do Hiszpanii. Nie znam Grenady, nie widziałam Alhambry. Nie wiem... a państwo co robicie?

Księżna Teresa poruszyła ramionami.

— Mamy w tej chwili tak miłe towarzystwo w Rzymie — rzekła — że się nie chce go opuszczać.

— Czy ta odpowiedź jest wyrazem zbiorowego, zgodnego przekonania? — spytała ruchawo Ahaswera, spoglądając dokoła po obecnych.

Wszyscy zdawali się to potwierdzać, bo milczeli. Po chwilkę tylko, lekko zarumieniwszy się, pani Liza niespodzianie odezwała się, iż lęka się, aby nie była zmuszoną zbliżyć się do kraju.

Musiło to być dla wszystkich niemiłą nowiną, bo wyraz twarzy świadczył o zdziwieniu i czoła się zachmurzyły.

— A ja mam nadzieję — rzekła księżna Teresa — że cię uprosimy i przytrzymamy.

Milczący pan Ferdynand, który słuchał rozmowy z roztargnieniem, nie mieszając się do niej, narówni z innymi zdawał się zdziwiony tém, z czém się siostra jego odezwała. Spojrzał na nią.

Sama pani Liza myśli téj, z którą się tak nagle oświadczyła, nie miała wcale. Złożyło się na nią pobudek wiele: trochę niepokój, jaki wzbudzały w pięknej wdowie napastliwe i przykre zaloty hrabiego Filipa, nudne wejrzenia strzeliste Emila Maryi, naostatek może i jawna, choć milcząca, rozpaczliwa jakaś, odwieczna miłość hr. Augusta, za którą tylko szacunkiem odpłacić mogła.

Nieszczęśliwa kobieta miała taki wstręt do małżeństwa, taką potrzebę swobody i spokoju, po straszném, męczeńskiém z mężem pożyciu — serce jój było jeszcze tak zbolale, że sama możliwość jakiegokolwiek związku przerażała ją.

Miała największy szacunek, gorącą przyjaźń braterską, największe zaufanie w hr. Augustie; ale nie była to miłość. Chciała mu oszczędzić próżnych marzeń i złudzeń.

Naostatek... w głębi jój serca znękanego, tam gdzie własne jój oko z obawą spoglądało, rodziło się z pierwszego przestרחu i trwogi, jakich doznawała na widok Wiktora — jakieś uczucie dziwne, gwałtowne, budzące większą jeszcze obawę. Wiktor ten, którego się tak ulękała przy pierwszym spotkaniu, nie schodził jój z myśli. Oczy jój i dziś mimowolnie zwracały się na niego. Czuli, że jakąś siłą fascynacyjną ciągnął ją ku sobie. Wołała uciec, niż poddać się i uznać zwyciężoną.

Przeszłe życie nauczyło ją wiele. Czytała w sobie budzącą się jakąś namiętność niezrozumiałą, której uledek nie mogła, nie chciała.

Człowiek mógł być niegodzien jój serca; zresztą miała dotąd niewzruszone postanowienie złamanego życia nie rozpoczynać nanowo. Oświadczyła to głośno... miałażby sama kłam zadać sobie?

Przerażało ją to, że tego wieczora, ile razy mimo swój woli, ukradkiem zwracała oczy na Wiktora, spotykała ciągle zatopione w sobie jego wejrzenie, dreszczem ją przejmujące. Uczucie swe porównywała w duchu do wrażenia, jakiego nerwowi ludzie doświadczają na wyżynach. Zawraca się im głowa — chcą paść.... *abyssus vocat!* Temu ciągnięciu do przepaści, które ją niepokoiło, zdawało się jój że oprzeć się miała siłę.

Szybkość, z jaką w przeciągu niewielu dni, a szczególnie od ostatnich dwudziestu czterech godzin, rozwijało się w niej to uczucie, w którego możliwość niedawno jeszcze by była nie wierzyła — powiększyła trwogę. Uciekać, uciekać! mówiła w duchu. — Jeszcze dni kilka, a kto wie czy będę panią siebie!

Posuwając tę obawę do najwyższego stopnia, pani Liza zaczęła się wkrótce uskarżać na ból głowy i, parę razy spotkawszy się jeszcze z tym wzrokiem, który miał nad nią taką siłę, pożegnała księżnę, szybko wysuwając się z pałacu. Brat podał jój rękę i przeprowadził na Via Sistina.

Zaledwie wyszli na ulicę, Ferdynando pośpieszył z zapytaniem, które mu paliło usta.

— Moja droga Lizo! Cóż to się stało? Nie wspomniałaś mi dotąd wcale o zamiarze opuszczenia Rzymu.

— A! — słabym głosem odparła siostra — bom wcale zamiaru tego nie miała. Lecz, koniec końcem, coraz się czuję słabszą, powietrze mi tu nie służy. Duszno mi, słabo, słabo... głowa cięży! Nie jest-to pora do pobytu w wieczném mieście. Muszę gdzieś wyjechać... odetchnąć.

— I to postanowienie zrobiłaś teraz dopiero? — spytał brat, który niebardzo chciał Rzym opuścić, a miał do tego powody, z których spowiadać się nie mógł.

Wdowa szła szybkim krokiem, oparta na ręku brata, nie odpowiadając na jego pytanie.

Po chwili Ferdynand powtórzył:

— Więc to już niezmiennie?

— Proszę cię, nie badaj mnie dziś tak natarczywie — odpowiedziała. — Jestem zmęczona, znudzona; nie wiem sama, co mi jest. Ahaswera ma talent niecierpliwienia mnie.

— Ale ona wkrótce wyjeżdża, jak mówiła sama — dodał brat.

— Ona... Ona nigdy nie wie czego chce i co jutro pocnie — niecierpliwie rzekła Liza. — Jutro przyjdzie jój fantazyja nowa. Zrobi jaką znajomość, do której przyznać się będzie trudno, wplącze się w jakąś intrygę..

— Za jedną tę nieznosną księżnę płaci druga — odparł Ferdynand. — Milszój nad nią znaleźć trudno, lepszego serca, sympatyczniejszego charakteru...



— Szkoda że nie młodsza — uśmiechnęła się siostra — gotówbyś się w niej zakochać.  
— Nawet tak jak dziś jest zakochałbym się w niej łatwo — odrzekł brat żywo. — Ale wiem że się to na nic nie zdało: wyśmiałyby mnie.

— Trzpiot z ciebie! — przebaknęła Liza i dodała żywo: — Ale proszę cię, nie miałam czasu cię wypytać o to, kto jest ten twój oryginalny pan Wiktor, który u nas wystąpił jak bandyta, a dziś się nam przedstawił w tak zmienionej postaci. Co to za nowa zagadka?

— Ja go mało co więcej znam od ciebie — począł Ferdynand lekceważąco. — At, dziwak jakiś; o sobie nie powiada nic, oprócz że jest zwichnięty. Z całą swoją ekscentrycznością, trochę śmieszna, gdy chce, człowiek to bardzo miły.

— A! a! — szepnęła Liza, jakby wyzywając do dalszych zwierzeń.

— Odbyliśmy z sobą parę przechadzek — mówił brat. — Zna doskonale wszystkie Rzymu zakątki. Mówi po włosku, jakby się tu urodził; nauki ma wiele, a nie pedant, dowcipu dużo...

— Ale któż to jest przecie? — wrzuciła siostra.

— Tego ci nie umiem powiedzieć — odezwał się Ferdynand. — Wyciągnąć z niego nic niepodobna. Cóż musi być w jego przeszłości do tego milczenia zmuszającego. Ze wszystkiego jednak wnosić można, iż nie jest takim demagogiem, na jakiego wygląda. Więcej lat musiał spędzić w salonach, niż na ulicy.

Szli z wolna. Zadumana pani Liza pytań już więcej nie zadawała, a powróciwszy do domu, natychmiast, skarżąc się jeszcze na ból głowy, pobięła zamknąć się w swoim pokoju. Pan Ferdynand, spojrzawszy na zegarek, wymknął się pocichu na wieczorną przechadzkę.

Z osób pozostałych w salonie księżny Teresy, po wyjściu pani Lizy, pierwszy wysunął się z angielska bez pożegnania hrabia Filip. Nie mógł jeszcze strawić tego, że poeta, którego nie cierpiał, zaliczył go do odpadków ludzkości... jego, który sam się liczył do reprezentantów jęj wyboru!

Jedynym urokiem, jakie towarzystwo to miało dla niego, była pani Liza; nie miał więc już tu co robić po jęj wyjściu, a choć chętnie dworował hrabiemu Augustowi, aby okazać w oczach ludzi, iż znakomity ten mąż jest z nim w poufanych stosunkach, na ten raz, skwaszony, jego nawet porzucił.

Obrachował też, że choćby najznakomitszego posągu być zawsze tylko cieniem, nie podnosi wielce człowieka.

Dał dowód samoistności, wychodząc bez zaczekania na towarzysza.

Księżna rozpoczęła żywą rozmowę z panem Wiktorem, a że potrafiła o stosunki kraju, swą rodzinę i znajomych, zdziwiła się mocno, postrzegłszy z kilku słów słuchacza, że człowiek ten, nieznanu tu nikomu, zdawał się doskonale świadomym tego, co się jęj rodziny i kółka w jakim się obracała tyczyło. Zdradził się z tą świadomością poniewolnie rzuconemi nazwiskami, których cofnąć było niepodobna.

Do nich dwojga przyłączył się wprędce, zapytaniem jakimś wciągnięty, hrabia August, a poetę rzucono na pastwę Ahaswerze. Byli z sobą oddawna dobrze znajomi, nigdy jednak na płochym ale wrażliwym umyśle księżny nie uczynił Emil takiego wrażenia, jak dnia tego.

Była tak jakoś usposobioną, znudzoną, spragnioną nowości, iż biedny geniusz znalazł w niej pełną zapału czcicielkę. Zdawna już życzyła sobie być unieśmiertelnioną; zdało się jęj, że lepszej ku temu sposobności znaleźć nie może.

Przysunęła się do niego ciekawie.

Poeta, gdy mu brakło audytoryum i wielbicieli, gotów był najskromniejszą karmić się sympatyą. Lekceważony przez panią Lizę, rad był choć księżnę mieć z sobą i za sobą, bo niewieściego współczucia potrzebował. Na skinienie więc przyłgnął do Ahaswery.

Mieć geniusz we władaniu swém zdało się księżnie wielce zabawném, choćby dla spróbowania czy był twardesty. W Rzymie dosyć robiło się nudno; żadnej intrygi ani zawiązać, ani się w nią wplątać nie było podobna. Rozpatrywała się więc w poecie. Nie był zachwycającym, ale miał w sobie coś niepospolitego, umiał nosić się z sobą. Na pokaz, jako *cavaliere servente* z aureolą, mógł się przydać na czas jakiś. Ahaswera, zawsze się niedługo namysławająca, żywa do zbytku, posłuszna wrażeniom, zbliżyła się więc poufale do niego, zawiązując półgłosem rozmowę, której wyraz serdeczności nadać umiała.

— Stęskniłam się za wami, kochany poeto — rzekła — bo wieki już jakem was nie widziała. Tysiąca rzeczy ciekawą jestem bardzo, bardzo! Co się dzieje z temi piękniemi jego

zarysami poematów, obrazów, kreacyj wszelkiego rodzaju, które się domagały wcielenia? Co stworzysz? coś utworzył?

Emilowi zabłyśły oczy. Przybrał postawę zadumaną, opierając się na rękę, niby Zyg-  
munt w portrecie Ary Sheffera — bo rad był go naśladować... niestety!

— Ja! — zawołał z ciężkim westchnieniem — ja skazany jestem na przejście po tej  
ziemi, nie zostawując trwałego śladu po sobie. Wina to mojego niedołęztwa, czy natury  
ducha tego, który żyje we mnie? ja nie wiem. Woli mojej nie umiem nagiąć do wymagań  
małych, pospolitych ludzi, a przez łaskę tłumy, którym pogardzam, dobijać się rozgłosu,  
sławy i uznania! Głoszą mnie dziwakiem. Jestem zrażony. Dla nędznej sławy pochlebcą  
płaskim być nie chcę... Nie pochlebiałbym monarsze, nie mogę gminowi. Usta się moje  
nie zmażą fałszem.

Księżna słuchała z rzeczywistym czy z udanym współzuciem, lecz okazywała zajęcie  
wielkie. Ciągnął więc dalej:

— Penzle połamałem i rzuciłem. Niech malują iluminatorowie cudzych, wyblakłych  
myśli. Wyrzekam się malarstwa, bo sztuka przeszła w rzemiosło. Skupiam wszechsiłę  
moję w poezję, w słowo...

— Pisziesz pan poemat? O, mój Boże! — przerwała pani. — Co to za szkoda, że tego  
naszego języka nikt nie zna, że naszych wieszczów taka mała garstka słucha! Gdybyś pan  
pisał po francuzku, po włosku — po angielsku...

Emil Marya dziwnie wykrzywił usta i czoło sfałdował.

— Powinni tłumaczyć — zawołał dumnie. — Zniżyć się do trawestowania swych my-  
śli nie godzi. Wprawdzie u nas dziś słuchaczy nie ma; jednym brzmi jak ostatnie poezji  
słowo pieśń Adama, drugim migoczą brylanty Juliusza, innym proroczy głos Zygmunta  
wszystko zagłusza; a choćbym ja ich trzech zlał na bronz koryncki mojego posągu — dziś  
pozostałbym niezrozumianym, bo im serce drga do innych, przebrzmiałych dźwięków.

Księżna oka z niego nie spuszczała. Emil Marya czuł się tym odżywiony i coraz śmiel-  
szy. Ręką odrzucał włosy, czoło podniósł ku górze i wywraçał oczy.

— Bardzobym była ciekawą — odezwała się księżna — tego wielkiego dzieła, nad  
którym pan pracujesz dla potomności. Jestem pewna, że to będzie wielkie i piękne, nie-  
śmiertelne dzieło. Nigdzie większego pan współzucia, szczerzego uwielbienia nie znaj-  
dziesz, jak u mnie.. Chcę korzystać z tych dni, które jeszcze w Rzymie przepędzę. A więc  
proszę bardzo mój dom za swój uważać.

To mówiąc, znacząco ścisnęła go za rękę. Była to zawsze rączka niewieścia, choć nie-  
młodej, ale wielkiej pani. Poeta uczuł, że mu dawno dymisjonowane serce w piersiach  
zadrgało.

— Wiiesz co, kochany poeto — dodała żwawo, wstając i poprawując sukienkę — na  
początek ściślejszego między nami stosunku, dziś idziemy razem. Odprowadzisz mnie do  
domu. Mam powóz, ale pójdziemy pieszo. Rzym nocą może cię natchnie i ja coś pięknego  
posłyszę.

Pan Emil wstał z twarzą rozjaśnioną, okazując nietylko gotowość towarzyszenia, ale  
wielką skwapliwość. Księżna podeszła żywo ku gospodyni.

— Zabięram księżnie naszego poetę, któregom sobie uprosiła za towarzysza, aby mi  
droga do domu przez puste ulice nie tak się smutną wydała. Pocciwy, dobry wieszcz nasz  
ofiaruje się chwilkę ponudzić ze mną.

— Proszę go tylko nie bałamucić! — żartobliwie odezwała się gospodyni.

— A! — odparła Ahaswera — gorzej być może. Lękam się, aby on mnie nie zbała-  
mucił. Jestem wielką jego admiratorką.

Emil tak dobrze rozumiał swe obowiązki, iż tymczasem poszedł z rzadką, prawie nie-  
praktykowaną u wieszczów pokorą, przynieść księżnie szal jęj, chustkę i kapelusz.

Ahaswerę wprawiło to w humor jaknajlepszy.

— Któż wie? — myślała w duchu. — Człowiek ten, wistocie niepospolity, może się  
dorobić nieśmiertelności, a wszystkie przyjaciółki nieśmiertelnych idą za nimi do świątyni  
sławy. W ten sposób i ja bym się dostała tam. To coś warto!

Wszyscy goście pozostali, uważając pożegnanie Ahaswery za znak do odejścia, ruszyli  
się i Wiktor także. Księżna, która nie zatrzymywała nikogo, w chwili gdy się miał żegnać,  
rzekła do artysty półgłosem:

— Proszę pana, zostań jeszcze minutkę; mam mu zadać jedno niedyskretne, śmieszne może pytanie, które kobiéciej ciekawości zechcesz przebaczyć.

Hrabia August wyszedł natychmiast za Ahaswerą, którą poeta, pochylony ku niej, prowadził pod rękę z niemalym kłopotem, bo mu się, kręcąc ciągle i poruszając, wrywała cochwila.

Wiktor, z kapeluszem w rękę, stał, oczekując.

Do stroju jego, na ten wieczór umyślnie dobytego, należał szczegół jeden, który oczy księżny Teresy ciągle ściągał na siebie. Miał czarną chustkę niedbale zawiązaną na szyi, Wiktor miał wpiętą szpilkę, z dosyć dużą, bardzo piękną kameą.

Wyobrażała ona temat dosyć zużyty w rzeźbach starożytnych: boginię zwycięstwa, wieńczącą popiersie stojące na monumentalnej podstawie. Przedmiot był pospolity; lecz niepospolite jego wykonanie mogło być tylko dziełem wielkiego artysty, jednego z tych greckich incisorów, rzeźbiarzy małych figurynek, w których czuć, że mistrze ci mogliby byli, gdyby chcieli, równie doskonale kować kolosy. Figura Wiktoryi, pomimo lekkiej draperyi, wychodziła z pod niej tak przedziwnie pięknymi kształtami, iż żadna Wenus otłuczona z marmuru zrównałaby jej nie mogła. Nie było szczegółu na tej prześlicznej miniaturce kamienną, któryby był zaniedbany.

Księżna nieśmiało, rumieniąc się, drżąc niemal, wskazała na szpilkę i przemówiła głosem łagodnym, jakby o przebaczenie proszącym:

— Daruj pan! Jak, z kąd dostała się panu ta kamea?

Wiktor drgnął cały, niby teraz dopiero przypominając sobie, że ta szpilka zdradzić go mogła. Machinalnie dotknął jej ręką i wnet odzyskawszy panowanie nad sobą, odrzekł głosem prawie spokojnym:

— Ta kamea, to pamiątka jedyna dni szczęśliwych. Księżna daruje mi, że pochodzenia jej, jak wogóle wszystkiego co się mojej przeszłości tyczy, wyjaśnić nie mogę. Są to rzeczy bolesne, rany ledwie przywrzałe. Nie mam w tych dniach ubiegłych nic, czego bym wstydzić się potrzebował, lecz o wszystkiém radbym zapomnieć.

— Panie, błagam cię, pokaż mi bliżej tę szpilkę — przerwała księżna jakkolwiek to prośba śmieszna może, dziecinna i do zbytku natrętna!

Artysta szybko odpiął kameę i położył przed księżną, która pochwyciła ją żywo, zbliżyła do lampy i przypatrywać się zaczęła pilnie. Odwróciła ją na drugą stronę i lekki wykrzyk wyrwał się z ust jej mimowolnie.

Siadła zadumana.

— Rzecz zadziwiająca — rzekła po namyśle. — Podobne rzeźby na kameach powtarzają się często, chociaż tło i barwy rzadko bywają jedne. Tu wszystko mi znaną dawno przypomina aż do najmniejszych drobnostek. Oprawa jest jakby też sama...

Wiktor, któremu gospodyni oddała kameę, powoli schował ją do kieszeni.

— Zupełnie podobną kameę — mówiła dalej księżna — widywałam w moich młodszych latach i pamiętam jak mnie uderzała pięknnością swoją. Należała do jednej z osób rodziny męża mojego.

— Niéma w tém nic niepodobnego — przerwał Wiktor — by dwie zupełnie jednakowe na tym samym kamieniu wykonał artysta i żeby je złotnik potem w ten sam sposób obie opracował. Dla mnie kamea ta jest bardzo drogą pamiątką.

To mówiąc, westchnął.

— Gdyby nie była prawie jedyną — dodał — rozstałbym się z nią, chętnie z niej czyniąc ofiarę...

Księżna zakrzyknęła, protestując.

— Pan mnie nie zrozumiałeś — zawołała. — Nie mam najmniejszej chęci, nie miałam myśli starać się o posiadanie tej ślicznej rzeczy. Szło mi o to tylko, jaką drogą mógł ten klejnocik, do którego przywiązywano wysoką cenę, uważając go jakby za amulet, zachowując z zabobną troskliwością, przejść w ręce obce...

Artysta, słuchając z głową spuszczoną, smutny, zafrasowany, myślą zdawał się być gdzieindziej.

— Losów kamei wytłumaczyć nie umiem — rzekł stłumionym głosem. — Do mnie dostała się ona także z rąk drugich, jako amulet i pamiątka.

— Rzec niepojęta! — szepnęła księżna, ręce składając. — Przebac mi pan, przepraszam go! Nie bylam panią siebie. Prawda że mi pan niedorzecznej ciekawości mojej za złe nie weźmiesz?

I podała rękę stojącemu w zadumie Wiktorowi, który z wolna zbliżył do niej usta, pocałował ją z uszanowaniem, skłonił się i wyszedł.

Księżna została w miejscu zmieszana, nierada z siebie, zasmucona. Zdawała się wyrzucać sobie niepotrzebną tę ciekawość. Rysy jęj, zwykle wypogodzone, powlokły się wyrazem wewnętrznej jakiejś bolesti.

Rzuciła się na fotel i zadumała, tak że wchodząca wierna jęj Kunusia, trochę przelękła, musiała ją z tego stanu niezwykłego wywołać pochwyceniem za rękę i wykrzykiem:

— Co pani jest?

Księżna, uśmiechając się, podniosła ku niej oczy i szepnęła cicho:

— Nic, nic, Kunusiu kochana. Ot tak... trochę jestem zmęczona.

Przyjaciółka, powiernica, sługa, kuzynka, Kunusia była nieco starszą od księżny, a, jak to się zwykle składa, gdy dwie osoby długo z sobą żyją razem — przybrała w obcowaniu z nią coś z jęj ruchów i wyrazu twarzy. Niepiękna, miała oblicze spokojne i uśmiechnięte, oczy rozumne... Dostyc słusznego wzrostu, silna, zdrowa, ubrana starannie, ale bez żadnej pretensyi, skromna i naturalna, była sympatyczną bardzo i widząc ją, łatwo się to tłumaczyło, że księżna kochała ją jak siostrę, a żyć bez niej nie mogła.

Po namyśle, księżna odezwała się do stojącej i oczekującej jaśniejszego tłumaczenia Kunusi:

— Co to mnie dziś spotkało, Kunusiu kochana! Rumienię się za dzieciństwo moje. Pamiętasz pewnie tę szpilkę z kameą, którą nosił zawsze stary ojciec męża mojego? Wystaw sobie, spostrzegam ją dziś u zupełnie nieznanego człowieka. Nie mogłam wytrzymać: spytałam, prosiłam o jęj pokazanie. Przysięgłabym że taż sama! Lecz jakże się ona do niego dostała? Stary miał ją za talizman szczęścia...

Kunusia słuchała z uwagą wielką, myślała długo i z wyrazu jęj twarzy dorozumiewać się było można, iż ona może tłumaczyła sobie przejście tego kamienia w obce ręce, ale zamilczć o tém musiała.

— Proszę księżny, ale któż to taki, co ma teraz tę szpilkę? Jak się zowie? — spytała.

— A! ten nieznanomy, artysta czy nie wiem kto, o którym ci mówiłam. Polak i zdaje mi się z naszych stron, bo zna osób wiele...

Panna Kunegunda, wysłuchawszy odpowiedzi, jakiś czas stała milcząca; potem, chcąc zatrzeć wrażenie przypomnień niewesołe, odezwała się do księżny:

— A! mało to podobnych szpilek na świecie być może? Zresztą mógł ją sobie kto przywłaszczyć i sprzedać. Niéma nad czém medytować... Księżnieby spocząć należało.

Posłuszna pani podniosła się z krzesła powoli i razem poszły do sypialni, zadumane obie.

---

Na Babuinie, jak mówił, pan Wiktor miał mieszkanie na trzecim piętrze. Niegdyś przez długie lata zajmował je znakomity niemiecki artysta, który raz sercem przyrósłszy do Rzymu, nie mogąc się już rozstać z wiecznym miastem, osiedlił się tu i zaprzyjaźniwszy z właścicielem domu, rodzaj pracowni sobie, kosztem własnym, obok mieszkania wyporządził.

Po śmierci jego dość długo studia niebardzo wygodne i połączone z niem nierozdzielnie izdebki pozostały bez lokatora. *Affitarsi* próżno napisane było na bramie.

Ażeby się do tego mieszkania dostać, potrzeba było przechodzić podwórko dość zabrukane, drapać się po bocznych schodach niewygodnych, a choć pracownia miała piękne zgóry światło północne, żadnym refleksem niepopsute, z izdebek zato okna wychodziły na brudny i ciasny zaułek, tak że przez nie wyjrzcć trudno było bez wstrętu.

Trafem jakimś Wiktor dowiedział się o tém studio malarskim do najęcia, a dziwactwem jakimś znalazł je dla siebie nietylko dogodnym, ale jaknajmilszym. O widok z mieszkania nie chodziło mu wcale, bo do niego najczęściej tylko na noc, i to niezawsze, przychodził. We dnie, jeżeli mu fantazyja przysła pracować, siedział w swém studio, do którego nigdy nie wpuszczał nikogo.

Mało kto też go tu odwiedzał. Nie zapraszał do siebie, a nowe znajomości niechętnie robił. Lubił być z samym sobą.

Czasem godzinę jaką spędzał w Cafe Greco wśród artystów, jadał z nimi u Leprego, zawiązywały się rozmowy często żywe bardzo; ale dziki trochę Wiktor nie narzucał się nikomu i niełatwo dał spoufaląć.

Z rozmów o sztuce brano go powszechnie za artystę, miał też, jakżeśmy mówili, fizygnomią artystyczną. Na zapytania jednak, czynione przez konfratrów tego cechu, jakiemu się rodzajowi malarstwa poświęca, odpowiadał ruszeniem ramion, zapiérając się honorem noszenia tytułu artysty.

— Jestem pogardzenia godną istotą — mówił — niczém więcéj, tylko nieszczęsnym dyletantem.

Nie wyglądał jednak wcale na tego hybryda, co, wedle wyrażenia Niemców, w tém znajduje przyjemność, iż pragnie robić czego nie umie.

Z mowy jego odgadywano głębsze daleko studia, niżeli je dyletanci miéwać zwykli. Podpatrzono w sekrecie wykradzioną mu z kieszeni książkę szkiców, a choć one wszystkie były bardzo pobieżnie rzucane, zbyt wprawną zdradzały rękę na prostego miłośnika sztuki.

Natręci ciekawi a podejrzliwi chcieli go podejść zdradą i wtargnąć do pracowni; ale ta była zawsze hermetycznie zamknięta, a w niebytności artysty, stara gospodyni Anuncyata nie dawała się niczém skorumpować, aby wpuścić do przybytku. Trzęsła głową posiwiała, wywijiała rękami, czarnemi i powtarzała uparcie:

— *No — no — no! e chiuso! chiuso!*

W mieszkalnych izdebkach Wiktora, oprócz wielkiej ilości najrozmaitszych książek podartych nieposzanowanych, porozrzucanych, leżących pod kanapami, na kominach, na szafach, na stołach, a nawet na podłodze, nie było nic więcéj, mogącego zajęcie jego lub powołanie oznaczać.

Wielkiej dbałości o porządek wcale tu widać nie było; że Anuncyacie zakazano tykać ksiąg i papierów i z miejsca je poruszać — obchodziła je z poszanowaniem, dając się na nich i koło nich gromadzić pyłom i śmieciom.

Z mieszkania niełatwo się też było domyślać stanu kieszeni gospodarza. Płacił on bardzo regularnie, nie targował się zbyt, ale dla siebie był oszczędnym i życie prowadził skromne, jak gdyby tym artystą wistocie był, którego się imienia wypierał.

Stara gospodyni narzekała na fantastyczność człowieka, który nigdy prawie nie powracał w pewnych i oznaczonych godzinach, absentował się, nie opowiedziawszy, tygodniami, a czasem znowu w domu siadywał zamknięty, żywiąc się najdziwaczniej niewiedzié czém, jak anachoreta.

Równie niepojętém wydawało się staréj słudze domu, iż przyjaciół i znajomych miał tak mało, do siebie niechętnie wpuszczał, i ludzi wcale nie zdawał się pożądać.

Trzeciego dnia po wieczorze u księżny Teresy, poeta, którego chwilowo opanowała była na swój wyłączny użytek Ahaswera, w dosyć ożywionym humorze wychodząc od niéj z hotelu, trafem się zetknął z Wiktorem, który z pledem przewieszonym przez plecy, z kijem, w sławnym swym kapeluszu kalabryjskim, zdawał się znużony powracać z jakiegó wycieczki.

Od poznania się z nim u księżny, zaniepokojony tém co słyssał o zagadkowym człowieku, Emil Marya pragnął koniecznie dotrzeć do głébi jego.

Miał jakiegó przecucie, że w nim powinien się być lękać rywala-malarza, a nawet może poety. Chciał wiedziéć z kim ma do czynienia... niepokoił go.

Pomimo więcéj że Wiktor, dojrzawszy Emila, pomknął dosyć zwawo, jakby go chciał uniknąć, przyspieszywszy kroku, poeta powitał go poufale i serdecznie, zmuszając do rozmowy.

— Nie godzi się tak uciekać od kolegów — zawołał — boć kolegami jesteśmy. Próżno się tego zapiérac. Wprawdzie ja czasowo niewdzięcznego wyrzekłem się malarstwa, ale w duszy artystą być nie przestałem. Nie chcę tylko mieszać się z tym tłumem bazgraczy, co smaruje dla Anglików błażństwa.

— Miłémby mi było i zaszczytném — odezwał się nieco ceremonialnie Wiktor — nosić nazwisko kolegi szanownego pana, ale, niestety, artystą nie jestem, poetą mnie Bóg nie stworzył, a... *poetae nascuntur*.

— No! no! — wół żartobliwie podchwycił Emil, pod bok mu się cisnąc. — Mów sobie co chcesz. Dosyć na was spojrzeć, aby poznać urodzonego z Bożej łaski artystę i męczennika, boć to na jedno wychodzi. A toż — dodał, wskazując na album w oprawie z szarego płótna, wystające z kieszeni — przecież *corpus delicti!*

— Szanowny wieszczu! — przerwał nieco szydersko Wiktor — widzisz codzien po ulicach Rzymu Angielki obarczone podobnymi albumami, a — do kaduka! jeżeli je wszystkie masz za artystki...

— Ba, ba! — nie odstając od Wiktora i ciągnąc z nim dalej uparcie — rzekł Emil. — Mów co chcesz. *Siamo fratelli!* to się czuje przez skórę, zgaduje; przeciwko temu nie pomoże wypieranie się i przesadzona skromność.

Wiktor rozśmiał się obojętnie, z rezygnacją.

— Dokąd idziesz? — zapytał poufale poeta.

— Powracam do domu — rzekł Wiktor; — ale w *trattoryi* na przedmieściu rano zjadłszy tylko kawałek zilczalego salami, popitego kwaśnym winem, potrzebuję zajść gdzie, choćby na jakie pozostałe od obiadu *brodo*, aby z głodu nie umrzeć.

— Ja wprawdzie jadłem obiad u tej wyśmienitej Ahaswery i syt jestem, a wino było doskonałe; pozwolicie mi jednak towarzyszyć sobie, abyśmy się bliżej poznali. Czuję w was duszę bratnią.

Wiktor, z uśmiezkiem na ustach, dziękować musiał. Szli więc razem.

— Człowiek — począł zaraz Emil, nachylając się ku milczącemu Wiktorowi — człowiek, zmuszony przebyć jakiś czas w zgnilej atmosferze tego świata, co to się niby wielkim nazywa, nasłuchawszy się jego paplaniny, tego brzęku grzechotników — bo czémże są ich rozmowy?... potrzebuje się orzeźwić słowem jednego z tych ludzi, co zdrową w sobie duszę zachowali.

Poecie zdawało się czy ze stroju, czy z miny, że w Wiktorze znajdzie sympatyczne echo tego tonu demokratycznego.

— Widzę że nie lubicie panów i ich salonów — odezwał się Wiktor.

Emil Marya, w potrzebie zmieniający często przekonania, co mu przychodziło z łatwością, gdyż stałych w sobie nie miał, a wrażeniom ulegał — nie wiedząc w którą stronę może się puścić bezpiecznie, zasępił się i zadumał.

— A wy? — zapytał — a wy?

— Ja? Lubię rozmaitość! — odparł Wiktor wesoło. — Bawi mnie z kolei lud prosty, cygańska fantazyja artystów i przywoity, wonny szczebiot salonów. Wszędzie są ciż sami ludzie, w różnych tylko strojach, wszędzie typy ciekawe.

— Ale tak, masz słusność! stokroć masz słusność! złote słowa! — pochwycił z zapalem poeta, porywając za rękę towarzysza. — Jest to dowodem prawdziwej wyższości, gdy człowiek ze wszystkimi żywiołami życia umie być w zgodzie, gdy wszystkie pojmuje i rozumie. *Tout comprendre, cest tout pardonner!* Zresztą dla nas obowiązkiem jest badać człowieka we wszystkich jego objawach najrozmaitszych, aby umieć go malować jakim jest.

Gdy to mówili, Wiktor znalazł się u drzwi małej trattoryi, w której jadał czasami, dla widywania pięknej Pepity. Zawrócił więc do wnętrza.

Emil zdawał się zdziwiony nieco, iż do tak lichego kąta wszedł człowiek, którego o wykwintniejsze gusta posądzal, pociągnął jednak za nim.

Z drugiego pokoju, zobaczywszy dobrego swego przyjaciela, panna Peppita, nie wytworniej ubrana jak owego wieczora, poprawiwszy chustynkę na piersiach, wybiegła doń uśmiechnięta. Była cudnie piękną, jak zawsze, ale brudniejszą niż kiedykolwiek. Czarne ję, bujne włosy połyskiwały od jakiejś tłustości, którą dnia tego świeżo musiały być namaszczone; prześliczne rączki trochę zapracowane, brunatne były opaleniem i robotą koło kuchni; ale oczy ognia pełne, zębki perłowe i te linie klasyczne, których jeszcze praca i wiek nie miały czasu wyszczerbić, czyniły ją dziwnie piękną.

Poeta wpatrzył się w nią długo, z milczącym uwielbieniem i zachwytem artysty, gdy Wiktor tymczasem wesoło z nią rozmawiał, usiłując coś znośnego utargować do jedzenia.

Fiaskon z winem, chleb i sér tarty zjawily się naprzód na grubiej, szarzej serwetce. Dziewczę więcj miało ochoty do rozmowy, niż do posługi.

— Teraz — odezwał się, zasiadając u stołu, Emil — rozumiem dlaczego wybraliście sobie tę trattoryjkę. Najgorszy obiad może smakować, przyprawny takimi oczami.

— A! a! — odparł Wiktor, chleb łamiąc. — Wierzcie mi, że te śliczne oczy w inny sposób mnie nie ciągną, tylko jako model, jak obrazek! Wiek w którym pierwsza lepsza twarzyczka, namaszczona młodością, obudza szale i namiętności, dla mnie już przeszedł.

Kończył te słowa, gdy w progu, szybkim nadbiegającym krokiem, ukazał się pan Ferdynand. Obejrzał się, zobaczył siedzących, skrzywił się i prawie chciał cofnąć; ale go już widziano, uciec nie wypadło.

Wiktor, poznawszy go, rozśmiał się z politowaniem.

Milczący w większym towarzystwie, szczególnie przy kobietach, Fernando w mężkim kółku poufałym mówił chętnie i był wesołym kolegą.

— A! panowie tu? — zapytał zmieszany nieco, jakby nie wiedział co powiedzieć.

— Że my tu jesteśmy — odezwał się Wiktor szydersko — to się łatwo tłumaczyć daje, bo ja się najczęściej truję u pięknej Pepity. Ale pan co tu robisz?

Zarumienił się trochę młodzieniec, lecz natychmiast śmiałość zwykłą odzyskał.

— A gdybym ja, choć wcale nie artysta, chciał także studyować poswojemu piękne rysy panny Pepity?

— Tobys pan sobie zgóry powinien powiedzieć, że go to studyum tylko do desperacji doprowadzić może — rzekł Wiktor. — Z ubogimi dziewczętami tego rodzaju gra bardzo niebezpieczna. Rodzice mają je na oku, one same też wymagają nie zalotów i prezentów, ale miłości w całym znaczeniu tego wyrazu, i to na wieki wieków.

Pan Ferdynand, słuchając jednem uchem, oczyma biegał po kątach, czy gdzie Pepity nie zobaczy.

— Ale dlaczegoż mi pan zbójce jakieś zamiary przypisujesz względem Pepity? — zapytał.

— Ja tylko ostrzegam z dobrego serca — odparł artysta.

Pepita wchodziła właśnie, niosąc jakąś smażynę, i zobaczywszy pana Ferdynanda, zarumieniła się, namarszczyła, przybrała minę dumną i zagniewaną. Można było z tego posądzać młodzieńca, że już uczynił krok jakiś fałszywy, którym piękne dziewczę obraził.

Unikając jego wzroku, Pepita postawiła na stole przyniesioną potrawę, przemówiła do Wiktora i natychmiast zabrała się odchodzić.

Pan Ferdynand, naprzekór tej obojętności, pozdrowił ją. Odpowiedziała mu jak królowa dworzaninowi, który popadł w niełaskę, i natychmiast śpiesznie wyszła do drugiej izby.

— Wiész pan — odezwał się, jedząc, Wiktor. — Widzę z obejścia się z nim Pepity, iż między państwem coś zajść musiało.

Fernando zarumienił się. Dobywał właśnie cygara i jedno z nich podawał poecie, co mu dozwoliło namyśleć się nad odpowiedzią.

— Cóż miało i mogło zajść? — rozśmiał się. — Nie taję się, że chciałem do pięknego dziewczęcia się poumizgać, ale Pepita dzika...

— A! a! — zawołał Wiktor. — We Włoszech, choćby z pastuszką, trzeba umieć *far l'amor*, inaczej tylko się na nieprzyjemności narazić można. Płochą zalotność rozumieją tu tylko zalotnice, dla których ona jest rzemiosłem... a Pepita... ho! ho! Toć przecie córka Rzymianina, mieszczanina wiecznego grodu i właściciela domku; ma pewnie odłożone posagowe *scudi*, które jej na gospodarstwo towarzyszyć będą. W lada miłości się nie wda i prędzejby posłuchała prostego parobczaka, który się z nią ożenić może, niż panicza, o którym wie że chce tylko zabawić się i bałamucić.

— Z tego wszystkiego ciągnę wnioszek — zawołał Ferdynand — żeś pan o nią zazdrosny.

Wiktor, śmiejąc się dobrodusznie, zwrócił się ku niemu. Poeta uważał za właściwe potwierdzić prawdy wyrzeczone przez kolegę i zapewnił młodzieńca, że o takich Pepitach, choć na dni powszednie chodzą w starych trzewikach, ani nawet myśleć było można.

— Jeśli jej pan wyznasz, że mu się podobała — dodał — odpowię ażebyś się z nią żenił, i to jeżeli się jej podobasz.

Pan Ferdynand zmilczał, nadąsany trochę.

— A dlaczegoż Pepita — odparł, zwracając się do Wiktora — nie obraża się tém, że pan tu, jeżeli się nie mylę, przychodzisz codzień, pewno nie dla kuchni, która jest okropną, ale dla oczów jej, które są cudowne?

— Bo ja jestem przyjacielem domu, starym znajomym, który jój nigdy żadnego dwuznacznego nie powiedział słowa.

Fernando rozśmiał się kwaśno.

— No — zawołał — to w Rzymie niema co robić i bardzo się cieszę, że siostra moja, której ja jestem nieodstępnym towarzyszem, dłużej tu bawić nie myśli.

— Jakto? jakto? — przerwał Wiktor żywo bardzo — państwo myślicie Rzym opuścić, gdyście zaledwie cząsteczkę jego widzieli? Ale to się nie godzi!

— Niech mnie Bóg broni — rzekł pan Ferdynand, puszczając dym cygara z melancholicznym jakimś wyrazem — abym ja siostrę moją, najpoważniej myślącą i postępującą, o jakąś płochość śmiało posądzać; ale i najpoważniejsza z kobiet ma fantazje. Zdawało mi się, że chce tu zabawić dłużej, znajdowała że jój tu było dobrze; tymczasem teraz przebąkuje, że powietrze jój nie służy, że się czuje niezdrową, że musi zmienić atmosferę...

Zawahał się nieco pan Ferdynand w tej obmowie rodzonej swój i ukochanej siostry, zmiarkowawszy, że obcy go słuchali. Ale jemu, pomimo surowości Pepity, nie chciało się opuszczać Rzymu.

Począł się cofać.

— Zresztą nie wiem jeszcze nic stanowczego — rzekł. — *Le donne son mobile*. Wczoraj wieczorem zdawała się chcieć koniecznie Rzym opuścić; dziś spytałem rano, chcąc się przygotować do spełnienia rozkazów, nie odpowiedziała mi nic. Wątpię jednak, by znowu tak prędko zdanie zmieniła.

Wmieszał się poeta, który zawsze stękał i za chorego się podawał.

— Powietrze jak powietrze — odezwał się — nie jest ono dobre w tej porze w Rzymie, czuję to na sobie; ale gdzież pani Liza znajdzie lepsze i miłsze towarzystwo? Dwie księżne, hr. August...

Spojrzał na Wiktora znacząco.

— Nie licząc hr. Filipa — szepnął wkońcu.

— A! wistocie, liczyć go nie należy — zawołał Ferdynand — bo nie wiem czy jest kto, coby się w nim kochał, albo choć go znosił.

— Tak — podszepnął poeta, minę robiąc dowcipną — ale kontrast bywa czasem potrzebny. Pieprz jest gorzki, przecież jako przyprawa doskonały.

— Ba! ba! nie jest pieprzem pierwszy lepszy liść bobkowy — zamruczał Wiktor z uśmiechem złośliwym. — Być pieprzem społeczeństwa równie trudno, jak solą.

W czasie tej rozmowy Wiktor dokończył swą bardzo skromną przekąskę, którą winem popijał.

Pepita zjawiła się z talérzykiem owoców, ale znowu tak szła i stanęła, ażeby natrętnego wzroku Ferdynanda uniknąć.

Młodzieniec, obrażony, nie mógł doznanej wzgardy przenieść, nie okazując tego po sobie. Zaczął nadto wesoło nastrojać rozmowę z poetą i starał się śmiechem głośnym dowieść dziewczynie, że się nie gryzł i do serca nie brał wcale jój obojętności.

Była to stara sztuka.

Przybycie niewczesne pana Ferdynanda nie dozwoliło pocie zbliżyć się, jak chciał, do Wiktora, a że już dnia tego nie spodziewał się z nim pozostać samnasam, pożegnał towarzystwo i powrócił na służbę do Ahaswery. Stanowczo bowiem zaczynał się do niej przywiązywać, znajdując w niej coraz więcej stron sympatycznych i pewne odbłyśki młodości.

Ahaswera też wmówiła w siebie, że Emil Marya jest prawdziwym, niefabrykowanym geniuszem i że trochę się dla niego skompromitować badaj, mogło pójść na rachunek miłości poezji...

Po wyjściu Emila, dokończywszy prędko niewyśmienitego deseru, bo *uva* wczesna była kwaśna, a figi nieświeże — Wiktor także spojrzał na zégarek. Pan Ferdynand, chociaż rad się był z wyjściem ociągnąć, obrachował że zły humor Pepity nie dozwoli mu korzystać z tego, a narazi go na szyderstwo Wiktora. I on więc, radnierz, zabiérał się do wyjścia.

Rozstali się we drzwiach tratoryi i młodzieniec wolnym krokiem pociągnął na Via Sistina.

Z krótkiej jego rozmowy z Wiktorem, którąśmy powtórzyli, z zalotów płochych do pięknej Pepity, można już powziąć pojęcie jakiegoś o charakterze brata pani Elizy.



Nigdy może rodzeństwo napozór mniej do siebie nie było podobne, a jednak węzeł krwi, który łączył bardzo lekkomyślnego kawalera z kobietą smutną, poważną, zasługującą na spólcucie i szacunek doświadczonymi i zniesionymi mężnie zawody — węzeł ten krwi, w dwu niby bardzo różnych postaciach, dawał się dojrzyć w pewnych wspólnych obu cechach, przy bliższym badaniu.

Idealna, poetyczna Eliza, zbrojąca się chłodem i obojętnością od posądzenia o serce gorące i temperament żywy, miała takie jak brat porywy ku życiu, ku jego słodyczom nieznanym.

Nie kosztowała nigdy szczęścia, bo mąż, z którym los ją związał, był brutalem i sływał jako najzepsutszy z ludzi, jako cynik obrzydły. Rozpustnik zmierzył ję rozpustę. Mimo-to zetknięcie z nim nie pozostało bez wrażenia, bez skutku: nabawiło ciekawością tego wszystkiego, co widziała ohydnie sprofanowanym.

Sływała młoda wdowa z chłodu i surowości, ale życie, którego niesmaki tylko spiła zamłodu, dopominało się u nię praw swoich. Nie wierzyła w miłość, a pragnęła gorąco kochać i być kochaną.

Zimna dotąd, gdy widokiem Wiktora została w niepojęty sposób rozbudzoną, przekonawszy się że człowiek ten czynił na nię wrażenie, któremu oprzec się nie mogła — w piérwszej chwili zapragnęła uciekać. Trwoga opanowała ją niezmierna, jakby nowego nieszczęścia przecucie.

Po wieczorze u księżny, gdy jeszcze mocnięj przekonała się, że ten człowiek zagadkowy ma nad nią jakąś władzę — nagle, jakby sama potrzebowała się tém związać, zmusić do odjazdu, powiedziała bratu, iż postanowiła Rzym opuścić.

Nazajutrz jednak, gdy Ferdynand oczekiwał już na stanowcze rozkazy, mowy o tém nie było.

Zupełnie czém inném zajęta, zdawała się unikać w rozmowie konieczności potwierdzenia wczorajszego postanowienia. Brat, z bardzo wielu względów, wcale się téż nie kwapił z przypominaniem wczorajszej rozmowy.

Dziwiło go tylko, że może poraz piérwszy w życiu znalazł siostrę jak gdyby w sprzeczności samę z sobą. Przy obiedzie była roztargniona, nieswoja.

Po powrocie z niefortunnej wyprawy do tratoryi pięknej Pepity, wieczorem znalazł Ferdynand siostrę siedzącą z książką przy balkonie, bladą i zamyśloną. Ferdynanda uderzyła zmiana, jaka się dawała widziéć dobitnie w usposobienia Elizy. Zwykle nieporuszająca się niczém, obojętna, milcząca, cierpliwa, niedozwalająca po sobie poznać wewnętrznych wrażeń — była teraz rozgorączkowaną, niecierpliwą, rozdrażnioną, a siliła się napróżno to utaić.

Zobaczywszy wchodzącego brata, rzuciła zaraz książkę i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Widziałeś kogo? — zapytała, witając go i badając oczami. — Spotkałeś się z kim? nie wiesz czy będzie u nas kto dziś wieczorem?

Pytania to były niezwykle, nigdy bowiem wprzód pani Eliza nie pożądała gości; wolała samotność, często się nawet na natrętów skarżyła.

— Z naszego towarzystwa nie spotkałem nikogo — odparł brat, poziéwając — Z jednym tylko tym dziwakiem Wiktorem widziałem się, no, i z poetą, który mu towarzyszył.

— A! — podchwyciła, żywo zwracając się ku bratu pani Eliza. — Gdzież spotkałeś tych panów?

— Przypadkiem, przechodząc około lichęj garkuchni, w której niespodzianie ich spostrzegłem — dodał z uśmiéchem pan Ferdynand. — Ten artysta czy nie artysta upatrzył tam sobie bardzo ładną dzieweczkę, którą pewnie za model sobie wybrać musiał.

Uśmiéchnął się złośliwie, dwuznacznie i w téj chwili, spojrzawszy na siostrę, dostrzegł płomień na ję twarzy, który przypisał niewłaściwemu swemu wspomnieniu o dziewczyni.

Siostra zwykle za najmniejszą nieprzyzwoitość mocno go karcila. Teraz jednak przystąpiła do niego z ciekawością.

— Miałam się ciebie spytać — rzekła. — Ten dziwak, ta zagadka, ten ktoś niby artysta, jak ci się zdaje, kto to może być? Wszystkich nas intryguje, a ty go bliżęj znasz... Wczoraj u księżny...

— Wczoraj był jakby zamaskowany — dokończył Ferdynand. — Takim go jeszcze nie widziałem.

— Przepraszam cię — przerwała mu bardzo gorąco i tonem niezwykłym siostra. — Pięrszą razą, gdy tu do nas wszedł w tym stroju dziwnym, wydał mi się jakby zamaskowany; ale wczoraj był właśnie jakby w swoim naturalnym stanie. Co ty o nim sądzisz? mów! To nie jest artysta, nie, to człowiek z naszego świata i z naszych stron. Przewał się... w tém jest jakaś tajemnica.

— Ale cóż to cię ma tak żywo obchodzić? — rzekł Ferdynand, śmiejąc się. — Pięrszy raz widzę cię tak zajętą, zaciękawioną.

Siostra, nanowo się zarumieniwszy, ale tym razem z niecierpliwości i trochy gniewu na brata, który sobie nadto pozwolił, zawróciła się milcząca, dumna i poszła ku balkonowi, nie dając mu odpowiedzi.

— Przepraszam cię! — pośpieszył dodać Ferdynand, goniąc za nią, bo siostry bał się i szanował ją — przepraszam! nie gniewaj-że się!

Pani Eliza sparła się na balkonie i nie raczyła przemówić. Ferdynand musiał pokornie pójść za nią i, zdobywszy rączkę opierającą mu się, pocałował ją.

— Moja droga! — rzekł błagająco — ale cóżem ja tak złęgo powiedział? Przecież grzęchem nie jest ciekawość, a księżna Teresa pięrsza dała dowód, że ten oryginał może obudzić zajęcie.

— Wiesz że ja tych twoich płochych żarcików z kobiet nie lubię, a z siebie ich nie dozwalam — surowo odparła wdowa.

To mówiąc, zwróciła się ku niemu z twarzą zaszępioną, ręce, wedle swego zwyczaju, założyła na piersiach i poczęła się znowu przechadzać po saloniku.

— Ażeby ci jednak dowieść — że twojego żartu nie wzięłam naseryo i że się żadnych posądzeń nie lękam, bo się nad nie wyższą czuję — powiem ci, Fernando, iż pięrszy raz, gdy będziemy mieli towarzystwo u siebie, chcę abyś go zaprosił.

— Najchętniej! — odparł Ferdynand. — Zatem więc idzie, że my tak prędko nie wyjeżdżamy. Przyznaję się, że toby mnie cieszyło bardzo.

Eliza spuściła oczy.

— Wiesz — rzekła — rozmyśliłam się trochę. Boję się, aby mnie nie pomówiono o jakieś dziwactwo; nie chcę ażeby nieznośny ten hrabia Filip mógł sądzić, iż mu ten honor czynię i uciekam od jego natręctwa. Trzeba wprzód znaleźć jakiś powód seryo do wyjazdu z Rzymu. Pomyślimy o tém.

— Jak zawsze, masz najzupełniejszą słuszność — odparł brat, wielce rad temu nowemu postanowieniu. — Tak jest niezawodnie, pomówionoby cię o dziwactwo, a nieznośny Filip z konopi powłóklby się za nami. — Zatrzymał się nieco.

— Powieź mi — dokończył — kiedy zechcesz prosić na herbatę tych panów, a ja ci pana Wiktora przystawię.

Zawahawszy się trochę, pani Liza, gryząc koniec chusteczki, poczęła pocichu:

— Czeka-że! Księżna będzie jutro... dla niej naturalnie muszę już prosić hrabiego Augusta, a z Augustem nieodstępny cień jego, Filipa. Więc... więc możesz swęgo artystę zaprosić na jutro.

— A księżnę Ahaswerę?

— Ta się zaprosi sama — ruszając ramionami, szepnęła Liza, minkę robiąc wzgardliwą. — Z nią przyjdzie nieodstępny już poeta, bo szczęściem przywłaszczyła go sobie. To biędny prawdziwie człowiek! — zakończyła, uśmiechając się z przymusem.

— Wistocie, być zmuszonym posługiwać kaprysom wiecznego tułacza — rzekł Ferdynand — wielkie to utrapienie; ale biędny wieszcz nie miał żadnego zajęcia, a może i obiadu...

Liza uznała właściwem ując się za potępionym.

— Człowiek-to nie bez talentu, szkoda go! — rzekła. — Cóż, kiedy niepospolity talent ten zabija zarozumiałość olbrzymia. Od najslawniejszych wieszczów zapożyczył wszystkie zewnętrzne cechy, które są geniuszu słabostkami, i niemi chce świat przekonać, że podlegając tym samym słabościom, musi téż mieć wszystkie geniuszów przymioty.

Chwilkę pomilczawszy, wdowa dodała:

— A zatem, mój Ferdynando, na jutro proś kogo chcesz. Ponieważ zmuszoną jestem w Rzymie pozostać, nie chcę się zamykać i dziczyć. Poety radabym uniknąć; żal mi go

i niecierpliwi mnie; ale zdaje się być *un mal nécessaire*, a jako antydot służyć będzie hrabia Filip, z którym się ucięrać lubią. Więc niech sobie będą wszyscy, ilu ich jest.

Ferdynand, rad ze zmienionego siostry postanowienia, tegoż wieczora poszedł wkrąg zapraszać na jutrzejszą herbatę.

---

Nad wieczorem, właśnie o godzinie, gdy się na Via Sistina zbierać miano, nadciągnęła burza gwałtowna i dęszcz uléwny. Był on bardzo pożądany, bo na chwilę przynajmniej miał odświeżyć powietrze; ale goście się dla niego opóźnić musieli.

Księżna Teresa tylko i hr. August przybyli nieco wcześniej i zabawiali gospodynię; reszty zaproszonych nie można się było spodziewać, chyba gdy nawałnica ustanie.

Przez otwarte drzwi na balkon wchodziło powietrze, już ochłodzone nieco, przejęte dęszczu zapachem, gdy przed kilku godzinami nie było czém oddychać.

Pomimo wpływu, jaki ta atmosferyczna zmiana powinna była wyrzucić na usposobienia osób znajdujących się w saloniku, wszyscy dnia tego jakoś byli smutni i jakby pomęczeni.

Księżna, zazwyczaj swobodnego umysłu, mówiąca chętnie, ożywiona, zamyślona była i posepna. Hr. August więcej na gospodynię patrzył, niż ją zabawiał. Ona zaś nerwową była, podrażnioną już od dni kilku, co Ferdynand postrzegł pierwszy, nie umiejąc sobie tego wytłumaczyć. Każdy szelest w przedpokoju nabawiał ją trwogą; spoglądała ku drzwiom, jakby się lękała, aby niemi nie weszła jakaś katastrofa.

Księżna postrzegła to i przypisywała burzy a elektryczności, bo pioruny i błyskawice różnobarwne dotąd nie ustawały. Dęszcz jednak zmniejszał się powoli, nawałnica szła ku morzu wichrem pędzona. Część nieba, z po za chmur porozdzięranych, czystym już, pięknym, jakby obmytym jaśniała błękitem, przy którym obłoki tém brudniejsze się wydawały. Przybięrały one barwy osobliwe, złocąc się, czerwieniąc, stając brunatne, szare, sine i liliowe. Tak jaskrawo zachodu słońca po burzy żadenby się nie ważył malować pejzarzysta — jednemu to Bogu wolno.

Dzwonek w przedpokoju, który wywołał Ferdynanda, stojącego na straży, na pani Lizie zrobił znowu wrażenie przykre; drgnęła i rzuciła się.

Oko jój, niespokojnie ku drzwiom skierowane, nie przysłoniło się powieką, aż dojrzała wpadającą pośpiesznie Ahaswerę, którą zdala zdradzał śmiech suchy. Ciągnęła za sobą — niestety — swą ofiarę, nieszczęsnego wieszca.

— Chwałaż Bogu, że burza tak prędko przeszła — zawołała, śmiejąc się i witając. — Ale co za wspaniała burza! jakie królewskie pioruny! co za przepyszna uléwa! Myślałam, admirując, że mnie nie dopuści do ciebie, najkochańsza Lizo. Szczęściem wieszcz zaklął ją słowem i ucieka posłuszna. Byłabym musiała brawować pioruny, których... które mnie trochę straszą.

Poeta z obowiązku unosił się nad tym szałem natury, nad namiętym uściskiem ziemi z obłokami, znajdując że obraz był niezrównanej potęgi i piękności.

— Natura-bo — mówić począł — jest zwykle liryczną i bywa przez to nudną, ale w takich chwilach staje się dramatyczną, piękność jój potęguje się, życie ognistemi tryska strugami.... Ale cóż ta burza, przesuwająca się nad Rzymem, którą ciągnie morze jak kochanek — co znaczy taka burza przelotna, w porównaniu do zajadłych burz w Apeninach, których ja nieraz osłupiałym bywałem świadkiem?... Tam natura odegrywa sceny, jakich w żadnej tragedyi nie znaleźć. Ryk jój zdaje się chwilami przybięrać nawet dla ludzkiego ucha zrozumiałą mowę; jęcząc w nim głosy pokoleń pomordowanych, krzyki bóleści lat tysięcy w jeden złane, wrzawa bojów, co kładły trupem miliony — wrzaski matek bezdzietnych i dzieci osieroconych, konających w tój zawierusze śmierci, ponad którą rozlega się śmiech szatana....

Emil Marya, uniósłszy się, byłby dalej opowiadał o walce żywiołów i dramacie elektryczności, gdyby dzwonek nowego nie oznajmił gościa. Wdowa z tąż samą co i przedtém trwogą wlepiła we drzwi oczy, pobladła i nie ochłonęła, aż zobaczywszy hrabiego Filipa, który włócił się posepniejszy, poważniejszy, mniej ruchawy niż zwykle.

I na nim burza uczyniła wrażenie przyniatające.

Przywitawszy panie, zbliżył się do hr. Augusta, który pozdrowił go poufale, ale dość chłodno.

— Czy pan to czujesz, co ja? — zapytała go księżna Teresa. — Mnie burza siły odbiera i czyni ociężałą, prawie senną.

— A, burza! — odparł hrabia Filip — burza na mnie nie robi najmniejszego wrażenia. Nie uważałem nawet czyśmy ją przebyli; wiem tylko, że ze wszystkich dachów i rynien strumienie lecą, ulice potokami płyną. W Rzymie dęszcz nawałny, to urzędnik pożądany, oczyszczający ulice.

Poruszył ramionami, księżna zaś dodała, wpatrując się w niego:

— A jednak hrabia nam dziś nie przyniosłeś tak wesołej jak zwykle twarzy, do której myśmy przywykli?

Uśmiechnął się na to ironicznie hrabia.

— Gdzież i z kąd czerpać wkońcu wesołość, nam nieszczęśliwym, wydziedziczonym? — bąknął zcicha. — Prawdę rzekłszy, zasępiły mi humor dwie rzeczy: trochę listy z domu, a potem para książek, która mi w ręce wpadła.

Szanując listów tajemnicę, księżna byłaby zapewne spytała o książki, które mu humor zmieniły, lecz właśnie nadchodził gość ostatni, na którego widok pani Liza, jakby namyślnie, rozpoczęła niezmiernie żywą, cichą rozmowę z Ahaswerą, tak że Wiktor musiał podejść bardzo blisko, nim mu odpowiedziała na powitanie.

Artysta był, jak się spodziewać należało, ubrany starannie; nie miał już tylko owęj kamei w chustce, co księżna zaraz spostrzegła. Miejsce jęj zajmował piękny skarabeusz szmaragdowy, który niemniej zwrócić mógł oczy.

Gospodyni skłoniła mu się bardzo poważnie, ceremonialnie, a zamieniając z nim spojrzenie, nadała swojemu wzrokowi wyraz surowy razem i wyzywający, mówiący więcej niż chciała. Musiała to ucuć, bo się natychmiast znowu zwróciła do swęj sąsiadki.

Księżna Teresa podała przybyłemu rękę z uprzejmością, którą i za siebie i za gospodynię może wypłacić się chciała. Hrabia August zbliżył się piérwszy i również życzliwie przywitał Wiktora.

Nie mógł się on skarżyć na przyjęcie, gdyż jedna tylko gospodyni znalazła się chłodno i nazbyt milcząco, w czém ją trochę naśladowała Ahaswera. Hrabia Filip, mimo wstrętu jaki miał do człowieka, naśladowując pilnie hr. Augusta, pośpieszył z wesołym pozdrowieniem. Ponieważ rozmowa zdawała się przerwana wejściem artysty, księżna Teresa, chcąc ją zawiązać nanowo, zwróciła się do Filipa, o którym wiedziała że rad był zawsze występować na scenę i głos zabiierać.

— Wspomniałeś, hrabio, o książkach, które ci humor popsuły — rzekła. — Powiedz-że nam co o nich, jeśli to nie jest tajemnicą. Przyznam się żem wogóle książek, czyniących jakiegokolwiek, złe czy dobre wrażenie, ciekawa. Od bardzo dawna mam szczęście spotykać się tylko z takimi, które wywołują spazmatyczne ziewanie, nic więcej.

Hrabia Filip, powołany, wystąpił kilka kroków naprzód.

— Żłem się wyraził — rzekł. — Książki te; które mi z kraju nadesłano, dlatego tylko może chwilowo mnie zasępiły, poruszyły, że nielitościwie amputują organiczne części przekonań, z którymi urosłem, które sobie przyswoilem. Przy każdej takiej amputacji cierpi pacjent, ale często ona mu życie ocala.

— Bądź-że łaskaw, mów jaśniej, o co to idzie? — zapytał, przysuwając się, hrabia August.

Filip oglądał się, uśmiechnięty tryumfująco.

— Nadeszła nareszcie chwila opamiętania — odezwał się; — zaczynamy leczyć się z naszych przestarzałych wyobrażeń o sobie samych. Dotąd widzieliśmy w przeszłości własnej same tylko strony jasne, pisywaliśmy sobie apologie, pochlebiające narodowej dumie; historia nasza zbyt wielu miała bohaterów. Nareszcie skalpel krytyki zaczyna te chorobliwe narośle miłości własnej ekstyropować.

Namarszczył się, słuchając, hrabia August.

— Co? co? — podchwycił, spoglądając na Filipa. — Niedobrze rozumiem.

— Odebrałem kilka książek nowych — odparł trochę niecierpliwie zagadnięty. — Widzę w nich postęp, krok naprzód. Nowsi pisarze starają się nam pokazać nagą prawdę. Jest ona przykrą i gorzką, nie przeczę, ale będzie zbawienną. Mieliśmy już dosyć tych ideałów szlacheckich, wąsatych, butnych, zarozumiałych, krzykliwych, szablistych, z Panem Bogiem zapanbrat. Czas dojrzyć, że to były karykatury — ciągnął Filip — żeśmy

je niesłusznie uposażowali. Jam się zawsze tego domyślał, więc cieszę się ze śmiałego wystąpienia przeciw nim. *Fiat lux*, choćbyśmy wszystkie te słomiane ideały stracić mieli.

Hrabia August dał mu dokończyć cierpliwie i gdy wyzywająco spoglądał na niego, rzekł chłodno:

— Ten punkt, niby nowy, zapatrywania się na przeszłość naszą, przepraszam cię, kochany hrabio, nie zdaje mi się nowym wcale. Od bardzo dawna literatury sąsiednich, a nam nieprzyjaznych narodów, obracały w śmiech, karykатуrowały te mniemane ideały nasze. Przypomnijcie sobie cały szereg raportów rezydenta saskiego Essena; macie tam rozczarowania do sytości, ulicznych plotek i potwarzy. Komu historia domorośla przeszłości naszej była zanadto ocukrowaną i zasłodką, mógł zawsze napewno iść do źródeł niemieckich, a octu i żółci znalazł w nich podostatkiem. Niektórym z pisarzy nam niechętnych nie zbywało ani na nauce, ani na talencie, ani na zręczności w poszukiwaniu i wysświetlaniu stron słabych — wszyscy jednak błędzili tём, że widzieli umyślnie tylko stronę czarną, że jój szukali, gdy u nas, jak wszędzie, było zło i dobro, a co przeważało, o tём dziś rozgorączkowanym apologetom i nieprzyjaciółom wyrokować nie pora. Sąd historii dopiero zdala jest zupełnie beznamiętny i sprawiedliwy. My jeszcze drżymy od bólu, a drudzy nienawiścią buchają.

— Musiało zło przeważać, kiedyśmy upadli — odezwał się hr. Filip.

— Argument to dla mnie wcale nieprzekonywający — rzekł August poważnie. — Widziemy w życiu pojedynczych ludzi, iż nie wszyscy cnotliwi i rozumni stoją górą; tak samo bywa i z narodami. Pomimo wielkich zasobów siły i przymiotów, mogą one upadać, skutkiem warunków, których przewyciężyć nie miały siły, przewidzieć nie mogły wczas. Powiem ci więcęj: narody mogą być równie narażone na upadek przez cnoty swe, jak przez błędy.

— Sofizmata! — odparł hr. Filip pogardliwie. — Gdybyśmy mieli wielkich mężów stanu, bohaterów, geniusze, bylibyśmy się ocalili. Nie mieliśmy nic, oprócz wrzaskliwych warchołów...

Księżna Teresa rozpaczliwie uderzyła w ręce.

— Hrabio Filipie — wykrzyknęła — co za herezje prawisz!

August dorzucił zwolna.

— Po apologiach bezwzględnych, a niesmacznych, muszą nastąpić, jest to w porządku, potępienia na głowę i dyatryby. Niech to księżny nie porusza zbytecznie. Mieliliśmy rozmarzonych apologów, może zawielu; przyszła teraz godzina na krytykę zajadłą. Z dwojga tych prądów fałszywych, wyłącznych, namiętnych, powoli przyjdziemy do znalezienia drogi średniej i prawdy.

Poeta, który słuchał, usta wydąłszy, brwi marszcząc, ściśniętymi pięściami bijąc się po kolanach, wybuchnął gwałtownie:

— Każdy sobie szuka, co mu do smaku, żywiołu w którym mu najlepiej. Są istoty, co tylko w błocie żyć mogą; te i w dziejach szukają kałuży. Są inni, co potrzebują wyżyn dla piersi, niebios dla oka — te wlatują w obłoki i zgóry patrzą na dziejów pasma, które dla nich lśnią barwami tęczy. Gdzie prawda? Prawdą jest kałuża dla tego, co w niej się urodził i grzebał, bo dlań nie istnieje nic więcęj, a dla orłów prawdą niebios.

Hrabia Filip śmiać się zaczął, lecz gniewnie.

— Wyjątek z sonetu, czy z poematu? — zawołał. — Za tём idzie, że prawd jest conajmniej dwie.

— Prawdek są tysiące — przerwał hrabia August — a z nich tylko umysł wyższy prawdę sobie potrafi wytopić. To nie każdemu dano.

— A tak! — zaśmiał się hrabia Filip — ja do tego nie jestem zdolny! Mam ten brzydki nałóg, że szukam prawdy w cieniach, nie w światłach. Nato potrzeba kocich oczu, ale widzi się, nie będąc olśnionym.

— Tak, widzi się bezbarwne mroki — dodał August.

Chwileczkę trwało milczenie; zbliżył się do Filipa i ujął go za rękę.

— Kochany hrabio — rzekł z uśmiechem. — Mnie się zdaje, że gdybyśmy zgodzili się wszyscy na smutną barwę przeszłości, tybyś piérwszy na stronę białą zaczął przechodzić.

Ahaswera parsknęła pocichu i zatuliła sobie usta.

— Jestem więc tylko prostą przekorą? — zapytał urażony Filip, wyrwijąc rękę.

— Nie, kochany hrabio — mówił August łagodnie — jesteś wprost tylko umysłem żywym, który szuka dróg nowych i czuje to instynktowo, że idąc wciąż w jednym kierunku, najłatwiej się obłąkać.

Księżna Teresa przyklasnęła temu rozwiązaniu; Filip z dumą pewną, wesoło zbliżył się i uściśnął rękę przyjaciela. Z przestanku tego korzystając, poeta głos zabrał.

— Choćbym był w błędzie — mówił, zwrócony ku Ahaswerze, ale dość głośno, by go wszyscy słyszeli — choćby mi dowiedziono, że zamiast bóstwom, kłaniał się martwym głazu bryłom, pokłękę przed temi bożyszczami, u których stóp klęczeli ojcowie moi — nie stanę się im niewiernym.

Gdy ta rozmowa toczyła się w pośrodku salonu, Wiktor, który wszedłszy, czuł się zimno przyjętym i zajął pierwsze lepsze miejsce, znalazł się nieopodal od gospodyni. Siedział niemy, patrząc na dno kapelusza, jak gdyby go pytał: pociśmy tu przybyli oba?

Liza kilka razy ukradkiem zmierzyła go niecierpliwym, niespokojnym wejrzeniem. Zdawała się walczyć z sobą, czy się do niego odezwać. Z obowiązku gospodyni należało jęj choć parę słów przemówić do gościa. Zwróciła się wkońcu ku niemu i spotkała oczy wlepione w siebie, z wyrazem łagodnym, spokojnym, miłosiernym, pełnym współczucia, a nienarzucającym się o nic.

To ją ośmieliło. Pocihu i dość niewyraźnie przemówiła, schylając się nieco:

— A pan co trzymasz o tém?

Można było przysiąc że pytanie to zadała, myśląc zupełnie o czém inném.

— Słucham rozpraw z zajęciem wielkiém — równie cicho rzekł Wiktor. — Ale przeżywszy już entuzjazm, i zachwyty, i odczarowania a pesymizmy, usprawiedliwiam oboje, choć ani jednych, ani drugich dzielić nie mogę.

— Więc obojętnym pan jesteś na wszystko? — z dziwnym akcentem spytała, wpatrując się w niego, ciekawa gospodyni.

— Nie, pani! — począł Wiktor, spoglądając na nią. — Do takiego trupiego zobojętnienia nie doszedłem jeszcze; tylko tłumaczę sobie i usprawiedliwiam obie te władze ducha, naprzemiany widzącego czarno i biało...

— I jesteś pan tak szczęśliwym, że stoisz wyżej nad te poglądy? — z trochę ironii dodała piękna gospodyni, jakby drażniąc, coś więcej dobyć z niego chciała, nad tę tolerancją zimną.

— Nie jestem tyle zarozumiałym, abym sobie stanowisko tak wysokie przyznawał — rzekł cierpliwie i nie poruszając się Wiktor. — Być może owszem, iż spadłem niżej, niż ci co wielbić i nienawidzić umieją.

Po chwili milczenia, Liza dodała:

— Wiele pan doświadczyć musiałeś...

Pytanie zadane było głosem drżącym. Wiktor wzrokiem naprzód odpowiedział na nie; wejrzenie to zamykało już w sobie wszystko, ale dodał pocihu:

— Nie mylisz się pani; przeżyłem wiele. Pozostały mi tylko resztki życia, a dogryzam je mężnie i z rezygnacją.

Niewiele tych słów, zamienionych pocihu wśród gwaru ogólnej rozmowy, która nie ustawała, daleko więcej, niżby się spodziwać było można, zbliżyły panią Lizę do Wiktora.

Trwoga którą ją nabawiał ustąpiła: wcale już nie wydawał się jęj strasznym. Dziwnym fenomenem, którego nigdy dotąd nie doświadczyła na sobie, człowiek ten obcy robił teraz na nięj wrażenie, jakgdyby dawno, poufale znajomego. Nabierała do niego zaufania.

Korzystając z tego, że poeta, Ahaswera, hrabia Filip i księżna poczęli spór o szczegół jakiś historyczny, pani Eliza obróciła się daleko poufalej, śmielęj niż przed chwilą do Wiktora.

— Pan wśród tych Włochów, z którymi podobno długo obcować byleś zmuszony, musiałeś się czuć bardzo osamotnionym?

— O tak, chwilami — rzekł Wiktor równie śmiało i z wielką prostotą. — Lecz ja z tą samotnością wśród tłumów, z konieczności oddawna oswoilem się i przejednałem. Nic przykrzejszego, nad narzucanie się ludziom, nad wciskanie się natrętne i proszenie choćby o jałmużnę słowa. W niedostatku ludzi żyje się z książkami, z naturą i ze sztuką, klóci się z niemi, godzi, jak z ludźmi — zrywa i powraca, a tymczasem życie upływa.

— Starczyż to do życia? — zapytała ciekawie pani Eliza. — Jabym się bardzo tego kunsztu wystarczania sobie w samotności nauczyć chciała. Często także jestem skazana

na pustynię, bo wolę ją niż tłum uliczny, a czasem niż salonową wrzawę. Próbowалам żyć z książkami, umiłowac sztukę; ale wszystko to nie zapełnia życia...

— W pierwszych chwilach — przerwał Wiktor, z wyrazem jakby macierzyńskiej troskliwości. — Tak jest. Wszelka klauzura wymaga nowicyatu. I takie życie odosobnione musi się zdobyć przygotowaniem do niego, przelaniem nawyknień. Naostatek i to trzeba dodać, że je wielce ułatwia albo utrudnia przeszłość. Wspomnienia są niepozbytém brzemieniem: latają koło nas i brzęczą, jak muchy natrętne.

Słyszac to, wdowa zarumieniła się i poruszyła żywo; oczy jej błysnęły i pokryły się szybko powiekami. Westchnęła.

— Tak, masz pan słusznosc — zawołała. — Kto chce przywdziać tę sukienkę mniszą, musi wprzód zrzucić znoszoną i zdartą na świecie.

Szeptę te, które się przeciągnęły dłużej niż pani Eliza w początku zamierzała, zwracały już uwagę księżny Teresy i hrabiego Augusta. Gospodyni uczuła to, rzuciła jeszcze jakby pożegnalne spojrzenie na Wiktora i zwróciła się do księżny.

Właśnie Emil Marya, w chwili rzeczywistego natchnienia, poczynal w obronie przeszłości mówić do hrabiego Filipa.

— Utrzymujesz pan, żeśmy byli zgnilizną samą, zepsuciem, ruiną, żeśmy nie mieli życia w sobie, wprzód nawet niż śmierć nastąpiła; żeśmy trzymali się na nogach jak trupy, ściśnięte wśród boju, którym skupione szeregi upaść nie pozwalają... powiedz-że mi, z kąd się wzięło to życie tak potężne ducha, które się objawiło na gruzowiskach i ruinach? Z kąd czerpali siły wielcy wieszczę, kunszt mistrzę, myśliciele, pracownicy, których potęgi nie zaprzeczysz? Tęj siły nie mogło im dać nic innego tylko przeszłość, a z kądżeby ją wzięła, gdyby jej w sobie nie miała? W tęj więc czarnej, zbrukanęj przeszłości, w której wszystko widzicie tak nikczemném, kryły się gdzieś życiodajne źródła, które z niej na nas się wylały. Dzieci miały ojców i matki, natchnienie miało źródło, geniusz miał gniazdo swe, na którym porósł w pióra, i macierzyńską opiekę, co go wykarmiła.

Hrabia Filip stał przez czas jakiś zaniemiały.

— Wielkie pieśni, wielkie dzieła kunsztu — rzekł wkońcu — rodzą się z boleści wielkich.

— Tak — zawołał poeta — lecz i boleści wielkie potrzebują piersi szerokich, aby się w nich zrodziły i mieszkaly.

— Wiész co — podchwycił hrabia August, biorac za rękę milczącego towarzysza — uznaj się zwyciężonym. Nie możesz zaprzeczyć geniuszu naszym wieszczom pogrobowym, Adamowi, Zygmuntovi, Juliuszowi. Uznał ich nawet ten świat, co nam nic przyznawać nie chciał. Nie zaprzeczysz uroku i polotu pieśniarzom naszym, ani genialności mistrzom penzla i ołówka, a wszyscy oni przecie czerpali z tęj skarbnicy, w której ty nie widzisz nic, nad próchno, brud i zgniliznę. Były więc niespożyte zasoby, niezamulone i niezatrute źródła, nieprzeznite organa żywota.

— Resztki! Śpięwy łabędzie! — odrzucił hrabia Filip krótko, jak gdyby chciał zapobiedz dalszym rozprawom, do których brakło mu już argumentów.

Nie uznawał się zwyciężonym, ale czuł że go pokonano.

Hrabia August rozśmiał się wesoło.

— Proszę panów na herbatę! — odezwała się, wstajac i podajac jedną rękę księżnie Teresie, a drugą Ahaswerze, gospodyni. — Pogóźdzcie się panowie i mówmy o czémś dostępniejszem dla nas, co myślami nie nawykłyśmy wzlatywać tak wysoko.

Ruszyli się wszyscy.

Z twarzy dysputujących widać było, że pomimo rozejmu ogłoszonego przez gospodynię, podrażnienie trwało. Języki gotowe były do boju; każdy miał coś jeszcze na poparcie i obronę przekonań swych do powiedzenia.

Tymczasem Ahaswera unosiła się pocichu nad wymowném, genialném wystąpieniem swojego protegowanego, pani Eliza zaś szeptała księżnie, iż hrabia Filip we wszystkiém zawsze jest pesymistą i oprócz tego sprzeką. Wiktora wziął pod rękę pan Ferdynand, dostrzegłszy że siostra okazywała mu niezwykłą uprzejmość i sympatyę. Rad był go sobie zaskarbić na wszelki wypadek, choć jeszcze do tęj fantazyi nie przywiązywał zbytniego znaczenia.

Zaczynało jednak zastanawiać go to, że kazano mu zaprosić Wiktora, że Eliza ciągle była w usposobieniu niezwykłym, podrażniona, i w poufalej rozmowie zbyt często wspominała artystę, jakby mimowolnie.

Miał więc domysły, przeczucia; chciał, zaprzyjaźniając się lepiej, wy badać tego człowieka, dotąd osłaniającego się tajemnicą.

Zabawiał więc go jak umiał, trochę mu dworując i usiłując postawić się na stopie poufalszej.

Tymczasem księżna Teresa, która także oka z Wiktora nie spuszczała, badając go zdala, gdy siadały do herbaty, miała czas i sposobność szepnąć Elizie:

— Od ostatniej bytności u mnie, wasz tajemniczy artysta, czy nie wiem kto, stał się dla mnie jeszcze bardziej drażniącą zagadką, bom jaki, rożek zasłony co go okrywa odsłoniła przypadkiem. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Zarumieniona Liza spojrzała ku niej ciekawie.

Księżna na ucho poczęła opowiadać niefortunne swe pokuszenie dopytania się znaczenia kamei, której była pewną niemal, że inną być nie mogła, nad dawno jej znaną.

— Mam najmocniejsze przekonanie — dokończyła — że ten Wiktor Gorajski musiał się nazywać imieniem jakimś nam nieobcym, że niegdyś obracał się w kołach naszych, w świecie nam znanym. Co go zmusiło do takiego zamaskowania się, czy kryje nieszczęście, czy ruinę... czy...

— W tém wszystkiem nicby nie było ani niepodobnego, ani dziwnego — odpowiedziała Eliza. — Cóż u nas pospolitszego nad ruinę? Winny czy nie, któż się nie sroma upadku?... ktoby nie chciał o nim zapomnieć? Może to być jakaś nieszczęśliwa ofiara.

Księżna potwierdziła domysł ten głowy skinieniem.

Zasiadano do herbaty. Ahaswera poecie zrobiła miejsce przy sobie, co go rozpromieniło. Ukradkiem pocałował ją w rękę, co dawno niewidziany na bladój, zwiędłej twarzyczce wywołało rumieniec.

Z rozmowy o siłach, które pozostały z przeszłości, hrabia Filip złośliwie przeszedł do dziwacznych napaści i zarzutów przeciw pojedynczym popularnym postaciom. Potem ubolewać zaczął nad zбочeniami ducha tego, którego sławiono potęgę, i jako przykład przywiódł Towiańskiego, z którego się wyśmiewał dowcipnie, bo mu to z wielką łatwością przychodziło.

Jak gdyby dotknął rany, wszyscy zamilkli, posmutnieli.

— Takie wybożenia siły — odezwał się, cierpliwie długiej wysłuchawszy chryi, hr. August — przepraszam cię, dowodzą właśnie jej istnienia. W tym obłądnie były strony piękne i obudzające poszanowanie, jeśli nie współczucie. Kto zna tajemnice ducha ludzkiego i niepewność tych granic, które dzielą świadomość swego stanu od bezwiednego obłądumyślowego, z dobrą wiarą, nie będzie nigdy śmiały rzucić wyroku potępiającego i obelgi szalbierstwa na człowieka, co ludziom poważnym, wielkiego charakteru umiał rozkazywać i nawracać ich. W tym szale, który się zrodził z boleści, były momenta rzewne i piękne, a z całego ruchu, rozgorzenia tego pozostał w spuściznie nastrój wysoki, prąd unoszący ku górze.

— To właśnie źle — zawołał uparty Filip — bomy wiekuiście błędziliśmy tém, żeśmy chodzili po obłokach, nie po ziemi. Nas potrzeba studzić, nie ogrzewać.

— A gdy zupełnie, da Bóg, wystygniemy, spowinąć w całun i położyć w grób — dodał szczęśliwie tego wieczora usposobiony poeta.

— Jest prawem ogólnem — odparł niedający się zbić hr. Filip — iż co się poczęło, musi się skończyć, aby przerodziło się w formę inną. Znajduję więc naturalnem, że zmartwychwstaniemy.

— Pod nową formą pruskich kapralów — dodał Wiktor półgłosem.

— A no, bylebyśmy żyli — rzekł Filip z rezygnacją.

— Niestety, to już nie byłoby życie — ośmielając się, poczał Wiktor. — Ciąg życia w człowieku pojedynczym zależy od pamięci jego przeszłości, w narodach od tradycji. Tam gdzie nic ich się zrywa, kończy się rzeczywiste istnienie, zaczyna proces rozkładu, z którego już tylko pozostają pierwiastki, mogące się wcielić zarówno w kaprala pruskiego, jak w austriackiego hofrata, lub... w co sobie chcecie.



— Za pozwoleniem! — wykrzyknął hr. Filip — nie możesz pan zaprzeczyć, że przy całej miłości dla ideału, z rzeczywistością jednak rachować się potrzeba. Przedzierzgnięcie się w kaprała lub hofrata może być warunkiem bytu.

— Zaczepiłeś pan kwestyą nader drażliwą — odparł spokojnie Wiktor — którą, chcąc rozwiązywać, zastrzedz się naprzód potrzeba od wniosków, jakie z poruszenia jęj wyciągnąć można. Pozwól więc, abym zaręczył przedewszystkiē, że na wallenrodyzm nie choruję, że uważam go za ideę fałszywą, szkodliwą, uwłaczającą charakterowi człowieka i narodu. Śmielēj teraz powiedzieć mogę, że przyobleczenia sukni kaprała i pełnienia służby jego, a choćby i hofrata, nie uważam za potępienia godne, byle pod suknią tą było serce stare, trwała pamięć przeszłości i związek z nią. Nie jestem tēż wcale rewolucjonistą — dodał, uprzedzając zarzut, którego się spodziewał — owszem, w zasadzie potępiam wszelkie przewroty gwałtowne; przyznaję konieczność rachowania się z rzeczywistością; ale nie powinno to przeszkadzać pozostać wiernym sobie, przeszłości i tradycji. Przyszłość zależy od zbiegu tysiąca okoliczności; przeszłość jest w rękach naszych i stanowi zasób, z którego się siły do życia czerpać powinno. Nie myślę nikomu stawiać za przykład rozproszonego Izraela, a jednak niepodobna z jego trwania w najniekorzystniejszych warunkach nie wyciągnąć tēj prawdy, że strzegąc tradycji, zachowuje się skarbnicę żywota...

— Tak — przerwał Filip — ale to, co pan zowiesz warunkami najniekorzystniejszymi, ja uważam za środki pomocnicze. Nic pożądanszego dla narodu nad prześladowanie, jakiego Żydzi doznawali. Chrześcijaństwo byłoby się tēż bez męczenników nie rozkrzewiło tak bujnie. Żydzi zahartowali się, będąc ścigani; wyłączenie ze społeczeństwa zmusiło ich skupić się w sobie. Prawo ciśnienia, wywołujące oddziaływanie na ciałach sprężystych, sprawdza się i na duchu człowieka. Grecy tēż, prześladowani przez Turków, zdobyli się na bohaterskiego ducha; ale dość potēm było postawić ich w powszednich życia warunkach, aby zesłi na bardzo pospolitych i bezsilnych,

— Wiele w tēm prawdy co mówisz — zauważył hrabia August. — Lecz idąc w głębi tego twierdzenia, wieleby objaśnień należało do niego dołączyć. Wróćmy — dodał, zwracając się do Filipa — do założenia pierwszego rozmowy, do ksiązek, które wywołały rozprawę. Widzę żeś hrabia jakąś historią nową, całą czy ułamkową, musiał otrzymać.

— Kilka rozpraw i artykułów — odpowiedział Filip. — Z nich wszystkich wieje zbawczy duch krytyki. Pod naciskiem jęj wałą się jedne po drugich woskowe lalki naszej przeszłości. Tēj wyprawie oręźnej przeciwko fałszom, któremiśmy się długo karmili, przyklaskuję.

August po swojemu powitał to uśmieszkiem łagodnym.

— Widzę że się spodziewasz, w miejscu tych lalek woskowych i fałszów, czegoś żywszego i prawdziwszego. Naiwny jesteś, kochany hrabio! Z historią dzieją się rzeczy dziwne. Każdy wiek nową tworzy *ad usum delphini*, dla wychowania na niēj pokoleń przyszłych. Każdy wiek zaprzysięga się, że miłuje prawdę, że tylko jęj szuka, a operacją kończy się na tēm, iż lalki woskowe się topią, wosk oczyszcza nieco, dolęwa się farb nowych i lepią się... ideały nowe, do miary swych twórców przykrojone. A wszystko to pod hasłem prawdy i w jęj imię! Kilka imion, dat kilka służy za wątek, a każde pokolenie snuje na nim wzory, wedle smaku swego.

— Ale, na Boga! — zawołał gwałtownie hrabia Filip — pełno fałszów jawnych było na kartach; potrzeba z nich dzieje oczyścić!

— Byle nowych w ich miejscu nie stawić — odezwał się Wiktor. — Trafia się bowiem, że pracownik młody wistocie okazuje jak na dłoni, iż król jaki nie urodził się dnia 14-go, ale we dwa dni późniēj, iż bitwa sławna odbyła się wcześnieēj o tydzień, niż dotąd sądzono, a zato postać historyczną, choćby Nerona lub Tyberyusza, dla oryginalności zmienia w bohatera jasnego i Tacyta czyni umyślnym kłamcą.

— Tak — potwierdził hrabia August — postaci historyczne dziwnym ulegają losom. Niēma kogoby nie oskarżano i nie broniono, czegoby nie uniewinniano i niepotepiano zkolei Inkwizycya znalazła apologetów, świętych poczytywano za szalbierzy. Historia nie obroni się pono nigdy temu ciąglemu odświeżaniu i przetwarzaniu, pod pozorem szukania prawdy, wistocie zaś dla celów ubocznych, dla potrzeb chwilowych, a bardzo często przez miłość własną, która nicować każe, aby się ze sztuką popisać.

— Przecież ja wolę to, niżeli bałwochwalcze, nieruchome uwielbienie widm, które potworzyła na tle dziejowém imaginacya wieków, o krytyce niemających pojęcia — rzekł Filip.

— Pozwól jednak — dodał August — abyśmy my, biędni, zaślepieni, wsteczni, *laudatores temporis acti*, tym poobalanym ideałom przeszłości łzę uronili na pożegnanie. Zgoda na to, że one były utworami wyobraźni ojców, lecz to mi je czyni drogiemi. Naród każdy w historiją swoją wprawiał klejnoty, ideały, nadając im kształty, jakie w duszy piastował; malował swych bohaterów może nie takimi, jakimi byli, ale jakimi ich pragnął mieć i widzieć. Toć przecie stanowi świadectwo postulatów ducha narodowego, może dla nas droższych, niż prostowanie dat fałszywych i odgrzebywanie jakichś prawd maluczkich, z których nic wycisnąć niepodobna. Gdy wieki pracują na wyrzeźbienie posągu, gdy kują taką świątynię w skale i głazom nadają formy, które się w ich myślach zrodziły — mam za świętokradztwo niszczenie takiego dzieła, choćby dziś z niego szopy na siano zrobić nie można.

— Kochany hrabio — przerwał Filip szydersko — puściłeś się tak daleko, iż mi cię żal, bo zabłądzisz. Musielibyśmy więc siedzieć z założonemi rękami około przeszłości, dać jej porastać mchami i nie śmielibyśmy jej dotknąć? Toby nas doprowadziło do chińskiego zastoju.

— Czy wolisz, abyśmy burząc, doszli do egipskiego zapomnienia, które na ruinach pradziadowskich dzieł nie wie o nich i przypisuje je duchom? — rzekł August. — We wszystkiem potrzeba miary; ani chińskiego bałwochwalstwa, ani egipskiej ślepoty... Czyścicie posągi, ociéracie mchy, nie burzcie tylko ich i nie wywracajcie... Szanujcie choć dzieła sztuki.

— A jeśli to są potworne bałwany? — spytał Filip.

— I w takim razie nawet należą, jako pomniki historyczne, do materiałów rozwoju pojęć narodu.

Mówiąc to, hr. August spojrział na Wiktora, jak gdyby wyzwał go na pomoc sobie, a ten dodał natychmiast:

— We wszystkiem potrzeba miary, jak hrabia powiedział. To co za prawdę służyło obalić, nie będąc pewnym iż się w miejscu ruiny znajdzie co postawić, może doprowadzić do zniszczenia wszystkiego, do wygaszenia życia.

— Mówcie panowie co chcecie — rozśmiał się hrabia Filip. — Ja krytykę we wszystkiem, a w dziejach najwyżej cenię. Ona trzebi i wymiata.

— Niszczy skutecznie — przerwał August — jest téż potrzebną w chwilach, gdy rozrost bywa zbyt bujny. Nie przeczę. Natura także płodzi krytyków, w postaci niedojrzanych grzybków i pleśni, napadających zawsze na zbytęcznie, kosztem innych tworów, rozkładające się istoty. Mamy tego przykład na *Oidium Tuckeri*, na chorobie kartofli. Prawa świata duchowego idą równolegle i analogicznie z prawami bytu materialnego. Mówmy sobie na pociechę, że co jest koniecznem, musi być na coś potrzebnem.

Księżna zlekka ziewnęła. Postrzegłszy to, hrabia August się uśmiechnął.

— Nie moja wina — rzekł półgłosem — iż księżna się nudzi. Hrabia Filip przyniósł dziś zarodek nudów tych z sobą.

Obwiniony, nie gniewając się iż go oskarżono, skłonił głowę, jakby się przyznawał do grzechu.

— Przepraszam, jeżeli mimowolnie zatrąłem rozmowę — odezwał się. — Proszę mi naznaczyć pokutę; będę się starał ją spełnić.

— A, dobrze — wyrwała się Ahaswera — za pokutę powiedz nam pan jaką plotkę, któraby wszystkich zaciekawiała, poruszyła, a choćby rozśmiała.

— O! wszystkich to trudno — wtrąciła księżna Teresa. — Ja za siebie i za gospodynię ręczę, że nas dwóch plotka nie zabawi.

— Zatem — poprawiła się Ahaswera — skomponuj nam, hrabio, coś takiego, co by choć kilka osób odżywiło, bośmy skostnieli od waszych mądrych rozpraw o duchu, materii i krytyce.

Hrabia Filip udał zamyślenie głębokie, chociaż mu się usta nalogowo śmiały.

— Boję się — rzekł. — Gdybym zaczął komponować, a puścił cugle wyobraźni, mógłbym nie zachować téj miary, którą panowie zalecają.

— No, to ja pana hrabiego wyręcę plotką — odezwał się poeta.

Zdziwieni spojrzeli nań wszyscy, gdyż plotki nie wchodziły w atrybucje Emila Maryi.  
— Przypadek zrzucił — ciągnął dalej — żem dziś poszedł studyować obraz — rozumię się oczyma tylko — u Doriów. Ta mnie spotkała niespodzianka. Znalazłem artystkę, Polkę, nieznaną i niezmiernie... zajmującą. Cóż tragicznego nosi wypiętnowanym na sobie...

— Zdaje mi się że wiem o kim chcesz pan mówić — przerwał Wiktor. — Jeśli to jest osoba, której się domyślam, wistocie niepodobna na nią spojrzeć bez obawy o jej losy.

Hrabia Filip zmarszczył się, słuchając, i zwrócił do poety.

— Opisz-że nam pan tę tragiczną niewiastę.

Chciał to powiedzieć szydersko, lecz głos go zdradził; był zaniepokojony.

— Któż to jest? jak wygląda? — zaczęły śpiesznie dopytywać się księżna i Ahaswera.  
— Prosimy o szczegóły!

Wiktor zamilkł i wskazał na poetę, który rad z tego, mówił, głos podnosząc:

— Mogę państwu zdać tylko sprawę z własnego wrażenia. Jest to kobieta, mogąca mieć lat powiedziałbym około trzydziestu, gdyby lata czytać się dawały tam, gdzie cierpienie je podwajało. Z twarzy jej, z ruchów, z postawy widać, że ciężkie musiała przejść koleje i zawody. Niebrzydka, niepiękna, nie wiem... Twarz ma pełną charakteru, nachmurzoną, jak powiedziałem, tragiczną. Z ust jej, przysięgłbym, niejedną jęk musiał wylecieć, niejedno przekleństwo. Słusznego wzrostu, brunetka, oczy czarne, piorunujące. Cóż niezwykle oryginalnego i coś straszliwie złośliwego.

— Jest to — dodał Wiktor — ktoś, co tu przybył dla studyów, zmuszony może im się poświęcić. Smutna jakaś historia! Odgadnąć można, iż sztuka dla niej niedawno jeszcze musiała być zabawką, a dziś stała się powołaniem, w braku innego.

— Mówiłeś pan z nią? — zapytała księżna Wiktora.

— Kilka słów zaledwie — odpowiedział zapytany. — Byłem zmuszony przyjść jej w pomoc, widząc że jest obcą i sama nie potrafi dać sobie rady. Nie zabiérałem właściwie znajomości, bo oddawszy posługę nic nie znaczącą, nie chciałem się narzucać, zwłaszcza gdybym postrzegł, że jest drażliwa i nierada, aby się do niej zbliżano.

— Bardzo słusznie, bardzo rozumnie — odezwała się śmiejąc Ahaswera — iż nie ufa ludziom, a szczególnie artystom. A pan zupełnie na artystę wyglądasz.

— Na Cygana, niech księżna powie — rzekł, śmiejąc się, Wiktor. — Niestety! Proszę mi wierzyć, żem sobie nie nadał tej fizyognomii. Boleję nad tēm, że mi ją narzuciła natura, i radbym zetrzeć to fałszywe piętno.

— Dlaczegoż fałszywe? — zawołała Ahaswera.

— Bo do imienia artysty nie mam prawa — rzekł Wiktor — a w charakterze jedną tylko niezmierną miłością niezależności zbliżam się do Cyganów.

Wczacie tego krótkiego epizodu, hrabia Filip, którego twarz nagle się zmieniła, pościęgnął za rękaw poetę, dał mu znak i uprowadził do kąta, chociaż nie byli nigdy z sobą w bliższych stosunkach.

— Kochany poeto — odezwał się cicho — mam ważny powód, dla którego chciałbym wiedzieć koniecznie, jak wygląda ta niby artystka tragiczna. Nie chcę się o to dopytywać tego pana, którego znam mało... może będziesz łaskaw.

Emil Marya musiał być rad z tego, że hr. Filip go zapotrzebował, i rozpoczął opis twarzy, ubioru, wyrazu nieznanomiej — jaknajbardziej szczegółowy. Filip, zmarszczony, słuchał z zajęciem wielkim.

— Chcę być dokładnym — dokończył poeta. — Przypatrzyłem się tej twarzy, chcąc ją sobie narysować w albumie, mogę więc, jak w pasporcie, na końcu znak szczególny dodać, że na lewym policzku ma czarną plamkę.

Spojrzał na Filipa: stał niemy i jak osłupiały; dopiero po chwilce, wracając do przytomności, podziękował zimno i poszedł zająć swe miejsce u stołu, nie mieszając się już wcale do rozmowy.

— Mów że nam pan co więcej o tej artystce — wyzywała księżna Teresa Wiktora. — Jestem ciekawa, gdzie ją spotkać można.

— Sądzę że w galeryi, w której kopiuje — rzekł Wiktor zimno.

— Jest-że piękna wistocie? — dodała gospodyni.

Wiktor poruszył ramionami, a poeta pośpieszył z odpowiedzią:

— Piękną, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, nie jest wcale. Twarz niepospolita, rysy regularne, ale zmęczone i zwiędłe. Wypiętnowało się na nich cierpienie, a jednak czuć, że tam pozostała niewykwitła młodość, któraby za pierwszym słońca promieniem odżyła.

Ahaswera uderzyła poetę po ramieniu.

— Z wielkim zapalem mówisz pan o niej i odczuwasz cudownie jej dzieje. Miałżebyś być zakochanym?

— Niestety! — zawołał poeta — chociażbym chciał, nie mogę się zakochać.

— Dlaczego? — spytała księżna Teresa.

— Może dlatego, iż na dwie miłości jedno serce nie starczy!

Półżartem powiedział to Emil, a wyrazem twarzy zakłopotanym pobudził wszystkich do śmiechu, nawet Ahaswerę. Tylko hr. Filip, oparty o poręcz jego krzesła, pozostał z twarzą znudzoną i kwaśną.

— Teorya fałszywa! — odezwał się hrabia August. — Wprawdzie powszechnie jest przyjętą, lecz warto żeby ją krytyka obaliła. Hrabio Filipie!

Zagadnięty tak, nie raczył odpowiedzieć; patrzył w ziemię.

Wszyscy uważali, iż nagle zaszła w nim jakaś zmiana, którą nie wiedziano czemu przypisać.

— Herezye! — zawołała Ahaswera — a głosi je, kto?... hrabia August! Ledwie uszom wierzę!

— Tak jest, śmiem twierdzić — dodał hrabia — że miłość czysta, niecielesna, duchowa, może się na kilka ideałów podzielić.

Ahaswera gorąco wystąpiła do walki.

— Dziękuję panu za taką miłość — poczęła — która w jednej uwielbianej istocie nie znajduje wszystkich możliwych doskonałości. To co hrabia tak niewłaściwie miłością nazywasz, już nią być nie może, bo ma w sobie robaka analizy: rozbięra, sądzi, a miłość powinna być ślepą — szaloną, bezgraniczną! Pfe! pfe! — dokończyła — miłość pokrajana na kawałki...

— *Les morceaux en sont bons!* — Szepnął francuzkiem wyrażeniem Wiktor pocichu.

— Ja zaraz jutro — zwracając rozmowę, odezwała się księżna Ahaswera — lecę do Doriów i muszę widzieć tę... Nie wiesz pan jak się zowie? — spytała Wiktora.

— Nie mogłem, anim chciał jej pytać o to — rzekł zimno Wiktor.

— Ani czy jest panną, wdową, lub mężatką?

Wiktor odpowiedział milczeniem.

— Sądzę z tragicznego wyrazu twarzy — dodał Emil — iż wdową, albo... istotą opuszczoną być musi.

— Ale żeby się też można nagle tak zająć niewiedzieć kim — z przekąsem rzekł hr. Filip. — Może jakaś awanturka.

Surowy ten sąd zahuczano protestacjami; hrabia umilkł.

— Hrabia — śmiejąc się i zwracając ku niemu, dorzuciła Ahaswera — zamiast tak okrutnym być dla tej nieznamomej, powinienbyś owszem starać się do niej zbliżyć i bodaj zakochać. Nie takbyś się nudził w Rzymie.

— Księżnęby to bawiło, gdybym ja, zamiast czasem się nudzić trochę, męczył się i trapił? — odparł Filip.

— Nie wiem co hrabia woli.

— Ja bo nie nudzę się nigdy — rzekł kwaśno hrabia. — Niecierpliwie się tylko czasami, a to wcale coinnego.

— I tém niema się co chwalić — szepnął August.

— Aby się nie nudzić, na to jest jeden sposób — odezwała się księżna Teresa. — Potrzeba koniecznie mieć cel jakiś w życiu. Jeżeli losy go nie nastreczają, człowiek sam stworzyć go sobie powinien.

— Tak jest — rzekł Wiktor. — Ażeby zaś oszczędzić sobie trudu nieustannego tworzenia małych celików, odrazu sobie założyć musi niedościgniony.

— Otóż to najtrudniejsze! — odparła księżna Teresa. — Czasem jednak małemi rzeczami bardzo szczęśliwym być można. Znałam biédnego starego kawalera, który był póty najnudniejszym i najbardziej znudzonym z ludzi, póki nie zaczął zbierać stariej porcelany. Filiżanki i talerzyki zapelniły mu pustkę życia.

— Słowo daję — wyrwał się hrabia Filip — jeżeli tak, to gotów jestem jutro rozpocząć kolekcją korków od butelek.

— Wierz mi, hrabio, i korkiby cię uszczęśliwić mogły, gdybyś miał tylko cierpliwość i wytrwałość.

Śmiano się trochę z korków, a Filip zamilkł posępny. Hrabia August począł opowiadać historyjkę jakąś, na poparcie teorii księżny.

Niektóre osoby wstawały od stołu; towarzystwo rozpraszać się zaczęło. Ahaswera słuchała swojego poety, który żywo, z zapalem prawil jój coś, widocznie rozgorączkowany i natchniony.

Liza, wstając z innymi razem, znalazła się wypadkiem niedaleko Wiktora, w chwili gdy ten zapytywał pana Ferdynanda o freski, znajdujące się w drugim pokoju, bo nie widział ich jeszcze.

Mowa była o tych sławnych obrazach z historyi Józefa, które Overbeck, Schnorr, Veit, w pierwszych chwilach narodzin szkoły katolickiej malarstwa, czerpać mającej natchnienie w chrześcijańskich tradycjach sztuki pierwotnej, nakręśliłi na ścianach tego właśnie domu, naówczas zajmowanego przez p. Bartholdy.

— Jakto? — w mieszała się gospodyni, podchodząc ku nim — pan nie oglądał jeszcze tych pięknych obrazów, dla których tu ciągle, codzień przychodzą mnie nudzić Anglicy? Pójdź-że pan, ja mu je pokażę sama.

Złożyło się właśnie w tej samej chwili tak szczęśliwie, czy tak niefortunnie, że pana Ferdynanda księżna do siebie zawołała, a pani Liza sama już musiała gościowi towarzyszyć do drugiego pokoju, co ją troszeczkę zmieszało.

Zatrzymała się, zamyśliła.

— Wiész pan co? — rzekła, gdy już miała się ku drzwiom skierować. — Oglądać te freski po nocy, przy świetle niedostatecznym, to znaczy pozbawiać się dobrowolnie całego wrażenia, jakie one uczynić mogą. Pierwsze wejrzenie na dzieło sztuki powinno być obrachowanym, bo ono często szkodzi i zostawia po sobie w umyśle wrażenie niezatarte. Wprawdzie mógłbyś je pan potem widzieć we dnie, ale toby już nie było toż samo...

Wiktor wstrzymał się i cofnął od progu.

— Masz pani wielką słuszność — rzekł — uwaga jest niezmiernie trafna. Pierwsze wrażenie pozostaje niezatartem. Nie chcę dziś widzieć fresków, a poproszę p. Ferdynanda, aby mi je którego innego dnia, nie trudząc pani, pokazał.

Pani Liza teraz osobliwszym sposobem usposobioną była dla człowieka, który niedawno taką w niej obudzał trwogę.

— Przyjdź pan jutro na obiad do nas — odezwała się śmiało. — Jadamy wcześniej, o trzeciej, a freski o tej porze najlepiej oglądać.

Wiktor, tą uprzejmością zdziwiony, nie umiejąc nawet dziękować, skłonił się tylko.

Zaproszenie wyrzeczone było półgłosem, nieśmiało, pocichu, jak gdyby pani Liza nie życzyła sobie, by je reszta gości słyszała.

Wrócono natychmiast do towarzystwa.

Hrabia Filip, zawsze zapamiętałe zakochany w gospodyni, dojrzał zdaleka tę króciuchną poufną rozmowę i jeszcze się okrutniej zasepił.

Wiktor, idąc obok niej, miał czas, nim się połączyli z resztą gości, dodać jeszcze:

— Mimowolnie to, co pani tak trafnie powiedziałaś o obrazach, zastosowuję w myśli do ludzi, i przypominam sobie, jak pierwsze wrażenie, które musiałem zrobić w domu pani, mogło mi wiele zaszkodzić.

Liza uśmiechnęła się.

— Z ludźmi — rzekła — dzieje się wcale inaczej; pierwsze wrażenia zaciągają się łatwiej, a często wywołują nawet zupełnie przeciwne. Człowiek jest w sobie tak rozmaity, iż w różnych chwilach bywa do siebie niepodobny.

Hrabia Filip zbliżył się właśnie do powracającej pani; Wiktora zagadnęła księżna i odciągnęła ku sobie.

— Artysta czy dyletant, Cygan czy baron incognito — odezwał się Filip z przekąsem do gospodyni — ten pan Wiktor ma osobliwe szczęście. Pierwszego dnia, gdy się tu ukazał, zrobił wrażenie przerażające; a dziś zdaje się *en train* zostania ulubieńcem księżny Teresy i pani.

Liza ruszyła ramionami.

— Czy hrabia znajdujesz, żeśmy dla niego niedosyć niegrzeczne? — spytała.

— Notuję fakt, iż ma szczęście obie panie zajmować — tłumaczył się hrabia. — Newszystkich jest to udziałem. Ja mu zazdroszczę!

Śmiechem wesołym, choć nieco przymuszonym, odpowiedziała mu gospodyni. Musiał on na nim przykre uczynić wrażenie, bo zaciął usta i ustąpił.

Nie mając na kim pomścić się za własny zły humor, Filip, dostrzegłszy że Ahaswera zajęta była bardzo żywą rozmową ze swoim poetą, umyślnie zbliżył się ku osamotnionej parze, aby przerwać *tête à tête*, i przemówił szydersko:

— Nie przeszkadzam?

— Przyznaj się — zawołała, podnosząc się księżna — że radbyś przeszkodzić. Miałbyś w tém prawdziwą przyjemność. Nieprawdaż? Otóż na nieszczęście nie przeszkodziłeś, bośmy grzeszyli obmową i wyratowałeś nas od potępienia.

— A kogożście państwo obmawiali? — zapytał hrabia.

— Pewnie nieszczęśliwego człowieka, który nadaremnie wdycha do bóstwa, a ono nie chce go ani słyszeć, ani rozumieć.

Hrabia Filip próbował się uśmiechać.

— Gdyby zakochani rad słuchali — dokończyła Ahaswera — powiedziałabym mu, ażeby gdzieindziej zaniósł westchnienia swoje... bo szkoda szafować niemi nadaremnie. Są-to przecie drogie wyziewy duszy!

— Westchnienia, które księżna tak poetycznie nazwałaś — odparł hrabia poważniej niż zwykle — rodzą się w pewnych dobach życia, czy jest czego wdychać, czy nie. Cóż zrobić z niemi? trzeba je wyszafować bez skutku, aby piersiom ulżyć!

Rozśmiała się z téj teoryi księżna i zaczęła wybierać do domu; poeta *servente* szukał już chustki i kapelusza swéj pani, kazała mu bowiem odprowadzić się, co Emila widocznie wprawiało w dumę.

— Patrzaj-że — szepnął na ucho hr. Augustowi Filip — Ahaswera nie na żarty przywłaszczyła sobie wieszczka i geniusz wprzęgła do swego rydwanu. Gotowa go pociągnąć do Biarritz. Żalby mi było biédaka, bo choćby zawiozła z sobą, któż ręczy, czy go gdzie na drodze, znudzwszy się pieśnią, nie porzuci.

Hr. August pośpieszał, pożegnawszy się, ku drzwiom, aby się pozbyć towarzysza, który go jednak dogonił na schodach i razem z nim, bawiąc go rozmową, mniej jednak zabawną niż zwykle, powrócił do hotelu.

Gdy się znalazł sam w swém mieszkaniu, hr. Filip rzucił kapelusz w kąt i krzyknął:

— Tego mi tylko brakło!

Padł w fotel, sparł się na rękę i, zadumany, przetrwał tak do późnej nocy.

Stara Anunziata, przygarbiona, pomarszczona, łysa, siwa, kaszląca, ale zawsze uśmiechnięta, tego dnia przeszła już razy kilka z miotką i szczotką w rękach po pokoikach, zajmowanych przez Wiktora.

Za każdym razem spoglądała z ukosa na stojącego przed oknem, przez które nic widać nie było, lokatora swojego i zdawała się zaciekawiona nim jak zagadką, chociaż znała go już oddawna. Wiktor stał tak jakoś zadumany i zatopiony w sobie, iż nawet szłapania staruszki nie słyszał.

Był nawpół ubrany, a rozłożone przed nim suknie okazywały, że miał wkrótce dokończyć tego rozpoczętego dzieła, które mu myśli natrętne przerwały.

Z oczyma wlepionymi w odrapany mar przeciwległy, na którym z okien drugiego piętra wywieszona drapowała się świeżo uprana bielizna ledwie mającą przez zabrukane szyby, z brwią ściągniętą, z ustami zakąszonemi, stał już tak dobry kwadrans, a Anunziata, do której nie przemówił nawet, ani się ku niej odwrócił, dreptała niespokojnie, widząc go tak zamyślonym.

To mu się rzadko trafiało.

Włoskie sługi, choć jak wszyscy śmiertelni, lubią *denari*, mają to do siebie, że się jakoś, w stosunkowo nawet krótkim czasie, przywiązują do swych panów. Przetrwało to snadź tradycyjnie z tych czasów, gdy rzymscy patrycyusze domową swą czeladź zwali familią i gdy niewolnicy nawet i wyzwoleńcy, w dobrych i złych losach rodzin do których

należeli, mieli udział wielki. Włoski sługa niema zbytniej uniżoności dla pana, ale z nim wchodzi prędko w rodzaj poufalości, która przybiera formy serdeczne.

Taką była i stara Anunziata, prosta babusia, którą Wiktor tak obchodził, jakgdyby był synem jój, lub wnukiem. Widziała go w jakimś nadzwyczajnym usposobieniu, smutniejszym niż zwykle, pogrążonym w sobie — niepokoiło ją to i budziło obawę.

Potrzebowała odkryć tę tajemnicę. Zwykle widywała swojego lokatora tak zawsze jednakim i spokojnym, iż stan ten wyjątkowy dla niej zwiastował jakiś wypadek, o którym dowiedzieć się chciała.

— Co to mu jest? — szeptala, przechadzając się z narzędziami do oczyszczania, których jój właśnie w tym pokoju używać nie było wolno... Czyby się czuł chory?

Staruszka odchrząknęła raz i drugi, ale Wiktor nie spojrział na nią. Nareszcie zniecierpliwiona przyszła doń powoli i zlekka pociągnęła go za rękaw, twarz nastroiwszy do zwykłego dobrodusznego uśmiechu.

Wiktor z wolna odwrócił się ku niej.

— Czego chcesz, moja stara? — spytał łagodnie, jakby przebudzony ze snu.

— E! e! nic nie chcę! — rzekła zcicha — tylko radabym wiedzieć, co wam jest? Stoicie już może z pół godziny, patrząc na ten mur brzydki. Cóżście tam zobaczyli?

— Muru nawet nie widziałem — odparł Wiktor, siadając w krzesło.

— A o czémżeście myśleli?

— O czém człowiek myśleć może, starzejąc? — zapytał Wiktor.

Stara, niezwykłym pytaniem zagadnięta, twarz oparła na rękę i poczęła także rozmyślać nad odpowiedzią. Milczała chwilę, westchnęła i ręką rzuciwszy, dała znak, że nie wie co ma odpowiedzieć na to.

Wiktor siedział znów zadumany. Staruszka nie odchodziła.

— Powiedz ty mi — odezwał się po długim przestanku — gdyby ci nanowo żyć kazano i rozpocząć coś już przeżyła, czybyś życie ofiarowane przyjęła?

Anunziata wsłuchiwała się i mruknęła, aby jój powtórzył pytanie, którego dobrze nie rozumiała. Zmarszczyła siwe brwi gęste. Nierychło się mogła zebrać na słowa; badała duszę własną. Z wolna zaczęła potrząsać głową; widać było niepewność i walkę; wostatku rękę odjęła od twarzy i zawołała krzykliwie:

— *No! no! Grazie tante!* (Nie! nie! Bardzo dziękuję). Jednego życia dosyć. Basta!

Wiktor się uśmiechnął.

— Otóż wiész już — odezwał się — nad czém ja dumałem, stojąc tak długo; nad tém, że życia skończonego drugi raz rozpoczynać niewarto, kiedy się wie że, bądźcobądź, ono się łzami skończyć musi.

Anunziata ciekawie popatrzyła na mówiącego, postąpiła jeszcze chwilę nad nim, spoglądając z politowaniem, i powlokła się nazad, niby pyły zmiatając po drodze.

Do drzwi dzwoniło właśnie, a na progu ukazał się pełen życia, wesoły, rozpromieniony pan Ferdynand. Ten był jeszcze w owym okresie młodości, w którym przy jego temperamencie ciężaru życia wcale się nie czuje. Uśmiecha się wszystko, a jedna pogardliwie odpychająca Pepita łatwo nazajutrz inną uśmiechającą się twarzyczką zastąpić może.

Ferdynand wchodził z piosenką na ustach, pozdrawiając uprzejmie staruszkę, która pięknej jego młodości rada była i witała go wesoło.

Był on jednym z tych ludzi, nawykłych spijać z życia śmietankę, broniących się mężnie wszystkiemu, co zaćmić może jasne słońce dni wesołych. Potrzebował być szczęśliwym koniecznie, bo nieszczęścia znieść nie miał siły. Zagrożony wyjazdem z Rzymu, gdzie sobie różne piękne pozasnuwał marzenia, na tle włoskiego krajobrazu, pan Ferdynand lżej teraz oddychał, bo pani Liza myśl swą zmieniła, lub odkładała przynajmniej. Zdawało mu się iż to winien był jój fantazyi (tak ją nazywał) dla Wiktora; zatem chciał ją bardzo zbliżyć do niego.

— Niechby się sobie biedna kobięcina rozerwała — mówił w duchu. — Jest tak stateczna, poważna, surowa, że się o nią wcale obawiać nie potrzebuję, a radbym żeby ją co zabawić i zająć trochę mogło. Wiktor zdaje mi się téż bardzo przyzwoitym i nieplochym człowiekiem. Liza powtarza ciągle że za mąż iść nie myśli; lecz żeby dlatego miała się stosunków z ludźmi wyrzekać....

Domyślając się i utwierdzając coraz w tém przekonaniu, że Wiktor siostrę zajmował, że obudzał w niej ciekawość, Ferdynand, przez miłość dla niej, chciał pośrednictwem swém bliższe stosunki ułatwić. Trochę się więc natrętnie narzucał Wiktorowi.

Wczorajsze zaproszenie na obiad ostatecznie rozwiązywało wątpliwości. Pani Liza wyrwała się z niém pod wpływem jakiegoś chwilowego natchnienia, któremu się oprzeć nie umiała.

Wkrótce potem pożałowała tego, gryzła się, wyrzucała to sobie, czuła się skompromitowaną; niepokój nią owładnął. Brat wszystko to ukradkiem zauważył i mężkie wnioski robił z tego stanu duszy.

— Fantazya kobięca — mówił sobie — przejdzie to. A czemużby sobie nie miała jęj pozwolić?

Obawiając się, aby Wiktor albo się nie spóźnił, lub nie wymówił, bo wiedział jak był dziki, Ferdynand postanowił sam zająć po niego i dla większej pewności zabrać go z sobą.

Serdecznie rad był siostrze służyć.

Biedna pani Liza, popelniwszy to zaproszenie, którego się później zawstydzila, była zmuszoną poniekąd brata wciągnąć w swą sprawę i poczęści wtajemniczyć. Obawiając się, aby o tym obiedzie nie wygadał się przed kim, przyznała mu się, że była *zmuszoną* zaprosić, że to ją kłopotalo bardzo, bo ludzie gotowi to byli po swojemu zaraz niegodziwie tłumaczyć. Prosiła go, aby na siebie wziął całą winę, a najlepiej nikomu o tém nie wspominał.

Ferdynand, zaszczycony tém zaufaniem, które go rzadko spotykało, bo siostra słabość jego znała, bardzo był z całego obrotu sprawy i składu tych okoliczności szczęśliwy. Przecież mógł się jęj przydać na coś. W takim usposobieniu różowém zjawił się w progu, poczynając bardzo złą, forestyorską włoszczyzną, pocieszną rozmowę ze starą Anunziatą.

Usłyszawszy głos jego, znajomy dobrze, Wiktor conajprędzej dokończył ubrania.

Gdy Ferdynand wszedł do pokoju, znalazł go już prawie do wyjścia gotowym.

— Ponieważ mi bardzo szło o to, abyś szanowny pan nam nie skrewił, a lękałem się roztargnienia, zapomnienia, przeszkody jakiejś, stawiam się więc sam, żeby go zabrać z sobą. Będziemy mieli czas przed obiadem dobrze się freskom przypatrzeć. Mówią że są tego warte. Ja, przyznając się, nic w nich tak osobliwego nie widzę; kolory mi się wydają szare, wszystko jakieś smutne; lecz inni się nad niemi unoszą.

Wiktor prosił się i spocząć trochę, dzień bowiem, choć po burzy, znowu był parny, a przechadzka w tęg godzinie nużąca.

— Ja już dziś zbiegałem się dobrze — wesoło odezwał się młodzieniec. — Ale, ale: wiesz pan że i ja zostałem zaintrygowany tą artystką, o której wczoraj mówiono. Poleciałem jęj szukać do Doriów.

Wiktor się uśmiechnął.

— I cóż? — zapytał.

— A, widziałem ją — rzekł Ferdynand obojętnie. — Ale z nią to tak, jak z temi freskami. Nie wiem, może jest piękną, tylko nie dla mnie. Słyszałem że hr. August, bo i on i nasze panie (oprócz siostry mojęj) wszystkie się tam znalazły — hr. August powiadał, iż w tęg piękności jest wiele stylu i wyrazu. Ja znalazłem ją żółtą, zwiędłą, kwaśną a tak zatopioną w sobie, w swęj pracy, iż ledwie ukradkiem w oczy jęj zajrzeć było można. Zresztą — ciągnął dalej Ferdynand — powagi ma wistocie wiele; przypomina czy wielką damę, czy doskonałą aktorkę. Mnie się nie podobała. Wszyscy nasi znajomi, oprócz hr. Filipa, zaintrygowani nią wielce. Księżna Teresa zbliżyła się do niej, pod pozorem zapytania, czy rozpoczęta kopia jest do nabycia. Odpowiedziała jęj, zdziwiona nieco, że nie sądzi aby nabywania była wartą, gdyż nie ma jeszcze dosyć wprawy w tęg pracy. Księżna usiłowała przeciągnąć rozmowę, lecz nieznojoma widocznie sobie nie życzyła ani zbliżenia, ani zajmowania sobą. Odpowiadała półsłowami, nie patrząc, i grzecznym ukłonem pożegnawszy tęg dobrą księżnę Teresę, wróciła bardzo pilno do roboty. Innym się całkiem nie powiodło — dokończył Ferdynand.

To mówiąc, spojrział na zegarek; czas już iść było. Pod pozorem szukania cienia w małych uliczkach, miał w myśli przeprowadzić Wiktora tak, aby wszelkiemu możliwemu zapobiedz spotkaniu ze znajomymi.



Wyszli wreszcie i dostali się szczęśliwie, niepostrzeżeni, jak się im zdawało, na Via Sistina. Gdy weszli, pani Lizy nie było w salonie i brat sam wprowadził zaraz milczącego Wiktora do fresków.

Gospodyni wprawdzie oddawna była ubraną i do przyjęcia gotową, siedziała nawet w salce; ale dzwonek posłyszawszy, zlekła się sama nie wiedziała czego i zbiegła do swojego pokoju, Tu, przed zwierciadłem stanąwszy, postrzegła, że na rzęsach jej szklily się dwie lzy — lzy których zjawienia się nie czuła! Otarła je coprędzej, ale smutku i trwogi odpędzić nie mogła. Wstydzila się sama siebie, tak była wzburzoną.

Wszystko, co się z nią od tych kilku dni działo, prawie mimo jej woli, dręczyło ją tém właśnie, że nawykła despotycznie panować nad sobą; teraz czuła się niewolnicą wrażeń, popędów, które brały nad wolą i rozumem górę.

Nie umiała ani się pokonać, ani sobie stanu tego wytłumaczyć.

Zabawiwszy chwilę w swoim pokoju i przejrawszy się w zwierciadle, powolnym krokiem, drżąc, poszła do gościa swojego. Na dzień ten umyślnie ubrała się nadzwyczaj skromnie. Miała na sobie lekką suknię czarną, bez żadnych ozdób i niczego, coby jej żalobę odżywić mogło. Prosty, biały kołnierzyk i rękawki czyniły ją podobną do starego portretu flamandzkiego Rembrandta; ale w stroju tym była tak cudnie piękną, tak odmłodzoną, tak jaśniejącą, iż sama, w zwierciadło spojrzawszy, zarumieniła się, jakby się pochwyliła na bezwiednej kokieterii. Ach! wiedziała o tém, że jej w tej skromnej sukni czarnej najpiękniej jej było. Spadała w szerokich, bogatych fałdach dokoła, nadając ślicznej jej figurze wdzięk posągu starożytnego.

Nie czas już było zmieniać tego ubrania, w którym brat ją widział zrana; musiała wyjść jak stała. Kilkanaście kroków dzieliło ją od pokoju fresków. Nawykła do świata Liza wprędce odzyskała całą swą swobodę i przytomność.

Wsunęła się tak cicho, że brat nie posłyszał gdy weszła; ale Wiktor drgnął... poczuł ją przybywającą i zwrócił się ku niej z powitaniem. Oboje widocznie silili się na to, aby wzajem okazać się jaknajchłodniejszymi.

Niewielki znawca ludzi, Ferdynand jednak w tej ceremonialności, w tej ostrożności w obejściu się obojga, uczuł że fantazja siostry nie była próżnym domysłem. Zupełnie obojętni ludzie nie spotykają się z tak obrachowanym chłodem.

Zaczęto mówić o freskach; Wiktor bardzo je pięknie znajdował.

— Malarze — rzekł do pani Lizy — co się tu poraz pierwszy ośmielili próbować sił młodzieńczych na historyczno religijnym przedmiocie, nigdy może nie stworzyli nic bardziej natchnionego nad cykl ten obrazów, zrodzony pod wrażeniem sztuki chrześcijańskiej, naiwnej, namaszczonej wielką wiarą. Żaden z nich później nie poszedł już dalej, choć Schnorr wyśpiéwał Biblią całą. Z tym wdziękiem, zapożyczonym od Anioła z Fiesoli, od Luinich i mistrzów XV wieku, pozostali życie całe, powtarzając się, bo rozwinąć dalej tej melodyi niebieskiej, przerywanej wpływem pogańskim odrodzenia, nie zdołali, a rozstać się z marzeniem młodości serce nie pozwoliło. W historii sztuki ta szkoła katolicka Overbecka, potrosze i Schnorra, jest wysiłkiem rozrzewniającym, a próżnym niestety! Nie kończą się poemata, bo na ustach wieszczów, co je nucić zaczęli, śmierć swą pieczęć położyła. Prawnikom trudno uchwycić wątek ducha, który uleciał ku niebiosom. Więc martwe biorą formy i cisną je do piersi gorącej, aby odżyły. I cienie te odradzają się na chwilę, ale mgliste i bezcielesne. Wyrosły z grobów i do nich wracają bezdzietne. Aby szkoła katolicka wykwitnąć mogła, nie uwielbienia dla jej mistrzów potrzeba było, ale zbudzenia tego gorącego katolicyzmu, który ją zrodził. Niestety, ten już, jakim był wówczas, powrócić nie może. Wieki po nim przepłynęły, rozszarpały i podarły ziemię na której wyrósł. Na nowy posiéw ona czeka.

Wiktor mówił, zapominając się, jakby sam do siebie. Widać było, że obrazy te zajmowały go mocno. Wyobraźnia przedstawiała mu tych młodych, pełnych zapału artystów, którzy tu na kradzionym ścianie kawałku, ożywieni ogniem świętym, szczęśliwi, patrzyli na wcielenie się dęgu żywionych myśli.

Dziś mało kto mógł i chciał uczcić ten plac zapasów, tak jak on na to zasługiwał.

Ciekawi patrzyli nań chłodnymi oczyma, pytając się w duchu, co tu było tak znakomitego, by uwielbiać aż potrzeba?

Dla Wiktora widok to był rozrzewniający i podbudzający razem. Pod wpływem tych fresków stał się innym. Zapomniał na chwilę o tej pięknej jak anioł istocie, która słuchała

go drżąca i przejęta. Natura artysty zbudziła się w nim i zadrgała na widok dzieł, które były więcej niż utworami sztuki, bo pomnikiem chwili niepowrotnej w artystycznym życiu naszego świata.

Przebrzmiały te piękne dźwięki, ale echu ich dusza pobożna artysty z rozrzewnieniem cześć złożyć musiała. Chwilę Wiktor żył jakby w tych, co tu z trwogą i nadzieją kręślił pierwsze karty księgi, która nigdy dokończoną być nie miała.

— Nie umiałam nigdy wypowiedzieć tak dobrze com czuła, patrząc na te obrazy — odezwała się Liza, gdy umilkł. — Historia ich nie jest mi obcą. Obudzały one we mnie tęskne uczucia. Siaduję godzinami, patrząc na nie. Wyobrażałam sobie nieraz, z jaką gorączką i trwogą przystępowali młodzieńcy do téj walki z zadaniem, którego czuli zachwałność. Freski zestarzałe zdają się jeszcze niedawne i świeże, choć ci, co je tu w dniach swéj młodości rzucili, dawno leżą w grobach ostygli. Więcej niż pół wieku minęło może i cicho tu jak w grobie. Żyją tylko widma te, wywołane miłością wielką.

Słowo to wyrwało się pani Lizie mimowoli i rumieniec z niém na twarz wystąpił.

— Nie umarli oni — przerwał Wiktor z zapalem. — Zeszli, znikli, ale myśl ich pozostała żywa, mówi do nas. Wszystko co ją zrodziło, co towarzyszyło kolébce, co ją cierniem oplatało, poszło w proch, lecz dzieło ducha stoi niewzruszone. Może, jak Wierczernik Leonarda, poszarpane rozsypać się w kawałki, a jednak ze szczątków ich jeszcze myśl strzeli młodą i gorącą. A ileż to z tych obrazów zrodziło się potomstwa myśli, słów, uczuć i dzieł sztuki!

Razem z gospodynią począł się i Wiktor wpatrywać zkolei w pojedyncze sceny historyi Józefa, w towarzyszące im emblematyczne postacie ugóry, uśmiechając się z dosyć nieforemne go użytkowania ścian, z których każdego kawałka chciano korzystać.

Na rozmowie o sztuce szedł czas do obiadu. Wiktor, zapiérający się imienia artysty, dał dowód, mówiąc z takim przejęciem o tych freskach, iż nic go tak do życia przywrócić nie zdołało, jak sztuka.

— Pan-bo jesteś, pan musisz być artystą! — odezwała się, do stołu siadając, gospodyni.

Wiktor tak był ożywiony i widokiem obrazów i może cudną twarzą a głosem téj idealnej istoty, do której dziś zbliżyć mu się swobodnie było wolno, iż o zwykłej swéj małowówności i trzymaniu się na wodzy zapomniął.

— Być może, iż stworzony zostałem na artystę — odparł. — Czuję to, ilekroć się zbliżam do dzieł wielkich mistrzów, bo dla nich zapominam o świecie całym. Ale jakże mało jest ludzi, którychby kolébka tam stała, gdzie była powinna! Młodość moja zeszała w świecie, w stosunkach, w zajęciach, które mogły tylko rozbudzić artystyczne żądze, nie dając środków do ich zaspokojenia. Niedosyć mieć poczucie piękna, miłość jego, nosić w duszy ideał, dopominający się wcielenia — potrzeba jeszcze uczynić rękę myśli posłuszną, uzbroić się w siłę fizyczną wykonawcy. Na to ja ani czasu, ani sposobności nie miałem. Przyszedł potem przełom, katastrofa, która mnie rzuciła rozbitkiem na cudzą ziemię. Złamany człowiek, zapóźnie chciałem nowe rozpocząć życie. Młodość nie powraca; tylko w tych latach, gdy i umysł i ręka są giętkie, uczyć się można. Później myśl i serce łamią ołówki i penzle kruszą. Chwywanie się namiętne sztuki rodzi rozpacz, bo w duszy dojrzały obrazy, a bezsilne palce już ich odtworzyć nie umieją.

— Ja jednak wyobrażam sobie — przerwała Liza — że choćby się arcydzieł tworzyć nie mogło, przecież to wcielenie myśli musi na chwilę czynić bardzo szczęśliwym i pochłaniać człowieka.

— Pochłania... tak jest — rzekł Wiktor — serce porusza, dozwala zapomnieć nawet o tych cierpieniach, które nigdy nie ustają; lecz szczęście to trwa, jak pani powiedziałaś, jedną króciuchną chwilę. Zaledwie myśl wzięła na siebie ciało, gdy wyobraźnia porównywa je do tego, co nosiła w sobie, w złotych snach wypieściła. Niedołęztwo tego co przyszło na świat przywodzi do rozpacz. Szczęście krótkie zmienia się w zgryzotę. Następuje zniechęcenie, gorycz, zwątpienie o sobie, tém boleśniejsze, że przychodzi niespodzianie i rozpromienioną duszę ciemnościami zaléwa.

— Rozumiem tę boleść — odpowiedziała Liza — ale z twórczością w sztuce nie dzieje się to samo, co z nadziejami i ideałami całego życia naszego? Wierzmy w nie, chwyamy widma zwodnicze i szczęściem jest jeszcze, jeśli się w nicość rozwieją, szlamu i kałów nie zostawiając po sobie.

— W życiu — dodał Wiktor ze smutnym półuśmiechem — największym szczęściem są nadzieje i pragnienia; o nie się modlić potrzeba.

— Dopóki się niemi ludzić można — dodała Liza. — Po smutnym doświadczeniu źródło ich wysycha.

— Naówczas — rzekł Wiktor wesoło — trzeba z czynnego aktora na scenie stać się widzom zrezygnowanym i chłodnym; wybrać sobie fotel wygodny, sąsiedztwo niezbyt uprzykrzone i... dosiedzieć do zapuszczenia kurtyny spokojnie.

Pani domu potwierdziła to smutnym uśmiechnięciem się.

— Pan jednak jesteś zamłody do zajęcia tego fotelu — szepnęła.

— A! pani, ja jestem niezmiernie stary — odparł Wiktor — nie tak latami, jak doświadczeniami wszelkiego rodzaju, które się w nich skupiły. Widzem tym już jestem od dość dawna i nie życzę sobie powracać na scenę.

Spojrzeniem zdawał się pytać Wiktor: A pani?

Liza spuściła oczy i nie dała odpowiedzi.

Wśród tej rozmowy, trochę zapowaźnej dla Ferdynanda, młodzieniec, czując iż lepiej się było nie mieszać do niej, czynnie się zajmował gospodarowaniem koło stołu. Rozporządził służbą, dawał rozkazy, wysyłał ludzi, udając że mu na nic więcej nie stawało czasu.

Parę razy zwróciła się ku niemu siostra; odpowiadał jej półsłowami i wracał do tego krzątania się, trochę nienaturalnego, za które jednak i ona i pan Wiktor wdzięczni mu być musieli.

Gospodyni, nie dając tego poznać po sobie, rzucanemi od niechcienia pytaniami starała się z gościa coś o jego przeszłości wyciągnąć.

Zaczęła kilka razy mówić o różnych kraju prowincjach, wspomniała o Wołyniu i z trwożą nową a niesmakiem przekonała się, że człowiek ten, którego ona nie знаła wcale, stosunki niegdyś ją otaczające, osoby najbliższe jej znał bardzo dobrze. Nic mu tam obcym nie było... mówił o ludziach, miejscach, o wypadkach przeszłości, jak gdyby niegdyś był ich blizkim.

Na wzmiankę o nieboszczyku mężu pani Lizy, którą nieostrożne pytanie wywołało, rumieniec oblał ją; zamilkła, okazując tak wyraźnie pomieszenie, iż Wiktor, dostrzegłszy to, bardzo zręcznie zmienił przedmiot rozmowy, poczynając rzecz o Włoszech i Rzymie.

Chcąc czémś weselszém zabawić, żartował z towarzystwa, które tak chciwie zbiegło się oglądać nieznaną artystkę, o czém mu pan Ferdynand powiedział.

— Księżna, wracając, wstępowała do mnie — dodała Liza, ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — Ona jest wistocie zajęta mocno nieznaną, ale u niej nie jest to prosta ciekawość. Złote serce ma w tém udział wielki; wyobraźnia tworzy już sobie na tém tle cały dramat, aby w nim odegrać mogła rolę anioła-stróża.

— Nie wiem co się stało hr. Filipowi — przerwał Ferdynand, rad łatkę mu przypiąć, bo wiedział że siostra go nie lubiła. — On, zwykle tak skory do szukania znajomości, do zawiązywania stosunków, w celu zupełnie przeciwnym niż księżna, na ten raz okazuje nietylko obojętność, ale wstręt prawie; on jeden nie poszedł nowozjawionej oglądać.

— Ty go zawsze sądzisz zasurowo — stając w obronie, odezwała się Liza. — To biędny, także życiem zmęczony człowiek... wiele mu przebaczyć potrzeba.

— Ja też nie potępiam go, ale się nad nim lituję — odparł Fernando. — Nie ma jakoś szczęścia do nikogo. Powtarza ciągle, iż radby skończyć życia włóczęgę, ożenić się i sięść u domowego ogniska, ale nikt go nie chce za towarzysza.

— Widać że na owę żonę przeznaczoną, jak mówi nasze przysłowie, nie trafił jeszcze — dodała. — Pan mówiłeś — zwróciła się do Wiktora — iż nie każdy, co jest zrodzony na artystę, zostać nim może. Tak samo są i upośledzone istoty, co na bratnie dusze, z którymiby szczęśliwe być mogły, nie umieją trafić. To jest podobno losem hrabięgo Filipa.

— Zdarza się gorzej jeszcze — dodał Wiktor. — Czasem się przychodzi zawczasie, gdy istoty przeznaczone nie rozbudziły się jeszcze do życia; niekiedy zapóźno... a wówczas trzeba błędzić samemu.

— Życie wogóle zabawném nie jest — wyrwało się, jakby mimowolnie, pięknej wdowie.

Wstawali od stołu. Ferdynand znowu tak się zajął służbą, pilnymi sprawami kawy czarnej i likworu, że Lizę, niespokojnie się za nim oglądającą, samę z gościem zostawił.

We dwoje przeszli do salonu. Milczenie, przykre dla obojga, trwało dość długo. Gospodyni spoglądała na niego, on patrzył na nią chciwie. Mieniały się te wejrzenia, mówiące więcej niż słowa, niepokojące, zdające się jak błyskawice zapowiadać pioruny.

Lecz w momencie, gdy się groźny jakiś wybuch gotował, Wiktor, usiadłszy nieco opodal, spokojnie począł mówić o mieszkaniu pani Lizy, o freskach, o uliczce, przechadzkach na Monte Pincio i okolicach, które znał doskonale. Gospodyni musiała mu być niewymownie wdzięczną, z oczu jego bowiem czytała, że wcale co innego miał na myśli i mogło mu się łatwo wyrwać coś drażliwego.

Wśród tego paplania o niczym, oboje ochłonęli. Popłynęły pytania i odpowiedzi tak znowu swobodnie, iż wchodzący i wychodzący ciągle Ferdynand, słysząc śmiechy i ożywione opowiadania, nie czuł potrzeby na pomoc siostrze przybywać.

Tak przesiadzieli dosyć długo. Zaczynało się mieć ku wieczorowi.

Przekonawszy się, że artysta nie był ani napastliwym do zbytku, ani nieostrożnym, że można go było, pomimo wejrzeń zdradliwych, utrzymać w pewnych granicach, nie obawiając się już wybuchu — pani Liza stała się z nim poufalszą i śmielszą.

Pod koniec rozmowy o Rzymie, wyraziła się nieśmiało że raz będąc tutaj, radaby skorzystała z pobytu, nauczyć się czegoś więcej, oswoić ze sztuką i jej arcydziełami. Dała nawet do zrozumienia, iż Wiktor mógłby jej być w tém pomocą, dodając zaraz:

— Wprawdzie małe kółko nasze z każdą poufalszą znajomością, z przyjacielskich stosunków, lubi zaraz złośliwie wyciągać wnioski, i to może odstręczać od obcowania z tymi, z którymi żyćby najmiliej było. Ja jednak wcale na to zważać nie myślę.

I ta chęć uczenia się, i ta przestroga, oznaczały już pewne zaufanie, a śmielsze były, niż się po wdowie spodziewać było można. Sama ona czuła, że może posunęła się zadaleko, że była niezręczną; lecz w stosunku do Wiktora nie poznawała siebie.

Na wezwanie o pomoc w studyowaniu dzieł sztuki, Wiktor odpowiedział nieco zdziwiony:

— Jestem cały na usługi pani, choć nie wiem czy się na co przydać potrafię. Złośliwość ludzi, gdyby spróbowała swych zębów, to chyba na mnie, a ja mam skórę hypopotama. Wątpię jednak, aby mi ten zaszczyt uczynić chciano...

W śmiech to obróciła dość niezręcznie gospodyni i zagadano o czém inném; wejrzenia jednak krzyżowały się, daleko od słów wymowniejsze.

Przesiadawszy tak zadługo, Wiktor wziął wreszcie za kapelusz, gdy Ferdynanda właśnie w pokoju nie było. Pani Liza spojrzała ku niemu z wyrazem życzliwości wielkiej, a gdy się zbliżył do niej, podała mu rękę i odezwała się przy pożegnaniu:

— Rachuję więc na to, że w panu mieć będę nauczyciela.

Tu zatrzymała się chwilę i prawie niedosłyszalnych głosem dodała:

— I przyjaciela...

Wiktor nie umiał nic odrzec. Spojrzył na nią błagająco, jakby chciał powiedzieć: O pani! nie każ mi nanowo rozpoczynać życia!

Jakby zrozumiała to wejrzenie wymowne, Liza dorzuciła jeszcze:

— Pan doświadczyłeś wiele i chcesz być już tylko widzem życia; ja także oddawna uczyniłam to postanowienie. Możemy więc chwilę razem popatrzeć na scenę...

Wyszedł Wiktor tak wzburzony uczuciami jakimiś, tak roztargniony dziwnie, że gdyby Ferdynand mu się sam nie nastęrczył, byłby go może zapomniał pożegnać. Liza natychmiast pobiegnęła skryć się w swoim pokoju i siadła rozmyślać nad tém, czy nie powiedziała zawiele, czy się zanadto nie zdradziła. Serce jej biło mocno.

Kto znał jej przeszłość nieszczęśliwą, nie dziwowałby się, że za stracone, zmarnowane dni serce się dopominało nagrody; że przy spotkaniu z istotą sympatyczną, wybuch musiał nastąpić tém gwałtowniejszy, im bardziej był spóźniony i mniej spodziewany.

Wieczorem Eliza nie wiedziała, czy się ma kogo spodziewać u siebie. Księżna wprawdzie przychodziła prawie codziennie na herbatę, ale już raz była rano. Nie robiła ona ceremonij, lecz rachować na nią nie mogła. Z resztą dnia nie wiedziała co zrobić; ciężyla jej nagromadzonemi myślami. Sama pozostać z niemi nie chciała... Już miała posłać służącą po Ferdynanda, aby jej towarzyszył na Monte Pincio, gdy dano znać, że księżna Teresa jest w salonie.

Niezmiernie rada jęj, wybiegła naprzeciw, układając twarz do swobody i wesela.

— Zamęczam cię — poczęła księżna — ale się czułam smutna, nie wiedziałam co zrobić z sobą. Kunusia mnie wyprawiła do ciebie. Bądź miłosierną!

Liza białe rączki załamała.

— Ale ja nie wiem — zawołała — czym kiedy księżnie tak była wdzięczną za jęj przybycie, jak dzisiaj, bo i mnie było duszno, smutno i tęskno.

— Są takie ciężkie, ołowiane w życiu chwile — poczęła, siadając, księżna Teresa. — Nie wiem co wywołało we mnie dziś ten ucisk duszy: czy widok tęg biędnej a męźnej kobiety, która się na artystkę kształci z taką potęgą woli, a tak widocznym bólem w duszy — czy może ten zagadkowy Wiktor, który mi chodzi ciągle po myśli.

Posłyszawszy to imię, drgnęła pani Liza, ale natychmiast wróciła do pozornęg obojętnośc.

— Nie jestem z natury tak dziecinnie ciekawą — ciągnęła dalej księżna. — Moje wścibstwo i krzątanie się jest skutkiem próżniactwa i potrzebą zajęc.

Ten Wiktor pseudonimski nie byłby mnie może tak zaintrygował, gdyby nie ta kamea, o której ci wspominałam.

Milcząc, skinęła Liza, iż wie już o nięg.

— Do historii tęg szpilki — dodając, księżna — przybyło jeszcze jedno postrzeżenie, które najdziwaczniejsze domysły rozbudza. Pięrszy raz widząc tego Wiktora, sądziłam że go gdzieś widziałam, znałam... Łamałam nad tęg głowę. Ruchy, ton mowy, wyraz twarzy przypominały mi kogoś niezmiernie znajomego... Męczyłam się tęg długo, gdy Kunusia, która widziałam u mnie w czasie herbaty tego nieznanomego, otworzyła mi oczy, a raczęg nabawiła gorszego niepokoj.

Mówiąc to, księżna chwyciła rękę Lizy i, oglądając się niespokojnie, szeptała:

— Coś się zgadalo o tęg, że nowy gośc był u mnie. W tęg Kunusia powiada: „Czy tęg to księźny nie uderzyło, jak ten pan nadzwyczajnie do nieboszczyka starego księc

cia-ojca podobny? ” Zamilkłam, bo dopiero teraz uderzyły mnie te rysy, jakby familijne. Może to być przypadkowe, ale trzeba wiedzięc, że owa kamea, którą u niego spostrzegłam, była własnośc

ią starego księc

cia. Złóż-że to razem, moja droga, i powiedz mi, czy nie mam prawa niepokoić się i łamać sobie głowę?

Liza słuchała blada, równie jak księżna poruszona.

— Stary ksiązę — mówiła dalej przybyła — był najprzykładniejszego życia. Nikt nigdy go nie mógł posądzić o żadne tajemne stosunki. Owdowiał wcześniej, a żenić się nie chciał powtórnie; żył bardzo samotny na wsi, nie wychylając się z domu prawie.

Po krótkim milczeniu, księżnie wyrwało się znowu:

— To podobieństwo i ta kamea, jak to sobie wytłumaczyć?

— Tak, wistocie — przebaknęła gospodyni nieśmiało — dziwne to bardzo; ale bywają czasem takie trafy, takie pozory łudzące...

— Nazywa się Gorajski — ciągnęła dalej księżna Teresa — ale to nie jest prawdziwe jego nazwisko. Rodzina tego imienia była w kraju, to wiem, ale nie w naszych stronach, nie na Wołyniu, z kąd pan Wiktor zdaje się pochodzić, bo zna tam wszystkich.

— Przekonałam się i ja o tęg z rozmowy — dodała Liza, rumieniąc się. — Stosunki nasze wcale mu nie są obce.

— Bądźcobądź — zakończyła księżna — muszę to rozjaśnić. Nie mogę pozostać z tęg brzemieniem na piersi. Któż wie, to może nieszczęśliwy jaki człowiek rodziny mojego nieboszczyka, odrzucony, sam... sierota!

Dwie panie, szepcząc tak, przeniosły się ku balkonowi, chcąc świeższym odetchnąć powietrzem wieczoru, gdy drugi codzienny gośc, hrabia August, wszedł pocichu.

Truło mu mile towarzystwo pani Lizy nieodstępne ściganie Filipa, a tego wieczoru miał nadzieję, że go nie zastanie.

Odetchnął swobodnie, widząc iż wistocie nie było go w salonie. Gościa požądanego księżna szczególniej powitała z wielką uprzejmośc. Był-to dawny przyjaciel domu, któremu się zwierzyć mogła. Zaraz tęg po przywitaniu wzięła go na stronę, żywo zaczynając się spowiadać ze swęg trwogi i domysłów, z historii kamei i rysów familijnych Wiktora.

Hrabia August znał dobrze rodzinę całą ksiąząt, mógł więc najlepiej osądzić, czy postrzeżenie panny Kunegundy trafne było, czy fałszywe. W czasie opowiadania z twarzy

sluchacza, zawsze jakby zastyglęj i mało się zdradzającęj, księżna nic wyczytać nie potrafiła. Słuchał z uwagą, długo ani przerywając, ani odpowiadając. Zdawał się jednak mocno uderzony historią kamei.

— Podobieństwa pewnego fizyognomii, ruchów, tonu mowy nie mogę zaprzeczyć — odezwał się wreszcie. — Jednakże toby jeszcze niczego nie dowodziło. Trafiają się najdziwniejsze atawizmy w rodzinach szlacheckich, bardzo dalekie z sobą mających pokrewieństwa. Co do kamei zaś, dziś się ich tyle fabrykuje nawzór dawnych, fałszuje tyle...

— Ale ta-bo jest stara, nadzwyczaj piękna i wcale nie fabrykowana — przerwała księżna. — On sam powiada, że to pamiątka familijna.

Hrabia stał zamyślony.

— Nazywa się Gorajskim — dodała księżna — ale to jest *un nome di combattimento*... to nie prawdziwe jego nazwisko.

— Być może — przebaknął hr. August. — Dla mnie człowiek to sympatyczny! Hr. Filip chce w nim widzieć awanturnika, podejrzanego komedyanta; ale ja, com się rzadko zawiódł na pierwszym wrażeniu, znajduję go bardzo przyzwoitym, choć nieco oryginalnym.

— Dlaczegoż się osłania jakąś tajemnicą, ukrywa? — zawołała księżna. — Mnie to niepokoi.

Hrabia August przebaknął coś niewyraźnego, jak gdyby dalszëj o nim rozmowy chciał uniknąć. Uczuwszy to, księżna nie nalegała i ustąpiła powoli zachmurzona i smutna.

Powrócili oboje do pani domu, także zamyślonej i pogrążonej w jakichś dumaniach, z których odezwanie się przyjaciółki dopiero ją przebudziło. Wieczór obiecywał się smutnym, gdyż jeden Ferdynand, który wesół był zawsze, nie starczył na ożywienie towarzystwa, a dobry humor jego łatwo w wielką wpadał trywialność. W podobnych wypadkach hr. August, zwłaszcza gdy mu Filip nie przeszkadzał, dawał dowody wielkiego mistrzostwa w naprowadzaniu i prowadzeniu rozmowy. Potrafił więc, usiadłszy przy gospodyni, wywołać uśmiech na jęj usta, a księżnę zmusić do zapomnienia trosk o kamei i zagadkowym podobieństwie...

---

Wiktor, powróciwszy do domu, zrzucił natychmiast ubranie dla salonu włożone, które zdawało się ciężyc mu mocno. Namyslał się czy pójsć orzeźwic się dziecinną rozmową z Pepitą, czy użyć przechadzki, a nareszcie wyszedł na Monte Pincio.

Po każdém zbliżeniu się do wielkiego świata, zdziczały ten człowiek potrzebował zawsze swobodnego ruchu, towarzystwa, w którémby go nic nie krępowało, powietrza dla pierwi samotnej włóczęgi, do któręj nawykł, sam jeden długo błądząc po Rzymie.

W cieniu drzew na Monte Pincio znaleźć można zawsze gdzieś ławkę pustą, i popatrzyć na Rzym, usypiający w mrokach wieczoru, mrugający światelkami, jakby oczyma drzemiaczami.

Przesuwający się przechodnie ozywiają ten plan pierwszy pięknego obrazu, nie psując wrażenia całości. Z cygarem w ustach, Wiktor zasiadł wygodnie i oparł się o pień kasztana, gdy w dali spostrzegł kobietę, całą obwinietą wielką chustką czarną, przechadzającą się z wolną, z głową spuszczoną.

Niekiedy stawała, rzucając okiem na obraz, który dla nięj zapewne był nowym; potem, jak gdyby inni przechodnie przypominali jęj obowiązek poruszania się, szła znowu krokiem opieszalym.

Wiktor poznał w nięj łatwo owę artystkę, tak mocno zajmującą całą kolonią polską.

Nie miał zamiaru zbliżać się do nięj, ale mimowolnie oczyma ją śledził, starając się odgadnąć myśli biędnej samotnicy. Postać jęj, ruchy, chód, zwieszona głowa, jakby ciężarem jakimś przygniecioną, dawały odgadnąć łatwo istotę znękaną, z nowém swém położeniem nieoswojoną.

Wiktor starał się odgadnąć przeszłość tęj wygnanki, zmuszonej chwycić dla życia za penzle, dawniej służące jęj tylko za zabawkę. W ciągu bardzo krótkiej z nią rozmowy dostrzegł, że nie musiała być oswojoną z niedostatkiem i artystyczną oszczędnością. Ubiór jęj, nadzwyczaj prosty i niewykwintny, ułożony był jednak z pewném staraniem nałogowém o wdzięk; ręce były delikatne, białe, arystokratyczne, niezpracowane, a wyraz

twary nienawykły do pokory ubogich. Coś dumnego, gniewnego niemal, energicznego patrzyło z oczu wpadłych głęboko, ciemnymi śladami łez obramowanych.

Przypatrywał się jęj Wiktor, znajdując także coś tragicznego w tęg postaci błąjącej się samotnie wśród tłumu, z myślami i troskami — gdy przechadzająca się, potrącaną będąc przez wesółych a nieuważnych przechodniów, usunęła się trochę w głąb ku drzewom i zbliżyła ku ławce, na której siedział Wiktor w cieniu. Nie widziała go zrazu i rozpoczęła swą przechadzkę nanowo, tu, gdzie mniej było ludzi, a miejsca więcej.

Przesła tak parę razy około niego, nie postrzegłszy, i dopiero po kilku zwrotach, rzuciwszy na ławkę okiem, zdawała się go poznawać. Ciekawemi oczy zmierzyła go, dla sprawdzenia czy się nie myli; wstrzymała się nieco, zawahała i przystąpiła bliżej.

Wiktor zmuszony był się uklonić, na co odpowiedziała mu skinieniem głowy i siadła dalej trochę na tęg samej ławce.

— Korzystam ze sposobności, aby panu podziękować — odezwała się głosem, w którym mniej było energii, niż gdy ją spotkał pierwszą razą. — Wymknąłeś mi się pan tak, żem mu nawet polskiego Bóg zapłać powiedzieć nie mogła.

— Bo nie było za co — odrzekł, śmiejąc się, Wiktor.

— Pan jesteś artystą? — zapytała.

— Nie, pani, jestem próźniakiem, miłującym sztukę i czasem trwoniącym czas na nią niepotrzebnie.

Z głową zwróconą ku niemu słuchała kobięta.

— Cieszę się, że pan nie jesteś artystą i że ja go nie zastraszę przybyciem mojem tu, gdzie artystów jest tylu, a miłośników podobno tak mało.

Pomyślała trochę i ciągnęła z coraz wzrastającą energią:

— Niech to pana nie dziwi, że nie mając kogo pytać, będę niedyskretną. Szczerze mi pan powiedz: czy z małym talentem a wielką pracą można wyżyć z tego penzla nieszcześliwego?

Wiktor słuchał cierpliwie.

— Z wielkim nawet talentem i niemniejszą pracowitością sztuką żyć bardzo trudno — odparł, nie obwijając w bawelnę surowego wyroku. — Do pozyskania imienia dobić się niełatwo, a bez niego jest się na łasce przekupniów. Ci zaś mają tyle do wyboru, a tak są nawykli do nabywania prawie darmo, że rachując na nich, można umrzeć z głodu. Ludzie co kupują, wolą tanio nabyć u handlarza brzydkość, niż coś dobrego u artysty. Nie znają się powiększej części, idzie im tylko o pamiątkę z podróży.

— A jeżeli do życia potrzebuje się mało, bardzo mało? — przerwała kobięta.

— Nie wiem doprawdy, co mam pani odpowiedzieć, abym jęj nie uczynił zawodu — rzekł Wiktor. — Nie byłem dotąd narażony na konieczność zarobkowania.

Nastąpiło milczenie. Kobięta szklanemi oczyma patrzyła ku Watykanowi; Wiktor patrzył na nią. Miała w tęg chwili oblicze wistocie tragiczne.

— Nie sądz pan — dodała zimno — ażebym i ja już się znajdowała w położeniu podobnem. Zapewne dość długo jeszcze płótno psuć będę mogła, nie potrzebując szukać na nie kupca, ale wszystko przewidzieć trzeba.

Słuchacz nic nie odpowiedział.

— Pani wprost z kraju przybywa? — zapytał po przestanku.

— Nie — odparła nieznajoma — od lat kilku mieszkałam za granicą. Zmieniło się położenie moje, a dawniej już kochałam sztukę i zajmowałam się nią dla niej samej.

To mówiąc, wstała, poprawiła na sobie chustkę i chciała już odejść, ale usiadła znowu.

— A pan oddawna jesteś w Rzymie? — zapytała.

— Po Włoszech włóczę się nie od dzisiaj, choć niezawsze siedzę w Rzymie — rzekł Wiktor. — I terazbym tu nie powinien być, gdyby... nie jakaś ociężałość i... różne okoliczności.

Nieznajoma poruszyła się znowu i zatrzymała, namyśliwszy nieco.

— Rzym jest cudnie piękny — odezwała się — ale jakże smutny!

— Jest tęg on przytułkiem tych, co tu resztki życia przychodzą zagrzebać w miłości sztuki, lub w modlitwie. Młodzi tu prędko starzeją, a starzy żyją długo.

Kobięta popatrzyła na Wiktora i, skłoniwszy mu się głową, powolnym krokiem odeszła. Widział ją jeszcze parę razy idącą wzdłuż placu, aż znikła mu w mrokach wieczora. Z politowaniem powiódł za nią oczyma. Z krótkiej rozmowy łatwo było wynioskować,

że biedna kobieta przybyła tu ze złudzeniami niedoświadczenia i ciężkie godziny miała do przebycia przed sobą. Czuł przytém, iż była jedną z tych istot dumnych, którym żadnej pomocy ofiarować się nie godzi.

Przesiedział tak, pozostając na miejscu prawie do mroku sam na ławce; potem nalogowo, machinalnie powlókł się do swojej tratoryi. Potrzebował się czémś rozerwać, wrócić do postradanego stanu ducha, w którym czuł zmianę wielką.

Przyczyną jój była Liza. Wiedział o niej z dawniejszych czasów tyle, ile wszyscy zdala stojący słyszeć mogli. Bliższe poznanie nowe myśli obudzało. Ostatnia rozmowa w zastygłą duszę rzuciła zarzewie. Rozczarowany, ochłodły, obawiał się dać ujść urokowi, który nań wywierała.

— Powiniennem uciekać, gdy tylko przyzwolicie wykonać to się da — mówił w duchu. — Przyrzekłem ją oprowadzić po Rzymie. Zniknąć nagle byłoby niegrzecznie. Potrzeba znaleźć powód do odjazdu.

Szedł tak rozmyślając, gdy naprzeciw posłyszał ze śmiechem suchym i naleganiem kilka razy coraz głośnień powtórzone:

— *Buona sera!*

Trudno było w antypatycznym dźwięku tych słów nie poznać hr. Filipa. Szedł podrażniony, rozgorączkowany więcej niż zwykle, zmuszając się do fałszywej wesołości.

— Sądziłem że pan dotąd siedzisz u naszego ideału — odezwał się, naciągając. — Słyszałem żeś pan tam obiadował.

— Zkądże hrabia wiész o tém?

— Wiem wszystko, co się ideału tyczy — mówił Filip, zwracając się i okazując ochotę towarzyszenia idącemu ku garkuchni. — Cały świat wie, że się kocham oddawna w pięknej Lizie że o nią jestem zazdrosny.

— Ja przynajmniej do tego mu nie dam powodu — rozśmiał się Wiktor.

— Dlaczego nie. Wszyscy co się zbliżają do niej, co na nią patrzą, co z nią mówią, którym się ona uśmiecha, budzą zazdrość we mnie. Zazdrość nawet jój bratu i służącym.

— A! — przerwał Wiktor szydersko — więc wedle słów poety powinieneś pan zazdrościć i wiatrowi co muska jój lice, słońcu, które gra w jój oku...

— Wszystko to śmieszne być może, nie przeczę — odparł hrabia — lecz namiętność wszelka zimnym ludziom wydawać się musi śmieszna. Tak jest — dodał z pewnym rodzajem desperacji, która żartobliwą być chciała. — Kocham się w tym ideale od lat wielu... nadaremnie, a ulęczyć mnie z tej pasyi nawet lodowata obojętność przedmiotu mych adoracyj nie może! Umrę już z tą chorobą.

Szli zwolna ku tratoryi, a hrabia z ciągną gorączką, nie zważając na małą znajomość z Wiktorem, wywnętrzał się w sposób nieco dziwaczny.

— To nieszczęśliwa kobieta! Nieboszczyk mąż ją zgubił, odebrał jój wiarę w ludzi, ochotę do życia. Był-to człowiek potworny, tyran, rozpustnik, cynik obrzydliwy, który tego anioła poszanować nie umiał. Cierpiała z nim tyle, że jój życie zbrzydło; cały rodzaj mężki musi sobie wyobrażać tak ohydnie zepsutym, jak był ów Cyryl. Odpycha też wszystkich. Nie dziwiłbym się, gdyby mnie jednego los ten spotkał i tłumaczyłbym to jakąś idiosynkrazyą; lecz tak samo odrzuciła hr. Augusta, który się w niej od niepamiętnych czasów kocha i pozostał jój wiernym. Tak samo odprawiła młodszych i wielce dystygowanych.

— Brat mi mówił i ona sama się z tém nie tai — rzekł Wiktor — iż wcale za mąż iść nie myśli.

— Ale one tak mówią wszystkie — rozśmiał się hrabia. — Właśnie dlatego, że to się tak głośno i często powtarza, jabym wątpił. Gorycz pierwszego małżeństwa pozostała jój jeszcze na ustach.

Wiktor chciał odwrócić rozmowę.

— Hrabia znaeś pana Cyryla? — zapytał.

— Nietylkom go znał, ale miałem nieprzyjemność być jego krewnym — odparł hr. Filip. — Żyliśmy z sobą na stopie poufałości. Klóciłem się z nim z powodu tej nieszczęśliwej ofiary, którą zamęczał cynizmem bez litości, szyderstwem bez względu, afiszowaniem swych fantazyj monstualnych... Mając takiego anioła, prowadził pod jego bokiem życie tak skandaliczne, że o niem mówić nawet niepodobna. Że ta kobieta przeżyła boleści,



których doświadczyć musiała, wstyd, upokorzenie... to cud! Z kału tego, o który się ocierać była zmuszoną, wyszła jednak czystą, ale na duszy zabita.

Wchodzili do tratoryi, Wiktor zajął miejsce, nie podsycając rozmowy i sądząc że hrabia go porzuci. Ale Filip zasiadł przy stole, zuporem niezrozumiałym.

Po krótkim milczeniu, jakby sobie coś przypominał, odwrócił się do Wiktora.

— Zdaje mi się — zawołał — że pana widział na Monte Pincio, rozmawiającego z tą... jakąś artystką, Polką, przybyłą do Rzymu.

— Tak jest — rzekł Wiktor. — Miałem sposobność oddać jej małą przysługę; przysłała mnie o coś zapytać.

— Czy mówiła panu jak się zowie? — badał, wpatrując się w niego pilno, hrabia Filip.

— Nie pytałem o to, nie jestem ciekawy — rzekł Wiktor.

— Przybyła tu kształcić się na artystkę — zawołał szydersko Filip. — Pocieszna idea! Pan przez miłosierdzie powinieś jej to wybić z głowy. Naprzód Rzym dla chcących się uczyć jest zawczesny, powtóre stosunki w nim... dla kobiety, ciężkie, niewłaściwe. Należałoby jej odradzić pobyt w Rzymie, z obowiązku sumienia.

Hrabia mówił to jakoś tak gorąco, jak gdyby go nieznajoma obchodziła wielce. Wiktor ramionami poruszył.

— Jest mi tak dobrze jak nieznajomą i bliżej się zapoznawać nie mam ani czasu, ani ochoty, a ona sama, jak się zdaje, zawiązywania stosunków z nikim sobie nie życzy — rzekł po chwili. — Mieszać się więc w to nie mogę.

— Lecz jeżeli ona sama zagadnęła pana i zasięga rady — odezwał się hrabia, nie patrząc w oczy Wiktorowi i bawiąc się szklanką, którą nielitościwie o stół uderzał. — Przecież to jest obowiązkiem chrześcijańskim ostrzedz, radzić, pomagać. Być może iż fantazya ją tu zapędziła, że się spostrzeże zapóźno, jak fałszywy krok zrobiła, a nie będzie miała środków do naprawienia go, w razie gdyby chciała odjechać.

Tu hrabia zaciął się nieco i rzekł bardzo cicho:

— Ja z chęcią środków jej dostarczę.

Dziwnie jakoś Wiktor spojrział na niego.

— A czémże ona pana hrabiego litość tak żywo obudzić mogła? — zapytał.

— Moję? — hrabia pomyślał. — Ależ jam jej nawet nie widział zblizka; chrześcijański tylko obowiązek, a potem... zawsze należymy do jednego narodu i jakby do jednej rodziny.

Tę nadzwyczajną gorliwość w spełnianiu obowiązków i w poszanowaniu węzłów krwi tak mało się Wiktor spodziewał po hrabi Filipie, tak z jego ust zdało mu się to nadzwyczajnym, że w twarzy jego wyraziło się dobitnie zdziwienie zaniemiałe.

Gorączkowo wstrząsnął się, niby obrażony niemi, hr. Filip.

— Zdaje mi się — dodał — że w tém com powiedział niema nic tak nadzwyczajnego. Nie możesz mi pan naganić tego.

— A! uchowaj Boże — zawołał Wiktor — lecz nie nawykłem za granicą do takich objawów sympaty dla nieznajomych ziomek.

— Kobięta, proszę pana! — odparł nieco zmieszany hrabia. — Położenie, którego się domyślać łatwo mimowolnie obudzać musi współczucie.

— Niech-że się hrabia uspokoi — rzekł Wiktor. — Wprawdzie zapytywała mnie dziś właśnie, czy sztuka może wykarmić i starczyć skromnym potrzebom, ale zarazem dodała, iż uciekać się do niej teraz jeszcze nie jest zmuszoną.

Hrabia Filip słuchał z uwagą tak nadzwyczajną, iż znowu podejrzenie obudził w Wiktorze. Gdy ten mówić skończył, zapatrzył się hrabia w szklankę i zadumał.

Tymczasem Wiktor, śmiejąc się, rozmawiał z piękną Pepitą, która, nie zważając na obecność trzeciego, szczebiotała, jakby radując się, że zobaczyła starego przyjaciela.

Rozmowa z Włoszką na czas jakiś przerwała rozpoczętą z Filipem, który zmarszczony siedział naprzeciw i zdawał się wahać, a namyślać. Po odejściu Pepity podniósł głowę.

— Tak, tak — zawołał. — Ponieważ ta nieznajoma sama szuka w panu opiekuna i doradcy, radź jej pan, aby conajprędzej Rzym opuściła.

— Nie podejmuję się tego — odparł Wiktor — bo wogóle znajduję, że samemu sobie radzić trudno, cóż dopiero drugim.

— Drugim daleko łatwiej — podchwycił hrabia. — Wierz mi pan!

Zaciął się znowu i szklankę potoczył, która, padłszy na ziemię, na ceglanej posadzce się roztukła. Z niecierpliwością hrabia kopnął nogą szczątki i skruszył je.

Z wysiłkiem widocznym pochylił się do Wiktora.

— Między nami mówiąc — szepnął — zdaje mi się że znam tę panią. Jestem tego prawie pewnym; dlatego los jój poniekąd mnie obchodzi. Rozumié pan?

— Rozumiem — rzekł zimno Wiktor — lecz nie wiem dlaczegobyś hrabia sam, znając ją, nie miał się zbliżyć do niéj. Byłoby to daleko właściwszém.

— Ja nie mogę — wybuchnął hrabia Filip, którego oczy zaiskrzyły się. — Uczyniłoby to przykrość niewysłowioną jój i mnie. Niemogę! — powtórzył — nie mogę! Ta nieszczęśliwa się zgubi! To istota nieopatrzna, fantastyczna, dumna, zdziwaczała...

Mówiąc, wstał poruszony hrabia Filip, wyciągając rękę do Wiktora.

— Powiem prawdę — dodał gorąco — żem dla tego... interesu gonił za panem. Spodziewam się, że, bądźcobądź, zatrzymasz to przy sobie i o tém, com mu zwierzył, nie będziesz mówił nikomu.

Wiktor głowę skłonił.

— Proszę być tego pewnym — rzekł poważnie.

— Stosunki nasze były bardzo blizkie — pośpiesznie dorzucił hrabia. — Siegają one dawnych już nieco czasów. Nie było w nich nic, coby téj pani krzywdę czynić mogło.

Dokończywszy, Filip się podparł na stole i zamilkł ponuro.

— Zaczyna być nudno i duszno w tym Rzymie — dodał. — Gdyby nie pani Liza, na którą patrzeć muszę, dopóki tylko wolno, wyjechałbym ztąd zaraz.

Zaczął się przechadzać po izbie.

— Przychodzi mi myśl jedna — dodał, stając naprzeciw stolika. — Zrobię małą niespodziankę towarzystwu naszemu. Wszystkich panów i panie zaproszę gdzieś na wielką ucztę, abyśmy się choć raz zabawili wesoło! Jak pan myśli, gdzieby to najlepiej, najpiękniej odbyć się mogło?

— Że nie tu u Pepity — żartobliwie odparł Wiktor — to pewna. Innych miejscowości, do ucztowania właściwych, nie jestem świadom... W Rzymie, gdziekolwiek chciałoby się zabawić, nogą zawsze stanie się na grobie.

Filip gryzł palce zadumany.

— Trzeba koniecznie czémś się z tych wiecznie grobowych i żalobnych myśli rozbudzić — zawołał. — Obu księżn jestem pewien, że mi nie odmówią, ale pani Liza, o którą mi idzie najwięcej?

Wiktor jadł, nie wtrącając się do namysłów; radby się był uwolnić od natręta, rozgorączkowanego i w stanie nienaturalnym dziwaczącego. Śpieszył więc z winem i sérem, aby go coprędzej pożegnać.

Domyślając się tego, Filip wziął także za kapelusz.

— Jest późno — rzekł. — Namyślę się jeszcze dokąd zaprosić; lecz w każdym razie, bez żadnej wymówki, i pan mi zrobisz tę przyjemność...

Nim Wiktor zebrał się na odpowiedź, hrabiego Filipa już nie było; wybiegł, jakby go co pędziło.

Pepita, która zdala wszystkie ruchy jego i miny uważała, zbliżyła się do stolika napół przelękła, napół rozśmieszona.

— Ten pan... pijany, czy?... — uderzyła się w czoło.

— Ani jedno, ani drugie, Pepito czarnooka — rzekł smutnie Wiktor. — Coś gorszego od obojga, dziecko moje. Łysy już, a boję się czy nie zakochany.

Dziwczę z ubolewaniem palcem wskazało powtórnie na czoło. Wydał się jój teraz szaleńszym jeszcze.

## *Chore dusze*

## TOM II

Dni kilka upłynęło od obiadu u pani Lizy, którą brat zaczynał w najmniejszych jej ruchach i słowach śledzić z podejrzliwym niepokojem i obawą, tak stan jej zdrowia, ducha i humoru wydawał mu się nadzwyczajnym. Przypisywał on to wpływowi klimatu i, chociaż pobyt w Rzymie był dla niego dosyć ponętnym, gotów już poświęcić siebie, jechałby był z nią gdziekolwiekby, byle ją widzieć uspokojoną. Szło mu wielce o tę biedną siostrę, do której był przywiązany, a pragnął jej życie osłodzić, po tylu doznanych goryczach.

Dawniej poważna, smutna i chłodna, wpadła teraz w jakiś stan nerwowy, w którym jej nigdy dawniej nie widywał. Jawnem było, że nie wiedziała co począć z sobą. Zrywała się wyjeżdżać gdzieś, a nazajutrz znowu chciała tu dłużej pozostać. Wciągu dnia jednego zmieniała kilkakrotnie usposobienia; mówiła że jej tu dobrze, potem że wyżyć nie może. Naprzemian bywała to niezmiernie wesołą i prawie roztrzepaną, co się jej nigdy wprzód nie trafiało, to kwaśną, niecierpliwą, milczącą. Brat odgadnąć jej nie umiał. Kilka razy wśród rozmowy sama się sprzeciwiała sobie, a gdy jej brat robił uwagi, uciekała prawie rozplakana. Ferdynando nie poznawał swjej ukochanej siostrzyczki.

Nareszcie ośmielił się jej raz uczynić uwagę, że się jakoś zmieniła bardzo. Rozgniewała się na niego, nazwała to przywidzeniem dziwnym i lży stanęły jej w oczach. Brat pośpieszył przeprosić i tak się to skończyło. Nic jednak wymówka nie pomogła i humor, jakim był, pozostał.

Pomimo zaproszenia, Wiktor nie pokazał się rychło. Obowiązkowy bilet poobiedni złożył o tej godzinie, kiedy Lizy w domu nie było, co ją widocznie zabolalo. Nie pokazał się też u księżny, a nawet i pan Ferdynand nigdzie go nie spotykał.

Niecierpliwość i rozdrażnienie pani Lizy rosły, brat już nie umiał ani radzić na nie, ani śmiało badać, będąc odprawiany z niczym. Jednego dnia wreszcie zapytała go, jakby od niechcenia, czy nie widział gdzie „tego pana Wiktora.”

— Nie, nigdzie go nie spotkał — odparł Ferdynand — ale w tym nic nadzwyczajnego niema; wiadomo że dziwak jest. Czasem tygodniami błądzi po Kampanii i okolicach Rzymu sam jeden.

— Przez litość czy przez ciekawość powinienbyś się przynajmniej dowiedzieć, co się z nim stało — dodała siostra, i jakby się sama zawstydzila tej troskliwości zbytniej o nieznanego, obcego człowieka, zamilkła zarumieniona.

Ferdynand, nic na to nie odpowiedziawszy, zadumał się mocno. Podejrzenia jego nabrały coraz większego prawdopodobieństwa.

— Co ona w tym dziwnym człowieku mogła znaleźć tak osobliwego? — pytał się w duchu. — Niepojęta to rzecz!

Tegoż dnia, posłuszny, poszedł na Babuinę. Stara Anunziata, u której miał szczególne łaski, jako ładny chłopak, bo starzy lubią młodość kwitnącą, na zapytanie jego o Wiktora, zamachnęła rękami obiema po włosku.

— Niema go, niema! — rzekła — ale czyż to pierwszy raz? Czasem po dwa tygodnie z domu nie wychodzi, a potem jak ruszy, to strach mnie bierze, czy mu się gdzie co złego nie stało.

Potrząsała głową.

— Nie mówił kiedy powróci? — zapytał Ferdynand.

— *Che! che! che!* — zaśmiała się starucha. — Zapewne! żeby on też miał się komu spowiadać z tego co pocnie. Albo to on sam nieboraczętko wie, co się z nim jutro stanie?

Pożegnawszy uśmiechając mu się staruszkę, Ferdynand powrócił do domu i złożył raport krótki, na który nie otrzymał odpowiedzi. Później dostrzegł, że Liza przez resztę dnia była nadzwyczaj pogrążoną w sobie i przybitą.

Pan Ferdynand, choć nieświadomy, poznawał jednak, czemu wierzyć mu się nie chciało, że coś tu być musi. Postanowił więc na próbę pilnować powrotu Wiktora i sprowadzić go do siebie natychmiast, skoro się tylko zjawi.

— Smutnaby była historia — mówił sobie — bo to jakiś cygan. Ale niechże go Liza lepiej pozna, to łatwiej się zrazi i rozczaruje... Zresztą jeśli jej ta fantazyja choć na chwilę ma przynieść rozrywkę, to niema w tym nic złego.

Z przeszłości wiedział Ferdynand, iż siostrze, nawet w wypadku fantazyi jakiej, żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Znał wielką surowość jej zasad i wierzył w nią, jak w ziemskiego anioła. Co ona chciała i robiła, nie mogło być naganném. Brat uznawał wielką jej wyższość nad sobą i tam nawet, gdzie rzeczy nie rozumiał, gotów był zawsze ślepo spełniać jej wolę.

Włócząc się na Babuinę i do Pepity także, pod pozorem szukania artysty (choć ją ta go zimno i pogardliwie przyjmowała), miał naostatek to szczęście, że schwycił pana Wiktora, powracającego właśnie do domu.

Zastał go jeszcze w zapyłonej bluzie, leżącego nawznak na sofie i niesłuchanie znużonego. Anunziata, niby przypadkiem, faworyta swojego wpuściła.

Zobaczywszy go, Wiktor zerwał się trochę zniecierpliwiony, ale wprędce się uspokoił.

— Wszyscy się o pana dopytywali, wszyscyśmy się troszczyli, co się to z wami stało — zawołał, serdecznie go witając, Fernando. — Nie godzi-bo się tak nam dezerterować. Siostra moja nawet zagadywała mnie o pana kilka razy; księżna Teresa także. Sądziłyśmy, że się może na nas pogniewał.

— Cóż znowu — rozśmiał się z przymusem Wiktor. — Zaco i poco miałbym się gniewać, kiedyście byli tak łaskawi i uprzejmi dla mnie? Państwo-bo chorego i skwaszonego człowieka nie znacie. Miówam takie napady, w których potrzebuję dla orzeźwienia się ciszy, samotności, włóczęgi. Naówczas biorę kij i ruszam w świat. Wiem że to jest rzeczą nieprzyzwoitą, ale takim mnie już Bóg stworzył, a ja się przerobić nie umiem.

— A zatem niech będzie, jak być musi — wesoło rzekł Ferdynand. — Ale kiedy was złapałem, to proszę koniecznie do nas dziś na herbatę.

Wiktor, mrużąc, wymawiać się zaczął, ale Ferdynand napastliwie, po młodemu, nalegał i wymógł na nim słowo.

Zdobywszy je, rad bardzo pośpieszył do domu, siostrze jednak nie powiadając nic, aby jej zrobić niespodziankę. Był tego dnia tak impertynencko wesołym, że kilka razy za to burę odebrał.

Po odejściu natręta, za którego wpuszczenie bez zapytania Anunziata wysłuchała cierpliwie wymówek, poruszając tylko ramionami, Wiktor wybrał się naprzód zjeść coś do swej tratoryi.

Tu Pepita, z włoską żywością i poufałościąklepiąc go brudnymi rączkami po ramieniu, napadła nań z gniewem i wesołością razem, łając go, śmiejąc się i przyjmując jako zbłąkaną owieczkę, powracającą do domu.

Na tę scenę, zapewne szukając go także, nadszedł hrabia Filip, niedopoznania błądy, zachmurzony, posępny. Podeszedł, zobaczywszy Wiktora, jakby się mocno ucieszył, że go nareszcie pochwyił, i zaczął dopytywać, co się z nim działo, iż nigdzie ani go zobaczyć, ani się o nim dowiedzieć było można.

— Panie hrabio — odezwał się Wiktor. — Widzę że mnie państwo teraz tak samo mylnie bierzecie za salonowego człowieka i próżniaka, jakeście wprzód brali za artystę. Ja jestem ekscentryk: lubię swobodę. Znikam i powracam na świat, gdy mi przyjdzie fantazyja.

Hrabia się skrzywił, pochylił ku niemu i zapytał cicho:

— A cóż? nie miałeś pan sposobności mówić z tą... kobietą, z tą panią?

— Z kim?

— Z tą mniemaną artystką.

Wiktor, któremu ona wyszła z myśli, teraz ją sobie dopióro przypomniał.

— Nie widziałem jej — odparł sucho.

— Sądziłem — ciągnął dalej hrabia — że po naszej ostatniej rozmowie będziesz tak łaskaw, w interesie własnym tej nieszczęśliwej, z nią pomówić. Ona tu nie ma co robić, a przyznaję się, że mnie zawadza i pobyt w Rzymie mi zatruwa.

— Ze mnie najgorszy w takim razie pośrednik — odparł Wiktor zimno. — Nie jestem stworzony do spraw podobnych.

Hrabia Filip rzucił się niecierpliwie.

— Do jakich spraw? — podchwycił, jakby urażony. — Żadnej innej sprawy w tém niéma, nad potrzebę ocalenia kobiety niedoświadczonéj, nieopatrzonéj, dumnéj, a głowę mającój przewróconą, która...

— Hrabiemu zawadza — śmiejąc się, dorzucił Wiktor.

— To swoją drogą — odparł Filip. — O mnie zresztą mniejsza, ale ona tu do niczego nie dojdzie, chyba do jakiej ostateczności, do rozpacz.

Wiktor, jakby dłużej już o tém mówić nie chcąc, cały się zajął zjadaniem makaronu, przyprawionego po neapolitańsku.

Hrabia jednak nie ustępował, okazując coraz widoczniejsze podrażnienie. Przegarniał włosy naprzemiany i darł rękawiczki.

— Sądziłem — rzekł wkońcu — że pan mi zechcesz przyjść w pomoc, dla ocalenia téj kobiety, którą ja znając, wiem co jój grozić może. Spełniłbyś pan, wierz mi, dobry uczynek.

Wiktor jadł już bez apetytu, ale z wielką napozór chciwością, aby nie odpowiadać. Chciał się uwolnić od natręta i od poselstwa.

Nie było to łatwem, bo hrabia, tę jednę mając drogę do wykonania tego, co sobie zamierzał, trzymał się uparcie Wiktora. Zaczął więc znowu nalegać, wmawiać obowiązek, prosić wkońcu, tak iż Wiktor, rad nierad, odpowiedział że przy zdarzonej sposobności starać się będzie spełnić życzenie hrabiego, nie obiecując jednak ani pośpiechu, ani zbiegania o tę sposobność.

Filip, i tém już zaspokojony, natychmiast go pożegnał.

— Wierz mi pan — dodał, gorąco ściskając jego rękę — spełnisz uczynek dobry i kroku tego nie będziesz sobie miał do wyrzucenia.

Skończyła się na tém rozmowa.

Wieczorem Wiktor, przeistoczony na cywilizowanego człowieka, ubrany starannie, zjawił się w salonie pani Lizy, w chwili gdy ona się go wcale nie spodziewała.

Wprowadzający go Ferdynand złośliwie i ciekawie przypatrywał się wrażeniu, jakie sprawi zjawienie się Wiktora. Liza zbladła, zmieszała się, odzyskała prędko panowanie nad sobą, ale gościa przyjęła zimno.

Pod tym chłodem, umyślnie przybranym, każdy inny, nie pan Ferdynand, byłby się łatwo domyślił wzruszenia i wcale inaczej ocenił ten symptomat. On prostodusznie wziął to za dowód obojętności.

Zupełnie uspokojony, rzekł sam do siebie: „Omyliłem się, niema nic; ale bo téż i być nie mogło.”

Zwykli goście codzienni opóźnili się jakoś dnia tego na Via Sistina; Wiktor usiadł i rozmowa się rozpoczęła.

Zawiązała się ona tak powszednim trybem, tak nic nie znacząca w początku, iż Ferdynand wyszedł, by zająć się herbatą. Jakież było jego podziwienie, gdy zapowrotem znalazł siostrę siedzącą obok artysty, w najżywszej z nim poufałej i wesołej rozmowie. Twarz jój promieniała, oczy były pełne blasku; odmłodziła nagle, stała się inną.

Ferdynand i to zanotował, że Wiktor siedział na swém miejscu, które zajął był wchodząc, gdy Liza sama się do niego zbliżyć musiała, bo teraz obok siedziała.

Na Wiktorze, który wszedł pomieszany, widać już tylko było ożywienie nadzwyczajne, wzruszenie, które go całkiem pochłaniało. Nie zdawał się bronić nawet wrażeniu; cały był jak pod urokiem pięknej sąsiadki.

Ten, który teraz siedział zwrócony do pani domu, tak nie był podobnym do tego, który tu przed chwilą wszedł, jakby z musu i przeciw woli, że Ferdynand stanął na progu, patrząc na oboje i nic już nie mogąc zrozumieć.

Nie umiał pojąć, jak krótka chwila starczyć im mogła na tak wielką zmianę, na przebieżenie drogi tak długiej. Był to dla niego cud, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Naostatek wyłożył to sobie wymaganiami salonowemi, konwenansami, które zmusiły gospodynię domu i gościa do wzajemnego zbliżenia się i pewnej poufałości. To go nieco uspokoiło. Nie mógł przypuścić, ażeby nagła ta zmiana większe miała znaczenie.

Wistocie zaś miała ona znaczenie wielkie... chwila była stanowczą. Liza uległa wewnętrznemu głosowi, który ją zmusił zbliżyć się do Wiktora. Widząc się z nim samą, stała się śmielszą, przemówiła i uczucie w głosie jój zadrgało. Wiktor został pokonanym.

Starczył ten moment, tych kilka słów zamienionych, by oboje uwierzyli w siebie i w konieczność zbliżenia się. Serca się tego despotycznie dopominały.

W obejściu się Lizy z tym obcym wczoraj a dziś już jakby swoim człowiekiem, było coś braterskiego, opiekuńczego, a razem nakazującego. Czuła że panować mu będzie i że się jój dłużej nie potrafi opierać. Po za ten cel dopięty myślą nie sięgała. Jaki mógł być koniec tego

stosunku dziwnego, nie śmiała nawet badać. Musiało się stać, co było przeznaczonem: był to człowiek fatalnością dla niej wskazany.

Wiktor dotąd wyżej nad wszystko ceniący swobodę, wyrzekł się dawnego bóstwa... poddał się.

„Niech się dzieje co chce — rzekł sobie w duchu. — Jak za wszystkie życia marzenia, i za to zapłacić będzie potrzeba, kto wie jakim kielichem goryczy; ale... tak chciało przeznaczenie.”

Nie przemówili do siebie żadnem słowem znaczącem, któreby ich zdradziło; słów im nie było potrzeba, oczy i dźwięk głosu starczyły. Omylić się na ich znaczeniu nie mogli.

Gdy Ferdynand, postawszy w kątku i popatrzawszy na nich, odszedł znowu zadumany nad problematem, Liza szepnęła pośpiesznie, korzystając z nieobecności brata:

— Nie bądź-że pan tak dziki, nie lękaj się tak ludzi i stosunków, a nie tłumacz sobie fałszywie ich życzliwości. Wierz mi pan, są serca na świecie.

Wyciągniętą rączkę chwycił Wiktor, do ust ją niosąc za całą odpowiedź. Ferdynand, wchodzący właśnie, postrzegł to i stanął pomieszany. Rachuby na konwenanse okazały się fałszywe; Liza tak była przejętą, że się nawet nie zawstydzila brata, nie zarumieniła i nie oddaliła od gościa na widok wchodzącej księżny Teresy. To, co czyniła, zdało się jej naturalnem, koniecznem.

Wiktor szczęście to cudownie przeistoczyło, zrobiło z niego innego człowieka. Znikła wszelka jego nieśmiałość dzika, nieufność i zamykanie się w sobie.

Księżnie, która żartobliwie zaczęła od wymówek za cygaństwo i włóczęgę, odpowiedział śmiało, że to już był wybryk ostatni i że przyrzeka poprawę. To mówiąc, spojrzął na Lizę, a ta lekko głową dała znak, okazując że go zrozumiała.

Brat nie wychodził z osłupienia. Nigdy jeszcze siostry tak nadzwyczaj ożywioną, szczęśliwą prawie nie widział. Zaczynał się utwierdzać w przekonaniu, że bądźco bądź, miała fantazyjną i że Wiktor wpływ na nią wywierał niepojęty.

Wkrótce potem znalazł się w salonie i hrabia August, a po nim zaraz nadeszli księżna Ahaswera z poetą.

Hrabiego tylko Filipa brakło jeszcze, na co się nikt nie uskarżał.

August z tą sympatją, jaką ciągle okazywał Wiktorowi, zbliżył się do niego, wyrzucając mu iż tak długo pozbawił ich swojego towarzystwa.

— Ja na tém straciłem najwięcej — odpowiedział Wiktor prawie wesoło. — Ale człowiek jest nałogowym: wzięła mnie raz jeszcze chętka do włóczęgi, wróciła cygańska natura. Postaram się ją zwyciężyć.

— Byliśmy trochę nawet niespokojni o pana — rzekł August — bo po okolicach Rzymu niezawsze bezkarnie błąkać się można.

— Tak jest — odparł Wiktor — ale w stariej bluzie, z kijem, wyglądając na artystę, przy którym nad album i ołówek więcej się spodziewać nie można, chodzi się dosyć bezpiecznie.

Wtém zjawił się hr. Filip, który przywitał gospodynię mniej hałaśliwie niż zazwyczaj, milczący, co mu się rzadko trafiało. Z miną jakąś nieswoją, stanął skromnie z boku, zdając się zajęty myślami, które go od towarzystwa odrywały.

Zmiana usposobienia była uderzającą. Niemiał tego wieczora ochoty ani się sprzeczać, ani tak bardzo ludzi sobą zajmować.

Gospodyni, przez litość, zbliżyła się do niego i przemówiła słów kilka, które on przyjął obojętniej niż zwykle, skłonił się i pozostał roztargniony jakiś, kwaśny.

W kątku Ahaswera, także dnia tego cichsza, mniej roztrzępana, melancholiczna, słuchała szepcanta swojego nadwornego poety, zajętego nią w tak uderzający, możnaby powiedzieć kompromitujący sposób, iż goście odwracali od nich oczy, aby nie widzieć tego, co tak jawnie objawiać się nie było powinno.

Wśród tego kółka, tak rozerwanego dziś, niespokojnego, jeden Wiktor był swobodny, ożywiony, jak w domu. Księżna Teresa śledziła jego kroki, ruchy, słowa i zdawała się zajęta rozwiązywaniem nowej dla siebie zagadki.

Na pierwszym wieczorze u księżny Teresy wszyscy to postrzegli, że pod powłoką zdziczałego artysty, krył się człowiek nawykły do dobrego towarzystwa, obracający się w niem ze swobodą narodzonego do niego i spoufalonego. Teraz daleko jeszcze wybitniej potwierdzało to zachowanie się Wiktor naturalne, zarazem swobodnym humorem

jakimś i delikatnością nacechowane. Przy pierwszym wystąpieniu czuć jeszcze było pewną sztywność, powstrzymywanie się, ostrożność; tego wieczora spadły okowy. Stał się innym; widać było że się czuł szczęśliwy, a szczęście nietylko spotęgowuje siły, lecz czyni czasem aż do zuchwalstwa odważnym.

Ten humor p. Wiktora na nikim nie uczynił takiego wrażenia, jak na hr. Filipie, który przed chwilą widział go w tratoryi posępnym, szorstkim, nachmurzonym.

Szczęście to, promieniejące z twarzy Wiktora, zdawało się go do rozpaczki doprowadzać.

Odciągnął nabok hr. Augusta.

— Spójrzcie, proszę — rzekł cicho — co to się z tym jegomością stało? jak on tu w salonie pani Lizy szeroko się i swobodnie rozpościęra! Co za swada, dowcip, werwa!

Mówiąc to, śmiał się szydersko, złośliwie. Hrabia August odparł sucho i krótko:

— Dziś jest dopiero jak być powinien, nie czuje się skrzepowanym. Tém lepiej. Zyskał na tém.

Hrabia Filip zamilkł i odszedł. Bolało go to.

Prawie toż samo postrzeżenie uczynił poeta, udzielając go na ucho Ahaswerze, ale z większym podziwieniem, niż złośliwością. Jego to, zamiast odstręczać, zachęciło do zbliżenia się ku tryumfatorowi. Prosił na to o pozwolenie księżny i otrzymał je. Zdawała się nieco znudzoną niewyczerpanym patosem, którym ją karmił.

Emil Marya wstał i przysunął się do rozprawiającego żywo i wesoło Wiktora.

— Widzę — rzekł — kochany kolego, że osławione powietrze Kampanii rzymskiej na was wywarło szczególny, a szczęśliwy skutek. Przynieśliście z niej jakby zaczerpnięte życie nowe.

Wiktor obejrzał się na niego z pewnym rodzajem politowania.

— Tak — odparł — są istoty jak ja dziwacznie stworzone, które tam czerpią życie, gdzie inni śmierć znajdują. Ja, jak bawoły, co w maremach żyją, malaryą tuczę się i upajam.

— To dowodzi krzepkiej natury zwyciężkiej, której wam zazdroścę — odparł poeta.

— My, dzieci cywilizacji sztucznej i wydelikacjonnej, z życiodawczej piersi natury pić nawet nie umiemy i nie możemy.

— A! natura! natura! — przerwał Wiktor z zapalem, z jakim dziś mówił o wszystkim.

— Natura, kochany poeto, jest to ogólnik, którego znaczenie bliżejby określić należało. Potrzeba do tak zwaney natury powracać, odżywiać się nią — to prawda; ale wpadać, jak Rousseau, w bałwochwalstwo jakiegoś stanu natury wymarzonego, którego nigdy nie było, doprowadza tak samo do pojęcia życia sztucznego, jak zupełne od niej oderwanie się. Stan natury widzimy u ludów dzikich. Zakochać się w nim niepodobna, zazdrościć go byłoby śmiešnością. Stan ten cywilizacji, który wy zowiecie produktem sztuki, jest przecież równie w naturze człowieka, jak wszystko co on tworzy. Nad naturę wynieść się i z niej wyjść nie może. Naturalnem jest wszystko... nawet sztuka.

Emil Marya wielkimi oczyma spojrział na mówiącego, jakby powątpiewał, czy on istotnie to mówi, co myśli.

— Nie znajdujesz więc — odparł — że cywilizacja na krzywe i błędne weszła drogi?

— To inne pytanie — odezwał się Wiktor. — Człowiek skłonny jest do przesady nawet w dobrém, które umie doprowadzić do absurdum; niemniej jednak droga cywilizacji nie jest fałszywą, jest jedyną, jaką nam natura sama wskazuje. Chcieć powracać do dzikości, pod pozorem poprawy i uzdrowienia, byłoby najśmięszniejszym błędem. Ja bardzo kocham naturę, ale pojmując ją szeroko, sztuki z niej nie wyłączam. Naturę trzeba ujarzmić i uczynić nam posłuszną, a przynajmniej zmusić ją, by z nami żyła w zgodzie i była nam pomocnicą.

Poeta stał namarszczony.

— Wy... wy — rzekł zimno — jesteście człowiekiem miary i rozsądku. Winszuję wam tego, ale wszyscy równie szczęśliwem usposobieniem pochwalić się nie mogą. Są szaly i roznamiętnienia...

— A, tak! są piękne, cudowne, zachwycające szaly — poprawił się Wiktor — są sny, z których budzić się byłoby bolesnem i zabójczem. Kto śni i marzy, szczęśliwy... niech się nie budzi!

— Tak! śnijmy, marzmy, szalejmy, bądźmy „rozumni szalem,” jak się wyraził poeta — wykrzyknął Emil Marya, przybierając pozę teatralną i spoglądając jakie to wrażenie czyniło na Ahaswerze. — Rzeczywistość jest obrzydliwą i straszną!

Wiktor słuchał, nie zaprzeczając; wzrok jego rozmarzony także błędził po salce.

— Rzekłeś że rzeczywistość jest obrzydliwą i straszną — wyrwało się stojącemu w kącie hr. Filipowi z wyrazem namiętnym, który mu był niewłaściwy. — Na to określenie zupełnie się zgadzam. Jestem uczniem Schopenhauera i znajduję, że nad to życie nasze niema nic głupszego i nielogiczniejszego.

— Stare rzeczy, wyszarzane, daleko od frankfurckiego filozofa dawniejsze — odezwał się hrabia August. — Nieskończenie łatwiej i w świecie i w dziełach sztuki widzieć strony ujemne, niż dodatnie, chociaż umysły tak zwane krytyczne uchodzą za coś wyższego. Do widzenia światła, dobra, piękności, tajemnych sił natury, jęj potęg, potrzeba być obdarzonym wyjątkowo pewnym rodzajem jasnowidzenia, które jest tylko udziałem wybranych. Oglądanie tych jasności jest jakby widzeniem oblicza Bożego, które oglądać niekażdemu dano, gdy do postrzeżenia plam, kalceństw, słabości mamy wszyscy zdolność wrodzoną.

— Przeczę temu! — odezwał się gwałtownie hr. Filip — przeczę! neguję!

Hrabia August zwrócił się ku niemu, wyzywając o dowodzenie. Filip ruszył ramionami i dodał tylko:

— Dziwactwo!

Wiktor na obu patrzył i słuchał z zajęciem, oczekując końca, gdy ks. Teresa od stolika, przy którym siedziała, wtrąciła:

— Hrabio Filipie, jesteście dziś w jakimś usposobieniu wyjątkowym. Musiało się wam coś przytrafić.

Zagadnięty tak wprost do siebie wymierzonym strzałem, Filip okazał że go to mocno obeszło i odezwał się gwałtownie:

— Mościa księżno! ja jestem predestynowany, żeby mi się cokolwiek coś nieprzyjemnego trafiało. To mój chleb powszedni. Nie jest to wrażenie dnia, ale życia całego.

— Ale nie! — zaprzeczyła łagodnie księżna. — Cóż cię w życiu tak nadzwyczajnego spotykało?

— Mnie? — podchwycił Filip — nadzwyczajnego? Właśnie, mościa księżno, mam tę nieszczęśliwą właściwość, że mnie gniotą utrapienia bardzo zwyczajne, a nieznośne. Życie się zmarnowało na omyłkach i naigrawaniach losu.

— A, tak, na omyłkach, ale nie losu, tylko własnych — rozśmiała się księżna. — Obwiniaj-że o nie samego siebie.

— Tak — podchwycił hrabia — ale któż włada i rządzi sobą? Jesteśmy wszyscy skazani na to, aby spełniać co nam konieczność narzuci i bezsilnie patrzeć na to, jak sobie z nas stroi żarty.

— Zaprzeczasz własnej woli? — zapytała księżna.

Filip ruszył ramionami.

— Czcze słowo! — zamruczał. — Ja się uważam za niewolnika. Mam tylko tę przyjemność, że czuję doskonale i widzę ciężące kajdany.

— Ale dajcież pokój biédnemu temu niewolnikowi! — zawoła ze swojego kątku Ahaswera. — Wpadniemy w rozprawę o wolnej woli i fatalizmie i wieczór przepadnie...

Wszyscy po tém odezwaniu się widocznie znudzonej księżny wstrzymali się od dalszej rozprawy. Nie umiał nikt rozmowy zawiązać na nowo. Wtém gospodyni zagadnęła Wiktora:

— Wprowadź nas pan, co tak kochasz sztukę, w zaczarowany świat jęj... Tam będzie nam jaśniej i weselęj. Jestem pewna że znajdziesz nam coś do powiedzenia o jakimś nowém arcydziele, obrazie, posągu, wykopanym szczątku, o jakiej wystawie w pracowni artystów... Jest ich tylu!

— Popieram z całych sił wniosok naszej gospodyni — dorzuciła księżna Teresa.

Wiktor wahał się jeszcze z odpowiedzią, gdy poeta, który nie chciał się dać zaćmić, pośpieszył odezwać się za niego.

— Żądacie panie niemożliwej rzeczy od szanownego kolegi — (upiérał się przy tém koleżeństwie). — Gdzież teraz w świecie sztuki jest coś nowego a godnego zastanowienia?



Artyści się powtarzają do znudzenia, a ci nawet, co geniusz mają, starają się go do wymagań świata przykroić i obcinają sobie skrzydła. Obrzydliwa trywialność i pospolitość górą!

— Na to ratunek gotowy — wtrącił Wiktor. — Możemy się cofnąć w ubiegłe wieki i powrócić do arcydzieł.

— Które należały do innych epok, do innego, umarłego świata, były owocem ich pojęć, potrzeb, życia — zawołał prędko Emil Marya. — Są to arcydzieła, ale potrzeba wyjść z siebie i stać się innym, starym człowiekiem, aby je ocenić i zrozumieć.

— Arcydzieła są wiekuiście — szepnęła księżna.

— Wiekuiściego niema nic na ziemi — mówił poeta coraz żywiej. — Nawet arcydzieła są znikome. Nie mogą one w zupełności odpowiadać wymaganiom coraz rosnącej, czy przerstającej cywilizacji.

Paradoks ten, trącący herezyą, śmiałością swą zwrócił wszystkich oczy na poetę, który rad był ze sprawionego wrażenia.

Księżna Ahaswera podniosła się nieco z kanapy, chcąc się lepiej przysłuchać dalszemu wywodowi założeń swojego terażniejszego protegowanego.

Emil Marya ciągnął dalej, głos podnosząc:

— Ani Wenus medycejska, ani Apollo belwederski, ani owo sławne torso, które Michał Anioł uwielbiał, mojej potrzebie dusznej nie odpowiadają. Linie są cudowne, rysunek, czysty niedorównany, wykonanie mistrzowskie, a jednak cóżmi ona mówi ta Wenus? Jest-li to niewiasta w pełni znaczenia tego wyrazu, wedle pojęć naszych? Promienia geniuszu na jej czole, poczucia swój godności i samoistności w niej niema. Jest-to niewiasta, jaką wyszła z rąk Boga, ale nie kobieta, która się własnym trudem i duchem wyrobiła na wyższą istotę. Na czole jej niema promienia. Osłania się wstydliva z zalotnością i wyszukany trochę wdziękiem; dusza w niej śpi jeszcze... Apollo belwederski jest-li mężem wedle myśli naszej? To jeszcze pół-człek, pół-bóg, który walczył z naturą dziką pięścią; cała jego potęga w silnej dłoni. Tak samo tors jest apoteozą muskułów... Zdaje się nie potrzebować nawet głowy. Cóżby tu dodało niskie czoło tego Obra, w którego śpiącym mózgu myśl inna nie powstała nad walkę o byt zwierzęcą?

— Zrób pan wyjątek dla umierającego gladyatora — rzekł Wiktor.

Poeta zwrócił się ku niemu.

— Miałem go uczynić właśnie — odparł. — Tak! umierający gladyator, to świtanie nowego świata, to nowój ery zwiastowanie. Tu już nie zwycięstwo siły ubóstwione, ale poszanowanie, uświęcenie boleści. Ten, co stworzył gladyatora, już w duszy poganinem nie był, miał współczucie dla ofiary.

Wiktor skłonił głowę potwierdzająco i stał chwilę zadumany. Słuchający z zajęciem hrabia August odezwał się, przerywając milczenie:

— Dla panów, którzy się liczyte do wybranego zastępu artystów — rzekł, zwracając się do Wiktora i Emila — dla panów powinno to być pociechą wielką wbijać was w dumę, że z całej umarłej przeszłości co pozostało żywem, co przetrwało wszystkie zniszczenia, co dziś mówi i świadczy o niej — to dzieła sztuki.

— Dzieła sztuki, a raczej dzieła ducha — dodał Wiktor. — Ale niewielu natchnionym danem było podnieść się do takiej wysokości, by dzieła ich ocenione zostały przez współczesnych i przeszły na spuściznę przyszłości. Tak jest, zaprzeczyc temu niepodobna, że gdy pisarz, artysta, poeta w życiu i w społeczeństwie jest niemal pogardzoną, a przynajmniej lekceważoną istotą, gdy ludzie, wśród których żyje, spychają go na stanowisko bardzo podrzędne — po upływie pokoleń kilku ci pariasowie później sami jedni powołani są do reprezentowania swojego wieku. Za życia mąż wielkiego ducha jest najczęściej popychanym, wyśmiewanym, ledwie cierpianym wśród tych co panują, co przewodzą, co stają u steru, na widowni. W kilka dopiero dziesiątków lat po zgonie, wszystko co tych nieznanających biédaków gniotło, otaczało, zaciemniało, rozpada się w gruzy. Z całej epoki zostaje kawałek papieru, zapisany ręką ubogiego wyzwolenca, mnicha, kamień wykuty dłonią tego, co ledwie miał ją czym przy siłach utrzymać, płótno sprzedane za garść miedziaków... i to są jedyne wieku świadectwa i pomniki. Z tych później przyszłość czyta i sądzi o wszystkim. W nich znajdowało się jedyne życie, w nich biją pulsa, które dawno tętnić przestały!

— Nie powinniście się panowie uskarżać na losy swoje — wtrącił sarkastycznie br. Filip. — Możecie wiele za życia przecierpieć, ale zato po śmierci.... apoteoza!

— Skarżyć się mogliby ci, co do téj kategorii należą — wtrącił Wiktor, wskazując na poetę — ale nie powinni. Raz że skargi na nic się nie zdały i upokarzają tego, co się z niemi odzywa, powtóre, że już za życia twórczość duchowa nagradza się rozkoszą, o której pojęcia nie mają ci, co jój nie doznali. Boleść zaś, upokorzenie, cierpienie są bodźcami potężnymi do nadzwyczajnego podniesienia ducha, którego może bez nich osiągnąćby niepodobna.

Hrabia August zdala potwierdził ten aforyzm, Filip się uśmiechnął.

— Na żadnym narodzie nie sprawdza się tak dobitnie to twierdzenie, jak na naszym — dodał Wiktor. — Boleści winniśmy rzewną elegią pieśni Szopena, poezją Adama, natchnienie Juliusza, arcydzieła Zygmunta, może wszystkich naszych kunsztmistrzów, artystów, wszystkie sławy i wielkości nasze współczesne. Kwiaty—to są, które tylko krwią i łzami podlewane, mogły z taką potęgą formy, z takim blaskiem barw się rozwinać.

Emil Marya z teatralną swą żywością zbliżył się do Wiktora i uściśnął go.

— Wielką, świętą wyrzekłeś prawdę — zawołał. — Ja, com niegodzien żadnego z nich rzemyka rozwiązać, znałem ich wszystkich i potwierdzić mogę nie z teoryi, ale z żywego widzenia, jako świadek i współcierpiący, słów tych najwyższą prawdę. Czémże było życie najszczęśliwszego z nich napozór, Zygmunta? Szeregiem walk ze światem, z rodziną, z sobą, dla inspiracji wielkich, dla gorącej miłości dobra, piękna i wszystkiego, co mu w niebiosach jego ideałów świeciło. Tych postulatów ducha swojego szukał na wszelkich drogach, dostępnych i niedostępnych, w filozofii Hegla, która mu nie starczyła, w mistycyzmie, który go nie nasycił, w sztuce, w poezyi, w teoriach społecznych, w jasnowidzeniach natchnionych, w religijnych ekstazach... Twórczość jego cała płynęła z nieukojonęj boleści, z krwawych ran, których nic zbliznić nie mogło. Niéma w jego pismach jednéj nuty, któraby nie dźwięczała jękiem. Duch jego nie zwątpił do końca, ale się rzucał w zapasach nadludzkich z całym światem, który ironią rzeczywistości naigrawał się temu nienasyconemu czcicielowi ideałów.

— Taż sama boleść inaczej wyraża się w Juliuszu — przerwał Wiktor. — Niemniejsza ona w nim, ale innéj natury. Tu naprzemiany nuta brzmi szyderska, Byronowskie zwątpienie, śmiech rozpaczliwy. Zimniejszy—to człowiek, więcej artysta, gdy Zygmunt więcej był duchem i myślą. Temu artystyczne piękno przychodziło bez rachuby, gdy w Juliuszu ono jest szukane, naśladowane, odśpiewane. Byron, Shakespeare i nie wiem ilu jeszcze składają się na niego, lubo wszystkich ich przetwarza, przerabia i kunsztowniej może niż oni sami wydzięgiwa ich pomysły. W końcu życia ten artysta już jest nim bezwiednie, a staje się męczennikiem ducha własnego, który, w wątłym organizmie rozrosły, pomieścić się nie może. Krwawemi łzami chce się płakać nad nim, gdy się z nim przebiega żywot jego, znaczony, jak kamieniami, bryłami dyamentowych pieśni. Każdy z tych głazów jasných, to łza skamieniała, krew skryształizowana, ból zmieniony w opokę...

— Dlaczegożście panowie nie postawili na czele najboleściwszego i największego z poetów, Adama? — odezwał się hr. August. — Na tegom ja patrzył i znałem go. W nim męczeństwo Zygmunta jeszcze zwiększało się troską człowieka, ojca, goryczą chleba powszedniego, gdy duch piął się po chleb niebieski. Na barki jego spadają wszystkie brzemiona, któreby olbrzyma przygniotyły; duch naciśnięty niemi nabywa siły nadolbrzymiej, której wybożenia nawet, jak marzenie Towiańszczyzny, mają w sobie coś nieporównanie wielkiego i obudzającego poszanowanie. Pieśni mu nie starczy, języka jednego zamało: pisze, mówi, każe, zrywa się do czynu, kusi o niemożliwe; chciałby świat poruszyć z miejsca i rzucić nanowe tory; wierzy iż i to dla wielkiej boleści nie jest niemożliwém... Wszystko to są mistrze z bólu narodzeni, w bólu zahartowani, wyrosli w nim, nim zbrojni...

— O tak — przerwała księżna Teresa. — A Szopen nasz, w którym ból łagodniej się wyraził, nie należyż on do téj saméj rodziny? Natura jego, powiedziałabym wstydlivsza, nie dozwala mu wyśpiewać tego wszystkiego co czuje; uśmiecha się, ale w uśmiechu jego są łzy, w jego weselu jęk się odzywa przygluszony. Życie mu się składa tak, aby wmiarę jak rośnie duchem, cierpiał coraz więcej. Kobięta genialna a zimna odejmuje mu wiarę w serce ludzkie; zostaje sam z pieśnią swą i z przeczuciem wczesnego zgonu...

— Wszystko to przesłiczne, co państwo wypowiadacie — przerwał Filip — lecz prawdę trudno się zakochać w geniuszodajnej boleści. Zresztą nie na każdego ona tak działa. Są istoty nieszczęśliwe, w których pokarm goryczy żółć tylko rozlewa.

Uśmiechnął się dwuznacznie. Emil Marya stał, coraz bardziej rozmową nastrajając się do nowego wystąpienia. Twarz jego drgała, oczy wznosił dogóry, poruszał się, jakby nim miotano wewnętrzne natchnienie.

— Tak! — zawołał — wszyscy oni cierpieli okrutnie, a jednak nie bojęmy nad nimi. Któryś z nas powiedział, że chwile twórczości płaciły im za wszystko... Oprócz tego w duszy geniusze czując się panami świata, choćby ich kamionowano i oplwano. Mają oni choć krótkie momenta zachwytu i niebiańskiej szczęśliwości. Takie ubłogosławienie na ziemi, choć chwilowe, dać może tylko jedna miłość i jeden z niebios zstępujący duch, który przez człowieka głosem Bożym mówi do ludzkości.

— A! otóż miłość! — rozśmiał się hr. Filip. — Jesteśmy w komplecie. Szkoda tylko że te obie szczęśliwości nie trwają nad mgnienie oka i nie wytrzymują szorstkiego dotknięcia rzeczywistości.

Księżna Teresa uśmiechała się, słuchając i patrząc na wykrzywioną twarz hr. Filipa. Pani Liza, siedząca przy niej, z uwagą przypatrywała się mówiącym, bo twarze ich były komentarzami wyrazów. Wiktor, który stał w pośrodku salonu i, równie jak inni, a może więcej niż oni, ożywiony był i promienny, nietylko jój oczy zwracał na siebie; Ahaswera i księżna Teresa także nań patrzyły zdumione, widząc go tak mężko pięknym i niemal królującym wśród towarzyszków.

Na wspomnienie o miłości, kobiety między sobą coś poszeptywać zaczęły. Księżna Teresa nazwała ją złotą pajęczyną, z której nic utkać nie można. Liza wtrąciła, że przez poszanowanie dla tego uczucia, tak rzadkiego na ziemi, mówić o nim się nie godzi. Profanują je nieustannie.

Wiktor dosłyszał półgłosem wyrzeczone wyrazy i spojrział na nią.

— Ja się nie poczuwam do winy — rzekł cicho. — Mówiłem o sprawach i dziełach, o twórczości ducha. Poeta — tu wskazał na Emila — dodał do tego drugą szczęśliwość i postawił ją obok pierwszej. Miał słuszność: szczęście twórczości i miłości równoważy się.

— Tylko ta jest między nimi różnica — dodał, zbliżając się, hr. August — że po szczęściu krótkotrwałem miłości, o której pani nie pozwala mówić, następuje jeśli nie zawsze, to bardzo często gorzkie rozczarowanie, gdy kontemplacja sama nawet dzieł sztuki, życie w świecie ducha, nie zostawia po sobie goryczy, ani przesyty... Im więcej się pije z tego źródła, tym pragnie się więcej.

— Sztuka więc jest jak piwo owsiane — wtrącił hr. Filip.

Pani Liza zmarszczyła się, sarkazm ten usłyszawszy, i nie dając dalej mówić nieznośnemu szyderycy, odezwała się, patrząc na Wiktora:

— Tak, w świat ducha schronić się przed wszystkimi burzami życia, to jedyna ucieczka.

— Zwłaszcza że do téj świątyni — dodała księżna Teresa — i nam, małuczkim, wstęp nie jest odmówiony. My, cobyśmy sami nic stworzyć nie mogli, mamy tę pociechę, że łącząc się z twórcami myślą, odgadując ich, badając, wielbiąc, niemal jesteśmy do ich szczęścia przypuszczeni. Zrozumieć poetę, odczuć artystę, jest-to prawie samemu być nim.

— Cudownie to księżna powiedziała! — przerwał poeta. — Poeci i artyści o tyle są wybrańcami tłumu, że oni wypowiadają to, co w nim tkwi uczute, a niewcielone. Poeta jest sumą swojego narodu. W dźwięku jego pieśni poznają wszyscy to, co w ich własnej piersi mieszkalo, a im poeta czy artysta silniej potrafił wyrazić to, co wszyscy mieli w sobie niezrodzone, tym większem uwielbieniem otaczają go tysiące.

— Komunały! — szepnęła hrabia Filip, ruszając ramionami. — Jakże pan wytłumaczysz wielkich pisarzy, poetów i artystów, którym wieki późniejsze geniusz przyznały, gdy współcześni wcale go w nich nie czuli?

— A gdzież pan widzisz podobnych nieuznanych biédaków? — zapytał Wiktor. — Ja nie mogę się ich dopatrzeć ani w historii literatury, ani w dziejach sztuki. Trafiało się może, iż wielcy reprezentanci ducha wieku, chwilowo wśród panującej wrzawy, wśród jakiegoś wielkiego zaprzątnięcia umysłów nie zostali wysłuchani, nie mogli być dostrzeżeni; ale wprędce omyłkę naprawiono, dług splecono. Trafiało się iż inni wiek swój wyprzedzili geniuszem, pracowali dla przyszłości i przez nią dopiero zostali ocenieni, choć niemniej byli owocem swojego czasu i jego zasiów wydał ten zbiór opóźniony.

— To, co pan powiadasz, zmniejsza znaczenie geniuszu — przerwał hrabia Filip. — W ten sposób pojęty, nie byłby twórczym, byłby tylko tłumaczem.

— Bo nie jest też geniusz czém inném, aniczémś więcej, tylko arcytypem epoki, którą wyraża — rzekł Wiktor. — Choć szczęśliwej organizacji jednostki, siłę w niej spotęgowanej wiele przyznać potrzeba, nie stanowi to wszystkiego. Geniusz karmi się i czerpie z przeszłości i terażniejszości, musi je wiedzą lub intuicyą przyswoić sobie, aby się stał płodnym. Co w nim jego własném jest, a co spadkowém, rozeznac trudno. Spuścizna wieku, choć mniej widzialna, tworzy znaczniejszą część zasobu. Geniusz sam niezawsze ma samopoznanie tego, co winien skarbnicy z której czerpał; ale jest zawsze owocem pracy zbiorowej wieków, którą wyjaśnia, nadaje ję widomą postać, wciela, wyciąga z niej dla innych niedostępane wnioski.

— A cała ludzkość — dodał hr. August — przeszła, terażniejsza, przyszła, to wielka jednia, jakby olbrzymie indywiduum, żyjące ciągle, wyrabiające w sobie siły nowe, potężniejsze. Wyjątek z tęj całości stanowią narody, które zerwały z tradycjami ludzkości, lub własnemi, które się odcięły i odosobniły, zasklepiły w grobie chińskim, lub, jak Indyanie, w dzikości skazały na wymarcie.

— Zatem idziemy do kosmopolityzmu — wtrącił hr. Filip.

— Bynajmniej — zaprzeczył August. — Naród pojedynczy każdy powinien być w związku z całym światem; ale to, co od niego bierze, na własne soki i krew przerabiać musi. Zamknięty w samym sobie, oddzielony od ludzkości, niedostępny prądom ducha, zostawiony siłom własnym, nieodżywiany sokami nowemi, wprędce karleje i ginie. Jesteśmy, jak to ktoś powiedział bardzo trafnie, głosami w chórze ludzkości: każdy śpiewa partię swoją, a ze wszystkich tych części składa się wielka pieśń dziejów.

Hrabia Filip ruszył tylko ramionami, nic już nie odpowiadając. Przeszedł się po pokoju parę razy, wrócił potem i stanął przed gospodynią i księżną Teresą.

— Mam do pań prośbę — rzekł nagle. — Bardzo nam tu dobrze i miło w tym saloniku na Via Sistina; każdemu z nas wieczory tu spędzone na całe życie zostaną drogą pamiątką; chciałbym (bo bardzo być może, iż będę zmuszony wkrótce Rzym opuścić) okazać pani — tu zwrócił się do Lizy — wdzięczność moją za ję gościnność. Nie mam na to innego środka, jak chociaż raz zaprosić państwa do siebie... Niniejszém więc mam honor wszystkich tu obecnych prosić, aby mnie raczyli zaszczyścić pojutrze odwiedzinami w Villa Adriana. Długo myślałem nad wyborem miejsca i zdaje mi się, że wśród tych majestatycznych ruin, wśród tych gąszczy i zarośli spędzić kilka godzin, może być bardzo miłém.

— Pomysł śliczny! — odezwała się księżna Teresa. — Widzę z oczów gospodyni naszję, iż tak jak ja przyjmie go chętnie; ale jeden warunek...

— Barometr idzie dogóry i wszyscy mi zapowiadają pogodę — przerwał żywo hrabia.

— Już choćbyśmy zmokli — dodała księżna — pierwszym warunkiem jest pogoda humoru twego. Przynieś z sobą nadewszystko mniej gorzkie usposobienie.

— Ależ jako gospodarz jestem do tego obowiązany — rozśmiał się hr. Filip. — Spełnię swój obowiązek. A zatem mogę liczyć? — dodał, obracając się ku obecnym i podchodząc ku księżnie Ahaswerze, która dnia tego siedziała dziwnie zachmurzona.

— Ja się stawię — odparła księżna. — Obiad w ruinach willi Adryana będzie przynajmniej czémś oryginalném; ale jak hrabia sobie z nim dasz rady, tegom ciekawa.

— Pomysł znakomity! — dodał poeta.

Hrabia Filip uśmiechał się z trochę dumy.

— Niektóre części są tak teraz ocienione i zarosłe — rzekł, siłąc się na wesołość — że gdyby nawet dzień był skwarny, znajdziemy kątek, w którym oddychać będzie można.

Ruszyli się wszyscy, bo godzina była spóźniona. Hrabia Filip, przeciwko zwyczajowi swemu, pierwszy opuścił towarzystwo, a wkrótce za nim wyszła Ahaswera, której poeta podał rękę z jakimś zwyczajnym ruchem, jakby sięgał po to, co mu się należało. Hrabia August i Wiktor wyszli razem; jedna księżna Teresa pozostała, jak gdyby ciężko ję odejść było. Spoglądała na Lizę, patrzyła po salce, niby szukając oczyma Ferdynanda, a wistocie chcąc się zapewnić, że go nie było.

Dwie przyjaciółki badały się oczyma; potrzebowały poufniej pomówić z sobą. Stosunek ich długimi laty był utrwalony. Starsza daleko księżna Teresa macierzyńskie miała

do Lizy przywiązanie. Lepiej niż inni знаła jej męczeńskie losy, jej piękną duszę i przymioty umysłu. Liza obchodziła ją, jak własne dziecko.

Wieczór ten, wczynie którego mówiono o rzeczach obojętnych, nie powinien był napozór dostarczyć sposobności do jakichś postrzeżeń, tyjących się osób i ich stosunków. Nic uderzającego, nic się nowego nie objawiło wciągu tych kilku godzin. Jednakże macierzyńskie oko księżny Teresy, a raczej przecucie jakieś, niepokojem ją nabawiało. Dostrzegła zmianę w Lizie, w tej kobiecie, którą miała za sercem umarłą i zawsze panującą nad sobą. Widziała jak jej oczy szukały Wiktora, jak się ich wejrzenia z naiwną otwartością spotykały, jak każde słowo jego odbijało się na twarzy wdowy, jak w całym obejściu się z nim była uprzedzającą, troskliwą, niemal wyzywającą.

Zdumiona tém, księżna potrzebowała jakiegoś objaśnienia; lecz zanim usta otworzyła, pani Liza zrozumiała i odgadła z wejrzenia zapytanie. Rumieniec okrył bladą jej twarz; wstała nagle z krzesła i, płacząc, rzuciła się księżnie na szyję...

---

Willi Adryana, jedna z najwspanialszych, olbrzymich kreacyj Rzymu cesarów, o której cudach opowiadają ruiny — dziś jest przestrzenią wielką, pustą, z pod której powłoki wyrastają gdziegdzie sklepienia podziemnych gmachów, szczątki gruzów, ciągnące się jak ulice jakiegoś grodu. Potraskane kolumny, nawpół w ziemię wrosłe, maluczka cegła rzymska i ogromne glazy rzeźbione, składają się na straszne cmentarzysko ludzkiej potęgi.

To miasto cezara, w którym się mieściły całe legie straży jego, tysiące niewolników i wyzwolenców, tłumy dworu i służby, gdzie się piętrzyły pałace, milami ciągnęły portyki, gdzie świata pan spoczywał po gwarach Rzymu, otoczony całym przepychem, na jaki sztuka zdobyć się mogła — dziś porosło lasem, krzakami i krowy pasą się wśród połamanych marmurów, na szczątkach mozaik, w podziemiach, odprawując siestę południową. To tylko, co było pod ziemią, uchowała ziemia; co nad nią się wznosiło, rozbili ludzie, roznieśli wody, strzaskały pioruny, zjadły powietrze i wichry.

Podróżny, przeryzując się wśród tego ogromnego gruzowiska, ścieżkami które bydło i kozy wydeptały, spotyka cochwila jakąś zagadkę pod nogami. Zapięra mu drogę łuk napół obalony, lub nagle roztrwarta jakaś otchłań ciemna, w której wnętrzu zwieszają się krzewy i poschłe trawy, każe się cofać przed tajemniczą swą głębią. Gdziegdzie sterczy ściana porysowana misternie w siatkę ułożonemi ceglami, obwinęta nawpół bluszczem, okryta pleśnią, zapisana nazwiskami wędrowców.

Gluche milczenie cmentarne leży nad tym upadłym grodem, gdyż grodem znać się mogło to dzieło, które zdało się przeznaczone trwać wieki, na świadectwo potęgi, a świadczy tylko o znikomości dzieł człowieka.

Smutniejszego miejsca na wesołe przyjęcie gości nie mógł wybrać hr. Filip i w znaczeniu go tkwiła może odrobina tej złośliwości, która hrabiego nigdy nie opuszczała. Wybór miejsca był fantastyczny, a tak niezwykajny, że na pierwszą o nim wzmiankę restaurator, który się miał podjąć wyprawić te gody, nie chciał prawie usom swym wierzyć.

Turyści wprawdzie zwiędzają ruiny Willi Adryana, a mało który artysta nie wyniósł z nich jakiegoś szkicu na pamiątkę, lecz niesłychaną było rzeczą, aby tu kto chciał urządzić przyjęcie takie, jakiego sobie hrabia Filip życzył.

Restaurator, Francuz oddawna w Rzymie osiadły, jako Francuz, nie znał rzeczy niemożliwej, i owszem, pochlebialo mu tak ekscentryczną i pamiątkową ucztę, którą się mógł chlubić, wziąć na szerokie barki swoje; zrobił tylko uwagę grzeczną hrabiemu, że biesiada w ruinach mogła być też trochę... rujnującą.

Powiedzieć szlachcicowi polskiemu, a choćbyhrabiemu, że coś być może nad jego siły, znaczy to najpotężniejszym bodźcem miłość własną jego pobudzić do zmierzenia się z rzeczą nadzwyczajną. „Zastaw się, a postaw się,” zostało w tradycjach z saskich czasów, bo za Zygmuntowskich — „zastaw się” znaczyło zastęp skarb rzeczypospolitej, zapłać wojsko, idź swym kosztem na obronę granic. Tak niejeden z wielkich naszych wodzów uczynił. Później już tylko miłość własna rodziła szafy Radziwiłłowskie i hajdamactwa starostów kijowskich.

Hrabia Filip wydał wargi i uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że pana polskiego nie tak łatwo zruinować. Wistocie był panem znacznej jeszcze fortuny, nie miał dzieci,

obfitował w krewnych, których nie cierpiał, a w innych wypadkach był nadmiarę skąpym. Mógł więc sobie pozwolić dogodzić fantazy kosztownej.

W willi Adryana trzeba było naprzód się opłacić na miejscu, za pozwolenie oczyszczenia placu wśród sosen i przecięcia ścieżek w zaroślach; trzeba było na wszelki wypadek rozbić jeden wielki, a kilka małych namiotów, by w czasie burzy goście nie byli zmuszeni do podziemiów uciekać; trzeba było zawieźć z Rzymu wszystko i w ruinach kuchni urządzić i t. p. Zwiększało to koszta, a obiad miał być na dziesiątek osób tylko. Do liczby tej dwóch jeszcze brakło, których hr. Filip obiecywał sobie wynaléć pomiędzy ziomkami przebywającymi w Rzymie.

Szło mu o to, aby to byli ludzie, którzyby z sobą nie wnieśli jakiego żywiołu dysharmonijnego.

Jednym z kandydatów był szlachcic bardzo majątny z Wołynia, który jak żyw nie opuszczał kraju, a teraz, dorobiwszy się ogromnej fortuny, przybył *ad limina apostolorum*, żeby choć raz coś zobaczyć i mieć co później do opowiadania sąsiadom. Nieobojętném mu było i pozyskanie błogosławieństwa, bo człek był po staroświecku pobożny; zwiédział jednak wogóle co tylko mu wskazano, ażeby, jak powiadał, raz już słono opłaciwszy swą wycieczkę, zużytkować ją, niby drogą potrawę, choćby się i jeść nie chciało. Szlachcic, o którym goszono że z kozackiej rodziny pochodzi, która się dawniej Paulukami zwała, był już teraz herbownym, potwierdzonym przez heroldyą Pelukowskim i miał wszystkie zewnętrzne cechy szlachcica znamionujące: okazałą cyrkumferencyą, wás zawieszysty, czoło jakby podgalane, podbródek poważny i mowę zgrzeczna pokornie rubaszną czasem, niekiedy butną okropnie.

Szlachcic, który oprócz rodowitego, żadnego języka nie umiał, posługiwał się tłumaczem jakimś, ale już poczynął z kiepska po włosku o niezbędne rzeczy sam się upominać, przekręcając najpocieszniej włoszczynę, której każdy wyraz, dla wbicia go w pamięć, nieskończoną liczbę razy powtarzać mu musiano.

Za każdą razą p. Fabian Pelukowski powtarzał: — no, teraz już będę pamiętał, a gdy przychodziło w kwadrans później dać dowód tej pamięci, rozstap się ziemio, nie mógł nic sobie przypomnieć, lub coś niebywałego komponował.

Pocziwy Pelukowski mógł rozweselić towarzystwo, a nie był nigdy w takim usposobieniu, by popsuć je, albo zawadzać.

Hrabia Filip i za to go lubił, że mógł się z niego wyśmiewać bezkarnie, byle ostrożnie. Że do Pelukowskiego potrzeba było grubego naboju, by go z prostoduszności jego rozbudzić, a hr. Filip cienkim szrutem strzelał, nie było niebezpieczeństwa, aby się poróżnili. Opowiadał przytém wrażenia podróży swéj bardzo pociesznie, co mogło gości ubawić.

Drugim miał być, w niedostatku innych kandydatów, artysta-malarz wielkich zdolności, milczący, zamknięty w sobie, którego hrabia znał z tego, że nabył u niego obraz wystawiający scenę z życia rzymskiego ludu. Kompozycja ta uznaną była w Rzymie, w świecie artystycznym, jako dzieło niezaprzeczonego talentu. Pracowitość z jaką je wykonał, tak iż najdrobniejsze szczegóły studyowane były z natury, nie zdołała jednak obrazu uczynić suchym, a nadawała mu cechę niezmiernéj prawdy.

Artystę zwano Aurelianem zwykle, bo nazwisko jego nie mówiło nic, oprócz że on pierwszy miał je dać poznać światu. Pan Aurelian nie uganiał się za stosunkami, miał wielką ufnośćw sobie i lekceważył te drobne środki, któremi inni się posługują, aby sobie drogę torować.

Malował właśnie drugą scenę rzymską dla księżny Teresy. Człowiek pracowity, rzadko się dawał wciągać w towarzystwo, które wiele czasu kosztowało. Nie przynosił téż z sobą żadnego z tych przymiotów świetnych, które chwytają za serca; mówił sucho, mało, a pojęcia swe o sztuce wołał zachowywać przy sobie. O teorye nie spierał się nigdy. Czasem jednak, gdy mu się wyrwało słowo powstrzymywane, czuć było w niém umysł niepospolity i wykształcenie wielkie.

Ranek dnia, przeznaczanego na wycieczkę do willi Adryana, zapowiadał się bardzo pięknym, choć wiatr zbyt ciepły był jakby zwiastunem rychléj przemiany. Godzinę obiadu wyznaczono wczesną dosyć, ażeby nazbyt późno nie powracać do miasta.

Restaurator, mając *carte blanche*, nie żałował zachodu i kosztów, ażeby pokazać, co może i co umieć. W wigilią dnia był już na miejscu i sam czynił przygotowania. Wspaniały namiot dał się na ten dzień nająć. Rozbito go w miejscu ocienioném, malowniczym,

w którym nie zbywało na złomkach murów bluszczem okrytych. Nieopodal było obszerne, puste, brudne podziemie, rodzaj sali, zawalanej rumowiskami, do której w ostateczności jakiej katastrofy atmosferycznej schronić się było można.

Chociaż upał wielki podróż czynił przykrą wśród tumanów kurzu, które wiatr na gościńcu podnosił, hrabia Filip o południu był już na miejscu. Francuz zyskał podziękowanie: wszystko było obmyślane z wielką wytwornością i smakiem. Obiad naturalnie włoskim być nie mógł, ale Włochy dostarczyły dość okazałego bogactwa płodów swoich, a wykwintniejsze Francuz umiał pościągać w krótkim czasie z miast portowych i wielkich magazynów spożywczych. Restaurator dopytywał się tylko z pewnego rodzaju niepokojem, czy osoby zaproszone poznają się i ocenić potrafią sztukę, jakiej miał dać dowody.

Hrabia Filip zapewnił go o tym, choć na myśl mu przyszedł Pelukowski, który, wykarmiony na barszczu z rurą i huzarskiej pieczeni, na pirogach i kaszy, gusta miał wcale niewykwintne.

Około godziny czwartej hrabia August przybył pierwszy, sądząc że Filipowi będzie mógł być w czem pomocą.

Zaraz po nim nadciągnął szlachcic, któremu, dla uniknięcia jakiej omyłki, dodano pana Aureliana. Niebardzo się oni z sobą godzili, lecz malarz słuchał chętnie, szlachcic mówił dużo, rad był z poznania „rodaka” i tak przyплыnęli szczęśliwie do portu.

Na widok ruin i lasu, Pelukowski mocno był zdumiony, i dopiero posłyszawszy o cesarskiej willi, wytłumaczył sobie jako tako fantazją hrabiego przyjmowania gości wśród takich dziur i wertepów.

— Żeby tu miało być co pięknego — rzekł, przypatrując się dokoła — tego nie powiem. Las nieosobliwy, piwnice, mości dobrodzieju, puste, powietrze dławiące; ale zawsze to miła rzecz powiedzieć sobie, że się jadło obiad, gdzie dawniej imperatorowie rzymscy mieli swe pałace. Tylko że to, mości dobrodzieju, gdy się o tym będzie rozpowiadało, wierzyć nie zechcą.

Przed przybyciem szlachcica z artystą, hrabia Filip, korzystając z tego, iż sam był z hr. Augustem, zagadnął gorączkowo:

— Czy uważasz co to się święci i na co się zanosi? Nie dałbym złamanego szeląga, że nam ten kawał awanturnika, bez nazwiska, ideał nasz pochwyci! Pani Liza okazuje mu tak nadzwyczajną i tak niekryjącą się, otwartą sympatyą, że głowę mu zawróci. No i co wy na to?

Hrabia August z powagą wysłuchał tego wykrzyknika i rzekł zimno:

— Człowiek jest sympatyczny, a właśnie ta okoliczność że pani Liza się nie tai z tym, iż go ocenia, iż się jęj podoba, zdaje mi się dowodzić, że to niczém nie grozi. Znasz ją zbyt dobrze, byś ją posądzić mógł o płochość.

— Właśnie dlatego że u nięj wszystko, co ona myśli i co czyni, jest rzeczą seryo — odparł Filip — boję się, aby i sympatya nie pociągnęła za sobą... następstw.

— Jakichże następstw? — rzekł z oburzeniem hr. August. — Jedyne możliwe, że wyjdzie za niego.

— A my?

Hrabia August cofnął się urażony.

— Jestem wielbicielem p. Lizy — rzekł — tego się nie zapieram; ale... nic więcej. Zostanę jak byłem jęj przyjacielem. Lecz proszę cię, nie mówmy o tym.

Filip rozśmiał się gorzko.

— Co do mnie — odparł — ja i przez szacunek dla nięj i przez zazdrość wszelkimi możliwymi środkami starać się będę przeszkodzić, aby w sidła komedyanta jakiegoś i awanturnika nie wpadła.

— Zmiłuj się, to nie może być awanturnik, to niepospolity człowiek! — zawołał br. August.

— A! tak! niepospolity aktor, który doskonale rolę swą odegrywa. Zdolności ma, nie zaprzeczam, ale tym więcej się go lękam. Cóż ręczy za jego charakter? Kryje się ze swą przeszłością, z nazwiskiem, a to przecie nie mówi za nim.

Właśnie gdy się tak rozmowa ożywiła, nadeszli Pelukowski i sztywny, wyprostowany, milczący Aurelian. Szlachcic począł bredzić o Rzymie i o swojej podróży, ale szczęściem nadjechali Ferdinand i Wiktor.

Brat Lizy, przez grzeczność dla człowieka, ku któremu nie tała się z sympatyą siostra, zabrał go z sobą. Wiktor przybywał w tym samym humorze rozjaśnionym, odmłodzony, ożywiony, jak wczoraj. Powitawszy gospodarza, zwrócił się zaraz do Aureliana, z którym był poufale znajomy, i uściśnął mu rękę.

— Będiesz miał temat do obrazka — rzekł — gdy się przy stole rozochocimy; tylko, niestety, my tak malowniczo, jak twoi Rzymianie i Transteweranki, nie wyglądamy.

Aurelian się uśmiechnął; nierad mówił o sztuce.

— Ja — wtrącił po chwili — póki jeden obraz maluję, tak jestem w nim zatopiony i nim zajęty, że o drugim pomyśleć nie umiem... Daj mi pokój na dziś z obrazami... Zapomnijmy o zadaniu życia, a żyjmy!

W gęstych krzewach, otaczających miejsce obrane do rozbicia namiotu, wśród których wiły się ścięziny stare, dał się słyszeć jakby szelest sukni kobiecej i chód powolny. Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, gdyż, choć turkotu powozu nikt nie słyszał, domyślano się jednej z pań zaproszonych. Wiktor, będący tego dnia żwawym bardzo, posunął się na przyjęcie, bo może się Lizy spodziewał, gdy z za gałęzi pokazała się najmniej spodziewana, tragiczna postać nieznajomej artystki.

Ubrana czarno, po podróznemu, szła widocznie jako turystka ciekawa, nie spodziewając się tu zastać tego towarzystwa. Hrabia Filip, zobaczywszy ją ze zdziwienia jakby skamieniałą, pobladł, zdrzął. August, stojący przy nim, dostrzegłszy że się chwieje na nogach, pochwycił go pod rękę.

Oczy wszystkich zwrócone były na to zjawisko. Kobieta, widokiem osób tych zmieszana, nie wiedziała co począć z sobą. Brwi jej ściągnęły się, usta zacięły, duma niewysłowiona odmalowała się na bladym obliczu; odprostowała się, podniosła głowę i objąwszy oczyma widowisko które miała przed sobą, zwolna, nic nie mówiąc, zwróciła się nazad, aby odejść. Oczy Filipa, z przestachem zwrócone na nią, stały jakby zeszlone, nie mogąc się od niej odwrócić.

Wtém Wiktor, stojący najbliżej, a ze zwierzania hr. Filipa miarkując, jak to przygodkowe spotkanie mogło wielkie na nim i na artystce uczynić wrażenie, posunął się za odchodzącą. Był jej potrosze już znajomym i nie wahał się ją pozdrowić.

Zwolna odwróciła głowę ku niemu, lecz na odpowiedź zebrać się nie mogła.

— Jesteśmy tu zaproszeni — rzekł Gorajski, idąc za nią — przez hr. Filipa... którego pani znasz podobno. Dziwnie się złożyło, żeś pani właśnie ten dzień wybrała dla zwiędzenia willi.

Kobieta odwróciła się z twarzą zarumienioną.

— Najnieszczęśliwiej się złożyło! — zawołała ze wzruszeniem, którego pohamować nie mogła. — Ten człowiek, o którego pobycie w Rzymie nie wiedziałam, gotów posądzić mnie, iż przyszlam, jak widmo teatralne, popsuć mu zabawę jego umyślnie.

Rozśmiała się z ironią bolesną.

— Ale, na miłość Boga, powiedz-że mu pan, że go nie szukałam, że gdybym wiedziała że tu go spotkam... miałybyśmy Rzym i Włochy.

Szybkim krokiem poczęła iść, byle się tylko od miejsca tego oddalić. Wiktor nie chciał jęć w tém rozdrażnieniu i prawie nieprzytomności porzucić. Biegł za nią śpiesznie.

Odwróciła się z przestachem, słysząc kroki jego za sobą, chwyciła za głowę, a zobaczywszy iż nie kto inny, tylko Wiktor, z wyrazem współczucia i troskliwości, szedł za nią — stanęła. Odetchnęła ciężko.

Była tak jeszcze przerażona spotkaniem, iż drżała, szukając ręką podpory jakiegś.

Wielki głąz, okryty mchami, leżał tuż; rzuciła się nań, czując się osłabłą.

— Los mnie ściga — zawołała zniżonym głosem, w którym jakby łkanie czuć było.

— Jest w tém trochę mojej winy, iż się to stać mogło — przebąknął Wiktor.

— Pańskiej? jakim-że sposobem? — przerwała.

— Tak jest, mojej — począł Wiktor — zaraz to pani wytłumaczę. Hrabia Filip widział mnie owego wieczoru na Monte Pincio, rozmawiającego z panią... dał mi do niej polecenie, a ja go nie spełniłem, przez... nie wiem dlaczego, bo nie przez złą wolę.

— Czego ten człowiek mógł chcieć odemnie? — zawołała gwałtownie kobieta. — Między nami niema nic, nic wspólnego!



— O stosunku jego do pani nic nie wiem — ciągnął Wiktor spokojnie, starając się i ją w ten sposób ostudzić i uspokoić. — Hrabia Filip widział panią zdaleka, poznał i wyraził się przedemną z wielką o jęj los troskliwością.

— On? ten pan, z troskliwością o mnie? Co za czułość! — odparła, śmiejąc się, kobięta. — Chciał się zapewne pozbyć ztąd upiora — dodała. — Tak jest, my na jednym ziemi kawałku razem żyć nie możemy!

Chciała wstać, lecz gwałtowne wzruszenie wywołało silny ból głowy; musiała ucisnąć dłońmi skronie. Wiktor stał przed nią, nie wiedząc jak się ma ze swego poselstwa wywiązać. Kobięta, blada już teraz i poźółkła, siedziała posągowo nieruchoma, zagłębiona w sobie.

Wytrzymawszy tak czas jakiś, Wiktor począł:

— Hrabia Filip....

Usłyszawszy to imię, zadrgała kobięta, brwi się jęj groźnie ściągnęły.

— Proszę pana — rzekła nakazująco — ani słowa o tym panu! Dla mnie go nięma na świecie. Gdybym z jego ręki nawet królestwo niebieskie otrzymać miała, odepchnęłabym je.

To mówiąc, wstała; lecz uczuwszy że się utrzymać nie potrafi, siadła znowu.

— Powracaj pan do swojego towarzystwa — odezwała się; — ja tu spocznę chwilę jeszcze i znajdę mojego veturina, który pozostał w domku strażnika.

— Ja pani w takim stanie samęj zostawić niemogę — odparł Wiktor. — Pozwolisz mi się przeprowadzić, a nawet bez pozwolenia pójdę za nią.

Kobięta zwolna podniosła głowę.

— Nie obawiaj się pan o mnie — rzekła z uśmiechem wymuszonym — mam jeszcze dosyć siły, aby sama sobie dać radę w każdym razie. Pomoc i opieka upokarzają mnie; nie lubię być strzeżoną.

Głosu jęj brakło, odetchnęła i dodała żywo:

— Pan możesz sobie wcale fałszywie a uwłaczająco dla mnie tłumaczyć mój stosunek do tego człowieka. Mogę i powinnam objaśnić pana, że m była wydaną za niego i jakiś czas nazywałam się jego żoną. Nie kochałam go nigdy, znosiłam pożycie męczeńskie, a w ostatku musiałam z nim zerwać na wieki... obraził mnie śmiertelnie. Powtarzam panu, że m go nie kochała nigdy, że m szczęśliwa iż on dla mnie niczém już nie jest. Zdaje mi się że nawet nienawiści dlań nie mam, tak nim gardzę. Przeraziło mnie tylko spotkanie z nim tu, gdzie m się najmnij mogła go spodziewać, bo co on może robić w Rzymie?

Poczęła się śmiać, ruszyła ramionami i, wstawszy, tym razem silniejsza, szybkim krokiem poczęła iść, sądząc że się kieruje do domku strażnika. Wiktor lepięj znający miejscowość, wskazał jęj drogę. Podziękowała mu milczącém głowy skinieniem... Choć odprawiony, Wiktor przez litość postępował za nią, gdy oko w oko na wązkiej ścieżce zeszli się z księzną Teresą, za którą szła Liza.

Księżna, poznawszy artystkę, do której zbliżyć się pragnęła, zastąpiła jęj drogę.

— Pozwól pani — zawołała ze swą zwykłą uprzejmością — to jakiś nadzwyczajnie szczęśliwy traf tu ją sprowadził. Jest nas tu gronko ziomków, choć nieznanomych, a ręczę pani, że gospodarz będzie bardzo szczęśliwy, gdy nasze towarzystwo zechcesz powiększyć.

Kobięta cofnęła się, patrząc dziko na nadchodzące.

— Przepraszam — odparła dumnie — to być w żaden sposób nie może.

Skloniła się i w stronę się rzuciwszy, znikła pośród zarośli. Chód tylko jęj żywy, gorączkowo przyspieszony, przez chwilę krótką słyhać było. Wiktor, zobaczywszy Lizę, nie gonił już za uciekającą. Obie panie, zdumione ostrą i prawie niegrzeczną odmową, patrzyły na Wiktora, jakby tłumaczenia od niego wyglądały.

— Mościa księžno — rzekł cicho Gorajski — muszę zdradzić tajemnicę, abyście panie hrabiemu o spotkaniu nie wspomniały. Ta pani — wskazał w stronę w którą odeszła — ta pani, którą tu dziwny jakiś fatalizm w tęg chwili nasłał, to.... niegdys żona hr. Filipa.

Obie słuchające krzyknęły zdziwione.

— Trzeba było wypadku, aby, nie wiedząc o nim, zaszła aż na miejsce, gdzie się oko w oko spotkali.

— A hrabia Filip? — spytała księżna.

— Nic nie wiem — rzekł Wiktor. — Musiałem w pięrszęg chwili biedz za tą biędną, która jak obląkana uchodziła.

Liza oglądała się za siebie z politowaniem, szukając oczyma nieszczęśliwej, ale ani słyhać jęj, ani widać nie było

— Bież pan — odezwała się księżna — przez litość, nie można jęj tak opuścić.

Liza przechodzącemu podawszy rękę, wskazała także, aby szedł. Wiktor puścił się przez zarośla, w stronę w którą domyślał się, że pobiedz musiała biedna hrabina.

Księżna Teresa z Lizą potrzebowały ochłonać i naradzić się, jak miały postąpić, połączwszy się z towarzystwem. Obu im prawie niepodobna było ukryć wzruszenia, jakiego doznały.

— Ten nieszczęśliwy Filip! — szepnęła księżna. — Wistocie już mi go żal.

— Więcej nad nią użalaćby się potrzeba — szepnęła Liza.

Tak wesola owa biesiada, po której tyle sobie obiecywano, przed rozpoczęciem jeszcze została zagrożoną. Zdawało się że hr. Filip nie potrafi się uspokoić i zatrzeć na sobie skutków tego spotkania. Lecz człowiek to był wielkiej energii, gdy szło o miłość własną. Nim panie nadeszły, miał czas, postawszy chwilę i widząc że Wiktor pośpieszył za odchodzącą, zebrać siły. Zlekka rękę swą uwolnił od podtrzymującego ją hr. Augusta, i po krótkim namyśle, pobiegł do bufetu. Stały na nim butelki z winem; stary Falern, noszący przynajmniej to nazwisko, nastreczył się pierwszy. Filip nalał sobie szklankę i jak wodę wypił. Otarł pot z czoła, spojrzął po obecnych i ze śmiechem niezdrowym zbliżył się do Pelukowskiego, wyzywając go na opowiadanie, z którego zabierał się żartować, aby pokryć wzburzenie jakie w nim panowało. Szlachcic patrzył, nic nie rozumiejąc i nie mogąc sobie wytłumaczyć osobliwych ruchów gospodarza; lecz gdy tylko mu się usta otwarły, zajął się sobą i niestworzone rzeczy prawić zaczął o tém, co dni ostatnich oglądał.

Hrabia Filip wtrącał co chwile jakąś wymyśloną osobistość rzymską, której Pelukowski nie widział jeszcze; zarzucał mu że nie oglądał szkieletu Nerona, wanny, w której umarł Seneka, relikwii jakiegoś skomponowanego świętego i trzody owiec, utrzymującej się od czasów św. Agnieszki. Z téj radził mu sobie kupić maciorkę i barana, dla zawiezienia ich do kraju.

— A co hrabia myślisz! — zawołał Pelukowski — gdyby się te Włochy nie drożyły, słowo daję że bym kupił!

Żartobliwość ta i wesolość gospodarza w Augustie litość wzbudzały. Wysilał się na nie, aby skryć co miał w duszy.

Gdy księżna z panią Lizą przybyły nareszcie, znalazły go jeszcze śmiejącym się i drwiącym, podskakującym trzpiotowato i łatwo poznały źleodegraną komedię. Z poza śmiechu tryskał gniew, a roztargnienie dochodziło chwilami do tego stopnia, że odzywał się do swych gości w sposób niewłaściwy. Zdawał się z niecierpliwością oczekiwać powrotu Wiktora, który się jak nazłość opóźniał. Zamiast niego, przybyła księżna Ahaswera z nieodstępnym towarzyszem, ale tym razem oboje nadąsani: księżna wesola i szczebiotliwa do zbytku, poeta milczący, nadęty, zimny a dumny.

Przyprowadziwszy tu księżnę, która weszła w kobiece kółko, sam natychmiast oddalił się od niej i poszedł do Aureliusza, z którym żwawą zawiązał rozmowę.

— Ale, wiecie — odezwała się Ahaswera głośno — na drodze spotkaliśmy biegnącą ztąd, jakby uciekała, owę artystkę-Polkę. Zdawało się jakbyście ją ztąd wypędzili. Czy służba się może znalazła nieprzyzwoicie?

Na pytanie to, rzucone nagle, hr. Filip nie znalazł odpowiedzi. Panie téż nie odezwały się i księżna Teresa tylko nieznacznie skinęła na mówiącą, aby zamilkła. Nie rozumiejąc dlaczego, Ahaswera zagadła zaraz o czém inném.

Wiktora jeszcze nie było, ale ponieważ o nim nie wspomniała księżna, domyślać się było potrzeba, że albo jęj nie znalazł, lub ona go odprawiła.

Towarzystwo zaczęło się przechadzać po lasku i oglądać ruiny. Księżna Teresa zażądała zejść do podziemia, o którém mówiono. Podzielono się na grupy, a żółciowo wesoly gospodarz poprowadził panie, czyniąc honory ruin. Księżna Teresa zabrała téż z sobą Aureliusza, którego skromność, prostotę i talent ceniła.

Pelukowski tymczasem, że był głodny a do wódki nawykły, z pomocą poety, którego wziął za tłumacza, dopominał się, czyby nie można dostać kieliszka gorzałki, nimby do obiadu przyszło. Jakkolwiek restaurator wszystkie możliwe zapasy nagromadził, aby fantazyom najwykwintniejszym dogodzić, o wódce, której pić w gorących krajach niéma zwyczaju przed jedzeniem, nie pomyślano. Zamiast nięj znalazł się koniak stary,

który starkę litewską przypominał i honor przedsiębiorcy uratował. Szlachcic znalazł go wśmientym i chlebem, a raczej bułką z solą zakąsiwszy, cierpliwie już obiadu czekać obiecywał.

Zjawił się nareszcie Wiktor, powracający wolnym krokiem. Wsunął się tak, aby powrotu jego nie postrzeżono i nie badano go.

Pora obiadowa się zbliżała i panie wróciły też do namiotu. Liza, zastawszy Wiktora spokojnie stojącego na uboczu, spojrzała nań długo, jakby go ku sobie wzrokiem tym chciała pociągnąć; lecz w chwili gdy Gorajski miał zacząć kołować tak, aby nieznacznie do niej się zbliżyć, hrabia Filip, zobaczywszy go, pochwycił i odprowadził na stronę,

— Mówiłeś pan z nią? — zapytał gniewnie. — Umyślnie tu zapewne przyszła, aby mi stanąć jak głowa Meduzy!

— Przypadkiem tylko — odparł surowo Wiktor. — Ona sama pewnie to chorobą przeplaci. Natychmiast uciekła do Rzymu nazad. Bądź hrabia spokojny.

To powiedziawszy, jakby dla zbycia się tylko, Wiktor odstąpił od niego natychmiast, dając do zrozumienia, że więcej o tém mówić sobie nie życzy.

Rozmowa stała się ogólną i nieznaczącą: o klimacie, o pogodzie, o skwarze i cesarzu Adryanie, z którym bliską znajomość życzył sobie zabrać Pelukowski, bo go niedobrze pamiętał z dawno zaniedbanéj historii.

Wszyscy silili się na twarze wesole i czoła pogodne, a nikt wistocie prawdziwie wesółym nie był. Ahaswera odciągnęła księżnę Teresę ku drzwiom namiotu.

— Dlaczegoż mi nie pozwoliła mówić o téj artystce? — zapytała.

— Bo nie wiem co tu zaszło. Podobno ją nastraszone, czy ona nastraszyła kogoś, wpadłszy niespodzianie, a hrabiemu Filipowi wspomnienie o tém mogło być przykre.

— Nie jest on znowu tak przesadzenie czułym, ażeby go zbyt ochraniać potrzeba; ale... niech i tak będzie.

Siadano do stołu. Miejsca były powyznaczone i nie bez zwykłej gospodarzowi złośliwości. Siebie umieścił naprzeciw p. Lizy, obok księżny Ahaswery, której także towarzyszył Pelukowski; poetę wziął do siebie, razem z Wiktorem i Aurelianem. Gorajski, choć odsunięty od pięknej wdowy, zukosa jednak mógł patrzeć na nią, a ona, wyszukawszy go oczyma, ciągle już zwracała się ku niemu.

O czémże mówić było można w okolicy Rzymu, na zwaliskach willi Adryana i w gronku ludzi, oprócz Pelukowskiego i Fernanda, zajętych sztuką a miłujących ją — jeżeli nie o sztuce? Temat-to niewyczerpany.

— Gdybym była pejzazystą — odezwała się księżna Teresa — co za cudowny krajobraz zrobiłabym, wybrałszy jedno z tych gruzowisk, tak ślicznie obwiniętych zielenią, a tak majestatycznych!

— Mnóstwo ich już malowano — przerwał poeta — a sztychowano więcej jeszcze. Zdaje mi się że i u Piranesich są patetyczne parafrazy tych ruin.

— Villa d'Este, lasek w Olevano, kastel Gandolfo, Tivoli, dostarczają studyów bezmiary — dodał Aurelian. Ale jakże trudno, schwyciwszy linie zimne tych widoków, wlać w nie to życie, które one mają w naturze; ukraść to słońce, to powietrze, te barwy i to coś nieokreślone, co stanowi charakter krajobrazu z okolic Rzymu!

— Wogóle malarze, którzy długich lat nie przebyli we Włoszech — rzekł Wiktor — a nie przynieśli tu z sobą gorącej miłości piękna, inteligencji, duszy, pejzaż włoski malują szablonowo, tym ogólnym, niby gorącym kolorytem i z tą brawurą, jaką biorą ze szkoły Salvatora Rozy. Tymczasem Włochy są całym światem i krajobrazy Kampanii rzymskiej, Apeninów, Neapolu, Kapri, sycylijski, lombardzki, medyolański zupełnie odrębny mają charakter.

— W każdy obraz potrzeba włożyć duszę, aby na duszy zrobił wrażenie. Co z chłodnej refleksyi powstało, nie zachwyci nikogo, chociaż piękném być może — dodał Aurelian.

— We wszystko, co ma żyć, duszę włożyć potrzeba — odezwała się księżna Teresa.

— Tak! — uśmiechnął się poeta z pewną goryczą, którą z sobą przyniósł dnia owego — a nikt tego nie pojmuję, że poeta i artysta, duszę swą przelévając, udziela, uszczupla zapas jój w sobie. Jak się to dzieje, nie wiem, lecz tworzenie wycieńcza i... i dziwią się potem ludzie, gdy spotykając poetę, artystę, znajdują w nim często tylko suchą lupinę.

Westchnął Emil Marya, okiem rzucił ku Ahaswerze, ale tę w tej chwili zabawiał Pelukowski opowiadaniem, jak go, mości dobrodzieju, łajdaki gondoliery na dziesięć franków odrwili.

Hrabia August, rad ze zwrotu rozmowy, która mogła gości oderwać trochę od teraźniejszości, a hr. Filipa uczynić swobodniejszym, chciał ją podsyć i odezwał się:

— Jest coś mistycznego w dziełach sztuki. Sam twórca, który w chwili szczęśliwego natchnienia na płótno czy na papier przelał myśl swą, gdy zechce ją powtórzyć raz drugi, nie będzie już w tém usposobieniu, w jakim ją породził. Kopia jego własna własnego arcydzieła będzie już wystygłą łupiną... a cóż dopiero mówić o innych? Ja, tak samo jak w tłumaczenia, i w kopie nie wierzę.

— A cóż poczną nieszczęśliwi kopiści, którzy nic innego nad naśladowanie cudzych myśli nie mogą wydać na świat?

— Kopiści będą malowali dla tych, którym starczy cień piękna — rzekł hr. August. — Ich dzieła będą czasem miały tę własność, że przypomną to, czego w nich niema. Widziałem nieskończoną ilość kopij Madonny del gran Duca, Monny Lizy, Sykstyńy drezdeńskiej — a wszystko to były trupy. Wątpię nawet, ażeby powtórzenie przez samego mistrza mogło być identyczne. Dlatego pielgrzymować potrzeba do arcydzieł.

— I niech malarze, poeci, rzeźbiarze tworzą coraz nowe — wtrąciła Ahaswera. — Wiecznie o tych starych słuchać już bo się nudzi.

— Są takie temperamta — dodał, nie patrząc na mówiącą, z pewnym przekąsem Emil Marya — temperamta, które nudzi wszystko...

— Pan wiész — śmiejąc się, dodała księżna — *tout passe, tout casse, tout lasse*. Wszystko wkońcu znuży. Gdyby mi codzień podawano ambrozyą, zachciałoby mi się piwa.

Hrabia Filip, który wstał i chodził, gospodarując około stołu, pochylił się jój do ucha i szepnął:

— Widzi księżna, dlatego przy niej posadziłem Pelukowskiego, to jest piwo po ambrozyi.

— Ale zwietrzałe! — odparła, śmiejąc się, Ahaswera, uderzając go rękawiczką — a oprócz tego, wierz mi, ambrozyi nie piłam.

Pelukowski zajęty był wielce podawaniami potrawami; miał ten zwyczaj szlachecki, że lubił wiedzieć co jadł. Z kartki, w srebrne ramki oprawnej, niczego się nie mógł nauczyć, mówiąc że tego i diabeł nie zrozumie. Pytał więc pocichu o każdą potrawę: „Co to jest?” zaspokoiwszy sumienie, jadł potem z apetytem syna stepów i kuchni sprawiedliwość oddawał; wdychał tylko nad tém, jak po tych wszystkich przysmakach nieznanym znajduje się polski szlachecki żołądek.

— Wszystko to dobre, przedziwne — szeptał do sąsiada — ale barszcz zawieszony z rurą i pocziwą sztukamięś wolałbym jednak, bo jedząc, wiem z kim mam do czynienia, a tu każdemu półmiskowi prezentować się potrzeba i niewiadomo co zacząć.

Dolewano mu wina i to go uspokajało.

Pani Liza siedziała smutna, spoglądając na Wiktora, którego oczy ciągle w nią były wlepione; niemi tylko rozmawiać mogli.

Z pierwszych preludyów o sztuce, hr. August przeszedł do tego założenia, iż artyści są szczęśliwi, bo mają cel w życiu nigdy nieosiągnięty, więc utrzymujący ich w ciągłej nadziei i pragnieniach.

— Ci tylko — dodał — szczęśliwymi nazwać się mogą, którzy sobie postanowili jakieś zadanie, choćby napozór niewielkiego znaczenia, ale gorącą miłość mogące obudzić.

— Zmiłuj-że się — przerwał z ciągłą gorączką i sarkazmem przechadzający się gospodarz — jeżeli tak ma być wistocie, to mnie skazujesz na wiekiustą niedolę, bo mi właśnie w życiu brak celu.

— Powinieneś go sobie znaleźć — rzekł hrabia August.

— Nie tak to łatwo — zaśmiał się hr. Filip. — Niedosyc znaleźć sobie cel, sam mówisz że go pokochać trzeba, a to dla mnie główną trudność stanowi, bo wszelką miłość jaką miałem w sercu... wyzafowałem — dodał, spoglądając na panią Lizę, która oczy spuściła i udała że nie słyszy.

Nastąpiło jakieś złowrogie, choć krótkie milczenie; gospodarz sam je przerwał wykrzyknikiem:

— Jedna jest rzecz, do którejbym się mógł zapalić, roznamiętnić, i nie ręczę czy w niedostatku innego zajęcia i celu, nie rzucę się kiedy do niej, to — wiecie państwo co?

Chwilkę się zatrzymał, czekając czy kto niespróbuje odgadywać, ale nikt nie wpadał nawet na przypuszczenie, ażeby hr. Filipa coś roznamiętnić mogło, oprócz takich rzeczy, o których mówić nie było warto.

— Wiecie państwo co? — powtórzył hr. Filip. — Dziennikarstwo!

— Bez żartu, masz wistocie temperament dziennikarski — odezwał się poważnie i bez najmniejszego cienia szyderstwa, hr. August.

— Tak, ja to czuję sam — podchwycił Filip. — Dziennikarstwo jest rycerstwem, bądźcobądź. Kto do szabli się nie zdał, na tém polu walczyć może, no... i burzyć. Zadaniem dziennikarstwa jest głównie krytyka i obalanie, a to mi się właśnie uśmiecha.

— Przepraszam cię — odezwał się hr. August. — Dziennikarstwo jedną ręką rozwała, drugą budować powinno.

— No, jeżeli tak, to ja tą jedną jestem ręką co wali, wywraca, oczyszcza pole. To moje posłannictwo, mam to we krwi — mówił, unosząc się, hr. Filip. — Założenie wielkiego organu, któryby sobie wziął za zadanie nielitościwie nam oczy otwierać, złudzenia rozpraszając, burzyć przesady, uprzedzenia rozpędzać... mogłoby być jeżeli nie rzeczą użyteczną, bo za to nie ręczę, to przynajmniej eksperymentem nader interesującym.

— Próbuje! — rzekł hr. August — przykłaśniemy.

— Ha! ha! — rozśmieł się gospodarz. — Trudność główna leży nie w założeniu, w ramach, programach i wystawieniu rusztowania, ale w znalezieniu falangi ludzi, coby szła ze mną, z myślą moją, coby miała odpowiednie talenta, a wyrzekła się samoistności, bo tu jeden musi być wódz i dyktator. Znajdźcież mi ludzi, coby, czując w sobie siły, poszli z niemi pod komendę cudzą.

— Dlaczegoż nie? — zawołał Wiktor. — Potrzeba tylko, aby ci ludzie zgodzili się na cel, naówczas *sacrifizio del' intelletto* stanie się możliwem. Burzenie zaś, o którym hrabia mówisz, nigdy nie może być celem, jest tylko środkiem.

— Tak, ale gdy się chwasty wypleni — krzyknął hr. Filip — mam nadzieję, że coś lepszego na ich miejscu urośnie!

— Jeżeli nie zasiejesz, to najpewniej wyrosną chwasty nowe — dodał August.

— Ale, na miłość Bożą — przerwała Ahaswera — dlaczego państwo mu przeszkadzacie? Taka śliczna myśl! Niech stanie na czele wielkiego dziennika i da w nim doskonały felieton... ja się abonuję!

— Nie żartujmy z rzeczy tak poważnej, jaką jest dziennikarstwo — wtrącił hr. August. — Potrzebuję przypominać, że to dziś jeden z najważniejszych czynników życia? Nie nowiniarstwo, ale dziennikarstwo, pojęte szeroko... Wyrosło ono z lichy *gazzetty*, ale dziś *n'en de plaise à Girardin*, jest potęgą, we wszystkich swych przeróżnionych formach i objawach, poczynawszy odcodziennego dziennika, do kwartalnego przeglądu. Każda z tych form wymaga i zdolności różnych, i pisarzy innych i sposobu ujęcia przedmiotu właściwego. Ale tu sprawdza się też to, coście panowie mówili o dziełach sztuki. Dziennik tylko taki mówi do ogółu, obudza i porusza, w który ktoś duszę wlewa. Zimne rzemiosło dziennikarskie, choćby przy wszystkich warunkach technicznych jaknajstaranniej spełnionych, nie znajdzie odgłosu. Powtarzam: dziennikarstwo jest kapłaństwem, i ci, co namaszczeni przystępują do niego, sami jedni tylko wpływ mogą wyrzucić.

— Ja nie wiem czy jestem namaszczoney — odparł hr. Filip — ale że gorączkowobym wiódł do boju, to pewna. Tymczasem to nie nadobie dziś i rycerstwo z gęsiem piórem odłożmy do szczęśliwszej przyszłości.

To mówiąc, mrugnął na służącego, aby naléwano kieliszki szampanem.

— Wnoszę zdrowie pań naszych, téj najpiękniejszej, najczynniejszej, najrozumniejszej i najdostojniejszej połowy rodzaju ludzkiego, która w cywilizowanych narodach, jak powinna, stoi na czele! Zdrowie pań, których my jesteśmy sługami, wychowawcami, niewolnikami! Zdrowie tych, co nas jedne mogą uczynić szczęśliwymi, a przez które myśmy nieraz tak nieszczęśliwi! Zdrowie pań!

Wszyscy hałaśliwie powstałi dla spełnienia toastów, gdy, jakby niebo chciało w nim także uczestniczyć, przerażający grzmot rozległ się ponad głowami biesiadujących. Nikt nie uważał, pod namiotem siedząc, że niebo się nagle okryło chmurami. Czarny obłok

nadciągnął już ponad willę Adryana. Księżna Ahaswera, która się niezmiernie bała piorunów i burzy na wolnym powietrzu, krzyknęła.

Grzmot drugi, silniejszy jeszcze, dał się słyszeć i pod mrokiem namiotu mignęło odbicie błyskawicy.

Obiad nie był jeszcze skończony.

— Ja umrę ze strachu pod tym namiotem — odezwała się, zrywając, księżna. — Na Boga, czy się nie ma gdzie schronić?

— Do podziemia! — zawołał hr. Filip — tu niedaleko wnijscie. Od piorunów i ulew będziemy tam bezpieczni. Służba nam natychmiast przyniesie krzesła i stoły nawet. Wprawdzie okropna to dziura i pełna śmiecia, ale w niej kilkaset osób może się pomieścić.

Ahaswera ruszyła się natychmiast, czekając aby jej kto podał rękę, i skinęła niecierpliwie na poetę, który, zapomniawszy rannej rozterki, nadbiegł natychmiast. Wszyscy się ruszyli za nią, choć niebardzo chętnie. Wiatr, mimo tamującego go lasu, miotał już namiotem; gałęzie szeleściły, drzewa się uginały, liście unosiły w powietrzu.

Błyskawice coraz częstsze następowały jedne po drugich. Za przykładem księżny ruszali się już wszyscy i Wiktorowi udało się zbliżyć do pani Lizy, której podał rękę, nim go kto zdołał uprzędzić. Przyjęła ją chętnie i Ferdynand dostrzegł że się zarumieniła, a oczy jej poweselały. Księżną Teresę powiodł August. Szlachcic, dopiwszy wina, niebardzo chętnie się zabiierał wynosić z namiotu.

— A to, mości dobrodzieju, historia — rzekł do Aureliusza. — Ledwieśmy obiad zjedli, ba, nawet niecały, bo coś jeszcze podawać mieli, burza nas pędzi do karczeresu... A jak lunie i zacnie artyleria niebieska dokazywać, to my tu i noc gotowiśmy być zmuszeni przesiadywać. Ale któż-bo widział obiad wyprawiać w takim miejscu na pustyni!

Dészcz już lał i pioruny były, tak jak one w Apeninach czasem umieją, gdy burza po skwarze szalęć zacznie.

Poeta, który nieraz tu bywał, z łatwością znalazł blizkie wnijscie do podziemia. Nie było ono wygodne, bo schodzić musiano po osuniętej ziemi i gruzach w głąb. Podziemie było rozległe, lecz chociaż sklepienie nad niemi trzymało się jako tako, przez otwory, którymi zwisały się zarośla i trawy, wchodziło światło dzienne, mogła więc wnijsć i ulewa. Znać było na tém, co stanowiło rodzaj podłogi, iż tu strumienie wody nieraz gościły, bo powyżłabiały drogi, poryły koryta, ponanosyły mułu i cegły... Można więc było tylko w pewnych miejscach znaleźć schronienie, i to rozdzieliwszy się na gromadki.

Księżna Ahaswera wybrała sobie kątek w rogu, na kupie rumowisk, i przyparła się do ściany; trochę niżej zajął miejsce hr. August z księżną Teresą, obok której przyszła stanąć Liza.

— Chociaż się nie tak boję piorunów, jak księżna — szepnęła do swego towarzysza — pan mnie nie opuszczaj... choćby przez litość, abym nie była narażona na inne towarzystwo.

— Czekałem tylko na pozwolenie — rzekł Wiktor. — Obawiałem się narzucać.

W tym wcale nieprzygotowanym na przyjęcie gości lochu, który niegdyś może mieścił w sobie niewolniczą służbę Cezara, całe przed chwilą u stołu wygodnie siedzące towarzystwo, rozpierchłe, tuliło się, jak mogło. Szczęściem po obiedzie został humor dobry, który osładzał niedolę. Śmieli się najodważniejsi, szlachcic zaś ramionami ruszał i coraz nowe sobie miejsce obierał. A nie było to łatwem, bo woda zgóry zaczęła się wciskać i gdy ulewa się zwiększyła, potok prawdziwy wdarł się od wnijscia, zalévając ziemię, na której stali goście, tak iż na różnych kupkach cegieł i pagórkach szukać musieli ocalenia.

— Garnitur nowiusienki diabli wzięli — mruknął szlachcic. — Otóż tobie Janku gdy!

---

Epizod ten, bardzo dramatyczny, trwał niedługo wprawdzie, lecz zostawił po sobie na twarzach gości niezatarte ślady, a może i w ich pamięci.

Hrabia Filip, z obowiązku zajęty rozporządzaniem na górze i na dole, parasolami, krzesłami, które kazał przynieść do podziemia, nie miał czasu przeszkadzać Wiktorowi w rozmowie. Prowadząc panią Lizę, schwycił on był po drodze płaszczyk swój, podesał go na kupce kamieni i uprosił ją, ażeby usiadła. Sam zaś obok stanávwszy, mógł tém swobodnie rozmawiać, że nikt ich nie podsłuchiwał i nie przeszkadzał. Księżna Teresa

tylko czuć się zdawała nad tą parą... Ahaswera, ze strachu czy z kaprysu, przejednała się ze swoim poetą. Hrabia August miał staranie o księżnie Teresie, która uśmiechając się jak zawsze łagodnie, znajdowała że trzeba było dziękować hr. Filipowi, bo wszystko się udało jaknajdoskonalej, a burza przyszła, aby czémś niezwyčajnym, fantastycznym ukoronować to dzieło.

Wistocie w podziemiu było conajmniej oryginalnie. Woda wpadała teraz zgóry otworami i tworzyła kaskady; potok niosący muł, spieniony lał się przez wyłom, stanowiący wnijsie; pioruny nad głowami huczały i trzaskały, aż ziemia się od nich wstrząsała, w półmroku, który nadciągająca chmura z sobą przyniosła, błyskawice sine, zielonawe, różowe stanowiły jakby czarodziejskie oświecenie obrazu. Na chwilę czasemrozjaśniało się i drzące blaski nikły, by się powtórzyć to bledsze, to silniejsze.

Gwałtowny wichur, który uginał i łamał drzewa, wkrótce przyniósł chmurę, burzę i ulewę. W stronie, z której one przyciągnęły, niebo się rozjaśniać zwolna zaczęło. Cichy dęszc padał jeszcze, a hrabia Filip przybył z uspokajającą wiadomością, że namiot, z którego niepotrzebnie się wyniesiono, osłoniiony drzewy, doskonale wytrzymał katastrofę i deser nienaruszony czekał na gości, wraz z czarną kawą.

— Że deser nienaruszony, mości dobrodzieju — szepnął szlachcic do Aureliusza — bardzo mnie to cieszy; ale ja jestem naruszony... Zaciekło mi za kołnierza, nogi jak w kąpieli i garnitur, słowo daję, przepadł.

Księżnę Ahaswerę nierychło było można namówić do powrotu, bo grzmoty jeszcze się zdala odzywały niekiedy, jakby wracać chciały z nową siłą.

Tymczasem przez wnijsie potok gwałtowny płynąć przestał i mokrą ziemię służba wyłożyła kamieniami tak, aby suchą nogą wydobyć się ztąd było można. Powietrze odświeżone zachęcało, aby się ztąd wydobyć. Ferdynand jął się gospodarzowi czynnie pomagać i był w swoim żywiole, bo gospodarować lubił. Całe więc towarzystwo poczęło ostrożnie powrót do namiotu. Wiktor, który nie opuszczał ani na chwilę Lizy, prowadził ją znowu.

Burza nie trwała może godziny, przybory do wydobywania się z podziemia zajęły trochę czasu. W krótkim tym przeciągu kilku chwil cicha rozmowa pani Lizy z Wiktorem, na którą zdala baczość miał wielką Ferdynand, dała mu dostrzedz symptomaty, dla niego niewytłumaczone. Działo się coś, czego nie rozumiał. Co sobie mówić mogli, z czego się zwierzać, czém tak mocno byli zajęci, że na otaczających ani zważali — Ferdynand nie mógł tego odgadnąć, ale doskonale widział, że siostra z Wiktorem wyszła napowrót, jakby daleko poufalej zapoznana, jakby uspokojona i odżywiona. Ona, co się nigdy prawie dawniej nie uśmiechała, teraz pokazywała drobne swe ząbki białe i nawet żartowała troszeczkę ze strachów Ahaswery.

Księżnę burza wprawiła w rodzaj gorączki; dla tych co się jęj przeciwwili była prawie niegrzeczna.

— *Ab! allez y voir!* — wołała — żebym się miała drugi raz dać zaprosić temu hr. Filipowi, *qui a du guignon dans tout!*

Skoro się wypogodziło i pod namiot weszli, księżna tylko jedna miała na myśli, aby się ztąd wyrwać coprędzej. Znała już swojego poetę, że towarzystwo niełatwo opuszczał, i choć się na zdrowie uskarżał, lubił, zapominając się niby, dobrze zjeść i wypić. Nie rachowała więc na niego i postanowiwszy go tu porzucić na łaskę gospodarza, wyglądała niecierpliwie, ażeby chmura odeszła.

Wieczór po burzy wrócił prześliczną pogodę, piękniejszą daleko, niż była we dnie; powietrze odświeżone balsamiczne przesycały wonie.

Nie mogło to powstrzymać Ahaswery, która się gniewała na gospodarza za pomysł nieszczęśliwy, niespokojna była o zamoczone nóżki, grożące fluksyą, i chciała co najrychlej skryć swój zły humor w domu. Nie żegnając się więc, nikomu nie mówiąc nic, wysłiznęła się nieznacznie, rachując na to, że do powozu trafi. Nieprędko spostrzeżono się że jęj nie było i dopiero oddalony turkot poetę rozbudził. Postrzegł że został osadzony na koszu, ale namarszczywszy się w piérwszej chwili, postanowił narzucić się z powrotem gospodarzowi i udał nietylko obojętnego, ale weselszego niż był przedtém.

Księżna Teresa była téż trochę zmęczona i w pół godziny po Ahaswerze pocichu umówiła się z Lizą, żeby do miasta powracać. Gospodarz domyślił się tego, prosił trochę aby panie pozostały, lecz uległ wreszcie ich postanowieniu, może dlatego, aby nie patrzeć na

ciągłą prawie rozmowę poufną pięknej wdowy z Wiktorem. Obawiając się, aby on nie przysiadł się z paniami, położył to za warunek, aby one mu reszty męzkiego towarzystwa nie zabierały.

Gdy podano herbatę, owoce i wina, pań już nie było. Zostawszy sami, wszyscy się uczuli swobodniejsi i z cygarami w ustach stół obsiedli. Hrabia Filip miał w tém swoje widoki, iż trochę po polsku koniecznie chciał podpoić swych gości.

— Szanuję — rzekł z ironią — tak dalece tradycje narodowe, że zapowiadam, że się choć trochę podchmielić musimy. Dziadowie i ojcowie nasi nie rozchodzili się nigdy nasucho.

— Bardzo dobrze — przerwał August — ale... trochę. Tradycje szalonego pijaństwa wzięliśmy nie po dziadach, ale po Sasach, od Augusta Silnego, który sam pił i poił na śmierć. Tradycyi téj się wyrzekam.

— Być może — rzekł poeta — iż Sasi rozpoili nas; ale zajrzyjcie do Kochanowskiego, do satyr dawniejszych, a przekonacie się z nich, że u nas i przed Augustem pijano. Świadkiem Górnicki w Dworzaninie.

— Pijana tyle, aby się podochocić, nie żeby się z nóg zwalić i rozum postradać — rzekł August. — Więc skromnie, zwłaszcza że z winami włoskimi żartować nie można.

Szlachcic bronił świętych tradycyj.

— E! dobrze się i upić w pocziwém towarzystwie — rzekł — byle bez szwanku dla zdrowia. Ja zaś we włoskiém winie wcale miły wigor znajduję. Francuzkie barszczykowate, kwaskowate, a te, mospanie, do żołądka idą i tam robią porządek.

Hrabia Filip naléwał pilno, choć w nim od rana wszystko kipiało. Widmo żony, po-tém owo szczęście Wiktora, na którego tak była łaskawą pani Liza, rozdrażniły go do ostateczności. Zbliżył się do owdowiałego poety, którego nie cierpiał, ale teraz mu i on był dobry, bo mógł się zdać na co przeciw Wiktorowi. Odgadł w nim zazdrość i niechęć ku niemu.

Nadzwyczaj czule, co się nigdy nie trafiło jeszcze, ujął go pod rękę.

— Panie nam zdezertowały — odezwał się pocichu. — Nachylił mu się do ucha. — Uważałeś — dodał — że pani Liza widocznie jest pod urokiem naszego... wielkiego nieznajomego? Powiedz mi téż ty, który ludzi umiesz ocenić, co to za figura?

— Hm! zagadkowa — odparł Emil Marya.

— Z pewnością artysta, a tego się wypiera.

— Ale jakże! ma najęte przecie atelie po tym Niemcu — rzekł Emil. — Jużćić artysta, ale z artystami gra rolę panicza, a z panam...

— Oslania się tajemnicą? nieczysta sprawa! — dodał Filip. — Nieglupi człek, ale mi wielce podejrzany. Słuchaj-że, masz ucho u Ahaswery, nie wypieraj się tego, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... Powinieneś ją namówić, aby ona ostrzegła panią Lizę że się kompromituje, że ta poufałość z takim człowiekiem niepewnym, cień na nią rzuca. Powiedz, to przecież obowiązek. Szkoda téj biédnej wdowy, aby padła ofiarą awanturnika.

Pochlebilo to zwierzenie się poecie; poszeptał chwilę z hrabią, ścisnęli się za ręce i rozeszli.

Przy stole szlachcic wiódł rej w rozmowie o dawnych czasach. Hrabia Filip, obszedłszy próżne kieliszki, które niemiłosiernie doléwać kazał, zkolei wziął na pogadankę Ferdynanda. Ten był już podochocony i niezmiernie wesół, tak że nawet dla gospodarza czuł się w obowiązku czulość okazywać.

— Szkoda że nam panie uciekły — rzekł hrabia.

— Ja dalipan nie żałuję że sobie odjechały — rozśmiał się Fernando. — Pocziwte nasze kobiéciska, ale i księżna Teresa i moja siostra zanadto święte, aby z niemi było bardzo wesoło.

— No, o Ahaswerze przecie tego nie powiesz — przerwał hrabia Fernando głośno parsknął.

— Pewno że nie; ale ta stara i brzydka, a w dodatku kapryśna.

— A jednak swego czasu ludzie dla niéj głowy tracili — rzekł Filip. — *Elle avait du piquant.*

— No, ten biédny wieszcz podobno i teraz jeszcze potrafił się w niéj rozmiłować — zawołał Fernando.



— Cóż ty chcesz? z tak potężną fantazyą można z pomywaczki zrobić anioła, a tém-  
bardziej ze staréj księżny.

Śmieli się tedy obaj.

Hrabia nieznacznie wskazał na Wiktora, który żywo rozmawiał z Augustem.

— Mój drogi, ty go tam bliżej znasz, powiedźmi, czy nie wiesz ty przecie co zaczą jest?  
nie odcyfrowałaś téj zagadki?

— Tyle wiem co i wy — rzekł Fernando.

— Ale siostra wasza tak go uprzejmie jakoś przyjmuje, tak go ośmiela — mruknął  
Filip, w oczy mu patrząc.

Fernando bądźcobądź o siostrze lekko mówić, cienia nawet jakiegóś zniewagi rzucić na  
nią nie mógł dozwolić. Zarumienił się, wyprostował i rzekł żywo:

— Co moja siostra robi, to dla mnie rzecz święta, bo ja w nią wierzę niezachwianie.  
Ona z pewnością ma więcéj rozumu, z pozwoleniem, niż my wszyscy.

Filip obrócił w żart i uściskał go.

— Ale i ja nie sądzę téż inaczej — zawołał. — Może się źle wyraziłem; wierz mi, że  
nikt nie może być więkším jéj wielbicielem odemnie.

— Do tego co ona robi nie mieszam się — dodał Ferdynand — bom przekonany, iż  
wszystko co czyni, to dobre. Ten pan Wiktor zresztą jest w całém znaczeniu wyrazu *un  
homme très comme il faut*.

— Alboż przeczę? — odparł Filip, poprawiając się i cofając. — Znajduję tylko, że się  
zanadto okrywa tajemnicą. Artysta, nie artysta... kto... zkąd?

Ferdynand nagle zwrócił rozmowę.

— Aleby czas powrócić nam do Rzymu — rzekł, spoglądając na zegarek.

— O! przepraszam — zawołał hrabia — nie puszczyć! Jesteście moimi gośćmi, po-  
wrócimy razem. Noc będzie prześliczna.

I żeby w dobry humor wprawić Ferdynanda, cicho szepnął mu w ucho:

— A cóż Pepita?

— Ciężka sprawa! — odparł kawaler. — Boję się czy pan Wiktor, który się zapiéra  
tego, nie zbałamucił jéj wprzódy. Z nim jest za pan brat, a mnie nawet palca dotknąć nie  
pozwala.

— Czarodziej z tego jegomości! — z przekąsem dodał Filip.

— Ma szczęście, to pewno — rzekł Fernando. — Księżna Teresa, hr. August, moja  
siostra, nie mogą się go odchwalić.

Ruszył gospodarz ramionami. U stołu wciąż szlachcic perorował, zapomniawszy o gar-  
niturze.

— Nie można powiedzić, Włochy mi się dosyć podobały, tylko i one mają swe ale.  
Dobrego mięsa nie znają, koźłeta jedzą, pająki morskie, zieleniny... aż strach! Warzywo,  
panie, ogórki na łokcie mierzyć... Tylko że znowu to nie są ogórki, tylko jakieś paskudz-  
two... No, i mospanie dali mi raz surowy zielony pieprz turecki w strąkach na śniadanie.  
Ażem się przeżegnał! Surowizny moc jedzą i dlatego tak żółto i niezdrowo wyglądają.

— A kobiety jak pan znajdujesz? — spytał gospodarz.

— No, zdaleka trochę zarywiają na Cyganki, ale są i wcale niczego; zbliżka zaś, mo-  
spanie, oliwą je czuć i bodaj czy się one kiedy umywają. Przytém żenić się tu nikomubym  
nie życzył, bo stare baby łysieją i bardzo brzydko wyglądają.

Śmieli się niektórzy.

— Ma dalipan słuszność pan Pelukowski — potwierdził hrabia Filip. — Niéma ko-  
biét, jak Polki nasze!

— Zatem ja jeszcze raz nieobecnych zdrowie wnoszę — zawołał szlachcic zaanimow-  
wany. — Co prawda, to prawda..! A niedość że piękne i pocziwe, ale mosanie i to coś  
znaczy, że dłużej one trwają. Tu panie po trzydziestu latach już ani patrz na kobietę...  
wąsy goli — a nas... Hej! hej! dobrodzieju, i czterdziestówka jeszcze hoża.

Ze śmiechem i zapalem toast przyjęto i wychylono. Szlachcic był wesół i dumny.

Zaczynało się robić ciemno, i jak to bywa w krajach gdzie powietrze jest czyste, noc  
nagle zapadała. Zapalono światła.

— Byle nas, mospanie, w powrocie rozbójnicy nie zaskoczyli — rzekł Pelukowski.

— Nie mamy się czego obawiać. Powracamy razem, a jest nas tyłu, że się na nas rzucić nie ośmiela — rzekł Filip. — Na zakończenie jabym poncz życzył.

— Nie, ten nas dorznie — rzekł szlachcic doświadczony; — trzymajmy się już wina i... zdrowie gospodarskie!

Wypito i to zdrowie ochotnie. Nikt nie uważał, że po kobiecym toaście, Wiktor i Aurelian, przechadzający się po namiocie, zniknęli.

Wistocie przysła im fantazyja pieszo powracać do Rzymu. Obaj doskonale znali okolice, mieli kije i odwagę; pić już się im więcej nie chciało, wysunęli się więc w zarośla i po chwili byli na gościńcu.

Noc gwiaździsta, chłodna, cicha, prześliczna była do tej przechadzki, jakby naumyślnie przygotowaną. Aurelian szedł, jak zwykle milczący, Wiktor osmutniały. Długo nie mówili nic: puszczały dym z cygar i z nim myśli swe rozbudzone biesiadą, która pomimo wesołości, zostawiła po sobie wrażenie jakiegoś przykre, szczególnie na Wiktorze. Nie mogła mu zejść z pamięci ta nieszczęśliwa istota, którą przeznaczenie wpędziło tu, aby Filipowi struła chwilę zapomnienia o troskach.

— Ha — mruknął wkońcu Aurelian — dobre to wszystko... miłe ich towarzystwo, ludzie ogładzeni, mówią że kochają sztukę... ale ja jakoś do nich przylgnąć nie mogę. Obco mi z nimi.

— Nad nimi — przerwał Wiktor — więcej się użalać potrzeba, niż żal mieć do nich. Nieszczęśliwe to są istoty... chore dusze. Mają wszystko czego potrzeba do pracy, do czynu, do dzieł wielkich; wykształcenie jakie takie, inteligencya najczęściej rozbudzona, smak, środki materyjalne, a nic nie robią i życie jest im brzemieniem.

— Czém się to dzieje? — spytał malarz.

— Wychowaniem — odrzekł Wiktor. — Rzadko posuwają je dalej nad znajomość powierzchowną, encyklopedyczną rzeczy powszednich. Główną wagę w wychowaniu ma ogłada. Prawda że w salonie nic im zarzucić nie można, że ludzie są nadzwyczaj mili, ale rozpieszczeni, egoiści i płosi. Nie idzie im o to, aby coś umieć, lecz aby wszystko jako tako rozumieć, chwycić coś z każdej rzeczy i błyszczyć. Wyjątek stanowi ten hr. August.

— Filipowi też inteligencyi odmówić nie można — odparł Aurelian.

— Ani dowcipu; ale zgryziony i zgryźliwy jest i więcej o sobie mniema, niż się godzi. Biędny człek!

— Panie więcej od nich warte — zauważył malarz.

— Masz słusność — potwierdził Wiktor. — U nas powszechnie kobiety stosunkowo wyżej stoją od mężczyzn, i to jedno pociesza, boć od nich zależy przyszłość pokoleń. Ale i to — dodał — są chore dusze... Każda z nich prawie pożyciem z człowiekiem, co jój nie był wart, złamana. Odwagi im braknie, aby samoistnie życiem kierować; dręczą się i marnieją.

— Lizę to jakby Ary Scheffer malował — wtrącił Aurelian. — Ma wyraz jego potocznych kreacyj niewieścich.

— Nadało jój go nieszczęście — rzekł Wiktor. — Przeszłość jój bardzo smutna. Związana była z człowiekiem zwierzęco zepsutym... anioł z bydlęciami! Najpiękniejsze lata życia zeszyły na męczeństwie, a gdy wyzwoloną została, nie wiem czy ma jeszcze siły rozpocząć życie nowe.

— Ależ to młoda kobieta! — odezwał się Aurelian.

— Tak, młoda, lecz życie się na lata nie liczy — odpowiedział Wiktor. — Męczeństwo wyczerpuje zawczasem i rozczarowuje na wieki.

Rozmawiając tak, szli powoli pustym gościńcem. Księżyc, już po pełni późno wschodzący, dopiero się z za gór dobywał... W krzakach i bujnych chwastach polatywały muchy świecące (*luciole*) jak ogniki, chwilę migotały w powietrzu, zniknęły i zjawiały się znowu.

Stali właśnie u mostka na wyschlým potoku, za którym licha lepianka, karczemka z kuźnią pustą, ciemniała, jakby uśpione stworzenie jakiegoś, leżące nad drogą.

Zdziwił się mocno Wiktor, gdy się zbliżyli, widząc w niej światło, przez otwarte drzwi smugą wychodzącą na gościniec.

Ciekawość jakaś — może artystyczna — efektu światła i charakterystyki tego biędnego wnętrza, skłoniła Aureliana do zatrzymania się i zaglądnienia. Wiktor stanął także.

Izba niewielka, której otwarte drzwi wychodziły wprost na gościniec, była ubogą i bardzo lichą w sprzęt nędzny opatrzoną. Stół na chwiejących się nogach cienkich, kilka

nadłamanych stolców, u ściany naprzeciw wnijsia rodzaj bufetu, na którym stały szklanki od wina, kilka talerzy i prosty dzbanek ze staroświeckimi malowaniami i ozdoby — składały całe gospodarstwo. Na stoliku paliła się ciemno lampka mosiężna zaśniedziała, której knot niewiele dawał światła drżącego. W głębi, przy rodzaju łóżka stojącego w kącie, widać było osób kilka, w milczeniu i zakłopotaniu ugrupowanych. Zaslaniały one sobą jakiś przedmiot, którym tak zajęte były, że kroki przybywających i kilka słów półgłosem wymówionych przez Wiktora nie potrafiły ich od tego zapatrzania się oderwać.

Aurelian domyślał się jakiegoś wypadku, o które w okolicach Rzymu nietrudno. Sądząc że się na coś przydać mogą, weszli do lepianki.

Stojący przy łóżku mężczyzna stary w koszuli i zarzuconej na plecy kurtce aksamitnej, z dawno niegoloną brodą siwą, odrosłą jak szczecina, zwrócił się ku nim, trochę zdziwiony. Na twarzy jego, starością i życiem ciężkiem zubożniejszą, równie jak na kobiecie żółtej, opalonej, pomarszczonej, która stała obok niego, malowało się politowanie.

Na zapytanie Wiktora, ruszając ramionami, mężczyzna wskazał na łożo.

— Jakaś kobieta w drodze jadąc zachorowała. Chciała tu spocząć tylko, a oto *accidente* — dodał. — Coraz jej gorzej; vetturin, co ją wiozł, odjechał i niewiedzieć co z nią robić. Uchowaj Boże śmierci, będzie utrapienie dla nas...

Wiktor, jakby przecuciem jakimś tknięty, zbliżył się ostrożnie ku łożku i o mało nie krzyknął, widząc na nim leżącą bladą i jakby usypiającą, czy dogorywającą hrabinę Filipową.

Podszedł cożywiej ku niej i gdy słysząc szelest, powieki trochę podniosła, a poznała go, przemówił, pytając co się stało.

Musiał jednak dwa razy powtórzyć to zapytanie, nim jakby z obłąkania czy ze snu wychodząc, kobieta słabym głosem na nie odpowiedziała, że wzruszenie ranne tak ją złamało, iż dla strasznego bólu w głowie, która jak ogniem paliła, dalej już jechać nie mogła.

Wiktor natychmiast oświadczył się przyśpieszyć powrót do miasta, przywieźć doktora i powóz, ażeby się do mieszkania swego dostać mogła.

Hrabina, niezupełnie przytomna, szeptała tylko:

— Nie, nie trzeba... tu czy tam umrzeć, wszystko jedno... umrzeć!...

Po naradzie szybkiej z Aurelianem, stanęło na tém że malarz miał pozostać przy chorzej, dla bezpieczeństwa i nadzoru, bo oświadczył że doktora żadnego nie zna, chorować i leczyć się nie mając czasu. Wiktor więc sam miał biedz do miasta po rachunek. Usiłował on dla uspokojenia chorzej zawiadomić ją o tém, że przyjaciela zostawił na straży, że miał powrócić wkrótce. Hrabina, słuchając, otwierała oczy, ale nie odpowiedziała nic. Zubożniejsza była zupełnie na wszystko.

Ścisnąwszy rękę Aureliana, Wiktor puścił się jak mógł najszybszym krokiem ku miastu. Księżyc wszedł był właśnie i do rana nie musiało być daleko.

Aurelian na ławeczce przed chatą zajął miejsce, oparł się o ścianę, zadumał smutnie i zdrzemnął. W chatce cisza panowała, zaledwie przerywana ciężkiem niekiedy westchnieniem chorzej, która się za głowę chwytała.

Pochód pieszo do tego miejsca, zatrzymanie się przy chorzej, narada zabrały tyle czasu, że Aurelian zaledwie usadowił się na ławce, gdy powozy nadjechały, wioząc dobrze podchoconych gości z willi Adryana.

W jednym z nich ze szlachcicem siedział hrabia Filip i obaj głośno śpiewali piosenkę jakąś polską, dosyć niesfornemi głosy. Ta wesołość, niepokojąca smutną lepiankę, w której leżała chora, ten śpiew dziwny raził malarza przykro. Powstał i ruszył się, a poeta, który do śpiewu też pomagał, poznał go.

— *Fermate!* — zawołał do woźnicy — to Aurelian, dezterter. Stój, stój!

Hałaśliwy krzyk „Stój!” odezwał się z powozów obu. Zaczęto wołać na Aureliana, aby wsiadał. Ten z oburzeniem się opierał, a nakoniec, tłumaczyć się nie chcąc, wszedł do izby i drzwi zamknął za sobą. Hrabia Filip, który pił wiele był w stanie rozdrażnienia nadzwyczajnym, wyskoczył z powozu, aby gwałtem zabrać malarza. Otworzył drzwi i głosem krzykliwym odezwał się do niego:

— Kto nie z nami, ten przeciwko nam!

Lecz nim dokończył tych wyrazów, słowa mu na ustach zamarły.

W głębi izdebki, z rozdzierającym krzykiem bóleści i przestachu, podniosła się z łoża postać blada, z podniesionymi rękami.

— Przekłęty! — zawołała i padła na pościel bez życia.

Hrabia Filip stał osłupiały; nie wierzył jeszcze oczom własnym. Rozepchnął stojących u łóżka, zbliżył się ku niemu, spojrzął i stanął znowu zdrętwiały, dzikim wzrokiem mierząc leżącą na łóżku kobietę, której twarz trupia okrywała bladość.

Staruszka przybiegła cucić omdlałą, ale napróżno; wrażenie to powtórne było tak silne, że życie odebrało. Aurelian machinalnie odciągnął Filipa od łoża, w chwili gdy hr. August i poeta wchodzili właśnie do lepianki.

Ten trup na łożu, trup w którym poznano artystkę, nagle osłupienie i jakby nieprzytomność Filipa, które się wiele domyślać kazały, rozproszyły wnet resztki wesołości po biesiadzie.

Krzątano się jeszcze około zmarłej, gdy przyjaciele hr. Filipa, widząc stan jego, chwycili go jak bezwładnego, wyciągnęli z izby, wsadzili dopowozu nieoprytomniałego jeszcze, i kazali jechać do miasta.

Aurelian sam pozostał.... Włosi biędni lamentowali, łamiąc ręce i wykrzykując.

Coraz pewniejszym było ze stygnącego ciała, że podróżna owa, którą przyjęli dla spoczynku, już nigdy do życia przywróconą być nie miała.

Staruszka, płacząc, z pomocą męża położyła ją na szczupłym łóżeczku. Aurelian stał, przejęty tą tragedią niespodziewaną. Dzień coraz jaśniejszy się robił.

Po długim oczekiwaniu wielkim pędem nadbiegł powozem Wiktor, wiozący z sobą doktora, niedobrze jeszcze ze snu rozbudzonego. Ten zaledwie wszedł i wziął za rękę ciała już zastygłe, ruszył ramionami i krótko a zimno rzekł:

— Umarła.

Wszystkie później próby i sprawdzania potwierdziły ten wyrok.

Aurelian opowiedział scenę, jakiej był świadkiem.

Nie pozostawało teraz nic więcej, nad przewiezienie ciała do Rzymu i starania o pogrzeb. Nie wiedział nikt nawet mieszkania hrabiny i nie umianoby sobie poradzić, chyba z pomocą policyi, gdyby w woreczku, który miała z sobą umarła, nie znalazł się bilet z jej adresem.

Włożono więc z pomocą gospodarzy ciało do powozu i orszak żałobny pociągnął z nim pieszo do miasta.

Gdy się to działo na gościńcu, hrabia Filipa, nie mogącego przemówić słowa i będącego w stanie budzącym obawy największe, hrabia August z troskliwością odwiózł do hotelu, gdzie się dał w łóżko położyć i jak dziecko rozporządzać sobą. Posłano po lekarza.

Ferdynand, który wszystkiego był niemym świadkiem, już dniem powrócił do domu i choć zmęczony, spać się nie mógł położyć. Niezbyt wrażliwy i dosyć chłodnego usposobienia, pierwszy raz w życiu doznawszy wzruszeń tak silnych, był niemi jak przybity. Strony tragicznej życia ludzkiego nie znał wcale. Słyszał o niej, nie zetknąwszy się z nią nigdy. Uczyniła na nim wrażenie tak silne, iż przyjść do siebie nie mógł. Usiadł na sofie i nierychło gorączkowym snem usnął. Pani Liza, która wstała też dosyć późno, nie kazała go budzić. Przesiedział tak do południa, a gdy oczy otworzył, to co widział zdawało mu się nocną zmorą.

Pod wrażeniem tém znalazła go wchodząca siostra, która się dowiedzieć chciała, czy nie jest chory.

Spojrząwszy na niego, na tę twarz zwykle wesołą i spokojną, na której nigdy się silniejsze nie odbiło uczucie, zrazu przelęknęła się, czy po jej odejździe nie zaszło coś osobiście dotyczącego brata.

— Co ci jest? — spytała niespokojna.

— Przyjść do siebie nie mogę — odparł Fernando — a nie wiem czy ci potrafię opowiedzieć, co się stało.

Liza przystąpiła cała drżąca; zaczynała się lękać o tego, którego imienia wymówić nie śmiała.

— Mów, na Boga! — zawołała — nie trzymaj mnie w tej niepewności! Cóż się stało?

— Wracaliśmy w bardzo, w zbyt nawet wesołych humorach z tej prawdziwie nieszczęśliwej wycieczki. Wiktor i Aurelian poszli przodem pieszo.

— Wiktor! — przerwała ręce łamiąc i zdradzając się mimowoli Liza. — Wiktor! Czy jego co spotkało?

Głos, jakim to powiedziała, bladość jęj, tak były dziwne dla Ferdynanda, iż na chwilę zamilknąć musiał, doznawszy przykrego uczucia.

— Wiktorowi nie stało się nic — dodał spokojnie. — Bez niego powracaliśmy, śpiwając i hałasując, gdy na pół drogi na gościńcu przed karczemką zobaczyliśmy siedzącego Aureliana. Chciano go zabrać gwałtem. Widząc nas, schronił się do izby. Hrabia Filip wpadł tam za nim. Jak się później okazało, kobieta która przypadkiem znalazła się w willi, artystka owa Polka... leżała w tej karczemce chora.

— Hrabina Filipowa! — przerwała mimowolnie Liza.

— A, więc to była hrabina? — zawołał Fernando — o tém nie wiedziałem... Teraz jest-to dla mnie zrozumiałem... Na widok wchodzącego Filipa, porwała się przestraszona, krzyknęła i padła trupem!

Liza oczy sobie zakryła.

Ferdynand padł na sofę i, podparty na rękę, zadumał się znowu...

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie wypadek ten uczynił na wszystkich, co byli świadkami jego, lub zasłyszeli o nim z opowiadania, które mu jeszcze jaskrawszą barwę nadało.

Przez kilka dni wszystkie stosunki zostały splątane, zachwiane. Posyłano się dowiadywać, niepokojono, dopytywano.

Hrabia Filip był niebezpiecznie chory; musieli więc inni zająć się pogrzebem nie-szczęśliwój; hr. August pilnowaniem chorego, Wiktor formalnościami związanymi z tą nagłą śmiercią i małym spadkiem po zmarłej, o której zgonie rodzinie dać było potrzeba do kraju.

W początkach słabość hr. Filipa zdawała się groźny przybić charakter; po kilku dniach jednak nadzwyczaj prędko poczył przychodzić do siebie i odzyskiwać dawną swą siłę, a z nią i charakter.

Gdy tylko uczuł się lepiej, oświadczył że musi wyjechać z Rzymu. Nikogo nie chciał wziąć z sobą; z wielką przytomnością umysłu poczynił przygotowania do podróży, a na-ostatek uprosił hr. Augusta, aby za niego towarzystwo pożegnał.

Po gwałtownym ciosie, któryby kogo innego na całe życie może zwichnął i zmienił, hrabia Filip również prędko się podźwignął, jak zrazu padł przybity. Z powracającym zdrowiem, wróciły wszystkie dawne cechy jego charakteru: ironia, szyderstwo, sceptycyzm, może nawet zaostrome, więcej niż przedtém rażące.

O tém co zaszło unikał wspomnienia.

Na samém wyjeździe, dziękując hr. Augustowi, gdy ten się go dopytywał, co z sobą czynić myśli i czy nie powróci do kraju, odezwał się żywo:

— Ale nie, chcę tylko odbyć podróż, któraby dla mnie stanowiła rodzaj kuracyi. Rozerwę się, zmęczone i sądzę że wkrótce będę miał przyjemność powrócić tu do państwa. Czy — dodał ze swym śmiechem szyderskim — uczyni wam to przyjemność, nie wiem — ale mnie wielką.

Hrabia August przyjął to oświadczenie bez odpowiedzi.

Pomiędzy odwiedzanymi chorego, których on przyjmował lub przepraszał, dwóch szczególniej widzieć sobie życzył przed wyjazdem, Wiktora i Ferdynanda. Pierwszego z nich przyjął z oznakami wielkiej czułości, na które ten bardzo chłodno odpowiedział.

— Kiedyś może — żegnając go — gdy się czuć będę lepiej do tego usposobionym, opowiem panu historiją moją i spodziewam się w oczach jego usprawiedliwić, jeżeli potrzebuję usprawiedliwienia. Bądźco bądź — wtrącił gorączkowo — potrzebuję tu wrócić i powrócić!... Tymczasem, nim panu wyjaśnię niektóre okoliczności, spodziewam się iż zechcesz wstrzymać się z sądem o wypadku, którego byłeś świadkiem...

Ferdynanda żegnał niezmiernie czule, starając się go ująć, a naostatku mu szepnął:

— Jadę, ale powrócę... no, i mam nadzieję, że przywiozę z sobą wiadomość jakąś o zagadkowym panu Wiktorze. Poczynilem o to starania.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Skarciłeś mnie już, kochany Ferdynandzie, za to żem śmiał się obawiać o anielską siostrę twoją. Pomimo to, ja ci jeszcze powtarzam: strzeżcie się awanturnika, bądź z nim ostrożny!

Ferdynand się rozśmiał.

— Ale bądź że hrabia o nas spokojny — rzekł z uśmiechem lekceważenia. — Siostra moja, w niedostatku wiadomości, instynkt ma tak cudowny, że się nigdy na ludziach nie myli. Nic nam, dzięki Bogu, nie grozi.

— Ja, gdy chodzę pociemku, zawsze wolę być jaknajogłodniejszym, aby nie wpaść w jaki dół lub błoto — zakończył hrabia.

Tak się rozstawszy ze wszystkimi, hrabia nagle Rzym opuścił, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie.

---

Upłynęło kilka miesięcy, minęła słotna zima rzymska, wiosna powoli oznajmywała się już fiołkami i pierwiosnkami, które w ulicach sprzedawano — wiosna to nie nasza, ale włoska, która niezupełnie uspioną naturę budzi z tej drzemki, co się tu zimą nazywa.

Wcale też inny charakter jej w tym błogosławionym kraju, dla którego śnieg jest zjawiskiem osobliwym, w którym połowa drzew i roślin całkiem nie traci zieleni i nie spoczywa.

Z tego pólśnu natura się tu budzi powolnie, opieszale, leniwie... przejście jest nieznaczne, stopniowane, tak iż się dojrzyć prawie nie daje, aż jednego poranku, po nocy chłodnej, słońce zjawia się ze skwarem już letnim i przenikającymi jak strzały Apollina promieniami; drzewa stoją w świeżych liściach, niebo się stroi w najjaskrawsze barwy i upały wracają palić tę ziemię, pod której nigdy nie ostygającą skorupą wrą strumienie lawy.

Zima zbiegła dla gronka naszych znajomych dosyć jednostajnie i spokojnie. Wyjazd hrabiego Filipa dał wszystkim odetchnąć swobodnie.

Zaraz po nim, nagle uczyniwszy sobie plan jakiś, uciekła księżna Ahaswera, prawie się nie pożegnawszy z poetą, który, jak się wyrażała otwarcie, nudzić ją zaczął.

— Może to być geniusz — mówiła księżnie Teresie — ale człowiek jest dziwnie męczący nieustannym swym natchnieniem. Poetą jest nawet, gdy mówi o swoim katarze.

Księżna zresztą obiecywała powrócić wkrótce. Po jej odjeździe dłuższy czas Emil Marya nie pokazywał się prawie; zdawało się iż nagle osierocenie obudziło w nim natchnienie nowe, a tak silne, iż z niego powstał poemat. Kazał się go domyślać.

Zmniejszone teraz kółko wiernych zbierało się na wieczory u pani Lizy. Składali je księżna Teresa, August i Wiktor, wreszcie niekiedy tylko zjawiający się posępny Emil Marya, patetyczniejszy niż był kiedykolwiek.

Początkowa dzikość pana Gorajskiego, pod wpływem zwyczajnym pięknej gospodyni, znikła zupełnie. Nie potrzeba już było zapraszać go za każdym razem, ciągnąc do towarzystwa, gonić i chwycić. Przychodził sam, posłuszny, towarzyszył pani Lizie po muzeach i galeriach prywatnych, willach, w których były do widzenia dzieła sztuki; odpowiadał na pytania i rozmowy o sztuce nie miały końca. Świadkiem ich bardzo często będący Ferdynand, radby się był także czegoś z nich nauczyć i nabrać smaku do sztuki; brakło mu jednak zupełnie zmysłu artystycznego i ile razy się z czém próbował odezwać, zawsze najstraszniejsze strzelał bąki, a siostra, śmiejąc się, ścisnęła go i litowała się nad biednym.

Chociaż pomiędzy nim a Wiktorem wielka była różnica wykształcenia, charakterów, temperamentów, godzili się jednak z sobą dobrze, bo Ferdynand, mimo płochości swój, był najlepszego serca człowiekiem. Liza zachęcała brata do ściślejszych z nim stosunków, dając mu do zrozumienia, iż wiele na nich zyskać może.

Powoli Ferdynand nawykł i przywiązał się do Wiktora. Byli z sobą na stopie poufałości zupełnej.

Lecz pomimo to dotąd ani Ferdynand, ani nikt nie otrzymał pozwolenia wejścia do pracowni dyletanta. Napiérającym się mówił, że w niej niema nic i wspomnienia nawet o niej nie dopuszczał.

Z panią Lizą ta dobra przyjaźń, jak ją nazywano, której charakter dla obcych wcale innym się być zdawał, doszedłszy do pewnego kresu, nie posuwała się dalej. Ferdynand, jak dawniej, tak i teraz nie mógł jej zrozumieć.

Pani Liza okazywała Wiktorowi nadzwyczajną uprzejmość, dochodzącą niemal do poufałości, przyjmowała go prawie codzien, chodziła z nim po muzeach, prowadziła rozmowy trwające godzinami, rozkazywała mu, posługiwała się nim, mówiła otwarcie że go

lubi bardzo... ale gdy brat czasem próbował ją nim prześladować, rumieniąc się, w żart to obracała.

Choroba, jeśli była, z zapalnej stała się chroniczną, zadawnioną, nieuleczalną i niechcąca się leczyć. Nigdy młodszą, świeższą, szczęśliwszą nie wydawała się pani Liza.

Tych gwałtownych symptomatów, które pospolitą miłość zdradzają: sporów, małych niesnasek i pojednań, namiętnych porywów, walki z sobą, zmian humoru, baczny ale ślepy brat wcale niemogąc się dopatrzeć, coraz się mocniej upewniał, iż stosunek ten najmniejszym nie grozi niebezpieczeństwem.

Był też teraz tak spokojnym, że gdy Wiktor przychodził i gdy nieskończone rozprawy o sztuce, o literaturze, o artystach naszych i obcych rozpoczynały się między nim a gospodynią, Ferdynand najczęściej odchodził do swego pokoju na cygaro, przekonawszy się, iż niczego się nie nauczy, a bardzo niemi wynudzi.

Księżna też polubiła również Wiktora, powiadając że jęj przypomina jęj męża w tak dziwny sposób, iż czasem zdumiewać się musiała temu jakby familijnemu podobieństwu, o którym jednak samemu Wiktorowi nigdy nie wspominała.

Hrabia August był w tém kółku gościem codziennym i również jak wszyscy przywiązał się do Wiktora.

Tak upływał im czas w niczém niezakłóconym spokoju i o wypadku hr. Filipa prawie już mówić przestano, gdy jednego wieczora, przybywszy do p. Lizy, August, dosyć poruszony, na wstępie zaraz oznajmił, że hr. Filip powrócił.

— Zupełnie takim, jakim był — dodał — katastrofy ani śladu. Człowiek-to zaprawdę dziwnęj siły woli, energii wielkie, której na nieszczęście użyć nie umie, jak należy.

— Ale być-że to może — zawołała księżna Teresa — aby ta śmierć żony, o którą go obwiniać niepodobna, ale zawsze jednak mimowoli przezniewnego spowodowana, nie zostawiła po sobie żadnego wrażenia?

— Byłem pół dnia z nim dzisiaj — odparł August — a nie dostrzegłem zmiany najmniejszej. Tak samo szyderski jest, sprzeka i sceptyk, a humor dziwnie zdaje się wesoły.

— Sam siebie oszukuje chyba i drugich chce oszukać — zamknęła księżna.

Pocichu zwierzyła się p. Liza przyjaciółce, że przyjazd ten dla nięj nie był wcale pożądanym i że wolałaby była, aby nie wracał.

— Człowiek ten — rzekła — ma osobliwy talent drażnienia mnie, nawet gdy nic nie mówi. Sama jego obecność już mnie niepokoi. Czuję w nim nieprzyjaciela.

Hrabia August, który dosłyszał ostatnich wyrazów, przerwał:

— Mylisz się pani, bo jest jęj najgorętszym adoratorem.

— To zupełnie na jedno wychodzi — zakończyła smutnie gospodyni.

Nazajutrz można się już było spodziéwać napewno zjawienia się Filipa. Hrabia August nie powtórzył tego, co od niego usłyszał przy powitaniu, że przybył dla p. Lizy i że miłość jego dla nięj tak jest gwałtowną, tak niepozbytą, iż postanowił do ostatniego kresu gonić za swoim ideałem i dla niego wszystko gotów poświęcić.

Nim wieczór nadszedł, Fernando spotkał się z Filipem przed fontanną Trevi. Powitanie zestrzony hrabiego było nadzwyczaj radosne i czułości pełne. Wiedząc że brat Lizy lubi dobre śniadania, chwycił go natychmiast i ugościł jaknajwytworniejzemi przysmakami. Śniadanie jednak było tylko pozorem do dowiedzenia się czegoś od naiwnego i łatwo wygadującego się przy kieliszku młodzieńca. Po kilkakroć go zagadnął o Wiktora.

— Cóż nasz zagadkowy człek, ów pół-artysta, pan Wiktor? — pytał. — Czy jeszcze jesteście pod jego urokiem i nie rozczarowaliście się dotąd?

— Dotąd nie — rzekł Ferdynand. — Ja z nim jestem bardzo dobrze i kochamy się mocno; siostra także go lubi. Bywa u nas prawie codziennie.

— Na to trzeba mieć szczęście... nie powiem czyje — z ironicznym uśmiechem odparł hrabia. — Ha! sprawdzić się może na nim przysłowie...

Ferdynand aluzji tęj nie zrozumiał, czy zrozumieć nie chciał, i zamilkł.

Ze śniadania wyszedłszy razem i unikając słońca już dopiekającego, puścili się uliczką, przy której była faktorya Pepity, i tam siedzącego przy śniadaniu znaleźli Wiktora. Na widok jego Filip pobladł, lecz pomimo to przyszedł się przywitać bardzo grzecznie. Wiktor przyjął go zimno.

Miał teraz sobie tylko wiadome powody, dla których wstręt powziął do tego człowieka. Po śmierci nieszczęśliwej hrabiny dostało mu się sporządzenie spisu jej pozostałości. Pomiędzy niemi był rodzaj pamiętniczka, a raczej spowiedzi, przeznaczony dla wytłumaczenia przed ludźmi zerwania z mężem i rozwodu. Z niej dowiedział się Wiktor faktów, które na charakter hrabiego rzucały cień smutny. W duszy musiał nim pogardzać. Być może iż hr. Filip domyślał się tego i, obawiając się Wiktora, jeszcze go mocniej znienawidził.

Z taktyką jednak człowieka wielkiego świata, hrabia chciał pozostać w dobrych stosunkach z nieprzyjacielem, aby mu tém łatwiej mógł szkodzić i mieszać szyki. Na zapytanie, dokąd jeździł, gdzie był przez ten czas, hrabia odparł ogólnikiem.

— Trochę po Włoszech jeździłem i... trochę dalej.

Zagadał zaraz o czém inném...

Po chwilce, zostawiając Ferdynanda, który teraz był w lepszych stosunkach z piękną Pepitą, ale bez nadziei, aby one doprowadziły go do serdeczniejszego związku, hrabia Filip się wymknął.

Wieczór z kolei dnia tego przypadał u księżny Teresy, gdyż naprzemiany obie przyjaciółki przyjmowały znowu wieczorami. Ponieważ obie lubiły sztukę, ponieważ hrabia August nią się zajmował, a dla Wiktora stanowiła główny cel życia, zaprowadzono zwyczaj przepatrywania zbiorów sztychów, fotografii, rysunków, których obie panie uzbierały niemało. Sprowadzano je z kraju, wypisywano z Francji. Przy przeglądaniu tych dzieł wszczynano się zwykle zajmujące rozprawy; każdy myśl jakąś rzucał i godziny spływały tak szybko a mile, iż wieczory zdawały się zawsze zakrótkie.

Księżna właśnie rozłożyła była Album Matejki i chciała się pochwalić zebranymi rysunkami polskich artystów. Leżeli obok siebie na stole: Grottger, Matejko, Siemiradzki, Brandt, szkice Kossaka, Andriollego i wiele innych. Już od dni kilku zajmowano się tym fenomenem rozkwitu sztuki u nas, który pogrobowym nazwałby można, gdyby tak potężnego życia nie dowodził. Hrabia August znajdował go wytłumaczonym i naturalnym. Poczucie piękna istniało w narodzie oddawna, nie mogąc się objawić, bo wszystkie siły żywotne gdzieindziej były skierowane; w chwili więc, gdy na innych polach czynność ustała, tu wszystka moc wylać się musiała. Przeszłość miała czém natchnienie karmić; naostatek bólów tyle było bodźcem do tworzenia.

Księżna, która żywo była zajęta sztuką polską, zebrała na ten dzień wszystko co mogła, aby wykazać charakter jego odrębny i pokrewieństwo z sobą tych nawet twórców, którzy najmniej go napozór mieli.

Hrabia August szedł dalej, dowodząc, że pierwsza otworzyła wrota do nowego świata poezya nasza i że pomiędzy poetami a artystami wszelkiego rodzaju była też sama jedność charakteru, jak pomiędzy kunsztmistrzami.

Grottger i Szopen wydawali mu się jakby braćmi rodzonymi; Moniuszko byłby mógł pójść w parze z Matejką, gdyby mu szczęśliwsze sprzyjały losy... Nastęrczały się i inne porównania i zbliżenia, o które się spierano.

Wiktor znajdował analogie, nie przyznawał jednak tego podobieństwa bliźnięcego, jakie inni upatrywali. Dowodził że każdy z tych natchnionych miał własną fizyognomię i rysy tylko pewne czyniły ich pokrewnymi z sobą.

Przybył do księżny dnia tego i Emil Marya, który oprócz niezaprzeconych gwiazd pierwszej wielkości, resztę artystów pióra, penzla i dłuta potrosze próbował kęsać.

Przebijała się w tém pewnie boleść człowieka, czującego się daleko godniejszym sławy, niż ci, którym się dostała w udziale. Przedmiot poruszony dostarczał tak obfitego materiału do rozpraw, iż mogły przeciągać się długo. Albumy leżały porozrzucone na stołach i wszyscy niemi byli zajęci. Wiktor mówił o Grottgerze właśnie, gdy w salonie ukazał się hr. Filip. Jedyłą zmianą, jaka w nim na pierwszy rzut oka uderzała, było że nadzwyczaj starannie ubrany, z pretensją jakąś niebywałą do elegancji, niby odmłodzony, nabrał też manier zbyt młodzieńczych. Na włosach nawet znać było dłoń kunsztmistrza, który je świeżo starał się uporządkować. Ta pamięć o sobie, choć nie przechodziła pewnych granic, czyniła go niemal śmieszny.

Księżna Teresa, która miała dla każdego zawsze miłe słowo, zmusiła się do prawie czulego powitania gościa.



On sam zbliżył się potem do p. Lizy, która przyjęła go grzecznie, ale z odcieniem chłodu większego niż dawniej. Nie zważając na to, hrabia Filip pozostał przy niej jak przykutym, dłużej daleko niżby ona sobie życzyła i nie dając się niczém oderwać.

Korzystając z tego, że inni goście zajęci byli albumami, wróciwszy do nich, hrabia Filip nie wahał się wyznać p. Lizie, że dla niej tylko powrócił do Rzymu. Nie otrzymawszy ani odpowiedzi, ani podziękowania, nie zaprzestał jednak nudzić jęj komplementami, które rumieniec zniecierpliwienia na twarz jęj wywołały. Księżna, postrzegłszy to obłęzenie i domyślając się jak musiało być przykrém dla Lizy, odwołała ją ku sobie. Hrabia Filip, nie mając do kogo, zwrócił się do Emila Maryi.

— Przywożę panu miłą nowinę — rzekł, jak zwykle szydersko.

— Mnie? a toby było coś nadzwyczajnego! — rozśmiał się poeta.

— Spodziewam się iż to go uraduje, gdy oznajmię blizki powrót księżny Ahaswery — dodał hrabia.

Poeta zakąsił usta.

— Wysoko cenię księżnę — odparł kwaśno — lecz zdaje mi się że ta nowina w szczególności dla mnie nie mogła być przeznaczoną. Wszystkim tu ona równie będzie miłą.

— Księżna byłaby już w Rzymie — dodał hrabia — wstrzymała ją tylko słabość męża, który jak się okazuje, ma suchoty. Prawdopodobnie więc owdowieje wkrótce, a niema wątpliwości, iż wyjdzie za mąż. Pytanie tylko zachodzi, na jaką teraz narodowość kolęj przyjdzie.

Księżna Teresa przerwała:

— A! nie bądź-że tak złośliwym! Nie masz litości nawet nad przyjaciółmi.

— Niestety, mościa księżno — zawołał Filip — nademną téż ludzie litości nie mają.

— Cóż ci winna Ahaswera? — spytała gospodyni.

— Ależ ja ją uwielbiam! — zawołał Filip.

Nie dano mu mówić dłużej. Pani Liza miała w ręku jedną z ostatnich prac Grottgera, fotografią jego kartonu, który się zwał Romanzą Beethovena i któremu za podpis służył jęj temat. Z tego powodu księżna przytoczyła, iż Grottger muzyką, której dom jego matki był pełen, rozkołysany został do tworzenia tych obrazów, w których tak cudna panuje harmonia. Śpiew matki i siostry, obu muzykalnych i rozmiłowanych w pieśni, dźwięczał mu w uszach, gdy w Paryżu i w ostatniej swęj podróży kręślił ręką osłabłą poetyczne postacie, którym taki wdzięk smutny nadawać umiał.

Jak Szopen, przeznaczonym był, aby w kwiecie wieku, w pełni sił, wśród marzeń i tęsknoty do życia, śmierć go porwała.

— Nic smutniejszego nad to dla nas — odezwał się Wiktor — lecz nic dla artysty szczęśliwszego być nie mogło. Umiierać zużyty, wyczerpanym, rozczarowanym i dopięć kielich do dna, do mętów, szczęściem się nie może nazywać. Mnóstwo artystów, których początki były najświetniejsze, skończyło, przeżywszy siebie.

— Całe to życie Grottgera, które się w jego dzienniczku odbija — dodała księżna — obudza dłań współczucie i prawie lży wyciska. Łamał się ciągle z pierwszemi potrzebami życia, wybijać się musiał walką ciężką z tłumem, gdy obok niego mniej obdarzeni, nieznani...

— Był to prawie i los Moniuszki — rzekł hr. August. — On także aż do ostatniej chwili nie mógł się dorobić dla rodziny i dla siebie téj drogięj niezależności, która człowieka wyzwala dopięro.

— Niedawności panowie utrzymywali, jeżeli mnie pamięć nie myli — odezwał się hr. Filip — iż boleść jest dobrą dla geniuszu piastunką.

— Tak, perły się rodzą w muszlach zranionych — rzekł Wiktor.

— Zatem los wiedział, dlaczego ich brał na tortury — odparł Filip.

— Ale niemniej nad ich grobami można się choć uzalić — dokończyła księżna.

Na krótką chwilę rozmowa ustała. Każdy z gości miał przed sobą jakąś kartę; szeptańczicha, pokazując je sobie. Hrabia Filip zbliżył się także do stolika.

— Jest to dla nas bardzo złym znakiem — rzekł — żeśmy się tak w sztuce pokochali. Miłość dla niej prowadzi zawsze prawie do upadku i jest jego zwiastunem. Przypomnijcie sobie państwo rozprawę Klaczki. Ja trzymam z nim.

— Ja zaś wolę już wpadek z aureolą u skroni, niż życie po amerykańsku — rzekł hr. August. — Życie to, jak w Stanach Zjednoczonych, całe na dolarze oparte, jest dopiero podściołem, na którym kiedyś się może prawdziwy żywot wyrobić zdoła. Dziś to tylko gruba robota mularzy, na której fundamentach stanie przyszłość rzeźbiona. Jesteśmy jeszcze w epoce niezupełnie wolnej od przesądów, wyniesionych z innych czasów; zakładamy potęgę narodów na ich materyalnej sile, po której zostanie rdza tylko, gdy istotną wielkością kraju każdego jest wyrobienie się w nim potężnego ducha, którego dzieła pozostaną jako szczybel w dziejach, służąc do dalszego pochodu ku górze.

— Ależ ten wasz duch — rozśmiał się hrabia Filip — bez warunków materyalnych i bez potęgi opiekuńczej pięści rozwinąć się nie może.

— Panowie, wróćmy do sztuki — przerwała księżna — i nie sprzecajmy się. Hrabia Filip, po długiej niebytności, spodziewam się że nam wrócił mniej wojowniczo usposobionym.

— Ja? — spytał Filip. — Ależ ja jestem jak baranek łagodny i gotów dla miłości księżny zgodzić się na wszystko.

— Zgódź się więc na to, abyśmy powrócili do sztuki — rzekła księżna Teresa.

— Z największą przyjemnością: do sztuki, do sztukowania, do sztuki mięsa, do czego tylko księżna rozkaże — z udaną wesołością rzekł hrabia Filip. — Tylko czy też istotnie my mamy własną sztukę? hm?

— Jesteś ateuszem we wszystkim! — zawołała księżna.

— A może myopem, może nie dowidzę; ale temu nie winienem — odparł Filip. — Cudzym zaś oczom nie wierzę.

— Na to jedna tylko jest odpowiedź — rzekł, śmiejąc się, hr. August — ta, którą dała rzeczpospolita francuzka, kiedy szło o urzędowe uznanie jej bytu: ślepy, kto nie widzi! Lecz wróćmy istotnie do tego, o czémśmy wprzód mówili, do związku z sobą braterskiego wszystkich dzieł sztuki, nie wyjmując i muzyki. Malarstwo u nas odbiło, gdy tylko do życia się poruszyło, wszystkie poezyi natchnienia. Widzimy w niem Maryą Malczewskiego, Wallenroda, Dziady, Farysa. Najmniej się w niem odzwierciadlają Słowacki i trudny do wcielenia plastycznego Krasiński. Szlacheckie gawędy Pola rodzą malarstwo kontuszowe i rodzajowe, które już wykluwało się z pamiętników Soplidy. W tej chwili na materyałach Szajnochy, Szujskiego i tylu innych dziejopisarzy powstaje Matejko. Jednocześnie te same aspiracje, te same pragnienia i pociągi mają wszystkie sztuki; ale poeci i pisarze przodem idą, torując drogi, za nimi malarze, którzy ich dopełniają, a może na końcu idzie obojgiem rozmarzona muzyka, która jest aureolą kreacyi wieku.

— No, a rzeźba? — zapytał hr. Filip. — zapominasz o niej?

— Bynajmniej, byłoby to grzechem, bo mamy bardzo znakomitych rzeźbiarzy — odparł August. — Ale nie ujmując bynajmniej rzeźbie, w myśli ją łączę z malarstwem. Wielkie są różnice zadań i środków, jakimi rozporządzają malarstwo i rzeźba, a mimo to oboje są jednem prawie, z tą różnicą, że rzeźba w prostszy i mocniej skupiony sposób musi powiedzieć to, co malarz łatwiej i większą liczbą środków rozporządzając wyraża.

— Rzeźba społeczna — dodał Wiktor — w epoce, która nie znosi symbolów i alegoryj, ma zadanie niesłychanie trudne. Musi zstąpić na ziemię, musi do pewnego stopnia stać się realistyczną, a nie trywialną, jednak taki Apollo belwederski, ubóstwienie młodzieńczej siły i piękności, poczucia w sobie nieśmiertelności i bóstwa, nie mógłby się już dziś zrodzić. Wenus, uosabiająca siłę żywotną i miłosną natury, nie starczy nam... Poszliśmy dalej myślami i ideę jedną rozłamaliśmy na wiele różnobarwnych promieni.

— Pomimo to — odezwał się długo milczący poeta — i my mamy dla rzeźby nowęj wdzięczne i wielkie zadania. Możeż być co trudniejszego a piękniejszego zarazem, nad postać Chrystusa, wcielonego Boga, wszechmogącego a cierpiącego dobrowolnie, z wyrazem bólu razem i potęgi? Niedościgniony to ideał, który zarazem musi być najwyższą pięknnością, największą mocą i najcudniejszą pokorą.

Hrabia Filip, wierny swęj roli, syknął.

— Za pozwoleniem — rzekł — zastrzegam się, że bezbożnikiem nie jestem, ale zaprotestować muszę przeciwko piękności Chrystusa, na mocy najdawniejszych dokumentów. Niema wątpliwości, że w piérwszych wiekach tradycya, która się w Celsyuszu odbiła, przedstawia go nam jako wątlego i wcale nieuderzającej niczém postaci. Piérwsi chrześcianie znajdowali, iż to właśnie było opatrnościowém, umyślném, że Bóg nie

chciał przywdziać ciała i powierzchowności ujmującej. Stał się umyślnie biędnym, niepozornym.

— Więmy o tém, iż czas niejaki takie było mniemanie — odparł Wiktor — a jednak wizerunki najstarsze, niewątpliwie z III-go lub IV-go wieku pochodzące, przedstawiają go nam już idealnym, jakim pozostał do dziś dnia. Któż nie zna tego cudnego profilu, dobytego z katakumb?

— Jeżeli to nie apokryf — szepnął hr. Filip.

— Że też hrabia niczemu wierzyć nie chcesz — wtręciła gospodyni.

Filip zamilkł pokornie.

— Szkoła byzantyjska wczęści może przez niezgrabstwo swoje, wczęści z systemu i z umysłu — mówił Wiktor — przejęła tradycje najpięrszych wieków i na starych ję mozajkach i obrazach Chrystus bywa straszny i groźny; nie w myśl jednak pokory pięrwotnej, ale jako sędzia najwyższy i mściciel.

— Dajmy pokój temu drażliwemu przedmiotowi — szepnęła księżna.

W tęg chwili Emil Marya stanął nad szkicem Grottgera i począł objaśniać go gospodyni poetycznym komentarzem. Mówił tak cicho, pochylony, iż reszta towarzystwa nie mogła się nawet kusić o podsłuchanie uwag jęgo. Z tęg chwili skorzystała zdaje się umyślnie Liza, chcąc trochę brawować Filipa, i podeszła sama ku Wiktorowi, a po chwilowęg z nim cichęj rozmowie, wyciągnęła go z sobą na przechadzkę po salonie.

Było w tęg coś tak śmiałego i tak wyraźnie mówiącego, iż żadnęj nie czyni tajemnicy ze stosunków z nim poufałych, że hr. Filip na chwilę osłupiał. Z ruchu tych dwóch przesuujących się przed nim postaci, z wyrazu twarzy Lizy, ze swobody, z jaką Wiktor okazywał, z tych szęptów, co się nie obawiały oczów i świadców, przybyły gość mógł i miał prawo domyślać się wiele.

On, od lat tyłu starający się o względy pięknęj wdowy, zbliżony do nięj i położeniem towarzyskięm i dawną zażyłością — on, jawny jęj wielbiciel, nie mógł przy największych staraniach uzyskać tęg łaski, jaką po kilku miesiącach znajomości zdobyć potrafił człowiek bez nazwiska, istota zagadkowa!

Czuł że ta rozmowa cicha we dwoje była przeznaczoną dla nięgo. Poblądł z gniewu. Zakipiąło w nim złością i zazdrością niepoczciwą; potęm półuśmięch szyderski prześlizgnął się po jęgo ustach. Ktoby się był wpatrzył w nięgo, wyczytałby prawie w jęgo twarzy i groźbę i pewnośc tryumfu.

Księżna, która spostrzegła ten wyraz na twarzy Filipa, przemówiła do nięgo, aby go od widoku drażniącego oderwać. Tymczasem przechadzka po salonie się przeciągała.

Niekiedy urywek z rozmowy, kilka słów jakichś oderwanych dobiegały do uszów słuchaczy... Mówiono zawsze niby o sztuce, ale ze sztuką tyle uczuć i myśli różnych jest w związku i, mówiąc o nięj, tak wiele powiedzieć można...

Gdy dosyć późno potęm hr. August wyszedł razem z Filipem, który znowu się w tym samym hotelu umieścił, pięrszým słowem, gdy się znaleźli za bramą, był wykrzyknik hrabięgo:

— Widzę że czasu męj niebytności nie stracono!

— Jaktó? — spytał August.

— Pani Liza zdobyła sobie awanturnika i zawróciła mu głowę — rzekł Filip. — Wcale się z tęg nie kryje.

— Jest panią swęj woli i nie widzę powodu, dla któregoby się z tęg taić miała — odparł August — chociaż przypuszczenie twoje sięga zadaleko...

— Jesteś chyba ślepy! — przerwał namiętnie Filip.

— Lecz gdyby nawet istotnie przypuszczenie twoje sprawiedliwým być miało — odezwał się hr. August — dlaczęgóż ta kobięta nie ma oddać serca i ręki, komu zęchce? Jeźeli się jęj podobał, no, to wyjdzie za nięgo!

Filip się rozśmiał złościwie.

— Nie wyjdzie! — zakrzyknął z ruchem rąk wojowniczym — nie wyjdzie! Nie może wyjść za nięgo!

— Nie pojmuję dlaczęgo — wtręcił zimno August.

— W tęg chwili nie odpowiem na pytanie — odezwał się Filip — lecz dodaję tylko, że małżęństwo to jest niemożliwým. Znajdzie się któś, co tęg jegomości zdemaskuje.

— Jaktó zdemaskuje? — spytał August.

— Bo jestem pewny że kłamie, że się podaje za kogo innego, niż jest. Ale *bastanza*... dosyć; nie mówmy o tém.

Na milczenie zgodził się najchętniej towarzysz i tak doszli, nie poruszając już żadnego drażliwszego przedmiotu, aż do hotelu.

Filip pożegnał się i zawrócił do swojego mieszkania.

Nazajutrz widzieć się nie dał i wieczorem u p. Lizy się nie stawił. Było to trochę dziwném.

Zdawał się unikać towarzystwa, a pomimo to na przechadzkach i wycieczkach spozostregano go ciągle krążącego zdala, zdającego się szpiegować każdy krok Lizy i Wiktora.

W kilka dni znowu, jak gdyby zmienił zamiar, ukazał się na wieczorze u księżny, milczący, zły, lecz zamknięty w sobie. Jeśli był zmuszony się odezwać, żółł mu z ust wypryskiwała. Z Wiktorem przywitał się zdala i zimno.

Przyrzeczenie, dane dawniej Lizie, oprowadzania jój po muzeach i objaśniania dzieł sztuki, spełniał Wiktor ciągle prawie, znajdując w tém największą rozkosz. Nie wahamy się użyć tego wyrazu; cudowne bowiem, jakby uśpione poczucie dzieł sztuki, smak wrodzony do tego co było prawdziwie piękném, rozwijały się w coraz większym blasku w Lizie, a Wiktor był tém zachwycony. Często ten mniemany nauczyciel zdumiony milczał, gdy ona w uniesieniu wskazywała mu nowe strony w tych dziełach, które on znał dawno, a nie widział ich nigdy. Nawzajem Liza postrzegła otwierające się przed sobą światy nowe, które on magiczném słowem przed nią odsłaniał. Godzili się prawie zawsze i dopełniali wzajemnie.

Często nad jednym posągim, u jednego obrazu trawili godziny, przechodząc z niego na coraz nowe przedmioty. Z tych wycieczek Liza wracała rozmarzona, więcej spragniona niż nasycona, z rozburzonymi myślami, które czekały tylko na nowe spotkanie, aby się ulubionemu mentorowi wyjawić.

Wiktor też przychodził do domu najczęściej więcej złamany i rozgorączkowany, niż szczęśliwy. Brakło mu potem tego bratniego dźwięku głosu i myśli; czuł się u siebie, jak na pustyni.

Byłaż to miłość? spytacie. Nic nie może się słuszniej tém imieniem nazywać, nad to uczucie jakie ich łączyło; ale była to miłość — nazwijmy ją pospolitych ludzi językiem — dziwaczna. W pierwszych jój chwilach poruszyły się razem i zmysły i dusze; potem zwolna, jak morze rozkolysane, które się uklada do spokoju, uczucie pierwotne wypogodziło się, otrząsło z ziemskich instynktów, oczyściło, podniosło i paliło się jasnym płomieniem, którego nic pokonać nie mogło.

Niekiedy wracały wstrząśnienia, objawiały się niepokój i trwoga; lecz wprędce następowało ukojenie, jak gdyby miłość ta była skrzydlatą istotą, kołującą w niebiosach, a nakrótka tylko przypadającą ku ziemi.

Liza, po pierwszych chwilach walki z sobą, po obawach, aby okazane mimo jój woli uczucie nie uczyniło Wiktora zbyt śmiałym, napastliwym, przekonawszy się że będzie jój posłusznym i że nie ma się czego obawiać, z ufnością nieograniczoną z nim się obchodziła.

Nie mówili nigdy o téj miłości, bo zanadto dobrze wiedzieli, że jest wzajemną i wielką; leczobejście się ich z sobą znamionowało stosunek najściślejszy, na wierze nieograniczonej oparty. Liza nie śmiała patrzeć w przyszłość; Wiktor nie mówił o niéj nigdy; zdawali się oboje unikać wypowiedzenia ostatniego słowa, aby ono pokoju w jakim żyli nie zamąciło.

Przypatrywała się temu zdala księżna Teresa z niepokojem wielkim, a czasem zagadywała przyjaciółkę:

— Moja droga, lecz jakżeż to się skończy?

— Ależ to nie powinno nigdy się skończyć — odpowiadała Liza pół-wesoło, pół-smutnie. — Nie trzeba sobie zatruwać teraźniejszości troskami o przyszłość.

— Jednakże — wtrącała księżna — niepodobna aby tak zostało. Cóż on ci mówi?

— On? nie mówi nic nad to, co ja pozwałam, a ja nie dopuszczam, aby słowem zamącił szczęście nasze.

— Ty to nazywasz szczęściem? — spytała księżna.

— O, najwyższém! — odparła Liza — dlatego z zaczarowanego koła marzeń wychodzić nie chcę.

— Och dziecko moje!

— Tak, jestem dziecinna, a on posłuszny i na tymczasem jesteśmy szczęśliwi. — To mówiąc, lzy miała w oczach. — Kto jak ja — dodała cicho — doznał w małżeństwie strasznych męczarni, ten do niego nie śpieszy... Przejmuje mnie trwogą przestąpienie tego progu, poza którym lękam się znaleźć innego człowieka. Któż wie, coby z niego i ze mnie gwałtowniejsza zrobiła namiętność?

— Moja duszo, ale świat, ale ludzie — zarzucała księżna.

— Daję mu prawo sądenia o nas, jak zechce — kończyła Liza. — Moje szczęście zapłaci mi za ich obelgi, a szczęście zawsze czémś trzeba opłacić.

I uściskiem zamykała usta księżnie, która, choć zmuszona do milczenia, nie była spokojną. Obawiała się jakiegoś niedobrego zakończenia.

Ferdynand nie śmiał czynić siostrze pytań, lecz coraz ją mniej rozumiał. Szczęściem był do niej przywiązany, miał dla niej niczém niedający się zachwiać szacunek. Gdy czasem ważył się wyrazić wątpliwość, czy krok, jaki zamierzała uczynić siostra, był właściwym, zbywała go uśmiechem i spojrzeniem.

— Ależ, kochany Fernando mój, cóż w tém złego? Niepodobna przecie wszystkiego dla jakichś przyzwitości poświęcać? Widzisz jak ten poczciwy p. Wiktor jest posłusznym i łagodnym; daleko więcej pozwolić mu można niż innym.

Fernando sam się też przywiązał do niego; milczał więc, nosił od siostry kartki, zapraszał go przyprowadzał, towarzyszył gdy było potrzeba, i wkońcu utwierdził się w przekonaniu, iż Liza kocha sztukę tylko, a w Wiktorze doskonałego nauczyciela.

— Niech się sobie zabawi, a gdyby nawet ludzie mówili, no, to pogadają i przestaną, gdy się przekonają iż mówić o czém nie było.

---

Hr. Filip bawił już w Rzymie od kilku tygodni i stawał się z dniem każdym niezrozumiałym p. Lizie, nie dając się niczém zrazić i odpędzić. W początkach przez czas jakiś zaniedbał salon jęj i gonił tylko za nią po ulicach, śledząc jęj kroki. Miał szczególną przyjemność, ilekroć szła razem z Wiktorem, sama lub z bratem, zbliżać się i obarczać ją swém towarzystwem, pomimo chłodu, jaki mu okazywała. Potém codziennie znowu zaczął bywać u nięj i u księżny, dosiadując jak mógł najdłużęj i starając się mieszać do rozmów, a zatruwać je żartami i ironią swoją.

Naprzekór wyraźnie mu okazywanemu wstrętoowi, ile razy mógł, oświadczał się z niewygaslém swém uwielbieniem dla wdowy. Naówczas ona albo go niby nie słyszała, lub nie rozumiała, a nie odpowiadała nigdy. Nie zrażało go to jednak. Z Wiktorem byli niby grzecznie, ale jawnie sobie okazując wstręt wzajemny. Hrabia August, gdy byli sami, strofował go i starał się odwieść od tego postępowania, które tylko coraz większą niechęć obudzić mogło.

— Jestem uparty i zły — odpowiedział hr. Filip — takim już umrę.

Im bardziej czuł się dokuczliwym, tém zajadlęj trwał w swoich natrętnych zabiegach około pani Lizy.

Nie skarżąc się, nie mówiąc nic nikomu, biędna kobięta czasem po kątach płakała. Czuć było w całém tém postępowaniu więcjęj pragnienia zemsty i nienawiści, niż miłości.

Z Wiktorem nie mówili o nim nigdy, ale rozumieli się dobrze, iż jedno mieli uczucie dla tego człowieka. Liza obawiała się okazywać je, ażeby do jakiego kroku gwałtownego nie popchnąć Gorajskiego, który na jedno jęj skinienie byłby gotów natręta odegnąć.

Położenie stawało się coraz nieznośniejszém, gdy jednego wieczora, podczas niebytności hr. Filipa, wszczęła się między Lizą a Wiktorem rozmowa o tém, co już często się powtarzało. Ona utrzymywała, iż niepodobieństwem jest, aby człowiek tak pojmujący sztukę, tak miłujący ją, jak on, nie tworzył sam i nie pracował. Cóż znaczyło to dla całego świata zamknięte atelier, w którym spędzał długie godziny?

Wiktor się tłumaczył, iż należy do tych nieszczęśliwych, co więcjęj czują niż wyrazić umieją; że próbował i rzucił się na zadań wiele, ale nigdy nie stworzył nic, coby mu nawet znośném się zdało, coby mógł poddać sądowi ludzi.

— Tak, ale sądowi dobrych przyjaciół? — zapytała Liza.

— A! to straszniejszem jest jeszcze — odparł Wiktor. — Można być obojętnym na sąd ogółu, ale rozczarować tych, których się kocha, pokazać im całą swą nicość, upaść w ich oczach, byłoby straszliwie upokarzającém, mogłoby doprowadzić do rozpacz.

— A jednak — nalegała Liza — nikt sędzią własnego dzieła być nie może. Artysta noszący w duszy długo ten obraz, który miał stworzyć, nigdy go nie odnajdzie całym na płótnie. Najlepsza część jego uronić się musi w tém ucieleśnieniu. Dlatego twórca nie będzie nigdy rad z tego, co tworzy. Jeden Bóg mógł, świat stworzywszy, dziełu swemu się uśmiechnąć. Dla oczu obcych to, co nie starczyło artyście, może być jeszcze arcydziełem.

— Nie — odpowiedział Wiktor stanowczo. — Gdy geniusz stworzy arcydzieło istotne, zakocha się w niem, jak Pygmalion.

Na tém przerwano. W kilka dni potem na stole leżał przez Doré'go ilustrowany Dante. Chwalono i krytykowano. Wiktor znajdował, że ani dla Biblii, ani dla Dantego Doré nie był stworzonym.

— Wielki czarownik, gdy ilustruje Gil Blasa lub Don Kiszota — rzekł naostatku — gdy przedstawia sceny z życia Londynu lub Paryża, gdy objaśnia bajki Perraulta lub La Fontaine'a, Doré nie ma dosyć powagi, ani dosyć uczucia, by porwać się mu godziło na poetę takiego jak Dante, na taką księgę jak Biblia. Żaden z ilustratorów Dantego nie pojął wieszca — mówił dalej. — Weźmy na przykład to, co dla mnie najdostępniejsze, sam krajobraz dantejski. Doré go nie pojmuje, nie przywiązuje wagi do niego. Zaraz na pierwszej karcie stać powinien ten las czarny, ciemny, grozę obudzający, o którym mówi poeta. Co za zadanie dla malarza, las olbrzymi, wiekowy, wpeł-zeschły, z drzewy dziwnie porozdziieranemi piorunem, z głębią czarną i tajemniczą. Na ciemném, szafirowém niebie włoskiem, puszcza tajemnicza, dzika, na której widok serce truchleje, w której głęb oko sięgnąć się lęka. Na pierwszym planie wpeł-uschle, mchami okryte pnie, pokruszone głązy, które przyniosły i rzuciły potoki, dalej starce pokrzywione, z konary obnażonemi; dalej jeszcze ledwie widne kolumny drzew i nieprzeniknione mroki... Na przedzie mała postać obłąkanego poety, który z trwogą wstępuje w ten świat dziwów i grozy... Co za obraz! Ale spójrz-że pani na ilustracyą Doré'go, taką mdlą, konwencyonalną, tak nic niemówiącą. Jest to coś tylko nakształt lasu, a przecie las w téj pieśni gra najważniejszą rolę. Na chwilę w nim tonie poeta.

— Pan ten obraz malowałeś? — zawołała, patrząc mu w oczy, Liza.

— Ja?... a cóżby to było za zuchwalstwo! — odparł Wiktor, i natychmiast, starając się uwagę odwrócić od opisanego lasu, rzucił się na drugikrajobraz grodu Dite, w dusznej atmosferze podziemia wiecznie płonącego.

Nie udało mu się jednak Lizy przekonać, iż nigdy owego lasu dantejskiego nie malował. Powtarzała z uporem dziecka, z jasnowidzeniem kobiety kochającej:

— Pan ten obraz malowałeś, ja to czuję! Nie potrafiłbyś go opisać tak żywo, gdybyś nad nim długo nie myślał, gdybyś go nie starał się odtworzyć. A! to być musi piękne! Jak jabyśmy widzieć to chciała!

Napróżno Wiktor począł czém inném odwracać uwagę jęj od tego nieszczęsnego lasu; wracała do niego ciągle uparcie. Nazajutrz mowa o nim była znowu. Wiktor już nie odpowiadał. Liza wznowiła pokilkakroć rozmowę o nim, a choć zapięrał się Wiktor, zdawała się opanowaną niepohamowaném pragnieniem widzenia tego obrazu, który, jak on upewniał, nie istniał wcale.

Jednego ranka Wiktor siedział w pracowni swojej. Odziedziczona po Niemcu izba ta wielka, oświecona zgóry od północy, do której, oprócz Anunziaty i malarza, nikt nigdy dopuszczonym nie był, nie miała tego pozoru malowniczego, jaki jęj czasem artyści nadawać lubią. Nie było tu ani gobelinów, ani zbroi, ani draperyj, ani starego ciekawego sprzętu, ani niczego, coby oko bawiło. Pejzażysta z powołania, Wiktor miał w nięj tylko swe studia, kartony i rozpoczęte lub pokończone obrazy, których nie pokazywał nikomu.

Ściany całe zajmowały ogromne, na papierze węglem rysowane pomysły najrozmaitsze, w których studia z natury starał się zużytkować. Wistocie były to krajobrazy włoskie i dantejskie. Mniejsze olejne i ołówkowe szkice wisały poprzybijane niedbale tu i owdzie. W pośrodku na wielkiej sztaludze stał wistocie ów las dantejskiego piekła, na płótnie równie wyglądający ponuro, strasznie, smutno, jak w poemacie.

Musiało to być dzieło najulubieńsze, dziecię marzeń artysty, na które potrzebował patrzeć codziennie, ciągle coś mu dodawać, coś ujmować, cieszyć się niem czy rozpaczać — bo stało w najlepszym świetle, w przepysznych ramach rzeźbionych, jakby już się gdzieś wybięrało w drogę i pojechać nie śmiało odwagi. Sparty o sztalugę, stał walsztok, a obok

leżała zabrukana i zaschła paleta, w którą wetknięte pędzle potwardniały niemyte. Obraz był widocznie malowany i przerabiany, poprawiany kilkakrotnie, bo niektóre miejsca jego matowały się, inne świeciły i potrzeba było szukać dla widzenia go właściwego punktu, z którego patrząc, te nierówności znikają.

Na jednym z kartonów węglem poczęta była Dite, ale malarz nie miał cierpliwości jej dokończyć. Mniejsze rysunki przedstawiały fantastyczne pomysły do krajobrazów dantejskich, wśród których i pola Elizejskie widać było, lecz na zaludniające je postacie białą próżnię pozostawiono.

Na małej sztaludze, odwróconej do ściany, karton rozpoczęty wyobrażał kobietę, niby jedną z Schefferowskich kreacyj, w długiej sukni, w której poraz pierwszy Wiktor zobaczył Lizę owego pamiętnego wieczora, gdy, jako dziki jeszcze człowiek, wpadł do jej salonu. Cała figura, draperye, ręce były wykończone starannie, ale głowa, zaledwie leciuchno oznaczona, pozostała nietknięta, jakby z obawy i rozpacz, że pochwyciona być nie mogła. Pomimo to każdy, co znał panią Lizę, musiał ją poznać, tak wdzięczny jej układ, ruch, ogólny charakter był szczęśliwie odtworzony. Nie było zresztą nic do widzenia w pracowni tej, zarzuconej albumami, książkami, sztychami i malarskim sprzętem, zaniedbanym wielce.

Około południa Wiktor siedział w pracowni naprzeciw swego wielkiego obrazu; na krześle Dante, stare weneckie wydanie, snadź ciągle potrzebny, leżał otwarty. Artysta dumał, zapatrzony posepnie, z brwią zmarszczoną. Był w jednej z tych chwil życia, w których się wszystko widzi czarno. Niekiedy oznaki niecierpliwości dawały poznać, iż wiele więcej wymagał od swego dzieła: chwycił za pędzel i, jakby zniechęcony, rzucał go znowu. Ubrany jak na rano, w tym miejscu niedostępnym dla nikogo, czuł się swobodnym, i zdumienie nadzwyczajne odmalowało się w jego twarzy, gdy do drzwi zapukano zlekka.

Stanął jak wryty, nie chcąc się najmniejszym zdradzić szelestem. Wnijsła do pracowni, przystępu do drzwi jej, jak Cerber broniła Anunziata; nie pojmował jak ona zdradzić go mogła i nie wiedział, co począć.

Pukanie nieśmiało, ale uparte, powtarzało się ciągle. Dowodziło ono, że wiedziano iż się tu znajdował.

Wiktor stał długo zadumany, wstrzymując oddech, wreszcie pocichu na palcach przysunął się do drzwi zaryglowanych. Za nimi słychać było jakby szelest sukni niewieściej.

Twarz artysty oblała się rumieńcem.

Pukanie się powtarzało.

Cichym głosem spytał wreszcie:

— Kto tam?

— To ja! — odpowiedział równie cicho głos znajomy.

Wiktor domyślił się Lizy... Śmiałość jej przeraziła go... Wahał się jeszcze, lecz jakby mimowoli ręce rygiel odsunęły — otworzył.

Zakwefiona, otulona, w czerni cała, osłonięta tak, iż trudno ją poznać było, ukazała się w progu wdowa, ale tak własnym zuchwalstwem onieśmielona w tej chwili stanowczej, że i głosu jej zabrakło i odwagi krok naprzód postąpić.

— Tak, to ja — rzekła z uśmiechem i przestraczem. — Ciekawość kobięca przemogła wszystkie względy. Musiałam przyjść. Myśl tego obrazu, który odgadłam, nie dawała mi spokoju.

— Pani! — przebąknął Wiktor. — Ani ja, ani mój nieszczęśliwy obraz nie byliśmy tego warci.

Więcej smutku i trwogi, niż radości było w głosie jego i twarzy, gdy to mówił.

Oboje stali tak pomieszani, iż wreszcie Liza, aby koniec położyć nieznośnie przedłużającemu się preludjum temu, postąpiła kilka kroków ku obrazowi.

— Widzisz pan, odgadłam go! — zawołała, uderzając w małe rączki. — Tak! widziałam go we śnie zupełnie takim, przeczułam że być musi tak piękny i tak straszny! Pan — dodała w uniesieniu — drzewom swym nadałeś niemal ludzkie życie. Drzewa te mówią, to są męczennicy jacyś. Gałęzie ich mają gesty tragiczne... Co za głębia!

Wiktor stał upokorzony, milczący, przybity, z głową spuszczoną. Obróciła się ku niemu.

— Widzę — rzekła zcicha — żem panu więcej może uczyniła przykrości mojemu odwiędzinami, niż się spodziewałam. Sądziłam że *mnie* to przebaczysz.

— A! pani — odezwał się Wiktor — ja jestem mojem szczęściem przybity... Ten kątek, uświęcony ję stopami, będzie odtąd dla mnie przybytkiem.

Liza podała mu rękę, nie mówiąc słowa. Obejrzała się poza siebie i siadła na krześle, które Wiktor tylko co opuścił. Wpatrzyła się w obraz, lecz czuć było że myślała o czem inném. Zadumana, sparła się na rękę. Oczy ję z krajobrazupobiegły po ścianach. Na słowo się zebrać nie mogła.

Po długim przestanku dopiero uczuła potrzebę przybrać ton weselszy, żartobliwy.

— Jak swywolne dziecko — rzekła — dopuściłam się tego szalonego wybryku, choć czułam że zań będę połączoną, ukaraną może. Niezmierne pragnienie jakies nie dozwoliło mi się powstrzymać. Nie gniewaj-że się pan, proszę!

Wiktor stał drżący, nie mogąc słowa przemówić.

— Dlaczego pan się tairsz z tak piękną pracą? — spytała.

— Wiele się na to składa, że ję na świat nie chcę wypuścić — począł, ośmielając się, Wiktor. — Ja sam naprzód nie jestem nią zaspokojony i marzyłem coś więcej, coś straszniejszego grozą. Mój krajobraz przy kilku słowach Dantego mdłym mi się wydaje. Powtóre, cóżby powiedzieli Włosi, gdyby im obcy człowiek śmiał tknąć ich poetę? Wiész pani zapewne, że w Niemczech niewolno się Faustowi Gounoda nazywać inaczej, jak Margaretą. Zdaje się im profanacją, że Francuz śmiał się porwać na to, czego żaden z nich nie wyśpiwał. Tak samo byłoby i zemną, gdyby wśród tego krajobrazu ujrzano maleńką postać wieszczą, utopioną w tęg puszczy. Wreszcie, pani... jestem samouczkiem, studyowałem wszystkich mistrzów, ale nie uczyłem się u żadnego. Jakże wystąpić z pracą dyletanta tych rozmiarów i takiego zadania? Nie malowałem tegokrajobrazu dla nikogo, tylko dla siebie. Opiérałem się bardzo długo pomysłowi, który, jak zmora, piersi mi dusił, sen odganiał, ochotę do życia odbierał... Musiałem wkońcu uledz nie pokusie, ale nasłaniu jakiegoś złego ducha, co pragnął mnie dowodem mę bezsilności upokorzyć.

— O, panie! — przerwała Liza — ja sędzią nie jestem, czuję tylko i tłumaczę wrażenie. Ale obraz ten uczynił na mnie wrażenie wielkie, uprzytomnił mi początek piérwszég pieśni. Jest przepiękny!

— Pani raczej jesteś przelaskawą! — odparł Wiktor.

Zapatrzywszy się jeszcze chwilę na las, pani Liza wstała i poszła powolnym krokiem oglądać rozwieszone szkice. Wiktor postrzegł w tęg chwili stojący na sztaludze rysunek, który wystawiał sarnę Lizę... bez twarzy.

Nie mógł usunąć go bez zwrócenia ję uwagi, rachował na szczęście jakies, iż go nie dostrzeże. Poszedł za nią, tłumacząc ję kartony, w nadziei że ją tak poprowadzić potrafi, aby nie pokazywać tego szkicu, w którym mogła się jeżeli nie poznać, to domyślic siebie.

W tym obchodzie pracowni oboje piérwszą stracili nieśmiałość. Pani Liza rozweseliła się, zapomniała o niebezpieczeństwie, na jakie się naraziła; on także pod wpływem szczęścia, które mu się uśmiechnęło, odżył... W chwili gdy się najmniej tego spodziewał, Liza nachyliła się ku rysunkowi, zajrzała i pochwyciła ręką drżącą sztalugę, aby ją ku sobie obrócić. Z rumieńca, który przebiegł po ję twarzy, domyślił się Wiktor, iż poznała siebie. Ale nie powiedziała nic; odłożyła ramy na miejsce i spojrziała tylko z rodzajem wymówki czulég na Wiktora.

Stał przed nią, jak winowajca.

— Daj-że ję pan twarz, tęg nieszczęśliwég istocie — rzekła cicho.

— Wolę pozostawić tak jak jest — odparł Wiktor — boję się...

Liza uśmiechnęła się.

— Ferdynando mi ciągle mówi o pięknej Pepicie; daj ję twarzyczkę Pepity.

Artysta ze zgrozą się cofnął.

— Pepity! — zawołał — twarz tego dziecka ludu, bez wyrazu maseczkę, takię postaci? A, pani!

Spojrziała nań Liza, wróciła do krzesła i siadła znowu naprzeciw obrazu.

— Choć trudno mi było tu przyjść — rzekła cicho — i musiałam się nawet przed Ferdynandem wykradać i wyklamywać, ale trudniej jeszcze wyjść mi będzie. Wiem że już drugi raz w życiu przyjść tu nie mogę, a za obrazem, za pracownią i za artystą zatęsknię. Za całą pociechę pozostanie mi wspomnienie.



— Cóż ja mam powiedzieć? — spytał Wiktor. — Dla mnie to będzie dzień święty życia.

Spuścił głowę smutnie. Chciał coś powiedzieć jeszcze i nagle mu się z ust tylko wyrwało.

— Nie! nie!

— Mów pan, co myślisz — nakazująco wtrąciła Liza — inaczej musiałabym go posądzić, iż myślisz coś złego. Znamy się już teraz tak dobrze, iż sobie wszystko powiedzieć możemy...

— Ale są rzeczy, których usta wypowiadać nie powinny, aby ich słowo nie ostudziło — odparł Wiktor. — Właśnie w tej chwili, gdy pani tu jesteś, nie godzi się...

Zamilkł.

— Owszem — rzekła spokojnie Liza — moje przyście tu powinno panu dać odwagę. Widzisz że mu ufam.

Ścisnęła go za rękę.

— Mów pan!

— Domyśl się pani.

Liza pomilczała chwilę.

— Wiem — rzekła — i pan wiedzieć o tym powinieneś, czego ja nie potrzebuję mówić.

I jeszcze raz dłoń jej się wysunęła ku niemu. Schylił się i do ust ją przycisnął z poszanowaniem.

— Nie mówiąc, powiedzieliśmy sobie wszystko — dodała Liza. — Pan... nie, już nie *pan*, ale ty wiedzieć powinieneś, że są chore dusze, które tak bolały wiele, iż nawet szczęścia się boją. Całe nasze szczęście, cała przyszłość nasza, to taka jak dziś rozmowa, takie jak dziś ciche uczucie, takie serdeczne braterstwo. Nieprawdaż?

— Bądź mi Beatryczą! — rzekł Wiktor pocichudrzającym głosem, przyklękając przed nią. — Nie żądam więcej.

— Zaślubmy sobie dusze — zawołała Liza — po niebiańsku. Niech nas nic nie rozdzieli; ale nie pragniemy tego, co szczęście nasze może pokalać.

Spojrzała na Wiktora, który stał rozjaśniony i szczęśliwy.

— Tyś panią, królową, mistrzynią! Niech się stanie wola twoja!

Przycisnął rękę jej do piersi... Zamilkli... Oboje byli tak poruszeni, iż długa chwila upłynęła, nim znowu cichym szeptem rozpoczęła się rozmowa. Wiktor usiadł przy niej, ujął jej rękę i pozostali tak, zapominając się, nie licząc godzin, nie wiedząc o Bożym świecie.

Nierychło porwała się z siedzenia Liza i szybko osłaniać zaczęła do wyjścia. Strach ją ogarniał znowu. Wiktor chciał ją przeprowadzić, lecz nie pozwoliła na to. Zgodziła się tylko, by Anunziata wyszła z nią aż do bramy, prowadzącej na ulicę.

Staruszka znalazła się jakby przypadkiem u progu, szczęśliwa że Wiktor żadnych jej nie czynił wymówek.

Znikło mu z oczu to niebiańskie zjawisko, które tu z sobą tyle szczęścia przyniosło, taką woń rajską pozostawiło po sobie. Wiktor upadł na krzesło, jak przygnieciony nadmiarem tego ubłogosławienia, które go ogarniało i nowego zeń czyniło człowieka. Czuł się upokorzony, przestraszony szczęściem swoim... W cichój rozmowie zamienili byli pierścionki. Liza dała mu prostą obrączkę, on jej pierścionek, który miał niegdyś od matki. Patrzył na ten znak ślubowin duchowych i lza mu zakręciła się w oku.

— Chore, ale szczęśliwe dusze!... — szepnął.

Gdy on, rozmarzony, płakał w pracowni, Liza, obdarzywszy Anunziate, wysuwała się w ulicę. Już miała próg bramy przestąpić, gdy... struchlała. Stał tam czekający widocznie na nią hrabia Filip, który zdjął kapelusz i z ironią pozdrowił ją po nazwisku.

Mgnienie oka trwało osłupienie Lizy; gniew nią wstrząsnął. Podniosła głowę dumnie, popatrzyła na niego ze wzgardą, ręką niecierpliwą z twarzy zdarła zasłonę i wzrokiem królowej zmierzyła nienawistnego człowieka.

— Tak, nie omyliłeś się hrabia, ja-to jestem — rzekła głosem, w którym gniew i oburzenie kipiały. — Byłeś pan tak łaskaw czuwać nademną; niezmiernie mu za to jestem wdzięczną. Lecz, jak widzisz, hrabio, nic mi się nie stało. Wracam tak spokojna i tak

mało dbała o to, co ludzie powiedzą, jakem tu przyszła do pracowni tój i do pracownika — dodała z przyciskiem.

Skłoniła mu lekko głową i krokiem szybkim oddalać się zaczęła. Hrabia Filip stał w początku jak wrośnięty w ziemię, potem pogonił za nią.

Odzyskał swe zuchwalstwo, a złość doszła donajwyższego stopnia. Bezsilny, pragnął zemsty, na jaką się mógł zdobyć.

W chwili, gdy Liza najmniej się go już spodziewała, pogoniwszy, znalazł się przy niej.

— Nie będę pani przepraszał, ani się tłumaczył — zaczął mówić, goniąc ją. — Znane są pani moje uczucia dla niej, to mnie uniewinnia.

— Uniewinnia? — ze śmiechem odparła uchodząca.

— Tak, uniewinnia. Jestem zły, bom nieszczęśliwy — zawołał hrabia. — Mam pani wiele do powiedzenia, wysłuchać mnie musisz.

— Ja? muszę? — odparła szydersko.

— Raczysz — poprawił się hrabia ironicznie. — Po tém, co sam widziałem, nie ulega już wątpliwości, że pani zamierzasz tego człowieka uszczęśliwić i że on albo przed nią kłamie, lub milczy o sobie. Pani za niego wyjść nie możesz...

Liza odwróciła się, zwalniając kroku.

— Nie przyznaję ani panu, ani nikomu najmniejszego prawa stanowienia o tém, co mi wolno, a co ma być zakazane — zawołała żywo. — Żegnam pana — dodała — i spodziewam się, po tém co zaszło, że ta nasza rozmowa będzie ostatnią.

Skłoniła mu się i hr. Filip stanął.

— Będę posłuszny — rzekł — lecz gdy mi nie wolno się tłumaczyć więcej, przez hr. Augusta dziś pani o sobie i o jój... jakże mam go zwać?... narzeczonym? — dam wiadomość.

Na to nie otrzymał już odpowiedzi; pani Liza odeszła, nie spojrzawszy nawet na niego.

Z jakimi uczuciami, w jakim stanie ducha wracała szczęśliwa i zarazem biędna, wzburzona i niespokojna, niepewna co pocnie... niepodobna tego opisać. Łzy jój płynęły z oczów, o których nie wiedziała sama; kilka razy zatrzymać się musiała i odetchnąć. Zobaczyła przed sobą otwarte drzwi kościoła i, szukając pociechy, ukojenia, spoczynku, weszła do niego.

Kościół, po skończonych nabożeństwach, stał pusty; u ołtarza N. Panny paliła się lampa i klęczało parę kobiet ubogich. Poza kolumnami snuł się w czarnej czapeczce stary zgarbiony zakrystyan, wypatrujący forestierów, którymby mógł pozaslaniane pokazywać obrazy.

Liza, chwiejąc się, podeszła do ołtarza i uklękła w ławeczce naprzeciw niego. Modlić się nie mogła, ale potrzebowała wniść w siebie, dać się sercu rozkołysanemu uspokoić. Cisza uroczysta przyciemnionej świątyni, wrażenie miejsca, widok biędnych kobiet w lachmanach, które tu przyszły z wiarą głęboką szukać ratunku, wkrótce podziały i na nią. Nabrała mężstwa; była niewinną panią swój woli, mogła się ztąd oddalić, pewną będąc, że Wiktor pójdzie za nią. Miłość jój dla niego była czysta, sumienie spokojne... miała więc prawo śmiało iść dalej i nie ulęknąć się nawet prześladowania złego człowieka, któremu dała raz nazawsze odprawę.

Długi czas pozostawszy tu z myślami swemi, przypomniała sobie nareszcie potrzebę powrotu do domu. Nie wiedziała sama co powie i jak się wytłumaczy bratu, lecz musiała go przestrzedz, aby i on zerwał wszelkie z hr. Filipem stosunki.

Doszedłszy na Via Sistina, postrzegła dopiero, iż się spóźniła na obiad, co się jój nigdy prawie nie trafiało. Ferdynand niespokojny powitał ją w progu i, spojrzawszy na twarz zbladłą, na oczy rozognione i jakby obłąkane, a od łez zaczerwienione, przestraszył się mocno.

— Lizo, co ci się stało?

— Nic. Pójdź ze mną na chwilę do mojego pokoju — odparła żywo.

Ferdynand, strwożony, pobiegł za nią. Zamknęła drzwi i, zrzucając z siebie okrycie, poczęła gorączkowo:

— Nie łaj mnie! Byłam w pracowni Wiktora.

— Sama?

— Sama — odparła, marszcząc brwi — bo inaczejby mnie pewnie do niej nie wpuścił. Był to krok może zuchwały... ale mniejsza o to, jak go ludzie osądzą. Hrabia Filip pozwolił

sobie mnie szpiegować i gdy wychodziła, czekał na mnie... Dałam mu raz nazawsze odprawę — dołożyła z energią. — Mówię ci o tém, abys od tego dnia z nim zerwał.

Ferdynand słuchał, jakby uszom nie wierzył własnym; nie umiał odpowiedzieć.

— Mam go wyzwąć? — zawołał po namyśle.

Liza pochwyciła go za rękę.

— Na Boga, on tego niewart, ani mi się waź! Mniebys tém zaszkodził. Zabiję go ja moją wzdardą.

To mówiąc i drząc jeszcze, poszła do zwierciadła poprawić włosy i chwyciła w dłoń wody, aby obmyć oczy. Brat stał nieruchomy, nieszczęśliwy.

— Najlepiej będzie Rzym opuścić — szepnął.

— Zobaczmy, być może, nie w tej chwili jednak — odezwała się Liza. — Uznałabym się zwyciężoną. Nie! nie!

Ferdynand już nie śmiał powiedzieć nic więcej. Dopiero po obiedzie, gdy sami zostali w salonie, odważył się ją spytać:

— A Wiktor... czy masz jakie zamiary?...

Spojrzała nań bystro.

— Wiktor jest i będzie moim przyjacielem, moim bratem, niczém więcej. Wiesz żem postanowiła nie wychodzić za mąż, ale mogę szanować i kochać człowieka, nie oddając mu się. Wiktor jest moim przybranym bratem.

Ferdynand nie śmiał się sprzeciwić; pocałował ją w rękę.

— Uspokuj się — rzekł — ja ci w niczém nie będę zawadą i przeszkodą. Wiész jak cię kocham, a dla ciebie i jego ukocham jak brata. Ale, Lizo moja, co powie świat?

— Świat? niech powie co zechce... z uśmiechem przyjmę jego potępienie.

Po gwałtownej scenie w ulicy, której hr. Filip pewnie się nie spodziewał, bo tyle energii i odwagi nie przewidywał w Lizie — chciał winowajca biedz wprost do hr. Augusta i jemu powierzyć poselstwo, które przeznaczał jako ostatni cios mściwy dla tej, co nim pogardziła.

Chwila krótka namysłu starczyła mu jednak, by zmienić zamiar. Hrabia August nie zdał mu się sposobnym do tego; okoliczności, które się zaraz objaśnią, czyniły księżnę Teresę, w przekonaniu Filipa, daleko właściwszą do pośredniczenia między nim, a Lizą.

Nie zatrzymując się więc, pobiegł do jój mieszkania.

Księżna tylko-co była powróciła ze swęj zwykłej rannęj wycieczki po muzeach, po pracowniach. Rozbięrała się właśnie, potrzebując spocząć, i nie przyjmowała nikogo.

Hrabia Filip na bilecie wizytowym nakreślił kilka słów i posłał go przez służącego.

Wkrótce potem księżna, nawpół ubrana, weszła pōspiesznie do salonu, rozkazując wpuścić gościa. Znała go śmiałym, szyderskim, złym, zdziwiła się, widząc wścickłym. Trzęsły mu się ręce, szedł jak oszalały ku nięj.

— Księżna mnie posłucha przez litość, z obowiązku przyjaźni dla pani Lizy.

I nie dając odpowiedzi księżnie, padł w krzesło.

— Proszę mi pozwolić mówić — zawołał gwałtownie — proszę mi nie przerywać. Księżna jesteś dobrą dla wszystkich, bądź nią i dla mnie! Patrzyłem oddawna na to, że pani Liza się gubi; stosunek jęj do tego awanturnika coraz był jawniejszy. Ja ją kocham do szaleństwa od lat wielu... ja bez nięj żyć nie mogę; nie mogłem tēz ścierpić, aby, pogardziwszy mną, hr. Augustem, tyłą innymi, dała piérwszeństwo jakiemuś... nieznanemu włóczędze. Wię księżna co się dziś stało? Sama jedna, zakwefiona, wykradła się pani Liza z domu, aby pōjść odwiedzić tego Wiktora.

Księżna ręce załamała.

— To nie może być! — krzyknęła — to potwarz!

— O nie, bom ja szedł za nią. Czekałem na nią gdy wychodziła, zaszedłem jęj drogę i dostałem odprawę raz nazawsze.

Rozśmiał się gorzko. — Precz z moich oczu!

Księżna Teresa, sparta na stoliku, oczy zakryła, a hr. Filip mówił dalej, rozgorączkując się:

— Rzecz jawna dla tych, co znają panią Lizę, że taki stosunek musi się skończyć małżeństwem, to jest że ona gotową jest wyjść za tego... Cygana. Niech-że wie za kogo

wychodzi i czy to jest możliwem. Robilem poszukiwania, przekupiłem ludzi, pisałem, posyłałem i nie wiem kto jest pan Gorajski.

Zaczął się śmiać zwycięzko.

Księżna nie podnosiła oczów, cała zatopiona w sobie.

— Moja rewelacya — ciągnął dalej — i księżnęw pewien sposób obchodzi... tak, mościa księżno! Trochę ją rozczaruje może.

Księżna z obawą spojrziała na mówiącego, który, konwulsyjnie się rzucając, prawil dalej:

— Księżna przypomina sobie pewnie ojca męża swojego, starego pana Piotra?

Słuchając, drgnęła gospodyni.

— Jakiż ta historia ma z nim związek? — spytała słabym głosem.

— Bardzo wielki — rzekł hr. Filip. — Książę Piotr mieszkał, jak wiadomo, w Zatusznicach, a o pół mili w Borku niegdyś siedzieli państwo M... Mąż był chorowity, dogorywający, pani piękna, dowcipna, utalentowana, bardzo stosunkowo młoda, a wydana zań mimowoli, choć podobno była dla niego dobrą żoną. Ale to nie przeszkadzało temu, że w sąsiedztwie między starym księciem, który w tym domu bywał, a piękną panią M. zawiązał się serdeczny stosunek. Książę był wdowcem, mąż dogorywającym; rachowano może na tę miłość, że do ołtarza poprowadzi. Otóż miłości téj owocem jest mniemany pan Wiktor Gorajski.

Mimowolny wykrzyknik wyrwał się z ust księżny, która przypomniała sobie kameę.

— Wkrótce po narodzinach dziecięcia, umarł pan M... Syn odziedziczył po nim i nazwisko i majątek, do którego nie miał prawa. Zmarł i książę Piotr. Pani M... o której tak blizkim stosunku nikt prawie nie wiedział, dopiero umierając, skruszona, pokutująca, przed synem wyznała wszystko. Chciała ulżyć sumieniu, nie spodziewając się, aby po jój śmierci p. Wiktor, z jakąś dumą i szaleństwem niewytłumaczoném, odłączywszy od majątku część macierzystą, resztę oddał krewnym nieboszczyka M., a sam nazwisko, do którego nie miał prawa, rzuciwszy, ekspatryował się i dał sobie, nie wiem jakim prawem, imię Gorajskiego. Jest-to więc człowiek nieprawego urodzenia, bez rodziny, bez związków, wyrutek jakiś społeczeństwa, do którego żadna się rodzina przyznać nie może. Pani Liza téż niepodobna aby mu rękę oddała. Ja tajemnicy z tego co mówię, wrazie gdyby za niego wyszła, czynić nie będę. Mam na to co mówię dowody w ręku.

To rzekłszy, wstał hr. Filip, trąc włosy i tryumfującą przybiérając minę.

— Księżna będziesz laskawa, to co ja jój zwierzyłem, powiedzieć pani Lizie, inaczej ja użyję środka jakiegoś mniej może właściwego, aby ją o tém uwiadomić.

Nie odpowiadając, zadzwoniła księżna, aby jój wody podano. Zrobiło się jój słabo. Kochała Lizę, lubiła Wiktora; Filip ją przestraszał, poselstwo, jakim ją obarczono, było jeśli nie nad siły, to nad wyraz wszelki ciężkie i bolesne.

Westchnęła, spoglądając na rozgorzałego zemstą człowieka, który chodził około stołu, na odpowiedź oczekując.

— Hrabio — szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem — pojmuję miłość, przypuszczam nawet, że się z niej zemsta na chwilę wyrodzić może; lecz godził się posuwać ją do takiej zaciętości?

— Nie wiem co się godzi, a co niegodziwe — zawołał Filip. — Natura moja taką jest. Zgorzkniały, nieszczęśliwy, zrozpaczony, nie mogę postępować inaczej.

Lękając się wymówek i perswazyj, pochwycił za kapelusz.

— Księżna uczynisz co zechcesz; ja więcj nie słucham nic.

Sklonił się; chciała go zatrzymać, ale wybiegł śpiesznie.

Po wyjściu jego księżna długo nie mogła przyjść do siebie i stara jój rezydentka i przyjaciółka, nadszedłszy, znalazła ją w takim stanie, iż chciała po doktora posyłać.

Znając Filipa, wiedziała że potrzebuje pośpieszyć z nieprzyjemną wieścią do Lizy, lecz czuła że ona, po wypadku jaki ją spotkał, sama niezawodnie przyjdzie się jój zwierzyć i szukać pociechy u jedynej przyjaciółki, dla której żadnej nie miała tajemnicy.

Księżna wiedziała o przywiązaniu jój do Wiktora i o dziwaczném postanowieniu nie wychodzenia za mąż, od którego ją odwieść usiłowała. Stosunek ten braterski, platoniczny, idealny, zdawał się jój i dla świata i dla nich obojga niebezpiecznym. Było to piękne marzenie, którejedna chwila mogła w smutną rzeczywistość obrócić.

Zdawało się jednak księżnie, iż Liza, po namyśle, da się skłonić do oddania ręki razem z sercem.

Opowiadanie hrabiego Filipa, w którego prawdziwość niepodobna było nie wierzyć, bo potwierdzało je i owo nadzwyczajne podobieństwo familijne, i kamea i tysiąc drobnych okoliczności, które teraz dopiero księżnie na myśl przychodziły — opowiadanie to zasmuciło ją; ale, gdyby nie złośliwość człowieka, który zemstą i rozgłoszeniem wszystkiego groził, księżna byłaby go nie uważała za przeszkodę do związku.

Postępowanie Wiktora dowodziło szlachetności jego charakteru, podnosiło człowieka, na którym żadna wina nie ciążyła. Ale cóż było uczynić z Filipem, jak zapobiedz, ażeby Wiktor nie mścił się nad nim, aby między nimi do osobistej nie przyszło walki, która najsmutniej skończyć się mogła? W tych myślach zatopiona, księżna pozostała z bólem głowy w domu, nie omyliwszy się w domysłach; po obiedzie bowiem Liza nadbiegła do niej.

Była tak zmieniona i bladą, że ściskając ją przy powitaniu, księżna głośnym wybuchnęła płaczem.

— Wiem już wszystko! nie mów nic! — zawołała, łkając.

A gdy Liza zdziwiona na nią spojrzała, dodała cicho:

— Filip był u mnie.

Siadły tak, trzymając się za ręce, w milczeniu długim, ze łzami w oczach. Księżna zwlekała, nie czując w sobie siły do zadania tego ciosu przyjaciółce... Wkońcu jednak, po długim wahaniu się, musiała rozpocząć.

Liza słuchała z twarzą bladą, spokojną, z ustami zaciśniętymi, ale historia ta wcale jej tak nie dotknęła, jak się spodziewać było można.

— Szlachetny, zacny człowiek! — zawołała. — Nie jego winą jest urodzenie. Gdybym mogła go więcej kochać, od tej godziny pokochałabym go mocniej jeszcze.

Otarła łzy.

— To nie zmieni wcale stosunków naszych; będę mu wierną przyjaciółką do śmierci. Jedną tylko mam drogę, aby Filip nie posunął się do jakiego gwałtownego kroku. Człowiek ten do wszystkiego jest zdolny...

Wieczora tego obie przyjaciółki nie przyjmowały. Wiktor, niewiedzący o niczym, nie chciał być po wielkim szczęściu natrętnym. Napisał słów kilka do Lizy, a sam zamknął się w domu. Chciał się upoić tępem, co go spotkało.

Hrabia Filip, wybiegłszy od księżny, tak był jeszcze rozogniony, iż uspokoić się i na chwilę być bezczynnym nie umiał. Wpadł do hr. Augusta, wybuchnął i opowiedział mu wszystko. Słuchając go, August nie wyrzekł słowa. Zmierzył oczyma rozgorączkowanego i zadumał się głęboko, smutnie.

— Postąpiłeś sobie — rzekł po namyśle — tak, iż uniewinnić cię niepodobna. Wszystkie następstwa kroku tego przypisz swój zapamiętałości. Ja w żadnym razie do sprawy wstrętlivej dla mnie mieszać się nie chcę. Proszę nie rachować na mnie.

Odwrócił się, a po przestanku dodał:

— Wrazie jakichbądź następstw, znajdziesz mnie nie z sobą, ale przeciwko sobie. Znasz mnie, że co powiem, dotrzymuję.

Skłonił się zimno.

Filip usiłował się usprawiedliwić; lecz zamiast spierać się z nim i rozprawiać, hr. August wziął za kapelusz, dając poznać że wychodzi z domu. Zmuszony ustąpić, Filip wyszedł, mrużąc.

August natychmiast pobiegł do Lizy, chcąc być na jej usługi. Nie znalazłszy jej w domu, poszedł do księżny... Nie przyjęto go... Nie chcąc powracać do siebie, aby go tam Filip, mieszkając obok, nie nachodził, udał się za miasto i błądząc sam po Via Appia, nie powrócił aż nocą do domu.

Ferdynand, zamknięty w swym pokoju, gryzł się i rozmyślał czy, mimo zakazu siostry, nie powinien był wyzwać Filipa. O pozór łatwo było. Chciał się poradzić z hr. Augustem, lecz musiał to odłożyć do rana.

Nazajutrz około południa Wiktor, już stęskniony, szedł na Sistyne do swjej pani. Ona też pewną była, że go zobaczy, czuła że przyjść musi. Znalazł ją bladą, z oczyma trochę czerwonymi, ale czulszą, poufalszą niż przedtym. Do miłości dawniej przybyło współczucie dla nieszczęścia, szacunek dla charakteru.

— Czekalam na ciebie, kochany przyjacielu — odezwala się, wyciągając ku niemu ręce obie. — Potrzebowałam cię widzieć, tęskniłam...

— A ja marzyłem o szczęściu mojem i przyjść nie śmiałem — rzekł Wiktor. — Jestem pijany dziś jeszcze...

Siedli razem sami, bo Ferdynand wymknął się już do hr. Augusta. Wiktor czuł, iż w ich stosunku nowy jakiś żywioł, nowy odcień zrodził się od dnia wczorajszego, lecz nie wiedząc o niczem, przypisywał tę zmianę chwili co ich zbliżyła i ostatnie między niemi zapory zlamala.

Liza nie chciała mu dać poznać, jak i dlaczego cierpi. Aż nadto prędko musiał się o tém dowiedzieć.

Ferdynando znalazł jeszcze nieubranym hr. Augusta. Z żywością swemu charakterowi właściwą, z otwartością i prostotą, wypowiedział się hrabiemu.

— Wiem o wszystkiem od Filipa — rzekł mu August. — Jest-to człowiek napół oszalały, któremu wiele przez litość nad stanem jego należy przebaczyć. W żadnym razie nie masz powodu go wyzywać, bo nadałbys rozgłos wypadkowi, który, spodziewam się, iż zostanie między nami. Filip już jest ukaranym tém, że go znać nie chcecie. Na tém, przynajmniej nateraz, wszystko skończone.

Ferdynand z wielkiego przywiązania do siostry inaczej to pojmował i August ledwie go ukołysać potrafił. Chciał o coś obojętnego pokłócić się z Filipem i zmusić go do wyzwania. Gospodarz odradził mu i wymógł słowo, że do czasu przynajmniej pozostanie spokojnym.

Właśnie gdy się to działo, zapowiedziana już przez hr. Filipa księżna Ahaswera przybyła, w żałobie po mężu. Śmierć jego, a raczej konanie powolne, które ją zmusiło do długiego dosyć samotnego pobytu z człowiekiem dogorywającym, znużyły tak kobietę potrzebującą coraz nowych wrażeń, iż przyjechała wyżółkła, zmieniona, zestarzała, a spragniona czegoś, coby ją od niej samą oderwało. Zaledwie też się znalazła, poszła smutkiem dzielić się z dawnymi znajomymi. U księżny Teresy, u Lizy pierwszego dnia znalazła drzwi zamknięte, co ją niezmiernie rozdrażniło.

Powracała z tej wycieczki do domu prawie gniewna, gdy na drodze nawinął się jój Filip, który, usiedzieć nie mogąc, kręcił się niespokojny i wzburzony.

— Nie pojmuję co się u was dzieje — zawołała — ledwie go przywitawszy. — Podaj mi rękę. Byłam u Teresy... niema, u Lizy... zamknięto. Cóż to jest?

— Księżna nie wie nic? — odparł Filip. — Wistocie, znajdujesz nas w rozproszeniu i wcale niezwykłym stanie. Powiedzą księżnie pewnie, że to ja winien temu jestem, a zatem muszę, uprzedzając innych, opowiedzieć jój wszystko.

— Chodź ze mną, mów! Czy stało się co? — podchwyciła Ahaswera, rada że wpadła na jakiś wrzątek, w którym się skąpać będzie mogła odżyć nim.

Natychmiast pociągnęła za sobą Filipa, któremu zdawało się, że sobie zyska sprzymierzeńca.

— Zaczynam od początku — zawołał hrabia gdy się znaleźli w hotelu, w którym wdowa stanęła. — Nikomu nietajno, że jeszcze za życia jój męża kochałem się w pani Lizie, że chciałem choćby pół fortuny poświęcić, aby ją od tego bydlęcia uwolnić, rozwieść i ożenić się. Dlatego się rozstałem z żoną.

— No, i Liza cię nie chciała! — odparła Ahaswera. — A ja ci otwarcie powiem, że miała słusność. Wcale nie jesteście dla siebie.

— Byłaby ze mnie zrobiła co chciała! — krzyknął hrabia.

— Daj pokój, z drzewa kamienia nikt nie zrobi! daj pokój. Ale cóż tedy? co? — odparła księżna — gadaj!

— Gdy kto raz tak kocha jak ja, to przestać nie może, ani sobie wyrozumować, że kocha daremnie — dodał Filip.

— Więc cóż? Mogłeś sobie chyba w łeb strzelić — rozśmiała się Ahaswera.

— Miałem nadzieję, niech mi księżna nie przerywa... sądziłem że się kiedyś przekonam, iż nikt jój tak kochać nie może, jak ja. Tymczasem szatan nadał tego samozwańca Gorajskiego.

— Ja odrazu postrzegłam, od pierwszych dni, że między nimi coś być musi — szepnęła Ahaswera.

— Do tego doszło, że brawując opinią, pani Liza chodziła go odwiedzać w pracowni — zawołał hrabia.

— To kłamiesz — przerwała gwałtownie księżna — ja ją znam. Nie może być!

— Kiedym ją wychodzącą przecie od niego w bramie pochwycił — rzekł hrabia — i rozgniewała się tak, że mi dom wypowiedziała.

Ahaswera z ciekawością gorączkową zbliżyła się do niego.

— Co ja słyszę! — zawołała — do tego doszło? Więc chyba wyjdzie za niego?

— To być nie może — wybuchnął hrabia — chybaby wstydu nie miała. Ten Gorajski jest synem naturalnym księcia Piotra, człek bez urodzenia, bez imienia, bez rodziny, słowem wyrzutek...

— No, no! powoli — odezwała się Ahaswera. — Masz na to dowody?

— Mam, i on sam się tego nie zaprze.

Tu hr. Filip zaczął opowiadać ze szczegółami, czego się o urodzeniu Wiktora dowiedział i co żadnej nie ulegało wątpliwości.

Księżna głową potrząsała, słuchając.

— Dziwy! dziwy! mój hrabio — dodała, gdy dokończył — dziwy, ale wmieszałeś się w sprawę niebezpieczną i nie wiem czy wyjdiesz z niej cało. Możesz jemu przeszkodzić, ale sobie nie pomożesz. Wszystkich mieć będziesz przeciw sobie, hr. Augusta...

— O! ten mi to zgóry zapowiedział — rzekł Filip. — Ale nie dbam o to!

— I brata jój.

— Nie boję się go.

— A na końcu samego Wiktora — dorzuciła Ahaswera. — Jeśli cię ten wyzwie...

— Z ludźmi jak on nikt się nie bije — zawołał dumnie hrabia. — W Rzymie nie zabraknie zbirów. Każę go obić, ale bić się z nim....

Zamilkła słuchająca.

Filip drżał i chodził, jak bezprzytomny.

— Może ci w łeb strzelić — rzekła po chwili. — Ja, przyznam ci się, będąc na twém miejscu i popełniwszy taką... no, nazwijmy to niedorzecznością, dziśbym opuściła Rzym.

— Aby mówiono żem się uląkł następstw mojego kroku. O nie — rzekł Filip. — Niech będzie co chce.

Potrząsała głową, księżna siedziała milcząca.

— Żeby znowu tak się kochać i po tylu latach nadaremnego wzdychania tak szaléć! — rzekła zcicha.

Filip nic nie odrzekł na to.

— Księżna powinnaś mnie bronić — wtrącił, tylko po chwili.

— Daj mi pokój! Gdy sprawa idzie o kobietę, my wszystkie pierwsze mamy obowiązek w niej bronić siebie. Po mnie niczego się nie spodziewaj.

Filip popatrzył na nią długo.

— Zatem i od pani dostaję odprawę? — spytał.

— Żal mi cię, ale niema na to rady. Utop się w Tybrze, który podobno wezbrał, bo mi mówili że do Panteonu dostać się nie można i woda w nim stoi; palnij sobie w łeb, albo jedź gdzie za świat, bo tu nie masz co robić. Oto rada moja.

Rozśmiał się szydersko Filip.

— No, zobaczymy — rzekł, żegnając ją — muszę sobie radzić sam i... poradzę.

Księżnie Ahaswerze po téj rozmowie pilno było niezmiernie dostać się do swych przyjaciółek, złapać kogoś, słowem wcisnąć się w tę intrygę i pewną w niej rolę odegrać.

Szukając w myśli, kogoby sobie w pomoc wziąć mogła, wpadła na poetę. Napisała słów kilka i posłała po niego. Wybór to był najniezszczęśliwszy, gdyż ów niedożyły geniusz i niezrozumiany artysta w życiu praktyczném był najnieporadniejszym z ludzi. Całe swe życie popełniał patetyczne omyłki i wielkobrzmiące głupstwa.

Kartka księżny, która go zastała w biédnej zajmowanej przez niego izdebce, pełnej papierów, śmieci i nieładu, naprzód wbiła go w pychę. Ale żal miał do téj kobiety, do której zaczynał się przywiązywać. Myląc się w ocenieniu wezwania, sądził że się serce odezwało. Chciał się podrożyć z sobą; ale wnet poruszony, zwyciężony tą ręką wyciągniętą, której potrzebował do życia, ubrał się, zapomniał urazy i pobiegł.

Spodziewał się znaleźć Ahaswerę czułą, rozmarzoną, bolejącą po śmierci męża, o której wieść go już dochodziła, a tymczasem w progu powitała go roztargniona i niecierpliwa.

— Czegożeś tak długo czekać na siebie kazał? Mam tysiące potrzeb, tysiące pytań.  
Oblała go zimną wodą. Nasrożył się, chciał stać się czułym i patetycznym, ale przerwała mu żywo.

— No, to potem. Czy wiesz tę historią pięknej Lizy i bezimiennego jegomości, p. Wiktora?

— Nie wiem nic, oprócz że się podobno pokochali... Ale — dodał z pogardą — to zimna lodu bryła.

Księżna posadziła go naprzód, a potem żywo szczebiocząc, opowiedziała mu wszystko. Była to dla niego nowość, zdumienie, przerażenie.

Pocziwie obudziło się w nim uczucie, którenadzwyczaj pompatycznie chciał wyrazić. Księżna mu przerwała.

— Znam Filipa, gotów na wszystko. Mówił tu u mnie o zbirach; potrzeba ostrzedz Wiktora.

— Tak jest! — krzyknął poeta — trzeba go ostrzedz. Ja lecę...

Nie wstrzymywała go księżna.

— Wracaj do mnie — rzekła — tylko opowiedz mi wszystko i dodaj że ma za sobą nas wszystkich... Niech się ma na baczności.

Emil Marya pobiegł.

Księżna, opowiadając wszystko, nie pominęła i historii urodzenia Wiktora, a ta w oczach poety nowy urok mu nadała. Ze współczuciem i gorączką, który fantazyza poetycka wywołała, wpadł do mieszkania Gorajskiego na Babuinie, w którym nigdy dotąd nie był, bo raz Wiktor go nie przyjął, a geniusz czuł się tym obrażony.

Zastał gospodarza siedzącego w przyciemnionym żaluzjami pokoju, bez książki, bez roboty, w myślach i dumach.

Postawa poety i gwałtowność, z jaką wpadł, kazały się domyślać, że nie z prostą grzecznością przychodził. W milczeniu wiele znaczącem począł, łkając prawie, bo był do płaczu skłonny, ścisnąć go mocno.

— Biędny! biędny! zacny mój... kochany!...

— Cóżto jest? — zapytał Wiktor, śmiejąc się. — Biędny! ja? ale ja nie czuję się nim wcale.

— Jakto? — przerwał poeta — jakto? więc...

— Kochany wieszczu, nie rozumiem nic.

Emil Marya zmieszał się, ale cofać się nie mógł.

— Miałżebyś zupełnie o niczém nie wiedzieć? —

— Tak dalece, że nie mam pojęcia nawet, co to być może.

Poczuł dopiero Emil Marya, że na niego spadł ciężar daleko większy, niż przewidywał. Pocieszać i radzić, ostrzedz był gotów, ale być zwiastunem złego...

— Mów-że, na Boga!

— Nic nie wiesz?

— Nic a nic.

— Nie wiesz że wychodzącą od ciebie panią Lizę hrabia Filip, w bramie czatujący, pochwycił?

Wiktor poskoczył ku niemu.

— Co? — krzyknął — on śmiał!...

Zacisnął pięści i stał się tak strasznym, że Emil Marya na krok cofnął się od niego.

— Uspokuj się, wszyscy go potępiają — dodał. — On sam głosi, że mu p. Liza z pogardą dała odprawę. Jest ukarany, ale mściwy człek, przewidując że teraz rozgłoszony stosunek wasz musi się zakończyć małżeństwem, rozsięwa krzywdzące wieści o twojem urodzeniu.

Wiktor pobladł, pot wystąpił mu na czoło; zachwiał się i padł na krzesło. Poeta ścisnął go za rękę.

— Co on mówi? — spytał Wiktor głosem słabym.

Po chwili krótkiej namysłu, poeta powtórzył co słyszał od Ahaswery, dodając wyraz współczucia. Gorajski słuchał, nie dając długo znaku, jakie to na nim czyniło wrażenie; twarz jego była tak blada i zmieniona, że nowy ból już się na niej wypisać nie mógł.

Po milczeniu niedługim, podniósł głowę.



— Niestety — rzekł — to co mówi, prawdą jest nie zaprzeczam. Dla pamięci matki mój musiałem się taić, ale dziś, gdy mi to w oczy rzucają, potrafię znieść z rezygnacją. Powiedział o tém pani Lizie?

— Niezawodnie.

Wiktor się zamyślił; czuł, że przyjmując go nazajutrz, już wiedziała o tém, wiedziała i nie zmieniła się wcale. Odetchnął lżej, łza mu się w oku zakręciła, wyciągnął dłoń do poety, który ją gorąco uściśnął.

— Wszyscy oburzeni są — rzekł — za wami wszyscy. Ale ten niegodziwy człek gotów się posunąć do ostateczności. Może na was zbirów nasadzić; księżna kazała mi was ostrzedz.

Z pogardą uśmiechnął się Wiktor.

— Nie boję się tego — rzekł zimno. — Nie są to te czasy, gdy o najęcie zbirów łatwo było. Dość nienabitego rewolwera, aby ich rozpędzić. Dziękuję wam z duszy — dodał — iż mi otworzyliście oczy, żeście tu przyszli pierwsi z przestrożą. Byłem w ciemnościach, teraz wiem już, co pocznę. Hrabia Filip swém postępowaniem wyzwał mnie do walki z sobą. Mam oręż do niej, straszniejszy niż sądzi. — Mówiąc to, Wiktor wstał nagle z krzesła, poszedł do zamkniętego biurka, dobył z niego papierów wiązkę i pokazał ją poecie.

— Oto czém mu w oczy rzucę! — zawołał. — Jest-to własnoręczny rękopis, testament, wyznanie, nazwijcie to jak chcecie, niedawno zmarłej żony jego. Jest to dokument tak go potępiający, iż nie miałem odwagi ogłaszać go, mając do tego prawo, bo na rękopiśmie wyrażona jest wola zmarłej, aby ten, komu się on w ręce dostanie, uczynił z nim co zechce, byle go hr. Filipowi nie oddawał. Zmarła pragnęła, aby o tém ludzie wiedzieli, i dziś już się nie waham... ludzie wiedzieć o tém będą.

— Słuchaj-że — chwytając go za rękę, począł żywo poeta, któremu oczy zapalały — mnie się to widzi inaczej. Możecie grozą tego dokumentu kupić sobie i pani Lizie spokój, uwolnić się od przesładowania. Księżna pośredniczyć będzie.

— Nie! nie! na Boga i stokroć nie! — wykrzyknął Wiktor. — Nie godzi mi się frymarzyć dobrą sławą kobiety, która z za grobu żąda usprawiedliwienia. Hrabia Filip głosi, że się z nią rozstał, bo mu była niewierna. Tu są fakta: on był podły, a ona niewinna.

Poeta nie śmiał nalegać. Wiktor nazad wrzucił rękopis do biurka i usiadł. Głowę w dłoniach ukrył, mówić już nie mógł. Emil Marya widział że go należało zostawić samego z myślami i dać mu cios, jaki go spotkał, odbolęc.

— Te papiéry po zmarłej nie są więc tajemnicą — zapytał, odchodząc — mogę o nich mówić księżnie?

— Komu chcecie — rzekł Wiktor. — Sproszę wszystkich do księżny Teresy, do pani Lizy, gdzie mi będzie wolno, i odczytam co mi los dał w ręce. Jestem dziś względem tego człowieka wolnym od wszelkiego obowiązku oszczędzania go. Niech stanie przed ludźmi w tém świetle, na jakie zasłużył.

— A jeśli się mścić zechce? — szepnął poeta.

Wiktor zagryzł usta.

— Będziemy się mścili obaj — odparł — i ja mam za co.

Poeta, nie zatrzymując się nigdzie, pędem pobiegł do Ahaswery. Czekala na niego niecierpliwa. Niósł nowy pokarm dla wygłodzonej nudami. Pytaniom nie było końca. Musiał opisywać wrażenie, przyjęcie, całą tę scenę, która na nim wielkie uczyniła wrażenie.

Niezmiernie ciekawa księżna myślała tylko o jedném, ażeby ją koniecznie zaproszono na czytanie tych rzeczy, tak niezawodnie poruszających, tak zajmujących. Emil Marya ledwie mógł ją zaspokoić upewnieniem, iż Wiktor oświadczył się sprosić wszystkich. Nie było żadnego wyjątku.

W czasie gdy rozmowa z poetą toczyła się urywanemi słowy, a Ahaswera tak była nią ożywiona i poruszona, że na nic nie zważała, nie postrzegli oboje, że hr. Filip, wszedłszy w chwiligdy ona była najżywszą, zasłyszawszy coś, stanął w progu, nie ruszając się, i czekał końca.

Nie mogąc nigdzie znaleźć spokoju, powrócił on był do księżny, aby jój dać zlecenie do p. Lizy, którą chciał jeszcze starać się przebłagać. Wpadł właśnie na to, gdy poeta mówił o testamencie jego żony.

Przypadkiem odwróciwszy się, Ahaswera postrzegła go i krzyknęła przestraszona.

Oboje umilkli.

Hrabia Filip, z oczyma okropnie wysadzonemi, jakby wypaść miały mu z powiek, powolnym krokiem postąpił ku nim.

— Coś pan mówił? co? powtórz! papiery po mojej żonie pozostałe w jego ręku? Jakim sposobem? Skradzione są chyba, lub sfalszowane!

Mówił głosem tak złamanym, jękając się, jak gdyby innym był człowiekiem. Niedawno księżna widziała go zuchwałym, teraz był przelętkłym, chociaż starał się pokryć tę trwogę.

— Ja nic nie wiem — rzekł poeta krótko.

Księżna zamilkła.

Hrabia Filip stał osłupiały, chwytając się poręczy krzesła, aby nie upaść. Chciał pytać jeszcze i usta mu się tylko trzęsły. Ten brak odwagi jego samego wprawiał już w gniew. Zdobywał się na dawne zuchwalstwo, lecz powrócić do niego nie mógł. Trząsł głową i rzucił się.

— Papiery! mogą być potwarze, mogą być kłamstwa. Umarłym wszystko wolno... Mści się chce na mnie — zaczął głosem przerywanym.

Księżna stała, patrzyła, ale się nie odzywała. Poeta usunął się nabok.

Począł się domagać szczegółów; Emil Marya powtórzył zimno:

— Nic nie wiem, nic wiedzieć nie chcę.

Nie mogąc przemódz tego upartego milczenia, hr. Filip poczekał chwilę, powiódł oczyma po księżnie i poecie, uśmiechnął się szydersko i wolnym krokiem wywłókł się z pokoju, już w progu zdając się zapominać gdzie był i co robił. Kapelusz włożył na głowę, nie zwrócił się ku gospodyni, szukał długo klamki, wyszedł i cisnął drzwiami za sobą.

— To coś wygląda jak ostatni akt tragedyi — szepnął Emil Marya.

— Ja się boję — dodała księżna — boję się o Wiktora. Ten człowiek gotów na wszystko... Straszne rzeczy się gotują. Nie odchodź pan, chcę go mieć przy sobie. Po obiedzie zaprowadzisz mnie do księżny. Muszę tam być; trzeba się naradzić, zapobiedz.

Mówiła tak, niby się uskarżając, ale twarz ożywiona świadczyła że prawie była rada tym okropnościami, które jej nudy przerwały.

W salonie pani Lizy na Via Sistina panowała cisza uroczysta; na twarzach obecnych, zwykłych gości widać było oczekiwanie niespokojne, podbudzoną ciekawość, a razem coś chwili téj uroczyste znaczenie nadającego.

Pani domu siedziała z księżną Teresą za stołem; blade obie, trzymały się za ręce. Nieco dalej, w czerni cała, ubielona i odrobinęk urozówana, kręciła się niespokojnie na krześle, usiłując być poważną, księżna Ahaswera.

Za siostrą stał Ferdynand, pochmurny, mniej pewien siebie niż zwykle. Hrabia August wyprostowany, zapięty, ze zwykłą sobie krwią zimną i postawą arystokratyczną, zabrał miejsce naprzeciwko pani domu, by czuwać nad nią, nie spuszczając z niej oka. Zdawał się więcej zajęty wdową, niż tém co się przygotowywało.

Poeta, z ręką założoną za frak, z włosami zarzuconemi na tył głowy, wzrokiem wodzący po suficie, a myślami zapewne po świecie natchnień swoich, usiłował się dostroić do tonu panującego, do powagi i uroczystości tego momentu. Księżna Ahaswera, ile razy spojrziała na tę nieco teatralną figurę, nieznacznie poruszała ramionami. Wszystkie ruchy tego pocziwego monomana były jej już dobrze znane.

Wiktor, błady, w ręku trzymał zwitek papierów i patrzył nań zadumany, jak gdyby jeszcze wahał się z odczytaniem jego. W twarzy dziwnie zestarzałej i pomarszczonej malowała się walkawewnętrzna, już przeboleła w części, ale trwająca jeszcze.

Milczenie się przedłużało nad miarę. Poruszył się wreszcie jakimś wysiłkiem woli Wiktor, zbliżył do lampy, otworzył zwitek, który miał przed sobą i, bez wstępu żadnego i objaśnienia, głosem słabym, zrazu stłumionym, czytać począł:

„Zmarnowanego życia, zawiedzionych nadziei, wiary straconej — nie zapisywałabym i nie zostawiała pamięci po sobie; ale z niesławy i plamy obmyć się muszę. Za życia nadto byłam dumną, abym się chciała usprawiedliwiać; z za grobu chcę jeśli nie siebie, to imię moje oczyścić. Nie do jednéj mnie ono należało.

„Rodzice moi byli dosyć majątni. Jedyńcką u nich będąc, mogłam łatwo znaleźć towarzysza na drogę życia, ale ojciec mój zbyt wiele wymagał dla mnie i temum winna całe nieszczęście moje.

Na balu w Kamińcu podolskim zobaczył mnie przypadkiem się na nim znajdujący wołyński hrabia Filip. Miałam naówczas lat osiemnaście i smutek nie zmienił mi jeszcze twarzy; mówiono że piękną była. Hrabia Filip zaprezentował mi się, poznał się z rodzicami i wszyscy postrzegli, że był mną zajęty.

Nie podobał mi się. Nie był powierzchownie odrażającym, ale wyraz ironii, szyderstwa, jakąś oryginalność nienaturalną, coś ostrego i nielitościwego czytałam w jego twarzy. Usta, nawet gdy nie mówił, wykrzywiały się sarkazmem. Słyszał z dowcipu, uganiano się za nim, bo wiadano że jest bardzo bogaty, a czekały go większe jeszcze spadki. Ojciec mój cały rozgorzał tą myślą, aby mnie wydać za niego. Zaproszony w sąsiedztwo moich rodziców przez dalekich swych krewnych, zabawił kilka tygodni na Podolu i najjawniej począł się starać o mnie.

Im bliżej go poznawałam, tym większy strach i wstręt obudzał we mnie. Nawet uczucie gwałtowne, jakie mi okazywał, miało w sobie coś groźnego. Lecz ojciec ani chciał słuchać, gdy matka starała się przemawiać za mną. Kazano mi iść za hrabiego, który się oświadczył zbyt pośpiesznie, bez namysłu.

Ojciec nie tylko nakazywał, ale zaklinał mnie i prosił, abym wyszła za niego; musiałam mu być posłuszną. Do wszystkich nieprzyjemnych wrażeń, które mnie od niego odstręczały, dodać muszę i to, że z rodzicami memi obchodził się tak, jakby czuć dawał że łaskę im czyni, biorąc ich córkę.

Ślub odbył się prawie prywatnie, z pośpiechem jakimś, który mi przytomność odebrał. Tegoż samego wieczora pojechaliśmy na Wołyn. Mogę powiedzieć że od pierwszego dnia po ślubie rozpoczęła się walka między nami, w której ja, niedoświadczona, słaba, niepewna siebie, musiałam być zwyciężoną.

Wprędce postrzegłam, że hrabia nie szukał we mnie towarzyszkę życia, ale nasycenia namiętności jakiejś dzikiej, ofiary posłusznej, zabawki.

Rodzina męża mego, która mu przeznaczała kogoś zupełnie innego, a małżeństwo ze mną za mezalians uważała, dąsała się na niego. Nie przyjmowano nas, pozrywały się stosunki bliższe, a hrabia skazany został na towarzystwo młodzieży, która miała się za szczęśliwą, że ją do siebie przypuszczał i nad nią przewodził.

Kobietę poznałam mało; życie spędzaliśmy w podróży i wycieczkach za granicę, lub w domu, w tym otoczeniu ludzi, co czując się zaszczytami stosunkami z hrabią, pochlebiali mu i ulegali.

Mąż mój zabawiał się najdziwniej; miał fantazyje krótko trwające, gwałtowne, przemieniające się, często zbyt ostro i przykro kończące się jakąś katastrofą. Serce się w nim nie odzywało, ale szalała głowa.

Gwałtowna miłość dla mnie, na którą ja odpowiadałam chłodem, wprędce stygnąć zaczęła. Byłam temu rada prawie, bo zwiększała odrazę, jaką miałam do niego. Dobrym być nie umiał, nawet gdy kochał; męczyć lubił, jak gdyby to zaostrzało dlań każdą przyjemność. Posłyszałam zdania o różnych jego stosunkach z pięknymi sąsiadkami. Wszystkie one zawiązywały się łatwo, jakiś czas nie dawały mu spokoju, pochłaniały go i gasły, jak ognie słomiane.

Z każdej takiej fantazyi unosił wspomnieniewszystkich ułomności i wad tego co kochał i wielbił; wyśmiewał bezlitośnie nawet dowody serca i poświęcenia dla siebie.

Bardzo często zaczął odbywać podróże, trwające niekiedy dość długo... bezemnie. Zostawałam sama w domu, a że u rodziców jeszcze lubiła malować i rysować, spędzałam czas na próbach i cała oddałam się sztuce.

To zajęcie niewinnie stało się dla hrabiego źródłem niewyczerpanym szyderstw. Prześladował mnie niemi, wyśmiewał moje bazgranie i choć się zamykałam przed nim, prosząc aby mi choć tę przyjemność niezatrutą zostawił, nie było dnia, żeby ze złościwością bezlitosną nie pobudził mnie do łez.

Placz mój wprawiał go w najlepszy humor, był przyprawą jego zabawek.

W tym czasie z jednej ze swych podróży przywiózł hrabia wspomnienie osoby, którą widział, żony jednego ze swych kuzynów, pani Lizy.

Tak był przejęty nadzwyczajną jej pięknnością, a zarazem oburzony obchodzeniem się z nią męża, nieszczęśliwem życiem młodej pary, iż nie postrzegł, nie poczuł nawet, że sam dla mnie był takimże tyranem.

Pierwszy raz w życiu postrzegłam w nim naówczas pewną zmianę. Dla tej pani, w której nie taił się przedemną że był zakochany, miał uczucie uwielbienia, entuzjazmu, adoracją, którechwilami odejmowały mu jego złośliwość i szyderstwo.

Dla mnie zakochanie się to było zupełnie obojętnem. Nie pierwsze już było, a wiedziałam że zapewne i ostatniem nie będzie. Cóż mnie ono obchodziło?...

Dziwiłam się tylko, że mogło tak wielki wpływ wywierać na niego, iż niemal lepszym go czyniło, póki niem żył i był przejęty.

Wkrótce po pierwszej podróży, nastąpiła druga, której celem było widzenie adoro-  
wanej; potem trzecia i nie wiem już ile wycieczek, zawsze dla widzenia bóstwa, choćby zdaleka.

Męża tej pani opisywał w jaknajczarniejszych kolorach, a na mnie robiło to dziwne wrażenie, bo wszystko, co o nim mówił, zastosowywałam do niego samego. Były może pewne różnice między nimi, ale też i niezaprzeczone pokrewieństwo.

Ciekawa byłam nadzwyczajnie poznać tę panią, nad którą litowałam się i prawie ją jak siostrę niedoli mojej kochałam; ale hrabia o podróży do tych państwa, o której raz wspomniałam, słuchać nie chciał. Odparł mi brutalnie:

— Zrobiłoby ci to więcej przykrości, niż przyjemności. Byłaś wychowana wcale nie do tego świata, w którym ona zajmuje świetne stanowisko. Prawdę powiedziawszy, musiałbym się wstydzić za ciebie.

Ruszył ramionami. Zapłakałam i zmilczałam.

Nie jedno to upokorzenie przełknąć musiałam.

Wkrótce po zamążpójściu straciwszy matkę naprzód, w rok później ojca, byłam samą na świecie, bez opieki i najnieszczęśliwszą istotą.

Miłość hrabiego, tak gwałtowna w początku, zmieniła się w rodzaj wstrętu, lekce-  
ważenia, nienawiści. Być może że i ja rozwinięciu się tych uczuć byłam części winną, gdyż czułą być nie mogłam, a kłamać nie umiałam.

Pomiędzy młodzieżą, którą jak rodzajem dworu lubił się mąż mój otaczać, był krewny daleki hrabiego, jeden z tych powinowatych, do których się nie przyznawano chętnie, bo był ubogi, a imię nosił nieznanne. Chłopak dwudziestokilkoletni, wychowany przez matkę, nieśmiały, skromny, rumieniący się cochwila, służył innym za pośmiewisko.

Dla hrabiego, jako starszego i wpływowego człowieka, na którego może poparcie rachował, był z wielkiem uszanowaniem i powolnością. Matka go tu przysłała, a kuzyn miał sobie za największą przyjemność psuć go, wyszydzać skromność, śmiać się z jego zasad i obyczajów. Artur znosił to łagodnie, pozwalał się wyśmiewać i, zawsze w nadziei protekcyi, uczęszczał do domu naszego, bo hrabia się nim i posługiwać lubił i miał z niego cierpliwą ofiarę swych sarkazmów.

Żał mi było chłopca, tak jak jemu, gdy patrzył codziennie na obchodzenie się męża ze mną, żał być musiało mnie także.

Nie wiem czy to w nim jakie czulsze dla mnieobudziło uczucie, ale co do mnie, chociaż sympatyą miałam dla niego, serce moje było tak żółcią zalane, ja tak znękana, że ani mogła pomyśleć o jakichś miłostkach.

Postrzegłam jednak wkrótce, że jakby z umysłu, zaczęto Artura mną prześladować, a razem podawać mu sposobność znajdowania się zemną samnasam. Nie mogłam pojąć celu tego manewru męża mojego, ale był tak niezręczny i wyraźny, że przestraszona i oburzona musiała się mieć na baczności. Męczyło mnie to, a wiedziałam że Artur był niespokojny, poruszony i równie jak ja nie wiedział, co począć z sobą. Dawano mu rozkaz stawienia się u nas na dnie, w których właśnie męża mojego w domu nie było; wyznaczano zajęcia, które go do mnie zbliżać musiały.

Gdy się przekonała, iż to nie było przypadkowem, zamykałam się u siebie, a Artur, przybывая i dowiedziawszy się że jestem sama, odjeżdżał, nie widząc mnie.

Byłam mu za to wdzięczną. Ta strategia męża mego dosyć długo się przeciągała. Nie zbliżyło mnie to wcale do Artura, bo nie miał ani odwagi, ani ochoty zaplątania się w brudną intrygę.

Jednego dnia, gdy mąż mój wyjechał był na parę tygodni do owego kuzyna, którego żona była jego ideałem, niespodzianie, zaraz po odjeździe jego, przybył Artur i przez służbę prosił, aby mógł widzieć się z nią.

Według zwyczaju, kazałam go przeprosić; ale za drugim poselstwem i naleganiem wyszłam do salonu. Znalazłam go w postawie winowajcy, przestraszonego, zmieszanego, bełkoczącego coś tak niezrozumiale, że dużo czasu zeszło, nim go wyrozumić mogłam.

Drżał cały z oburzenia i zgrozy; tłumaczył się iż zmuszony jest niepokoić mnie dla przestrzeżenia, że dłużej milczeć mu niepodobna.

Dowiedziałam się z ust jego, iż hrabia poprzedzającego dnia, zamknawszy się z nim, w sposób cyniczny oświadczył mu, że na niego rachuje, iż postara się z nią zawiązać stosunek jaknajbliższy, aby jemu to do rozwodu posłużyć mogło.

A gdy Artur ze zgrozą zakrzyknął, iż chyba żart niegodziwy czyni sobie z niego, hrabia mu powtórzył: Uwiedz ją, niepodobna aby ci się to nie powiodło. Ja nią jestem znudzony i ona mnie nie kocha. Jesteś młody i przystojny, ożenisz się z nią. Dam ci przyzwoite wyposażenie. Wyjadę z domu i nikt ci nie będzie przeszkadzał. Przyszłość ci zapewnię. Kobięta ładna, sentymentalna, nieszczęśliwa, dla ciebie jak raz. Byłbyś głupim, gdybyś nie korzystał.

Oporu Artura i oburzenia hrabia nie chciał rozumieć nawet, zagroził mu że jego i matkę opuści, jeżeli mu w tém posłusznym nie będzie. Artur przychodził mi o tém oznajmić, a razem pożegnać mnie, gdyż, chociaż ubogi, postanowił zerwać z kuzynem.

Nie mogłam wątpić o prawdziwości tego wyznania, za którą charakter Artura ręczył. Sięrota, bez opieki, postanowiłam po tym nikczemnym kroku porzucić hrabiego. Zażądałam tylko od Artura, aby zeznanie swe dał mi na piśmie, gdy i tak postanowił zerwać z hrabią.

Pocziwy chłopak napisał i pod przysięgą zeznał, do czego użyć go chciano. List ten jego znajdzie się tu dołączony.

Nie czekając powrotu hrabiego, opuściłam dom jego, nie wynosząc nic, oprócz tego com od rodziców miała. Schronić się nie znalazłam gdzie, prócz klasztoru. Majątek mój sprzedał był hrabia i nawet sumy zań wziętej prawie mi nie ubezpieczył. Nie szło mi o to.

Rządca, który był prawą ręką, narzędziem i zausznikiem męża, natychmiast dał mu znać o moim wyjeździe.

W liście, który do niego zostawiłam, zawarta była kopia zeznania Artura: domagałam się rozwodu.

Hrabia w początkach był rozgniewany na kuzyna, ale go do siebie kazał powołać. Nie przybył. W procesie rozwodowym, chociaż oskarżenia mnie o sprzeniewierzenie się nie obejmował, było ono na wszystkich ustach. Hrabia głosił iż to go do żądania rozwodu spowodowało, zmyślał szczegóły, a że ludzie podobnym powieściom wierzą łatwo, nie mogłam się uniewinnić, ani oczyścić z zarzutu... plama pozostała na mnie.

Hrabia miał tysiące środków rozpowszechniania kłamstwa, ja żadnego na udowodnienie niewinności mojej. Wzgardziłam tą potwarzą.

Z majątku po rodzicach oddano to, co się hrabiemu zwrócić podobało. Chciał być wspaniałomyślnym i naznaczyć mi pensją dożywotnią, którą odrzuciłam. Zostałam sama w świecie, tułając się, bawiąc u krewnych, a później, zwróciwszy się do sztuki, rozpoczęłam studia w Warszawie i Dreźnie. Majątek, powierzony nieoględnie ludziom bez sumienia, uszczuplony znacznie, zmusił mnie wkońcu szukać w tém, co było zabawą, nadziei utrzymania. Z tą myślą przybyłam do Rzymu”...

Rękopis kończył się następującym przypiskiem:

„Komukolwiek pismo to moje dostanie się w ręce, zaklinam go, aby mu nadał rozgłos, a nie dopuścił, żeby staraniem hrabiego zniszczone zostało. Może on czuwać nad tém, wiedząc iż się oczyścić zechcę. Z za grobu wolno mi przynajmniej zawołać, głosem któremu śmierć nada wiarę i powagę: Jestem niewinną!”

Wiktor dokończył głosem drżącym, złożył papiery i powiódł oczyma po słuchaczach. Wszyscy milczeli, przejęci tém opowiadaniem boleściwém. Liza, sparta na rękę, lzy miała w oczach.

Pierwsza Ahaswera skoczyła z krzesła, pięść podnosząc dogóry.

— A! co za poczwara! co za poczwara ten człowiek! Ale — tu zwróciła się do Lizy — co za szalona miłość! Możesz nią być dumną.

— Mościa księżno — przerwał August — to się miłością nazywać nie może. Jest-to namiętność, z miłością własną połączona. Miłość zasługująca na to imię nie istnieje bez poświęcenia, uszlachetnia człowieka, podnosi go, lecz nie czyni występny.

Gospodyni domu siedziała zadumana, z oczyma łez pełnymi.

— Takie jest przeznaczenie moje — rzekła — abym i sama była nieszczęśliwą i drugim przynosiła nieszczęście. Część jakaś winy spada na mnie niewinną, bom nigdy w życiu tego niedorzecznego szalu hr. Filipa jedném słowem nie rozbudziła. Staralam się go nieraz prawie do niegrzeczności posuniętą oziębłością przekonać, iż nigdy nawet obojętną przyjaźnią wywdzięczyć mu się nie mogę. Dziś, po tém wszystkiém co się stało, widzę że jedynym środkiem jest uciekać ztąd.

— Gonić cię będzie — przerwała Ahaswera.

— Świat szeroki — dodała Liza. — Znajdę przecie w potrzebie kątek jakiś, w którym od tych napaści ukryć się będę mogła.

Spojrzała na milczącego smutno Wiktora, który ani potakiwał, ani odradzał, udając obojętnego. Wtém księżna Teresa, której trudno było się gniewać i w której sercu gniew zastępowały smutek i politowanie, westchnęła.

— Boże mój! ale cóż ja biedna pocznę z sobą, ja, com żyła wami, com tu przyrosła zarazem do tego Rzymu i nie będę wiedziała co zrobić.

— Toż samo i jabym mógł powtórzyć — szepnął hr. August. — Te wieczory na Via Sistina, te spokojne nasze rozmowy przy okrągłym stole, oświeconym oczyma naszej pani, miałyby tak smutny mieć koniec przez jednego biédnego szaleńca?

— Biédnego! — zawołała Ahaswera — powiedz występnego! Możeż być co nikczemniejszego nad prześladowanie kobiety? Ja — jabym go jutro bez sądu kazała powiesić. Jednę już zabił, a drugą zamęcza. Pocóż uciekać z Rzymu? Ja także protestuję, bo chciałam z wami moję żalobę odsiedzieć. Przecież się od niego można zamknąć.

— Na ulicę wyjść nie będzie podobna — odparła Liza. — Takie życie w ciągłej obawie, ciągle na oczach tego prześladowcy, stałoby się nie do zniesienia.

Ferdynand, stojący za krzesłem siostry, po swojemu pojmujący całą sprawę, nakoniec wyrwał się po młodzieńczemu, nie mogąc wytrzymać:

— Przepraszam — zawołał głośno — ale, słowo honoru daję, przykro mi słuchać. A do czegoż myśmy się zdali, jeśli w takim razie nie możemy stanąć w obronie prześladowanej kobiety? Jabym nie za siostrą, ale za kimkolwiekbydz w tém położeniu zostającym, ujął się, wyzwałi przeproszył. Nam nic innego nie pozostaje (tu spojrzał na Wiktora), jak z tym jegomością się rozprawić.

I rozgrzany własném wystąpieniem, Fernando w postawie rycerskiej wyszedł na środek pokoju, nie mogąc już ustać spokojnie.

Liza jednym wykrzykiem zaprotestowała, a hr. August chwycił wzburzonego za rękę.

— Zmiłuj się, nie tak gorączkowo — rzekł. — To się na nic nie zdało, a nadałoby rozgłos niepotrzebny wypadkowi niemiłemu wprawdzie, ale niemającemu tak wielkiej wagi. Dać się zabić, albo nawet ranić, byłoby grzéchem, a jego sprzątnąć ze świata prawdziwą łaską. Dajże mu pokój; pogarda zabija daleko skuteczniej.

Ferdynand się zżymnął.

— Pojedynek w zasadzie jest niedorzecznością, choć bywa czasami nieunikniony — dodał hrabia. — Ta jednak wcale konieczności rozprawienia się z nim w walce niéma. On zaś, wątpię, by kogo wyzywał.

— Widzicie więc, panowie — żywo przerwała pani domu — że moja rada jest najlepszą. Ja wyjechać muszę i zniknąć mu z oczów.

— Droga moja! — jęknęła księżna Teresa — ja chyba za tobą i z tobą pojadę.

— Ja także — rzekła Ahaswera.

— Radbym i ja powiedzieć toż samo — odezwał się skromnie poeta — ale niestety, z Rzymu mi się ruszyć niepodobna i skazany zostanę nasamotność ze wspomnieniami żywemi, najprzykrzejszą ze wszystkich.

— A! — zwracając się do niego półgłosem rzekła Ahaswera — nie skarż-że się, bo nigdy sam nie będziesz, mając swój geniusz z sobą.

Było w tém trochę sarkazmu, lecz Emil Marya przyjąłto za dobrą monetę i ubrał się w pokorę.

Księżna szeptała pocichu coś Lizie, która potrząsała głową.

— Ach te nasze wieczory! — dodała głośniejszym głosem — jak ja po nich płakać będę! Nic mi ich nie zastąpi.

— Księżna masz tu tyle znakomitości znanych, poetów, artystów, dyplomatów — szepnął Wiktor.

— Prawda, ale wiesz pan co to są wieczory ze znakomitościami? Każda z nich naprzód chce być pierwszą, chce się czymś odznaczyć, popisać z sobą, wystąpić. Wieczór więc taki staje się estradą koncertową, na której z kolei popisują się wirtuozi... My w naszym kółku małym mówiliśmy poprostu o rzeczach które kochamy miłością wielką, a znakomitości nie kochają nic, oprócz siebie.

Wśród tych uzalań pani Liza wstała z kanapy, zbliżyła się do Wiktora, wcale nie wstydząc się świadków, pociągnęła go z sobą i poszła na cichą rozmowę na balkon.

Wtém Ahaswera żywo podbiegła do księżny Teresy i przy niej usiadła.

— *Dites donc* — poczęła z gorączką i pośpiechem — szukacie wszyscy jakichś nadzwyczajnych środków, a najprostszego, najnaturalniejszego nie widzicie. Niech się ci państwo pobiorą! wtedy wszystko się skończy jaknajśliczniej.

— Cicho! — przerwała grożąc księżna Teresa — mówić z nią o tém dotąd nie można. Nie znasz tak dobrze jak my jęj przeszłości, nie wiesz co wycierpiała. Na wspomnienie małżeństwa, choć ona sama pragnąc go może, ogarniają strach paniczny.

Ahaswera się zamyśliła i zawahała głową.

— *J'en sais aussi quelque chose* — przebaknęła pocichu. — Któż wie, może ma i słuszość. Mam doświadczenie najlepsze, że małżeństwo jest nieochybnym zawodem. Znamy się tak w salonie, choćby najpoufalej, ale pewnymi konwenansami rozgrodzeni, niby to się uczymy swych charakterów, gustów, przed ślubem oglądamy się wzajemnie — ale po ślubie! po ślubie! Cogodzina to niespodzianka; motyle stają się poczwarkami. Słabe strony ludzkie wychodzą na wierzch i psują nam wrażenie tego, co było pięknem i dobrem. Następują rozczarowania i niesmaki, obojętności i wstręty. O! — westchnęła — nieszczęśliwe my jesteśmy!

— Widzisz więc że Liza, tworząc sobie szczęście idealne, ma więcej rozumu od nas. Pozostaną dla siebie nazawsze pięknymi temi postaciami, jakie ukochali.

Ahaswera wydeła usta, zrobiła minkę dziwną i spojrzała ku balkonowi ostrożnie.

— Mówi się to tak i marzy — (tu uśmiech przebiegł jęj zmiętą twarzyczkę) — ale czy księżna wierzysz w to, aby, kochając się, młodzi ludzie mogli długo pozostać tak... rozumiesz mnie?...

Księżna Teresa, choć rozmawiały pocichu, a August z Ferdynandem i poetą stali na stronie, zarumieniła się, jak panienka.

— Cicho! nie znasz Elizy! — zawołała, głos zniżając.

— Kochana moja, znam siebie i kobiety, znam mężczyzn! O! wiele, wiele miałam doświadczeń w życiu! — Potrząsnęła głową. — *Position fausse!* próba niebezpieczna.

Księżna Teresa zbierała się na odpowiedź, gdy Liza z Wiktorem weszli z balkonu nazad do salonu. Rozmowa przerwać się musiała.

Hrabia August spójrzył na zegarek i westchnął, zbliżając się do gospodyni.

— Powinniśmy panią pożegnać, a nigdy tak trudno jak dziś ztąd wyjść nie było. A, pani! kiedy nam wrócą wieczory na Via Sistina?

— Myślisz, hrabio, że i ja z tęsknotą i wdzięcznością dla was wspominać ich nie będę? Podała rękę Augustowi.

— Przyjaciele starzy nie opuścicie nas przecie! Znajdziemy się gdzieś, zwołamy i wybierzemy sobie kątek spokojny, aby w nim żyć znowu jasnym słowem i tęskną myślą.

— Nie opuszczaj-że nas pani przynajmniej tak nagle, bez opowiedzenia — dodał August — pozwól czuwać nad sobą.

— Nie ucieknę tak bardzo prędko — uśmiechnęła się gospodyni — pomówimy o tém jeszcze.

Wszyscy goście za przykładem hr. Augusta poruszyli się; Ahaswera spojrzała na zbiedzzonego poetę, ulitowała się nad nim i uszczęśliwiła go, oznajmując że ma jęj do domu towarzyszyć... Hrabia August wyszedł pierwszy, a choć wieczór był cudny i w ulicach życia wiele, wprost już pociągnął do mieszkania.

Robiło mu to tylko przykrość, że w tym samym hotelu pod bokiem miał hr. Filipa, a dawne stosunki narazić go mogły na spotkanie z nim. Myślał jeszcze, jak tego uniknie, gdy w bramie hotelu spostrzegł go, jakby na straży wyczekującego. Chodził wielkimi krokami, z głową spuszczoną, mówiąc coś sam do siebie. Słyszając chód, podniósł oczy i, poznawszy Augusta, szybko się zbliżył ku niemu. Nadchodzący chciał go uniknąć, ale zastąpił mu drogę.

— Nie możesz mi odmówić chwili posłuchania — odezwał się głosem, w którym brzmiało nadzwyczajne, rozpaczliwe podrażnienie.

Krok w krok podążył za nim nagórę. Razem weszli, gdyż nie dał się milczeniem zimnym odstraszyć.

Spojrzał przy podaném świetle na twarz hr. Augusta, która była surowszą, poważniejszą jeszcze niż zwykle. Zacięte jego usta, namarszczone czoło dawały poznać, iż ani rozmawiać, ani słuchać nie miał ochoty.

— Potępiasz mnie więc i ty? — rzekł głosem stłumionym — i ty, i wszyscy... Rzecz jest skończona ze mną. Zostałem wyklęty, *anathema!* Uśmiechnął się szydersko. — Nie mam nawet od kogo żądać zadośćuczynienia, bo z tym bezimiennym włóczęgą jakimś bić się nie mogę.

— Nie rozumiem do czego cię pojedynek doprowadził? coby ci on pomógł — rzekł August niecierpliwie.

— Przynajmniejbym pragnienie jakiegóś zemsty nasycił — zawołał Filip, bijąc się w piersi.

— Zemsty? za co? Mścij się na sobie — dodał gospodarz, zaczynając się rozbiierać, aby dać poznać, że chce sam pozostać.

Filip przeszedł się po pokoju.

— Więc, na Boga, powiedz mi, co pozostaje do czynienia? Cóż muszę począć, jakiś koniec temu być musi! — krzyknął Filip.

— Potrzeba rady szukać w samym sobie — odparł August surowo. — Sumienie ją podyktować powinno.

— Co tam sumienie! pragnę zemsty i nie widzę przed sobą nad nią nic więcej. Drogi innej nie ma — rzekł Filip.

— Zdaje mi się, że żal i skrucza pozostają ci jeszcze — z niecierpliwością odezwał się August.

Hrabia Filip zaśmiał się swym zwyczajem, sucho i szydersko.

— To nie dla mnie — rzekł ironicznie — ja tych potraw nie jadam.

Znowu w milczeniu przeszedł się po pokoju, spoglądając na gospodarza, który, jak gdyby gościa nie miał, rozbiierał się i zajęty był około swego stolika. Ta obojętność jego i grzeczna odprawa poskutkowały nareszcie.

— Być może — odezwał się, biorąc kapelusz, który rzucił był na kanapę — iż mi się wypadnie oddalić i że się nieprędko zobaczymy z sobą. Nie wiem jeszcze co pocznę. *La nuit porte conseil.* Na wszelki wypadek jednak pozwól się choć pożegnać.

Hrabia August zdaleka się skłonił w milczeniu. Popatrzyli na siebie, a potem Filip wolnym krokiem poszedł ku drzwiom i wysunął się z pokoju.

Gdy nazajutrz rano, obudziwszy się, spytał o niego August, powiedziano mu że wyjechał nadedniem. Dokąd... nie wiedział nikt.

Uradowało to prawie Augusta, który jak tylko mógł najspieszniej pobiegł na Via Sistina. Tu znalazł już jakby przygotowania do podróży; Ferdynand zakłopotany i smutny stał w proggu, wnoszono kufrы.

— Czekał — zawołał przybywający — przychodzę z dobrą nowiną. Zdaje mi się że wszystko to niepotrzebne. Hrabia Filip wyjechał w nocy. Żegnał się zemną jakby na długo, nie macie więc żadnego powodu do opuszczania Rzymu.

Na tę rozmowę nadeszła błada i smutna p. Liza, posłyszawszy głos hrabiego.

Powtórzył jęj wesoło, że hr. Filip sam pomiarkował, iż zwyciężonemu nie pozostało nic jak plac opuścić.

— Niéma go! — dodał — nie widzę więc powodu do opuszczania Rzymu.

Z początku pani Liza przyjęła wiadomość tę twarzą rozweseloną, lecz po krótkim namyśle głową potrząsnęła.



— Odjazd ten nagły — rzekła — jest mi podejrzany. Nie wierzę w taką pokorę i poddanie się, to może być tylko jakaś zasadzka. Nie ufam mu.

— Miałabyś pani słuszność — odparł August — gdyby pozostawała mu jaka droga inna nad wycofanie się, po wszystkich popełnionych niedorzecznościach; ale cóż miał począć?

— Nie wiem — rzekła Liza — czuję tylko, że spokojną być nie powinnam i nie mogę. Posądzam go że się domyślał, iż ja mu ujdę i ustąpię; wołał więc może sam pozornie zniknąć, niż szukać mnie i moich po świecie. Panu Wiktorowi, równie jak mnie i Ferdynandowi, bezpieczniej gdzieś innego szukać kątką...

— A nam osieroconym... — westchnął August.

Liza wyciągnęła mu rękę.

— O! my się gdzieś znajdziemy! — szepnęła.

---

Dwa lata upłynęły i była znowu wiosna, lecz inna wcale, bo pod niebem nie włoskiem, bo w kraju, w którym zima bywa jak u nas długa i ostrą, a po tym śnie szybko, nagle, w oczach prawie, wszystko się rozwija i życie wraca, jak wstrzymany potok, z podwójną siłą. Drzewa stały już w swym majowym stroju, łąki w szmaragdowych kobiercach, niebo śmiało się bladym lazurem łagodnym, a w rzekach odbijało się jakimś tonem, który żenił powietrze z ziemią.

Niedaleko od brzegu Elby, na wzgórzu, stała willa, otoczona rodzajem parku, starymi drzewami ocienionego. Prawie pod jej kwiatowy ogródek, zasadzony przed gankiem i werendą, podchodziły wody rzeki, od których wylewu gruby mur bronił. Po za willą i parkiem jej stromo, wysoko wznosiły się piaskowe ściany żółte tego, co to zowią Szwajcaryą saską, u góry sosnowym i świerkowym lasem porośłe. Potok jakiś przed laty wyrwał w skalistej ścianie drogę, przerznął ją, wyłobił, porozbijał głazy, podmył ich podstawy i wyłobiał wąwóz, który poza parkiem uciekał gdzieś w góry i lasy, a sterczące nad nim boki kamienne, rozsypujące się w proch, miały już czas porosnąć gęsto w drzewa i krzewy. Oko, sięgając w głąb, gubiło się w gąszczy zielonej, poprzerzynanej słupami drzew, a gdzieś tam malowniczo popstrzonej nagimi głazami. W łożysku starego potoku płynął teraz strumień cichy, po burzy i deszczu tylko wzbierający, a porozrzucane złomy kamieni białawych, żółtych, pomarańczowych zmuszały wody przerzynać się, spadać i mruczyć pocichu.

Ścianami wysokimi zakryta willa ze swym ogrodem, winnicą, kwiatami, wieżyczką, werendami, balkonami uśmiechała się zalotnie płynącym Elbą statkom i przeciwnym brzegom.

Obok, ponad brzegami jej w lewo i w prawo ustawione, przedzielone od siebie zielenią i skałami, stały jak zajrzeć wille, domki, chatki, kamieniczki, małe i wielkie budowle, służące latem za przytułek szukającym powietrza, ciszy i spokoju.

Niektóre z nich smakiem nowszym zdradzały młodość, inne dachami wysokimi, małymi oknami, prostotą budowy, choć odświeżone, mówiły o czasach dawnych.

Ogromne łomy kamienia, nagromadzone u brzegów zapasy jego, poprzywiązywane do brzegów barki, kręcący się robotnicy, niekiedy garstka miejskich gości, w jaskrawszych strojach, ożywiały dość pustą okolicę.

Przewoźnicy czółnami cochwila przerzucali z jednego brzegu na drugi turystów i mieszkańców, powracających z miasta i miasteczka.

Krajobraz, uśmiechnięty dobronudownie, w prawo i lewo ukazywał malownicze brzegi rzeki, wzgórze piętrzące się urwistymi bokami, gaje, sady, białe domy, czerwone dachy, kłęby drzew w dolinie, czarne lasy na wyniosłościach, i jakbypoustawiane naumyślnie fantastyczne ściany kamienne. Ale skały te, mimo powagi jaką sobie chciały nadawać, dla oczu do alpejskich okolic nawykłych, wydawały się jakby stworzone na to, żeby bawiły niewinnych turystów, a mieszkańcom dawały się krajać i sprzedawać. Trudno je było brać naseryo. Była to zabawka natury grzecznej, ale nie pamiątka tragicznej katastrofy.

Zaden wulkan tu nie wybuchał i stara granitowa skorupa ziemi nie podniosła się groźnie do góry. Zmarszczyły ją tylko kaprysy dziecinne.

Nawet w strasznym owym wąwozie ciemnym poza willą, wesoło było, zaciszno, i zbliżywszy się do tej głębinie, znajdowałeś w niej gniazdo zielone. Uboższe domki, które się

wstydziły wyjść na światło dzienne ze swemi łatanemi bokami, kryły się tu poprzylepiane do skał nad strumieniem, niekiedy w samą skałę tuląc się od zimna.

Ścieżyny wiodły bokami, wydeptane fantastycznie, wśród gąszczy, a idąc niemi, spotykał podróżny ciągle niespodzianki.

W tym dzikim jarze nagle zabielał dworek i różami zasadzony pachniał ogródek. Chatka była uboga, a w kwiatki bogata. I kwiatki rosły tu w dobrej zgodzie z grządką skromnej pietruszki, z kapustą i rzodkwią.

Wśród czarnych gałęzi sosen, wychylała się, obsypana kwiatami różowemi, jakby wiązanka bzów wonnych.

I tu było życie...

Tój wiosny zawczasu około willi, na której czole stał napis: *Sistina*, domki były pozajmowane przez przybyszów; właściciele wróżyli z tego, że ów prąd cudzoziemskich gości, który się od saskiej rezydencji odwrócił, znowu się ku niej skierował. Wszystkich mieszkających, przybyłych, najmujących, w czambuł Sasi tytułowali baronami i hrabiami, a gotowi byli tytułować i książęty, byle z góry płacili.

*Sistina* była już od roku nabyta, bo wprzód zwała się podobno willą Flory czy Rosy, inne zaś w sąsiedztwie ponajmowane przez towarzystwo, o którym stary Lehman, właściciel jednej z nich, twierdził, że to być musi rodzina, bo wszyscy ciągle żyli z sobą.

W *Sistinie*, urządzonej już wedle gustu nowej właścicielki, zbierano się najczęściej, bo tu było najobszerniej, najwygodniej i widok na okolicę najpiękniejszy. Obok druga, dosyć także sporych rozmiarów, mieściła jedną tylko panią.

Z przeciwniej strony, w mniejszym domku, mieszkał siwy, sam jeden mężczyzna; jeszcze dalej, na małym pagórku w fantastycznym gotyckim domku, pani z której Niemcy nie byli kontenci, bo zwali ją niespokojną i zbyt wymagającą.

W tych gościach nadelbiańskich łatwo się czytelnik domyślił zbiegów znad Tybru, którzy tu przytułku szukali. W *Sistinie* mieszkała pani Liza z bratem, w *Villa Maria* księżna Teresa, w domku jednym hr. August, w gotyckiej budowelce niecierpliwa i nie lubiąca Niemców księżna Ahaswera, dotąd jeszcze wdowa, mocno sobą i swym stanem znudzona, więc nieobiecująca tu długo pozostać.

Wieczór był piękny, a w ogródkach bzy rozkwitłe pachniały; na niebie pokazywały się gwiazdki i białe pływały obłoczki. W salonie na piętrze w *Sistinie*, przede drzwiami na balkon otwartymi, siedziało całe znane nam towarzystwo. Brakło tylko poety, który musiał pozostać na swém poddaszu, z rezygnacją geniuszu, który wie że męczeństwo dodaje mu blasku.

Ten cichy, z łagodnym powietrzem i wonią swą miłą wieczór, tak niepodobny do spędzanych wśród Rzymu, ten krajobraz tak skromny, wioskowy, to niebo umalowane tak miękkimi tony, sine a mgliste oddale, coś tęsknego i sielankowego, dosyć się podobały znajomym naszym, oprócz Ahaswery, która utrzymywała że ludność ma tu krew rybią, a kraj jest jakby półsenny.

Zmierzchało już i na zachodzie tylko widać było jaskrawszą lunę, która z za wzgórzów świeciła jeszcze. Czekało z herbatą wieczorną na powrót pana Ferdynanda, który tego dnia wybrał się do stolicy i miał statkiem przepływającym od Czech przyjechać na oznaczoną godzinę.

Ale statek nie wysadził go na brzeg i siostra zaczynała być o niego niespokojną, choć w Saksonii mniej niż gdzieindziej może grozi niebezpieczeństwo spóźnionym podróżnym.

Hrabia August dowodził, że roztargniony młodzieniec statek chybić musiał i zapewne przybędzie koleją do najbliższej stacyi.

Jakoż wistocie spostrzegła go księżna Teresa, przewożącemu się czółnem i dającego chustką znaki.

Razem z podwieczorkiem, zjawił się Ferdynand w salonie. Wszedł i choć nadrabiał wesołością, oko siostry coś dostrzegło na jego twarzy, niby ślad troski i zakłopotania.

— Co ci jest? — spytała.

— Mnie? nic a nic! — rozśmiał się Ferdynand. — Zły tylko byłem na siebie, żem do statku przybiegł, gdy był o kilkaset kroków od przystani.

— Pewnieś się pan na jaką ładną Saksonkę zapatrzył — wtrąciła Ahaswera, grożąc na nosku niekształtnym. — Mają one przecie sławę piękności.

— Musi to być chyba pamiątką znikłej przeszłości — rzekł Ferdynand. — Tymczasem owo plemię, o którym mówiono: *Wo schöne Mädchen wachsen*, zastąpione zostało jakiemiś inném. Twarz ładną zobaczyć trudno, a gdyby się ją znalazło, reszta postaci rozczaruje.

— Bacznie się pan przypatrywałeś — dodała Ahaswera.

Ferdynand ruszył ramionami.

— A! nie Włoszki to, brudne wprawdzie, zaniedbane, wysmarowane oliwą, ale jak boginie piękne, typowe, wielkiej krwi i wielkiego stylu, coś w sobie bohaterskiego i klasycznego mające... To biedny narodek, zapracowany, wątły choć czasem dogóry strzeli, jasnowłosy, płaskonogi, chudy albo nabrzękły.

Ahaswera się rozśmiała.

— Włoszek ci żal, panie Ferdynandzie, a mnie włoskiego kraju; bo tam, jakie jest to jest, ale drga życie. Tu ludzie wegetują.

Zdania były podzielone. Księżna Teresa w dobroci serca swojego broniła Sasów i szukała w nich stron dobrych, znajdowała ich sympatycznymi.

Gdy tak rozprawiano. Ferdynand nieznacznie wyciągnął na balkon hr. Augusta i szepnął mu:

— Wiész hrabia kogom widział w mieście?

— Miałżeby Wiktor przybyć, na którego czekamy i który jużby powinien wrócić ze swój wycieczki do Rzymu? — spytał August.

— Nie tailibym się z tą dobrą nowiną — rzekł ciszej Ferdynand. — Na zamkowej ulicy spotkałem hr. Filipa.

Wzdrygnął się August.

— Widział cię? — zawołał żywo.

— Niestety! gorzej, bo mi się zdala z uśmieszkiem uklonił — kończył Ferdynand.

Zamilkli; zasępił się hrabia.

— Wistocie to nowina nieprzyjemna, po dwóch leciech mieć go znowu, jak zawieszony miecz Damoklesa nad głową. Ani słyhać już o nim nie było; myśleliśmy że do kraju powrócił. Czy sądzisz że jest tu umyślnie?

— Nie wiem, ale z szyderskiego wyrazu twarzy ledwiebym go o to nie posądził — mówił Ferdynand i zamyślił się głęboko. — Trudnoż nam przed nim uciekać.

— Spodziewam się że nas tu do Schandau gonić nie będzie — rzekł August. — To przypadek... Nie mów o tém siostrze.

— Nie myślę jój tém niepokoić, chociaż złożyło się dziwnie, boć Gorajski lada chwila przybędzie.

— W Dreźnie się o nas nie dowie — rzekł August. — Nie śledził cię przecie?

— Dlatego się opóźnił, żem się tego obawiał — przebaknął Ferdynand zmieszany.

Rozmowę przerwało powołanie do herbacianego stolika. Obaj panowie przyszli doń, udając wesołość, której nie mieli.

Poczta wieczorna przyniosła list od Wiktora, pisany z Monachium i zwiastujący przybycie jego za dni kilka.

Pani domu była w najróżowszym humorze, starając się go i w gościach rozbudzić. Trzpiotała się po dziecinnemu i nie tała z tém, że ją obiecane przybycie Wiktora czyniło tak szczęśliwą.

Księżna Teresa uśmiechała się, dzieląc tę radość; ale hr. August i mniej jeszcze od niego do odegrywania uczucia, jakiego nie miał w sobie, zdolny Ferdynand, psuli pani Lizie ten wieczór.

Czuła że coś im ciężyło, a brata znała tak dobrze, iż od wstąpienia jego na próg już się czegoś domyślała. Nie uszło jój oka, że wyszli nabalkon i szepotali długo, a posępna twarz i poruszenia siwowłosego przyjaciela dały jój do myślenia. Nie chciała dopytywać się o to, co przed nią ukrywano, ale wiedziała, instynktem kobiecym odgadując, iż coś — coś zaszło niezwyčajnego.

Ferdynand miał różne osobiste przygody, na które siostra oczy zamykać musiała, wiedząc o nich potrosze; ale nie mogło to być nic podobnego, gdy się o tém z Augustem naradzał. Więc cóż?...

Trochę niepokoju i ją ogarnęło. Chłodny i szybko nadchodzący wieczór, wkrótce po herbacie zmusił gości do rozejścia się. Pani Liza odprowadziła razem z Ahaswerą księżnę Teresę do jój domu, potem drugą przyjaciółkę do gotyckiej willi. Ciemno już było, gdy

z Fernandem, który jęj towarzyszył, zawróciła się do Sistiny. Po drodze wesół zawsze i trzpiotowaty brat był milczący.

— Cożes to takiego przywiózł z Drezna — spytała siostra — żeś zupełnie nieswój? Nie wymawiaj mi się, bo znam cię zbyt dobrze, bym się mogła omylić. Mów otwarcie, co to być może?

— Ale nic! nic niema! to ci się przywidziało — odparł Fernando.

— Czy masz osobistą jakąś przygodę, coś w czémbym ja ci radzić lub pomódz mogła? — dodała Liza.

Brat się rozśmiał nieszczerze.

— Daję ci słowo że niema nic... Cóżby być mogło?

Dopytywania czy nie odebrał czasem listu jakiego z domu, któryby chciał przed nią utaić, doniesienia o jakiej stracie i t. p., wywołały tylko najuroczystsze zaręczenie, iż nic podobnego nie przyszło.

— *E pur si muove!* — z westchnieniem zakończyła Liza. — Nie chcesz mi powiedzieć; nie umiem wymódz tego na tobie, zatem... dobranoc!

Dzień następny upłynął, jak zwykle. Zkolei obiad był u księżny Teresy, herbata u Ahaswery; trochę dészczu i burzy przeszkodziło wieczornej przechadzce po wąwozie i nad rzeką.

Troska, którą wyczytała na czole brata i Augusta, choć nocą nieco zatarta, jeszcze i tego dnia była dla postrzegawczego oka p. Lizy widoczną. Wieczorem hr. August zapowiedział, że pojedzie do miasta, że chce raz jeszcze zwiędzić muzeum, potem obejrzyć rezydencyą, i nie powróci aż wieczorem.

Było to tak zwyczajném i często powtarzającym się, że żadnych obudzać nie mogło domysłów. Dano różne małe polecenia posłowi, który się z nich zawsze bardzo szczęśliwie wywiązywał.

Wistocie August, który był tak poufale niegdyś z Filipem i sam jeden mógł się pochłubić, że nań wpływ jakiś wywierą, miał nadzieję spotkać się z nim, w potrzebie nstręczyć mu się i zbadać co go tu sprowadzało.

Najpiérwszy statek, zatrzymujący się w Schandau, zawiózł go do Drezna. Hrabia napród poszedł do biura pod Frencukirche, gdzie doskonale zawsze informowana policja, z łatwością dała mu adres hr. Filipa, stojącego w hotelu Saskim.

Nie miał na myśli odwiedzić go hr. August, ale znając doskonale obyczaje drezdeńskie, wiedział iż po obiedzie niezawodnie znajdzie go na owej sławnej niegdyś terasie u Torniamentego.

Przebiegłszy galerye, posiedziawszy przed madonną Rafaela i Holbeina, postawszy przed cudownym Chrystusem Tycjana (*Christo alla Moneta*), hrabia poszedł zjeść na terasie i z cygarem posunął się na kawę do Włocha.

Zdała już ujrzał tu siedzącego na ławce hr. Filipa i rachuba go nie omyliła. Parę lat niewidzenia wielkiej w nim nie zrobiło zmiany; nietylko że starszym i mizerniejszym nie wyglądał, lecz zdawał się, jak kobiety, które czasem drugą jesienną młodością zakwitają, być świeższym, zdrowszym i twarz miał niemal wesołą. Na widok jednak hr. Augusta, którego poznał zdaleka, oblicze jego się zachmurzyło. Poruszył się niecierpliwie, chwilę jakby walczył z sobą, a potem nagle wstał i może obawiając się, by go hrabia August nie pominął, sam śpiesznie poszedł ku niemu.

— Wolno się choć przywitać? — zawołał, zdejmując kapelusz.

— Witam — odparł zimno August. — Niespodzianka to dla mnie.

— Sądzę że nie w téj chwili — rozśmiał się Filip. — Niespodzianką być musiała wiadomość o mnie, którą zawiózł wam Ferdynand.

Po chwilce namysłu, hrabia potwierdził to poruszeniem głowy.

— *Et l'on révient toujours à ses premiers amours...* — zanucił Filip. — Niemcy zaś powiadają: stara miłość nie rdzewieje. Jeśliście sądzili, że ja się wyrzekł zemsty — dodał niby żartobliwie — to mylicie się. Uciekaliście przedemną, lecz kto chce i musi, ten znajduje.

Hrabia August popatrzył nań długo, smutnie.

— Nie do pozazdroszczenia zadanie — rzekł — nosić się tak lata całe z zemstą, jakby z zażęciami węglami. Więcej się cierpi samemu, niż uczynić może złego.

— Hrabia wiesz że ludzie, gdy są rozgorączkowani, wyegzaltowani, nie czują ani ognia, ani bicia — wtrącił Filip. — Tak właśnie zemną: poczuję coś tylko wówczas, gdy się pomszczę.

— Za co? — zapytał, ruszając ramionami, August.

— Za moje cierpienie.

— Nawet szaleństwo powinno mieć pewną logikę — rzekł zimno August. — Ja jej nie widzę w tém, gdy kto za winy swoje karać chce drugich.

— Bah! *c'est comme cela!* — z szyderstwem i uśmiechem zakończył Filip.

Hrabia August usiadł i kawy kazał podać. Filip swoją przeniósł do niego i był ruchawy jakiś i mimo tych gróźb mściwych, dziwacznie wesoły. Rozpoczął rozmowę obojętną.

— Nie lubię Drezna i téj terasy — rzekł — może dlatego, że chwałą je i sławią drudzy, bo to jest w mojej naturze. Ale tu wszystko śpi i osobliwie trywialną, pospolitą ma powierzchowność. Nie jest to wielkie miasto, ale rezydencja, jak mówią Niemcy, a że dwór, co jej blask nadawał, niezbyt teraz błyszczy, więc i ona przygasa. Państwo, jak słyszałem — dokończył — wszyscyście zamieszkali w okolicy. Nie wiem jak tam nie umrzecie z nudów.

Spojrzał na Augusta szydersko.

— Zkąd-że wiesz, że mieszkamy i kto mieszka? — zapytał August zdziwiony.

— A jakżebym ja nie miał o tém wiedzieć? — odparł Filip. — Przecie poto przybyłem do Drezna. Wiem że obie księżne są z panią Lizą i z hrabią w Schandau, gdzie spodziewam się że i pan Wiktor być musi, choć o nim jeszcze stanowczego języka nie powziąłem; lecz i do tego przyjdę czasem.

August kawę popijał w milczeniu, a Filip ze złościwością ciągnął dalej, jakby chciał go męczyć umyślnie.

— Szukam i ja willi w okolicy, aby być państwa bliżej.

— To będzie doskonały sposób wypędzenia nas — rzekł August zimno.

— Przedemną schronić się może trudno — odparł Filip.

Słuchający zżymnął się tylko. Patrzył na widok, który miał przed sobą, nie chcąc już odpowiadać. Prędko dopiwszy kawy, wstał z krzesła, skłonił się Filipowi zdala i żywym krokiem poszedł ku przystani, w której właśnie statek się gotował do odejścia.

Filip, oddawszy ukłon, nie ruszył się, powiódł oczyma za odchodzącym i został na terasie. Z oburzeniem oddalał się hr. August. Mówić dłużej, chcieć ubłagać i nawrócić tego człowieka, zdawało mu się niepodobieństwem, a miał we zwyczaju tam, gdzie nic nie było do zrobienia, marnie słów nie tracić.

Postanowił w duchu nie taić już przed panią Lizą bytności Filipa, a że pora kąpeli i wód nadchodziła, wybrać się gdzieś do jakiegoś mało znanego kątku, w którymby ich niełatwo znaleźć było można. Ahaswera i tak już życzyła sobie zmienić miejsce pobytu, a księżna Teresa gotową była towarzyszyć przyjaciółce wszędzie.

Prędzej, niżeli się go spodziewano tego wieczora, wrócił hr. August. Pani Liza, witając go, popatrzyła nań i dostrzegła potwierdzenie swych domysłów.

— Kochany hrabio — rzekła — ty i Ferdynandcós taicie przedemną. Powracasz nam chmurny jak noc.

— Nie będę taił — odpowiedział hrabia — w Dreźnie jest Filip. Mówiłem z nim.

Liza, która się zawsze obawiała jakiegoś gwałtownego starcia między nim a Wiktorem, pobladła. Ahaswera porwała się z kanapy i przybiegła, wołając:

— Filip? tu? i cóż? zmiłuj się!

— Dwa lata nie poprawiły go wcale; tak szalony jest, jak był. Zapowiada nam przyjemne swe sąsiedztwo, bo chce willę nająć w Schandau.

Wszyscy jakby głosem jednym zakrzyknęli, a najkrzykliwiej Ahaswera zawołała:

— *Mais c'est infâme!*

— Ja się ztąd wynoszę — rzekła Liza. — Willę moję wynajmę, czy niech sobie stoi pustką. Nie zniosę sąsiedztwa tego człowieka!

Łzy się jej w oczach zakręciły.

— Wszyscy pojedziemy ztąd — dodała księżna Teresa. — Ale dokąd?

Hrabia August rękami tylko okazał, że wybór był trudny.

— Musimy się Gorajskiego doczekać — zawołała p. Liza — a potem... Lecz tu tak nam się obiecywało życie ciche, spokojne, miłe!

Padła na krzesło, prawie zrozpaczona. August się przechadzał żywo po salonie.

— Miałem myśl — rzekł — abyśmy się gdzie u jakich mniej znanych wód na Szlązk czy do Turynii udali; lecz, koniec końcem, wiecznie tak uciekać i być gonionymi, to może zatruć życie. Temu śmiesznemu niebezpieczeństwu lepiejby może stanąć oko w oko i raz się z nim rozprawić.

— Ja — wtrącił Ferdynand — ja bo do rozprawy mam niepomiarłą ochotę. I owszem! głosuję za tém.

— Nie tak jak ty to rozumiem — rzekł August. — Należy go, nie ruszając się z miejsca, czekać i poprostu bronić mu się środkami, jakich się zwykle używa w obronie spokoju.

— Coż? wskazać go policji? — rozśmiał się Ferdynand. — Ale pfe!

— Tęj pomocy potrzebować nie będziemy — dołożył August. — Byle panie się nie obawiała, ja sam na siebie straż nad nim biorę.

— A ja przy pierwszym spotkaniu tak go zbesztam — gwałtownie wybuchnęła Ahaswera — że mu odejdzie ochota zachodzić drugi raz drogę. — Na honor! hrabia masz słuszość. Nie trzeba się ruszać, ale bronić.

Liza się uśmiechnęła boleśnie.

— Zdaje mi się że państwo się mylicie — rzekła. — Przeciw napaści można się bronić, ale hr. Filip nadto jest przebiegły i zręczny, aby się na to narażał. Poprostu publiczną drogą chodzić nam będzie pod oknami, koło ogrodu, krzyżować się z nami na przechadzkach, gonić nas w wycieczkach. Tęgo mu nikt zabronić nie może, a dosyć będzie podobnego natręctwa, aby namzatrął tu życie. Dosyć będzie jego twarzy i uśmiechu, nastęrczających się cochwila, aby nie dać wyjrzyć oknem, wyjść na balkon, przesunąć się z jednego do drugiego domku swobodnie.

— To prawda — zawołał August — a jednak ja głosuję za tém, abyśmy nie uciekali przed groźbą. Czekajmy, zobaczymy co pocznie, a to nam wskaże, jak bronić się mamy.

— A! dla mnie już od dziśdnia zaczyna się męczarnia — dodała Liza — tém większa, że Gorajski przybywa, że o niego będę w obawie i o to, co on zniecierpliwiony może przedsięwziąć.

Tak wieczór cały prawie upłynął na smutnych rozprawach i przypuszczeniach. Jeden tylko Ferdynand, zatopiony w myślach, nie odzywał się prawie, a po rozejściu się wszystkich, drzwi pokoju zamknawszy na klucz, dobył pudełko z pistoletami, które zawsze woził z sobą, opatrzył rewolwer, naboje i wszystko doprowadziwszy do porządku, spokojniejszy spać się położył. Miał mocne postanowienie, nie mówiąc nic nikomu, nawet hr. Augustowi, przy pierwszej sposobności wyzwać Filipa i tém koniec nieznośnemu położyć prześladowaniu.

Jednakże ani dnia następnego, ani wciągu całego tygodnia nic nie dało powodu do obawy, aby Filip miał spełnić swe pogroźki.

O kilkadziesiąt zaledwie kroków od gotyckiej willi księżny Ahaswery, stała nienajęta tak zwana Villa Bellavista. Obszerna i zbyt kownie urządzona, kosztowała zbyt wiele, aby się na nią łatwo mógł znaleźć amator. Pan Lehman, który wiedział o wszystkim, co się od Schandau do Drezna działo, a nawet ztąd aż do Bodenbachu i Cieszyna, oznajmił księżnie w rozmowie, iż Bellavista przez jakiegoś polskiego bogatego grafa najętą nareszcie została i że się on wkrótce tu przenosi. Popłoch to wielki zrobiło między mieszkańcami sąsiednich domków, gdyż Ahaswera była pewną że nie kto inny był tym grafem, tylko Filip.

Po kilku dniach jednak okazało się, iż on to być nie mógł, gdyż Bellavista najętą została dla jakiegoś młodego małżeństwa. Z tą wiadomością przybiegła od Lehmana księżna, śmiejąc się z własnego strachu i oznajmując p. Lizie, że tym razem ktoś-to był inny.

Jakoż następnego dnia dwa w Dreźnie najęte ekwipaże przywiozły młode jakieś państwo, liczną służbę i mnogie pakunki. Przez cały dzień widać było krzątanie się około willi, bieganinę ludzi, a nad wieczorem białą sukienkę jakiejś młodej pani, słusznego wzrostu, przechadzającej się po ogródku.

Nie miano wielkiej ciekawości dowiadywania się o tych sąsiadów, których nazwisko wszystko wiedzący Lehman przyniósł dobrowolnie, ale tak przekręczone, iż z niego ledwie się czegoś polskiego domyśleć było można.

Dnia następnego obiad był u księżny Teresy. Obawa napaści hrabiego Filipa przechodziła; cochwila spodziewano się przybycia Wiktora, którego galerye monachijskie wstrzymywały.

Jadano tu zwykle na saski sposób, około drugiej godziny, aby mieć wieczór do wycieczek swobodny. O pierwszej wszyscy byli zgromadzeni u księżny Teresy, gdy powóz zatrzymał się przed domem i służący Niemiec przyszedł, zapytując czy, księżna przyjmuje sąsiadów z Bellavista, którzy jej chcą złożyć uszanowanie. Przytém wymienił nazwisko, zupełnie nie do zrozumienia skalęczone.

Zdziwiona trochę księżna sama nie wiedziała co począć, ale nie mogła grzeczności odtrącić; kazała więc prosić.

Wszyscy byli zgromadzeni w salonie, gdy drzwi się otworzyły i... wszedł hrabia Filip, prowadząc pod rękę kobietę niemającą może więcej nad lat osiemnaście, nadzwyczajnej piękności, z twarzą wesołą i trzpiotowatą, po której igrał uśmiezek zadowolenia z siebie, jakby mówić chciała:

— Patrzcież, jąkam ja śliczna! patrzcie i uwielbiajcie!

Na twarzy hr. Filipa widać było i pewne pomieszanie, i złośliwość i coś tryumfującego. Spojrzał zdala na hr. Augusta, jakby mu chciał powiedzieć:

— Oto jest zemsta moja.

Towarzystwo zebrane w salonie oniemiało w pierwszej chwili. Zdziwienie było tak wielkie, nadzwyczajne, że stłumiło wszystkie inne uczucia, które mogły się razem z niem objawić.

Pierwsza radością zabłysnęła twarz p. Lizy. Była mu wdzięczną, była niemal szczęśliwą, że takim *coup de théâtre* skończyły się jej niepokoje i męczarnie. Ahaswera jak w tęczę patrzyła w wesołą, młodziuchną hrabinę, która zdawała się jeszcze zachwyconą wszystkiem: życiem, światem, prześliczną swą toaletą, przepysznemi klejnotami, które ją trochę nadto błyszczącą czyniły. Hrabia Filip, jak gdyby cała przeszłość poszła na wieki w niepamięć, przedstawiał z kolei swoją Anulkę i polecał łasce wszystkich, a Anulka, której seryo trudno było wytrzymać nawet krótką chwilę, już się wyrwała szczebiotac i zdawała chcieć przypodobać wszystkim.

Dla znających jednak bliżej hr. Filipa, to wesele kobiety nieopatrznej miało coś w sobie straszego. Bawiła się, jak dziecię nad przepaścią.

Zdaje się że myśl ta, gdy patrzył na nią, przyjść musiała hr. Augustowi, w którego rysach przebijało się jakby politowanie. Księżna Teresa była uprzejma i zachwycona tą iskrzącą się młodością pięknej hrabiny.

Ahaswera zazdrościła jej nie męża, ale wieku tego i humoru.

Naostatek Ferdynand, wielbiciel pięknych twarzyczek, świeżych i z pączka wychodzących, stał zapatrzony z uwielbieniem.

Hrabia Filip, pomimo trudności zawiązania rozmowy, zręcznie dosyć wytłumaczył swe przybycie do Saksonii, jako podróż miodowych miesięcy, których nigdzie ciszej i miliej jak tu spędzić nie mógł, dodając iż mu się też poszczęściło, gdy *niespodzianie* znajdował tu tak dlań i dla żony drogę towarzystwo.

Sama pani przerwała mu żywo, tonem trochę parafiańskim, który młodość jej mogła tłumaczyć.

— A! bardzo tu ślicznie! Ja, co nigdy nie byłam za granicą, jestem zachwyconą. Jakie domki! jakie kwiatki! jakie sklepy... jak wszystko ładne! Nie wiem czy mi się zechce potem powracać do tej naszej zabrukaniej Warszawy.

Tym sposobem piękna Anulka zdradziła swe pochodzenie Warszawianki.

Po krótkiej wymianie kilku frazesów, hr. Filip, czując że pierwsze te odwiedziny krótkie być były powinny, dał znak żonie, a ta, choć niechętnie dosyć, zabrała się do pożegnania.

Ferdynand z wielką skwapliwością odprowadził ślicznego gościa do powozu.

W salonie patrzyli po sobie wszyscy długo, aż Ahaswera, uderzając w ręce, śmiać się zaczęła.

— A to prawdziwie doskonale! Zemścił się jak nie można lepiej... Biedna kobieta!

— Któż wie? — rzekł August — wydaje się być dotąd bardzo szczęśliwą.

Zdania i postrzeżenia były najrozmaitsze. Ferdynand, powracający z zaiskrzonemi oczyma, powtarzał ciągle tylko:

— Ależ piękna! ależ piękna!  
— *Beauté du diable!* — przerwała Ahaswera. — Powiedz lepiej: ależ młoda! nie wiem czy ma lat osiemnaście, a hr. Filip...

— Mało przeszło czterdzieści — rzekł August.

— Dla niego to smutne, ale dla niej — rozśmiała się Ahaswera.

— Państwo to bierzecie jakoś wesoło — rzekła Liza — a mnie ta para zrobiła wrażenie przejmujące boleścią.

— Kto to może być? Zkąd on ją wziął? — szepnęła księżna Teresa. — Niepodobna ażeby Filip popełnił mezalians.

— A mnie się zdaje — wtrąciła Ahaswera — że to panienka z wielkiego domu być nie może. Prawda że Filip jest milionowym panem, no, i tytuł coś znaczy; ale nie sądzę by z wielkiego domu dano mu taką młodziuchną panienczkę... na jego lata i na jego sławę...

— Wszystko jedno kto z domu — zawołał Ferdynand — ależ ładniuchna! ależ wesoluchna! Zemścił się hr. Filip.

Rozmowa o téj zemście i o obojgu nowożeńcach przedłużyła się przez obiad cały, do wieczora, a wieczorem na herbacie u pani Lizy, ile razy zaczęto mówić o czém inném, mimowolnie powracano do hrabiny Filipowej.

Śmiano się z Ferdynanda, który nie taił się, że na nim ta wiewióreczka, jak ją nazwał, nadzwyczajnie uczyniła wrażenie.

Nazajutrz rano był prześliczny, a że obawa spotkania się z hr. Filipem ustała, ciekawość zaś była obudzona, zrana rozpoczęto znowu przechadzki. Zwykle każdy sobie wybierał cel wycieczki, nie krępując drugich, i hr. August wymijał willę Bellavista, posuwając się dalej brzegiem Elby, gdy u furtki ogrodu posłyszał za sobą:

— Do nóg upadam jaśnie pana hrabiego!

Odwrócił się. We drzwiach stał dawny niegdyś kamerdyner jego, Szymon, w nowym fraku białym krawacie, pomimo rannéj godziny.

— A ty tu co robisz? — spytał hrabia.

— Jak jaśnie pan widzi, przystałem na służbę do jaśnie hrabiego Filipa — odparł Szymon, kłaniając się do kolan Augustowi. — Bardzom szczęśliwy, iż jaśnie pana w dobrém zdrowiu widzę.

— Dawno już jesteś u hr. Filipa?

— Będzie z rok; jeszcze się o panią nie starał, gdym służbę u niego przyjął.

— Jak wasza pani z domu? — spytał August.

Szymon, w swoim rodzaju arystokrata, bo zawsze po pańskich tylko domach służywał, uśmiechnął się trochę figlarnie.

— Z domu, proszę jaśnie pana, z domu? — uśmiech się powtórzył. — No, ponoć Wątróbska — rzekł cicho.

Machnął ręką.

— Ale piękna pani co się zowie, i dobra! słowo daję!

Hrabiemu Augustowi nie chciało się w dłuższe wdawać badanie; skłonił się Szymonowi i poszedł dalej. Tymczasem ów kamerdyner, dobrze zdawna znajomy ze służącym hr. Augusta, tegoż ranka poszedł go przywitać. Razem widać do Schandau pospacerowali na pilzneńskie piwo i wieczorem, rozbiierając pana, pan Stosiński miał co opowiadać.

Od niego dowiedział się hr. August, że pani Filipowa pochodziła z rodziny, o której Filip nie mówił wcale, bo nie było o czém. Siostrę miała za nauczycielem tańców, a brata przy jakiejś fabryce. Hrabia zobaczył ją przypadkiem, zajął się mocno i pod pewnymi warunkami ożenił. Rodzina dać musiała słowo, że zdala trzymać się będzie.

Filip zamierzał wykształceniem żony sam się zająć i pochlebiał sobie, że z niej zrobi co zechce.

Tymczasem Szymon zaręczał, że nim do tego przyjść miało, ona nim rzucała jak piłką, rozkazywała, śmiejąc się wyrywała z pod panowania i była dotąd panią w domu. Hrabia tak był zakochany, że byle mu się uśmiechnęła, wszystkie plany reform odkładał na później. Piękna Anulka była na drodze, która do absolutyzmu prowadzi.



Hrabia Filip śmiał się i... ulegał. Jednej tylko struny poruszać nie dozwalał. Zazdrośnym był za najmniejszą oznaką zalotności, od której trzpiotowatej pani niezmiernie trudno się było powstrzymać.

---

Należałoby, dla uspokojenia czytelników, odsłonić teraz jeszcze jakiś rożek przyszłości; ale możnaż ją odgadnąć?

Nie umiemy powiedzieć nawet, czy owe ślubowiny dusz, zawarte między p. Lizą a Wiktorem, zmieniły się w przysięgę u ołtarza, do której księżna Teresa nagliła. Opór ze strony wdowy był coraz słabszy i zdaje się że po roku jakim nowicyatu i próby, musiała podać rękę przyjacielowi, który sam się o nią upominać nie śmiał.

Z osób, któreśmy w ciągu opowiadania poznali, księżna Ahaswera także wkrótce po zrzuceniu żaloby wyszła za mąż w Paryżu za Francuza, noszącego nazwisko hiszpańskie. Człowiek miał być niemłody, dowcipny, lubiący jeść dobrze, a jaknajmniej się męczyć jakąkolwiek pracą. Mówiono że pisywał do dzienników i zabięrał się zostać poetą, ale po ślubie mowy już ani o dziennikarstwie, ani o poezji nie było. Oboje lubili podróże i miodowe miesiące spędzili w Kairze.

Hrabia Filip po kilkunastu dniach, postrzegłszy że Ferdynand z jego żoną zbyt często ukradkiem rzucali na siebie wejrzenia, opuścił willę Bellavista i zawiózł Anulkę do Szwajcaryi. Czy tam ze swym skarbem czuł się bezpieczniejszym?... nie wiemy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chore-dusze>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Chore dusze*. Powieść w dwóch tomach, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1881.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0419-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).